

Miecz Liktora

Gene Wolfe



calibre 0.9.27

MIECZ LIKTORA

TLUMACZYŁ: ARKADIUSZ NAKONIECZNIK

SCAN-DAL

„Stosy ludzkich głów nikną w mglistej dali.

Ja także gasnę, więdnę jak kwiaty na łące.

Lecz w ukochanych książkach i zabawach dzieci,

Powstanę znowu z martwych, by zakrzyknąć: słońce!”

Osip Mandelsztam

ROZDZIAŁ 1

MISTRZ W DOMU ŁAŃCUCHÓW

- Włosy przesiąkły mi tym zapachem, Severianie - poskarżyła się Dorcas. - Kilka razy wchodziłam pod wodną kaskadę w tym ciepłym kamiennym pokoju - nie wiem, czy pomieszczenia przeznaczone dla mężczyzn są urządzone w taki sam sposób - i zawsze, kiedy spod niej wychodziłam, słyszałam, że rozmawiają o mnie. Ciebie nazywały czarnym rzeźnikiem i obrzucały cię wieloma innymi wyzwiskami, których nie chcę powtarzać.

- Nie ma w tym nic dziwnego - odparłem. - Prawdopodobnie jesteś pierwszą nową osobą, która zjawiała się tam od wielu miesięcy, w związku z czym jest całkiem naturalne, że wzbudziłaś zainteresowanie, a te nieliczne kobiety, które wiedzą, kim jesteś, chciały zaimponować innym, opowiadając wymyślone naprędce historie. Jeżeli o mnie chodzi, to już do tego przywykłem. W czasie naszej wędrowki ty także z pewnością spotykałaś się z takim zachowaniem.

- Rzeczywiście - przyznała, po czym usiadła na parapecie otworu strzelniczego. W

rozciągającym się pod nami mieście zapłonęły lampy zawieszane przed niezliczonymi sklepikami, wypełniając dolinę Acis żółtą poświatą podobną do tej, jaką roztaczają wokół siebie rozwinięte żonkile, ale Dorcas nie zwróciła na to uwagi.

- Teraz rozumiesz, dlaczego prawa konfraterni nie zezwalają mi bym wziął sobie żonę, chociaż ja jestem gotów je złamać, jak już wielokrotnie ci powtarzałem, za każdym razem, kiedy pragnęłaś to ode mnie usłyszeć.

- Chcesz powiedzieć, że byłoby dla mnie lepiej, gdybym mieszkała osobno i odwiedzała cię tylko raz albo dwa w tygodniu lub też czekała, kiedy ty zechcesz to uczynić?

- Zazwyczaj tak właśnie się robi. Kobiety, które dzisiaj o nas rozmawiały, prędzej czy później zrozumieją, że one, lub też ich synowie albo mężowie, pewnego dnia mogą trafić w moje ręce.

- Nie rozumiesz, że to nie ma żadnego znaczenia? Chodzi o to, że...

Dorcas umilkła, a kiedy przez dłuższą chwilę żadne z nas nie odezwało się ani słowem, wstała i złożywszy ręce za plecami zaczęła przechadzać się po pokoju. Wzbudziło to mój niepokój, gdyż nigdy do tej pory tak się nie zachowywała.

- W takim razie, o co chodzi? - zapytałem.

- O to, że wówczas jeszcze nie była to prawda, teraz zaś już nią jest.

- Czyniłem użytek ze Sztuki wszędzie, gdzie tylko nadarzała się sposobność.

Wykonywałem wyroki sądów w miasteczkach i wioskach. Wielokrotnie obserwowałaś mnie z okna, choć nigdy nie chciałaś wmieszać się w tłum, czemu zresztą wcale się nie dziwię.

- Nie patrzyłam - odparła.

- Ale ja cię widziałem.

- Byłeś tak bardzo pochłonięty tym, co robisz, że nie mogłeś zobaczyć, jak odwracam głowę albo zasłaniam oczy. Zazwyczaj przyglądałam ci się, kiedy wskakiwałeś na szafot i wówczas machałam do ciebie. Wspaniale wyglądałeś, dumny i prosty jak twój miecz. Byłeś też uczciwy w tym, co robisz. Pamiętam, jak kiedyś na szafot wyszedł razem z tobą jakiś urzędnik i staliście tam we czwórkę: ty, on, skazaniec i mnich. Tylko ty miałeś uczciwą twarz.

- Wątpię, czy mogłaś ją widzieć, gdyż z pewnością była zakryta maską.

- Nie musiałam jej widzieć, Severianie. Przecież dobrze wiem, jak wyglądasz.

- Czy teraz wyglądam inaczej?

- Nie - przyznała niechętnie - ale ja byłam tam, na dole. Widziałam ludzi przykutych łańcuchami do ścian tuneli. Kiedy dziś wieczorem położymy się do naszego miękkiego łóżka, będziemy spali nad ich głowami. Powiadasz, że ilu ich tam jest?

- Około tysiąca sześciuset. Naprawdę uważasz, że odzyskaliby wolność, gdybym ich nie pilnował? Nie zapominaj, że byli już tam, kiedy przybyliśmy do miasta.

Dorcas odwróciła się ode mnie, a jej ramionami wstrząsnął dreszcz.

- Te tunele przywodzą mi na myśl masowy grób...

- I słusznie - odparłem. - Archont mógłby ich uwolnić, ale kto wskrzesiłby tych, którym odebrali życie? Ty chyba nigdy nikogo nie straciłaś, prawda?

Nie odpowiedziała.

- Zapytaj żony, matki i siostry ludzi, których ciała za sprawą tych więźniów zgniły gdzieś w górach, czy Abdiesus powinien wypuścić więźniów na wolność.

- Wystarczy, że zapytałam o to samą siebie - odparła Dorcas i zdmuchnęła świecę.

Thrax przypomina zakrzywione ostrze wbite w serce gór. Leży w przewężeniu doliny Acis i pnie się w górę rzeki aż do Zamku Acies. Harena, panteon oraz inne reprezentacyjne budowle zajmują płaski teren między zamkiem a murem (zwanym Capulusem), który przegradza wąską dolinę w jej niżej położonej części. Prywatne budynki wspinają się po stromych zboczach, wiele z nich zostało wykutych w skałach; stąd właśnie wziął się jeden z licznych przydomków Thraxu - Miasto Bezokiennych Pokoi.

Dobrobyt miasto zawdzięcza swemu położeniu na początku żeglownego odcinka rzeki.

Właśnie tutaj wszystkie towary wysyłane w górę Acis (niektóre z nich pokonały już dziewięć dziesiątych biegu Gyoll, zanim dotarły do mniejszej rzeki, być może stanowiącej prawdziwe źródło wielkiej Gyoll) przeładowuje się na grzbiety jucznych zwierząt.

I na odwrót: wodzowie górskich plemion oraz wielcy posiadacze ziemscy, którzy pragną wyekspediować zboże i wełnę do miast położonych daleko na południu, zwożą towary do miasta, by załadować je na łodzie poniżej katarakty ryczącej pod łukowym sklepieniem przelewu wybudowanego pod Zamkiem Acies.

Jak zawsze, kiedy władza próbuje podporządkować sobie niespokojny obszar, główną troską jej przedstawiciela, czyli archonta, staje się egzekwowanie decyzji wymiaru sprawiedliwości. Po to właśnie, by narzucić swoją wolę tym spośród żyjących poza murami miasta, którzy chętnie by się jej sprzeciwili, ma do dyspozycji siedem szwadronów dimarchów dowodzonych przez siedmiu oficerów. Sąd zbiera się co miesiąc, w okresie między pierwszą kwadrą księżyca a pełnią, jego obrady zaś zaczynają się codziennie wraz z drugą poranną wachtą i trwają tak długo, aż zostaną rozpatrzone wszystkie sprawy przewidziane na ten dzień. Jako główny wykonawca wyroków musiałem uczestniczyć w każdej sesji, tak by archont miał

pewność, że jego decyzje nie ulegną zniekształceniu, a tym samym skazańcy nie otrzymają łagodniejszej bądź też bardziej surowej kary, niż to było w jego zamiarze. Jego celem było również sprawowanie ścisłej kontroli nad funkcjonowaniem Vinculi, w której przebywali więźniowie. Oznaczało to, że moim udziałem stała się odpowiedzialność zbliżona do tej, jaka spoczywała w naszej Cytadeli na barkach mistrza Gurloesa - przy zachowaniu właściwych proporcji, ma się rozumieć - i przez pierwszych kilka tygodni pobytu w Thraksie jej ciężar dawał

mi się mocno we znaki.

Według jednej z maksym mistrza Gurloesa nie ma idealnie usytuowanych więzień. Jak większość mądrych sentencji, które z założenia mają służyć kształceniu młodych ludzi, ta też była prawdziwa i jednocześnie zupełnie bezużyteczna. Wszystkie ucieczki dzielą się na trzy kategorie: dokonuje się ich za pomocą podstępów, przemocy lub dzięki zdradzie strażników. W

odludnych miejscach trudno o jakiś fortel, dlatego też za takim właśnie usytuowaniem więzień opowiadają się najczęściej ci, którzy poświęcili temu zagadnieniu wiele uwagi.

Tak się jednak nieszczęśliwie składa, że pustynie, górskie szczyty i samotne wyspy oferują znakomite warunki do przeprowadzenia ucieczki przy użyciu przemocy. Jeżeli więzienie zostanie obleżone przez przyjaciół uwięzionych, minie zbyt wiele czasu, zanim wojsko przybę-

dzie z odsieczą, podobnie jak w przypadku buntu więźniów; wszystko rozstrzygnie się na długo przed tym, zanim na miejsce dotrą wezwane posiłki.

Trudności tych można uniknąć na terenie gęsto zaludnionym i dobrze ufortyfikowanym, ale wówczas należy liczyć się z pojawieniem nowych, poważniejszych niebezpieczeństw. W

takim miejscu więzień nie potrzebuje tysiąca przyjaciół, tylko jednego albo dwóch, w dodatku wcale nie muszą to być wojownicy - w zupełności wystarczą na przykład sprzątaczką i uliczny sprzedawca, naturalnie pod warunkiem, że dysponują inteligencją oraz stanowczością. Co więcej, jeśli więźniowi uda się wydostać poza mury, może bez trudu wtopić się w anonimowy tłum, w związku z czym rezultat poszukiwań nie zależy już od tropicieli i psów gończych, tylko od agentów i tajnych informatorów.

W naszym przypadku więzienie w jakimś odosobnionym, odludnym miejscu w ogóle nie wchodziło w grę. Nawet gdyby oprócz strażników obsadzono je odpowiednio dużą liczbą żołnierzy, którzy broniliby go przed atakami autochtonów, zoantropów oraz najróżniejszych bandytów, od jakich aż roi się w górzystej okolicy (nie wspominając już o zbrojnych oddziałach zubożałych arystokratów, którym nigdy nie można było ufać), to należałoby ściągnąć dodatkowe jednostki tylko po to, żeby zapewniły ochronę transportom żywności i wyposażenia. Dlatego właśnie Vincula znalazła się w granicach miasta, dokładniej rzecz biorąc mniej więcej w połowie wysokości zbocza na zachodnim brzegu rzeki i jakieś pół mili od Capulusa.

Jest to starożytna budowla, która - przynajmniej moim zdaniem - od początku miała pełnić funkcję więzienia, mimo iż według starej legendy kiedyś była grobowcem. Kilkaset lat temu została znacznie powiększona i zaadaptowana do nowych potrzeb. Patrzącemu na nią z łatwiej dostępnego wschodniego brzegu może przypominać wyrastającą z litej skały, czworokątną wieżę trzypiętrowej wysokości, której płaski, okolony blankami dach niemal styka się ze ścianą urwiska. Ta widoczna jej część - wielu gości odwiedzających miasto uważa ją zapewne za całość budowli - w rzeczywistości stanowi jej najmniejszy i najmniej istotny fragment. W czasie kiedy pełniłem funkcję liktora, mieściły się tam biura, kwatery strażników oraz moje mieszkanie.

Więźniów trzymano w tunelu wydrążonym ukośnie w litej skale. Nie przebywali ani w jednoosobowych celach, takich jakie znajdowały się w Wieży Matachina, ani we wspólnej sali, w jakiej ja sam byłem przetrzymywany w Domu Absolutu, lecz zostali przykuci do ścian po obu

stronach korytarza. Łańcuchy łączące żelazne kołnierze z tkwiącymi w skale hakami miały taką długość, żeby pośrodku tunelu pozostało przejście na tyle szerokie, by strażnicy mogli tamtędy bezpiecznie przechodzić, nie obawiając się, że któryś z uwięzionych wyszarpnie im klucze zza pasa.

Tunel miał około pięciuset kroków długości i mieścił ponad tysiąc więźniów. Zalegające na podłodze nieczystości splukiwano wodą z ogromnej cysterny na szczycie urwiska; ścieki wpadały do otworu odpływowego w najniższej części korytarza i trafiały do podziemnego kanału, który odprowadzał je poza teren miasta, w dół rzeki, gdzie w pewnej odległości od muru znajdowało się jego ujście.

Czworokątna wieża oraz pochyły tunel początkowo stanowiły całość budowli, potem jednak dobudowano mnóstwo bocznych odgałęzień i poziomych galerii. Wiele z nich powstało w trakcie prób dokopania się do podziemnego korytarza, które podejmowano z wnętrza prywatnych rezydencji rozlokowanych na zboczu. Próby te zakończyły się niepowodzeniem, ale częściowo wydrążone szyby zostały dokończone i zaadaptowane do potrzeb Vinculi, pozwalając na pomieszczenie większej liczby więźniów.

Istnienie tych nie planowanych, bądź też wadliwie zaplanowanych dodatków znacznie utrudniało mi zadanie. Jedną z pierwszych moich decyzji dotyczyła zasypania najmniej użytecznych mieszaniną rzecznych kamieni, piasku, żwiru i palonego wapna oraz rozpoczęcia prac przy poszerzaniu i łączeniu pozostałych, tak by utworzyły jakąś sensowną strukturę.

Działania te, chociaż bardzo potrzebne, posuwały się naprzód w niezmiernie wolnym tempie, ponieważ jednorazowo można było skierować do nich co najwyżej kilkuset więźniów, a większość z nich znajdowała się w opłakanej kondycji fizycznej.

Przez kilka pierwszych tygodni po przybyciu do Thraxu nie miałem czasu na nic innego poza wykonywaniem obowiązków. Dorcas poznawała miasto za nas oboje, ja zaś przykazałem jej surowo, aby przede wszystkim pytała o Peleryny. Podczas długiej wędrówki z Nessus świadomość, że niosę ze sobą Pazur Łagodziciela, ciążyła mi niczym kamień, ale teraz, kiedy podróż dobiegła końca i nie tylko nie mogłem mieć nadziei, że spotkam kapłanki w drodze do miejsca mego przeznaczenia, ani nawet łudzić się, że szczęśliwy przypadek pozwoli mi natrafić na ich ślad, ciężar stał się wręcz nieznośny. Śpiąc pod gwiazdami trzymałem klejnot w bucie, a przy tych nielicznych okazjach, kiedy zdarzało nam się spędzać noc pod dachem, wpychałem go tak głęboko, jak tylko się dało. Teraz przekonałem się, że w ogóle nie mogę zasnąć, jeśli nie wyczuwam jego obecności, i co chwila sprawdzam, czy nadal znajduję się w jego posiadaniu.

Dorcas uszyła nieduży woreczek z doskonale wyprawionej ludzkiej skóry; schowałem do niego klejnot, zawiesiłem woreczek na szyi i nie rozstawałem się z nim ani w dzień, ani w nocy.

Wielokrotnie śniło mi się, że Pazur płonie, wisząc nade mną w powietrzu niczym jego katedra.

Budziłem się wówczas, by stwierdzić, iż lśni tak jasno, że jego blask przesącza się przez delikatną skórę. Dwa lub trzy razy każdej nocy budziłem się też z innego powodu: leżałem na wznak, z klejnotem na piersi, i wydawało mi się, że jest tak ciężki - choć bez trudu mogłem unieść go jednym palcem - iż lada chwila zgniecie mnie na miazgę.

Dorcas czyniła wszystko co w jej mocy, żeby mnie uspokoić i pomóc, ale widziałem, że zdaje sobie sprawę z nagłej zmiany, jaka nastąpiła w naszych wzajemnych stosunkach i jest nią jeszcze bardziej zaniepokojona ode mnie. Takie zmiany zawsze są bardzo nieprzyjemne, choćby z tego powodu, że dowodzą prawdopodobieństwa wystąpienia kolejnych. Podczas wspólnej podróży (a wędrowaliśmy razem, w mniejszym lub większym towarzystwie, od chwili, kiedy w Ogrodzie Wiecznego Snu Dorcas pomogła mi, na wpół utopionemu, wypełznąć z wody na trawiastą ścieżkę), byliśmy sobie zupełnie równi - każde z nas maszerowało na własnych nogach albo jechało na własnym wierzchowcu. Nawet jeżeli zapewniałem jej ochronę przed niebezpieczeństwami, to ona z kolei dawała mi coś w rodzaju moralnego schronienia. Dzięki mojej obecności nikt nie śmiał okazywać pogardy jej niewinnej urodzie, a z kolei widząc ją ludzie nie mogli uciekać się do łatwego wybiegu, jakim było ukrywanie się za tarczą odrazy, którą budziła moja profesja. Służyła mi radą w chwilach wahań, a towarzystwem na pustkowiu.

Wszystko to dobiegło końca, kiedy wreszcie dotarliśmy do Thraxu i wręczyłem archontowi list od mistrza Palaemona. Odziany w fuliginowy płaszcz nie musiałem już lękać się tłumu - to raczej ja wywoływałem lęk jako przedstawiciel groźnej i bezlitosnej władzy. Dorcas -

już nie równoprawna towarzyszką podróży, tylko zwykła dziewczyna, jak nazwała ją Cumaeana -

otrzymała w Vinculi osobną kwaterę. Jej rady stały się bezużyteczne, gdyż miałem teraz do czynienia z trudnościami natury prawnej i administracyjnej. Przez wiele lat uczono mnie zmagać się z nimi, ona natomiast nie miała o nich najmniejszego pojęcia, także z tego powodu, iż nie znajdowałem czasu ani ochoty, by wyjaśnić jej ich naturę, żebyśmy mogli wspólnie zastanowić się nad sposobem ich rozwiązania.

Tak więc podczas gdy ja spędzałem wachtę za wachtą w sali posiedzeń sądu, Dorcas wędrowała po całym mieście. W końcu doszło do tego, że my, którzy przez znaczną część wiosny przebywaliśmy niemal bez przerwy razem, latem prawie zupełnie przestaliśmy się widywać. Późnym wieczorem pospiesznie spożywaliśmy wieczerzę, potem zaś kładliśmy się do łóżka, gdzie prawie natychmiast zasypialiśmy, przytuleni mocno do siebie.

Wreszcie na niebie zaświecił księżyc w pełni. Z jaką radością wpatrywałem się w niego z dachu wieży - wisiał nieruchomo, spowity w zielony płaszcz lasów i okrągły niczym otwór kubka. Nie byłem jeszcze zupełnie wolny, ponieważ musiałem uporać się z pracami, które nagromadziły się w minionym okresie, ale przynajmniej mogłem skoncentrować na nich całą uwagę, co wydawało mi się niemal równie wspaniałe jak wolność. Poprosiłem Dorcas, żeby towarzyszyła mi nazajutrz w inspekcji podziemnej części Vinculi.

Popełniłem błąd. W stęchłym powietrzu, wśród cierpiących więźniów, z każdą chwilą czuła się coraz gorzej. Jak już wspomniałem, wieczorem powiedziała mi, że poszła do publicznej łaźni (było to niezwykle, zważywszy na jej lęk przed wodą, który kazał jej myć się codziennie gąbką umoczoną w wodzie zaledwie przykrywającej dno miednicy), by spłukać ze skóry i włosów woń podziemnych korytarzy. Wtedy właśnie zauważyła, że łaźnie wskazują ją innym kobietom korzystającym z kąpieli.

ROZDZIAŁ II

NAD KATARAKTĄ

Nazajutrz rano, przed wyjściem do miasta, Dorcas obcięła włosy krótko jak chłopiec, po czym wetknęła białą piwonię w pierścień, którym je do tej pory upinała. Kiedy po południu skończyłem pracować nad dokumentami, pożyczyłem od sierżanta strażników dzalabiję i wyruszyłem na poszukiwania.

Książka w brązowej okładce, którą stale noszę przy sobie, twierdzi, że nie ma bardziej niezwykłego doświadczenia od zwiedzania miasta całkowicie odmiennego od tych, jakie widywało się do tej pory, gdyż wiąże się to z odkrywaniem drugiego, zupełnie odmiennego ja.

Mnie jednak udało się doświadczyć jeszcze dziwniejszego uczucia: otóż wędrowałem po mieście, w którym mieszkałem już od jakiegoś czasu, a o którym nic nie wiedziałem.

Nie miałem pojęcia, gdzie znajduje się łaźnia, chociaż słyszałem o niej nie tylko od Dorcas, lecz także przy okazji przesłuchań w sądzie. Nie wiedziałem także, gdzie jest bazar, na którym kupowała stroje i kosmetyki, ani nawet czy w mieście jest tylko jeden czy może więcej.

Krótko mówiąc, nie wiedziałem nic oprócz tego, co mogłem dostrzec z dachu wieży lub podczas krótkiego spaceru z Vinculi do pałacu archonta. Być może zbyt zaufałem swojemu zmysłowi orientacji, wierząc, że nie zgubię się w mieście tylekroć mniejszym od Nessus, chociaż wędrując krętymi uliczkami prowadzącymi w dół zbocza, między murami domów, których większa część była wykuta głęboko w skale, na wszelki wypadek sprawdzałem od czasu do czasu, czy wciąż mam w zasięgu wzroku znajomy kształt wieży z wzmocnioną żelaznymi okuciami bramą i czarną chorągwią szarpaną podmuchami wiatru.

W Nessus bogaci mieszkają w północnej części miasta, gdzie wody Gyoll są czystsze, biedacy zaś w południowej, gdzie rzeka jest cuchnąca i brudna. Tutaj, w Thraksie, zwyczaj ten nie znalazł zastosowania, częściowo dlatego, że Acis płynie tak szybko, iż brudy wytwarzane przez tych znad górnego biegu rzeki (stanowią oni najwyżej tysięczną część tych, którzy mieszkają na północy Nessus), nie są w stanie zanieczyścić trwale jej wód, częściowo zaś dlatego, że liczne akwedukty doprowadzają do fontann i domów bogaczy wodę pobieraną powyżej katarakty, w związku z czym czystość rzeki w samym mieście nie odgrywa tak ważnej roli.

W Thraksie granice podziału przebiegają poziomicowo. Najbogatsi zamieszkują dolne rejony stromych zboczy, najbliżej Acis, skąd mają niedaleko zarówno do sklepów i urzędów, jak i do przystani, gdzie czekają wiosłowe łodzie - ich załogi stanowią niewolnicy - którymi można podróżować od krańca do krańca miasta. Biedniejsi mają domy trochę wyżej, jeszcze wyżej wznoszą się domostwa klasy średniej i tak dalej, aż do najuboższych, których nędzne siedziby są usytuowane u podnóża fortyfikacji na szczycie urwiska; często są to sklecone bryki jak lepianki i szałas, do których trzeba wspinać się po długich drabinach.

Już wkrótce miałem poznać z bliska jedną z tych żałosnych chatynek, tymczasem jednak przebywałem w dzielnicy handlowej w pobliżu traktu wodnego. Na wąskich uliczkach panował

tak wielki tłok, iż w pierwszej chwili pomyślałem, że może trwają właśnie obchody jakiegoś święta

albo że działania wojenne - w Nessus wydawały się niezmiernie odległe, by w miarę, jak posuwaliśmy się na północ, stawać się coraz bardziej realnymi - zbliżyły się tak bardzo, że do miasta zaczęły napływać pierwsze fale uciekinierów.

Jak słyszałem, na jednego mieszkańca Nessus przypada pięć budynków. W Thraksie proporcje te z pewnością uległy odwróceniu, tego dnia zaś odniosłem wrażenie, iż każdy dom musi pomieścić co najmniej pięćdziesięciu ludzi. Nessus jest też miastem kosmopolitycznym, w tym jednak sensie, że o ile można tam spotkać cudzoziemców, albo nawet kakogenów, którzy przybyli statkami z odległych planet, to zawsze wiadomo, że są to obcy, którzy z takich lub innych powodów znaleźli się daleko od swoich domów. Tłum wypełniający ulice Thraxu był tak różnorodny, jak różnorodne są plemiona i rasy, które zamieszkują górskie okolice. Widząc człowieka w nakryciu głowy w kształcie ptaka, ze skrzydłami służącymi za nauszники, albo w obszarpanym płaszczu ze skóry kaberu, albo z wytatuowaną twarzą, należało się spodziewać, że lada chwila zza najbliższego zakrętu wyłoni się stu takich samych jak on.

Ludzie ci, zwani eklektykami, wywodzili się od osadników z południa, którzy wymieszali się z krępyimi, ciemnoskórymi autochtonami i przejęli od nich wiele obyczajów, dodając do nich elementy zapożyczone od mieszkających na północy amfitrionów albo nawet od jeszcze mniej znanych ludów, wędrownych handlarzy i mieszkańców odległych osad.

Wielu eklektyków nosi przy sobie zakrzywione noże; dłuższa część ostrza, blisko rękojeści, jest względnie prosta, tak jak krótsza, bliżej jego końca. Podobno kształt ten ułatwia zadanie ciosu w serce przeciwnika. Ostrze, wzmocnione biegnącym przez jego środek zgrubieniem, jest utrzymywane w znakomitym stanie. Nóż nie ma osłony, rękojeść zaś jest zazwyczaj wykonana z kości. (Poświęcam tak wiele uwagi tej broni, ponieważ jest ona charakterystyczna właśnie dla tego obszaru i ponieważ od niej właśnie wzięła się kolejna nazwa Thraxu: Miasto Zakrzywionych Noży. Sam gród przypomina kształtem taki właśnie nóż - zakręt doliny odpowiada zgięciu ostrza, rzeka Acis biegnącemu przez całą jego długość zgrubieniu, Zamek Acies czubkowi, Capulus zaś miejscu, w którym ostrze wyrasta z rękojeści).

Jeden z mieszkańców Niedźwiedziej Wieży powiedział mi kiedyś, że nie ma zwierzęcia bardziej niebezpiecznego i trudnego do okiełznania od mieszańca będącego potomkiem psa bojowego i wilczycy. Przywykliśmy uważać stworzenia zamieszkujące lasy i góry za dziką zwierzynę, ludzi zaś, którzy tam żyją, za dzikusów. Prawda jednak przedstawia się w ten sposób, że niektóre zwierzęta domowe (z czego na pewno zdawalibyśmy sobie sprawę, gdyby przyszło nam do głowy nie przechodzić nad tym zjawiskiem do porządku dziennego) są znacznie bardziej niebezpieczne od swoich żyjących na wolności krewniaków, mimo że wiele z nich rozumie ludzką mowę, a niektóre nawet potrafią wypowiedzieć kilka słów. Tak samo ludzie, których przodkowie od zarania dziejów mieszkali w miastach, przejawiają bardziej krwiożercze instynkty niż ich pobratymcy z leśnych głuszy. Vodalus, w którego żyłach ponad wszelką wątpliwość płynie krew tysięcy pokoleń arystokratów, był zdolny do czynów, o jakich nawet nie śniło się odzianym w skóry huanaco autochtonom, tłoczącym się na ulicach Thraxu.

Podobnie jak mieszańce psów z wilkami - których nigdy nie spotkałem, ponieważ są zbyt drapieżne, aby być użyteczne - eklektycy ci przejęli od swoich przodków wszystko, co najgorsze i budzące największą odrazę: jako przyjaciele lub wspólnicy są skryci, nielojalni i swarliwi, jako wrogowie

zaś mściwi, podstępni i okrutni. W każdym razie tak właśnie twierdzili moi podwładni z Vinculi, gdzie eklektycy stanowią ponad połowę więźniów.

Zawsze kiedy spotykałem mężczyzn posługujących się odmiennym językiem, noszących niezwykle stroje albo hołdujących dziwnym obyczajom, zastanawiałem się, jakie też mogą być ich kobiety. Między wyglądem mężczyzn i kobiet zawsze istnieje jakiś związek, gdyż zarówno jedni jak i drudzy stanowią produkt tej samej kultury - tak samo jak liście drzewa, które można zobaczyć, i jego owoce, których nie widać, ponieważ kryją się za liśćmi, są wytworem tego samego żywego organizmu. Obserwator, który odważy się wyrokować na temat kształtu i smaku owoców jedynie na podstawie kształtu i barwy oglądanych ze znacznego oddalenia liści, musi naprawdę dużo wiedzieć i o jednych, i o drugich, gdyż w przeciwnym razie łatwo mógłby się ośmieszyć.

Zdarza się nieraz, że słabowite kobiety rodzą synów, z których wyrastają bitni wojownicy, oraz córki dorównujące później siłą i zręcznością swoim braciom. Dlatego właśnie, kiedy wędrowałem ulicami miasta wśród tłumów składających się głównie z jego mieszkańców oraz eklektyków (obywatele Thraxu na pierwszy rzut oka prawie nie różnili się od ludzi z Nessus, co najwyżej ubierali się nieco skromniej i zachowywali bardziej obcesowo), wyobrażałem sobie kobiety ciemnowłose i ciemnoskóre, o lśniących czarnych włosach gęstych jak ogony wierzchowców ich braci, kobiety o silnych, choć zarazem delikatnych twarzach, kobiety zdolne zarówno bronić się do ostatniego tchu, jak i poddać bez walki, kobiety, które można zdobyć, ale nie kupić - naturalnie, o ile takie w ogóle istnieją na świecie.

Moja wyobraźnia zawiodła mnie do miejsc, gdzie można je znaleźć - samotnych chat nad brzegami górskich strumieni i skórzanych jurt na rozległych stepach. Nie musiałem długo czekać, aby zauroczyła mnie wizja gór, niemal równie silna jak wizja morza, która opanowała bez reszty moją wyobraźnię, zanim mistrz Palaemon wyprowadził mnie z błędu i powiedział, gdzie naprawdę leży Thrax. Jakże dostojne są te nieruchome idole Urth, wyrzeźbione za pomocą tajemniczych narzędzi w niewyobrażalnie odległych czasach, wciąż wznoszące ponad krawędź

świata sędziwe głowy przykryte mitrami, tiarami i diademami skrzącymi się śniegiem, z oczami wielkości miast, o ramionach przykrytych płaszczami lasów!

Przebrany w nie rzucającą się w oczy dżalabiję torowałem sobie powoli drogę przez zatłoczone ulice wypełnione smrodem nieczystości i zapachem potraw, mając przed oczami wizje skalistych szczytów i krystalicznie czystych strumieni spływających w dół jak drogocenne naszyjniki.

Przypuszczam, że dawno temu Thecla odwiedzała tereny u podnóża gór, bez wątpienia po to, by znaleźć ochłodę podczas szczególnie gorącego lata, gdyż znaczna część obrazów, jakie nie wiadomo skąd pojawiały się w mojej wyobraźni, miała wyraźny charakter dziecięcych obserwacji. Po to, by tak ostro i wyraźnie dostrzec rosnące na skałach kwiaty, dorosły musiałby się schylić albo nawet uklęknąć; bezdenne przepaści nie tylko budziły we mnie lęk, ale także zdumienie, jakby swoim istnieniem przeczyły prawom natury; szczyty wydawały się sięgać nieba, jakby cały świat runął z jakiejś niewyobrażalnej wysokości, ale jakaś przebywająca tam istota próbowała powstrzymać jego upadek, zacisnąwszy ręce na wierzchołkach gór.

Wreszcie, po wędrowce przez niemal całe miasto, dotarłem do Zamku Acies.

Powiedziałem strażnikom, kim jestem, oni zaś przepuścili mnie, pozwalając wspiać się na szczyt stołbu. Tak samo wspinałem się na szczyt Wieży Matachina przed pożegnaniem z mistrzem Palaemonem.

Wówczas, kiedy miałem opuścić jedyne miejsce, jakie znałem, dotarłem do jednego z najwyższych położonych pomieszczeń Cytadeli, która z kolei zajmowała szczyt najwyższego wzniesienia w Nessus i jego okolicach. Miasto rozciągało się u moich stóp aż po horyzont, Gyoll przypominała zielonkawy ślad pozostawiony na mapie przez ślimaka, a hen, daleko, mogłem nawet dostrzec fragmenty Muru. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było wzniesienia mogącego równać się wysokością z budowlą, na której szczyt udało mi się dotrzeć.

Tym razem doznałem wrażeń zupełnie odmiennej natury. Stałem nad środkiem Acis, spadającej ku mnie po skalistych stopniach, z których każdy był dwa lub trzy razy wyższy od dorodnego drzewa, by wreszcie, w postaci białej piany lśniącej w promieniach słońca, zniknąć przede mną i pojawić się po drugiej stronie jako srebrzysta wstążka wijąca się przez miasto równie spokojne i sielskie jak miniaturowe wioski, które otrzymywałem jako upominki w elegancko zapakowanych pudełkach (tyle tylko, że dostawałem je nie ja, lecz Thecla).

Wydawało mi się, że stoję na dnie ogromnej misy. Dokoła mnie pięły się w górę kamienne ściany, tak że patrząc na którąś z nich łatwo można było uwierzyć - przynajmniej na chwilę - że za sprawą jakichś czarodziejskich sztuczek siła ciężenia zaczęła nagle działać prostopadle do swego dotychczasowego kierunku i że niemal pionowa stromizna stanowi w rzeczywistości prawdziwą powierzchnię planety.

Przez całą wachtę wpatrywałem się w te ściany, śledząc bieg pajęczych nici wodospadów pędzących na oślep ku odległej rzece, oraz wpatrując się w uwięzione między urwiskami obłoki, które wydawały się lekko napierać na niewzruszone skały, niczym zdezorientowane owce zagnane podstępem do zagrody okolonej kamiennym murem.

W końcu odczułem znużenie potęgą gór oraz moimi marzeniami... Chociaż było to chyba nie tyle znużenie, co raczej narastające stopniowo oszołomienie, aż w końcu zakręciło mi się w głowie. Choć zamknąłem oczy, nadal widziałem przed sobą bezlitosne przepaści i rozumiałem ponad wszelką wątpliwość, że zarówno najbliższej nocy, jak i podczas wielu następnych, będę spadał w najeżone głazami otchłanie lub wspinał się po pionowych ścianach, wbijając zakrwawione palce w nieczułe skały.

Odwróciłem się pospiesznie ku miastu, by znaleźć uspokojenie w widoku wieży Vinculi.

Z tej odległości przypominała niewielki sześcian przyklejony do fragmentu urwiska stanowiącego zaledwie drobną zmarszczkę na rozfalowanym, pionowym morzu kamiennych klifów. Śledziłem wzrokiem bieg głównych ulic, próbując odszukać te, którymi szedłem do zamku (miało to pomóc mi otrząsnąć się z uroku, jaki rzuciły na mnie góry), oraz zidentyfikować z nowej perspektywy mijane po drodze budynki i place. Dopiero teraz przekonałem się, że w mieście są dwa bazyliki, po jednym na każdym brzegu rzeki, a po dłuższej chwili zdołałem odnaleźć budowle, którym często przyglądałem się z dachu Vinculi: harene, panteon i pałac archonta. Jeszcze później, kiedy nareszcie odzyskałem orientację i nabrałem przekonania, iż potrafię bez trudu wskazać najważniejsze punkty miasta,

począłem wodzić spojrzeniem po mniejszych ulicach oraz zapuszczać wzrok w wąskie, kręte zaułki, czasem stanowiące zaledwie kreski głębokiego cienia wciśnięte między domy stłoczone na pnących się stromo w górę zboczach.

Potem znowu skierowałem wzrok ku rzece, przypatrując się nadbrzeżom, magazynom, a także piramidom czekających na załadunek beczek, skrzyń i bel. Woda płynęła spokojnie, z wyjątkiem miejsc, gdzie rozbijała się o umocnienia; miała kolor indygo i podobnie jak indygowy cień podczas śnieżnej zamieci wydawała się sunąć z jakąś zmysłową, lodowatą gracją. Jedyne szybkie poruszenia manewrujących kaików i feluk pozwalały domyślać się turbulencji ukrytych pod zwodniczo gładką powierzchnią. Większe jednostki zdawały się fechtować na bukszpryty z niewidzialnym przeciwnikiem, wszystkie zaś były zmuszone często cofać się, kiedy ich wiosła natrafiały na wyjątkowo silne wiry.

Wreszcie oparłem się o parapet i skoncentrowałem uwagę na nadbrzeżu oddalonym najwyżej o sto kroków od poterny. Wśród robotników portowych przenoszących na brzeg towary z zacumowanych łodzi dostrzegłem nieruchomą postać o jasnych włosach. W pierwszej chwili pomyślałem, że to dziecko, ponieważ przy barczystych, półnagich mężczyznach wydawała się niezwykle drobna, zaraz potem jednak rozpoznałem w niej Dorcas, siedzącą nad wodą z twarzą ukrytą w dłoniach.

ROZDZIAŁ III

LEPIANKA

Kiedy dotarłem do dziewczyny, nie mogłem wydobyć z niej ani słowa. Wbrew temu, co początkowo sądziłem, wcale się na mnie nie pogniewała. Milczenie spadło na nią jak choroba, która co prawda nie poraziła ust ani języka, ale pozbawiła ją władzy nad nimi, a chyba także chęci, by z nich korzystać, tak samo jak niektóre schorzenia pozbawiają nas umiejętności doświadczania rozkoszy, czasem zaś nawet zrozumienia dla tych, którzy nadal wiedzą, czym jest przyjemność. Gdybym nie zwrócił jej głowy w moją stronę, z pewnością długo jeszcze wpatrywałyby się w ziemię nie widzącym spojrzeniem albo też trwałyby bez ruchu z twarzą ukrytą w dłoniach, tak jak to czyniła, kiedy dostrzegłem ją ze szczytu stołbu.

Pragnąłem porozmawiać z nią, wierząc, że potrafię powiedzieć coś - chociaż nie miałem pojęcia, co mogłoby to być - co pozwoli jej otrząsnąć się z uroku. Nie mogłem jednak zrobić tego na nadbrzeżu, pod ostrzałem ciekawskich spojrzeń robotników. Przez pewien czas nie przychodziło mi też do głowy żadne miejsce, do którego mógłbym ją zaprowadzić. Wreszcie w pobliskiej uliczce wypatrzyłem sztyld gospody i choć w głównej sali posilało się sporo osób, za kilka aes zaprowadzono nas do małego pokoiku na piętrze. Jedyne umeblowanie tego pomieszczenia stanowiło łóżko, sufit zaś znajdował się tak nisko, że nie mogłem stanąć zupełnie wyprostowany, gdyż uderzałem w niego głową. Gospodyni zapewne przypuszczała, iż pokój jest nam potrzebny jako miejsce schadzki, zarazem jednak doszła do wniosku - na widok Dorcas każdemu musiałoby zaświtać takie podejrzenie - że albo wykorzystuję władzę, jaką mam nad dziewczyną, albo właśnie kupiłem ją od stręczyciela, gdyż popatrzyła na Dorcas ze współczuciem, mnie zaś posłała spojrzenie pełne potępienia.

Zaryglowałem drzwi, pomogłem Dorcas położyć się na łóżku, sam natomiast usiadłem na jego skraju i próbowałem nakłonić ją do rozmowy, pytając, co się stało i co mógłbym uczynić, aby naprawić zło. Przekonawszy się, że moje starania nie odnoszą skutku, zacząłem opowiadać o sobie, sądząc, iż powodem jej nagłego zamknięcia się w sobie są okropności, które minionego dnia ujrzała w tunelach Vinculi.

- Wszyscy nami pogardzają, a więc nie widzę powodu, dla którego i ty nie miałabyś mną gardzić - powiedziałem. - Dziwi mnie tylko, że potrzebowałaś tyle czasu, by poczuć do mnie odrazę. Ponieważ jednak kocham cię, spróbuję wziąć w obronę moją konfraternię, a więc i siebie samego, w nadziei, iż przestaniesz tak bardzo gryźć się świadomością, że kiedyś kochałaś kata, mimo iż już przestałaś mnie kochać.

Nie jesteśmy okrutni. Nie czerpiemy rozkoszy z tego, co robimy, chyba że wówczas, kiedy robimy to dobrze, czyli szybko i dokładnie w taki sposób, jaki narzuca nam prawo.

Wypełniamy polecenia sędziów, którzy sprawują swój urząd za zgodą ludu. Są tacy, co twierdzą, że powinniśmy zaprzestać wykonywania obowiązków i że w ogóle nikt nie powinien ich wykonywać. Według nich kara wymierzona z zimną krwią stanowi zbrodnię znacznie większą od tych, jakie popełnił nawet najokrutniejszy z naszych klientów.

Może i mają trochę racji, lecz jest to racja, która może zniszczyć Wspólnotę. Nikt nie czułby się

bezpieczny i nikt nie byłby bezpieczny, w końcu zaś ludzie wystąpiliby zbrojnie -

najpierw przeciwko złodziejom i mordercom, potem przeciwko tym, którzy naruszyliby zwyczajowe prawo własności, wreszcie przeciwko wszystkim obcym i wyrzutkom. Niebawem odrodziłyby się straszliwe zwyczaje kamienowania i palenia na stosie, te orgie okrucieństwa, podczas których każdy stara się okazać więcej zapału od sąsiada, a to z obawy, że nazajutrz ktoś oskarży go o sprzyjanie ginącemu właśnie nieszczęśnikowi.

Są też tacy, co powiadają, że niektórzy klienci zasługują na surowe traktowanie, inni zaś nie, i że powinniśmy odmówić stosowania tortur wobec tej drugiej kategorii. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż nie wszyscy są jednakowo winni, a niekiedy zdarza się także, że w nasze ręce trafiają ludzie, którzy nie popełnili żadnego z zarzucanych im czynów ani nie mają na sumieniu w ogóle żadnego przestępstwa.

Jednak ci, co tak twierdzą, stawiają się wyżej od sędziów wyznaczonych przez Autarchę, mimo iż nie posiadają odpowiedniej wiedzy i nie mają prawa powoływania świadków. Domagają się, byśmy okazywali posłuszeństwo im, nie zaś prawdziwym sędziom, chociaż nie są w stanie udowodnić, że takie posłuszeństwo istotnie im się należy.

Jeszcze inni utrzymują, iż nasi klienci nie powinni być poddawani torturom ani likwidowani, tylko zmuszani do pracy na rzecz Wspólnoty, czy to przy kopaniu kanałów, czy przy wznoszeniu warownych baszt. Jednak za środki, jakie trzeba by przeznaczyć na ich pilnowanie i utrzymanie, można by zatrudnić robotników, pragnących pracować po to, żeby zarobić na kawałek chleba. Dlaczego uczciwi ludzie mają umierać z głodu, a zbrodniarze cieszyć się życiem? Co więcej, mordercy i złodzieje, nielojalni wobec prawa i pozbawieni nadziei na wynagrodzenie, pracowaliby jedynie pod przymusem, a czymże jest przymus, jeżeli nie torturą ukrywającą się pod inną nazwą?

Są wreszcie tacy, co żądają, aby skazańcy przebywali w wygodnych miejscach odosobnienia przez wiele lat, często nawet aż do śmierci. Wiadomo jednak, iż ludzie, którzy spędzają dni w wygodzie i bez cierpień, żyją czasem bardzo długo, a każdy orichalk wydany na zapewnienie im takich warunków byłby orichalkiem straconym, gdyż nie przeznaczono by go na znacznie istotniejsze potrzeby. Niewiele wiem o wojnie, ale domyślam się, jak dużo kosztuje wyszkolenie i wyekwipowanie żołnierza. Obecnie walki toczą się w górach na północy, gdzie każdy grzbiet górski i każda grań mogą pełnić funkcję muru obronnego, ale co będzie, jeśli przeniosą się na pampasy? Czy na otwartej przestrzeni także uda się powstrzymać napór Ascian?

I kto wyżywi mieszkańców Nessus, jeżeli w ręce przeciwnika dostaną się ogromne stada bydła?

Cóż więc pozostaje, skoro skazańcy ani nie mogą odbywać wyroku w spokoju i dostatku, ani nie mogą być poddawani torturom? Gdybyśmy wszystkich zabijali, wówczas postawilibyśmy znak równości między ubogą kobietą przyłapaną na kradzieży a matką, która otruła własne dziecko, jak to uczyniła Morwenna z wioski Saltus. Czy na tym ci zależy? W czasie pokoju można by skazywać niektórych na banicję, ale teraz oznaczałoby to dostarczanie Ascianom zastępów potencjalnych szpiegów, którzy, wyszkoleni i zaopatrzeni w fundusze, szybko by do nas wrócili. Wkrótce okazałoby się, że nikt nie jest godny zaufania, nawet ten, kto bez zarzutu włada naszą mową. Czy tego właśnie byś chciała?

Dorcas leżała na łóżku tak nieruchomo, iż przez chwilę wydawało mi się, że zapadła w sen. Jednak jej oczy - te wielkie, doskonale błękitne oczy - były otwarte, a kiedy pochyliłem się nad nią, poruszyły się lekko i przez chwilę odniosłem wrażenie, że obserwują mnie, tak jak obserwowałyby kręgi rozchodzące się po spokojnej powierzchni stawu.

- W porządku, jesteśmy diabłami, jeśli się przy tym upierasz - powiedziałem. - Ale jesteśmy także potrzebni. Nawet Niebo wykorzystuje czasem diabły do swoich celów.

Oczy zaszyły jej łzami, ale nie wiedziałem, czy Dorcas zaczęła płakać dlatego, że sprawiła mi ból, czy też dlatego, że dopiero teraz uświadomiła sobie, iż nadal przy niej jestem. W nadziei, że w ten sposób zdołam na nowo obudzić w niej przychylniejsze uczucia, jakie kiedyś do mnie żywiła, zacząłem wspominać wydarzenia, w których uczestniczyliśmy podczas wędrówki do Thraxu. Przypomniałem jej o naszym spotkaniu na polanie po ucieczce z Domu Absolutu, o rozmowie w ogrodzie przed spektaklem doktora Talosa, kiedy siedzieliśmy na kamiennej ławce przy zniszczonej fontannie, oraz o wszystkim, co wówczas sobie powiedzieliśmy.

Odniosłem wrażenie, iż jej ból stopniowo się zmniejsza. Niestety, kiedy wspominałem o zburzonej fontannie, z której wyciekała woda tworząc mały strumień wijący się między owocowymi drzewami i dostarczający im wilgoci, twarz Dorcas nagle zachmurzyła się, zupełnie jakby usiadła tam jedna z tych przedziwnych rzeczy, które ścigały mnie i Jonasa przed cedrowy las. Odwróciła ode mnie spojrzenie, a wkrótce potem naprawdę zasnęła.

Wstałem najciszej, jak potrafiłem, otworzyłem drzwi i zszedłem na dół po krętych schodach. Gospodyni nadal krzątała się w sali jadalnej, teraz zupełnie pustej. Wyjaśniłem kobiecie, że dziewczyna, z którą przyszedłem, zachorowała, zapłaciłem za pokój za kilka dni z góry, obiecałem, że jeszcze tu wrócę, by pokryć wszelkie dodatkowe wydatki i poprosiłem, żeby gospodyni zaglądała do niej od czasu do czasu i dawała Dorcas jeść, gdyby ta miała ochotę na posiłek.

- To dla nas wielkie szczęście, że ktoś wreszcie wynajął ten pokój - powiedziała kobieta. -

Czy jednak na pewno uważasz, że twoja chora przyjaciółka powinna zostać u nas, w „Kaczym Gnieździe”? Nie możesz zabrać jej do domu?

- Obawiam się, iż właśnie mój dom stał się przyczyną jej choroby. Boję się, że po powrocie poczułaby się jeszcze gorzej.

Gospodyni potrząsnęła głową.

- Biedactwo! Taka ładna, a w dodatku to jeszcze prawie dziecko. Ile ma lat?

Odparłem, że nie wiem.

- Cóż, za jakiś czas sprawdzę, jak się miewa, i zaniosę jej trochę zupy, jeżeli będzie głodna. - Popatrzyła na mnie w taki sposób, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że jej zdaniem Dorcas poczuje się lepiej, jak tylko sobie pójdę. - Ale nie myśl, że będę ją tutaj dla ciebie więziła.

Odejdzie, jeżeli taka będzie jej wola.

Po wyjściu z gospody miałem zamiar udać się najkrótszą drogą do Vinculi, ale popełniłem błąd, gdyż uznałem, że skoro wąska uliczka, przy której stało „Kacze Gniazdo”, biegnie prosto na południe, to powinienem raczej pójść właśnie tędy i przedostać się na drugi brzeg Acis w jej dolnym biegu, niż wrócić do podnóża murów Zamku Acies.

Decyzja okazała się jednak błędna, a ja z pewnością bym jej nie podjął, gdybym wcześniej zdążył lepiej poznać miasto. Otóż wszystkie wąskie alejki Thraxu biegną jedynie z góry na dół i z dołu do góry, po to więc, aby dostać się z jednego przyczepionego do skały domu do drugiego - chyba że stoją naprawdę bardzo blisko siebie albo jeden nad drugim - trzeba zejść aż do szerokiej ulicy biegnącej wzdłuż rzeki, odszukać właściwy zaułek i rozpocząć uciążliwą wspinaczkę. Dlatego właśnie po niedługim czasie znalazłem się blisko krawędzi wschodniego urwiska, podczas gdy Vincula wznosiła się na zachodnim, bardziej odległa niż wówczas, kiedy wyszedłem z gospody.

Szczerze mówiąc, wcale nie byłem tym zmartwiony; w wieży czekała na mnie praca, ja zaś nie bardzo miałem ochotę zabrać się do niej, ponieważ moje myśli wciąż uparcie wracały do Dorcas. Pomysł, aby zwalczyć frustrację za pomocą fizycznego zmęczenia, wydał mi się całkiem sensowny. Niewiele myśląc postanowiłem wspiąć się aż na szczyt urwiska, obejrzeć roztaczający się stamtąd widok, następnie zaś okazać wartownikom dokument potwierdzający moją tożsamość i fakt sprawowania przeze mnie wysokiego urzędu, po czym wrócić wzdłuż fortyfikacji aż do Capulusa i przejść po nim na drugą stronę rzeki.

Jednak niecałą wachniętę później przekonałem się, że nie zdołam zrealizować tego planu.

Uliczka kończyła się głęboką na trzy lub cztery łańcuchy szczeliną, choć w rzeczywistości nie była już wcale ulicą, tylko ledwo widoczną na skalistym gruncie ścieżką prowadzącą do nędznej, skleconej z gałęzi i błota lepianki.

Upewniwszy się, że nie ma sposobu na obejście szczeliny, a tym samym na dotarcie do niezbyt odległego szczytu urwiska, miałem już ruszyć w drogę powrotną, kiedy nagle z lepianki wyłoniło się dziecko, podeszło do mnie w sposób świadczący o zuchwałości wymieszanej z lękiem, po czym obserwując mnie jedynie prawym okiem, w błagalnym geście wyciągnęło małą, umorusaną rękę. Gdybym znajdował się w lepszym nastroju, prawdopodobnie roześmiałbym się, ubawiony widokiem tej żalostnej istoty, natrętnej a zarazem nieśmiałej; ponieważ jednak czułem to, co czułem, wcisnąłem w brudną dłoń kilka aes.

Dziecko, zachęczone moim gestem, nabrało odwagi.

- Moja siostra jest chora, sieur. Bardzo chora.

Po brzmieniu głosu domyśliłem się, że mam do czynienia z chłopcem, a ponieważ dopiero teraz zwrócił ku mnie całą twarz, zobaczyłem, że lewe oko ma zaczerwienione i tak bardzo opuchnięte, iż pozostała jedynie wąska szparka. Sączyła się stamtąd strużka ropy.

- Bardzo, bardzo chora.

- Rozumiem - odparłem.

- Och, nie, sieur. Nie widziałeś jej. Jeżeli chcesz, możesz na nią popatrzeć. Nie będziesz przeszkadzał.

Właśnie wtedy tą samą drogą, którą i ja przebyłem, nadszedł mężczyzna w skórzanym murarskim fartuchu.

- O co chodzi, Jąder? Czego chce ten człowiek?

Jak łatwo się domyślić, chłopiec przestraszył się i zamilkł.

- Pytałem, w jaki sposób można najprędzej dostać się do dolnego miasta - wyręczyłem go.

Murarz nic nie odpowiedział, tylko zatrzymał się jakieś cztery kroki ode mnie i skrzyżował na piersi ramiona o mięśniach sprawiających wrażenie twardszych niż kamienie, z których budował domy. Wydawał się poirytowany i nieufny, choć nie miałem pojęcia, co mogło stać się tego przyczyną. Być może sprawił to mój południowy akcent, a może strój, który - choć z pewnością ani bogaty, ani wymyślny - świadczył jednoznacznie o tym, że należę do wyższej kategorii społecznej.

- Czy naruszyłem twój teren? - zapytałem. - To twoje domostwo?

Mężczyzna nadal milczał. Nie wiem, co o mnie myślał, ale nie ulegało wątpliwości, że jego zdaniem nie ma mowy o porozumieniu między nami dwoma. Z mojej strony wyglądało to tak, jakbym przemawiał do zwierzęcia, i to bynajmniej nie nadmiernie inteligentnego, on zaś bez wątpienia odbierał moje słowa właśnie jako dźwięki wydawane przez tępe zwierzęta - - odgłosy pozbawione jakiegokolwiek znaczenia.

Zauważyłem, że w książkach niezmiernie rzadko można znaleźć opisy takich właśnie, patowych sytuacji. Autorom zdaje się tak bardzo zależeć na pchaniu akcji naprzód (nawet jeżeli przypomina ona skrzypiący przeraźliwie wózek, który dociera jedynie do pogrążonych w letargu osad, gdzie nie sposób zaznać rozkoszy wiejskiego życia, a jednocześnie nie ma mowy o odnalezieniu najmniejszego śladu przyjemności, jakie oferują miasta), że unikają jak ognia opisów spotkań, z których nic nie wynika, i rozmów, w których pragnie uczestniczyć tylko jedna strona. Książkowy zabójca, przykładając nóż do gardła ofiary, podobnie jak ona chętnie wdaje się w długie, zażarte dysputy; tak samo zresztą postępują spleceni w miłosnym uścisku kochankowie.

Życie wygląda zupełnie inaczej. Wpatrywałem się w murarza, on zaś gapił się na mnie.

Wydawało mi się, że w razie potrzeby mógłbym go zabić, ale nie byłem tego pewien, częściowo ze względu na jego budzące respekt mięśnie, częściowo zaś dlatego, że nie wiedziałem, czy nie ma jakiejś broni albo czy w pobliskich, nędznych lepiankach nie kryją się jego kamraci.

Odniosłem wrażenie, że chce splunąć mi pod nogi; gdyby to uczynił, zarzuciłbym mu dżalabiję na głowę i obalił na ziemię. On jednak nie wykonał żadnego ruchu, a kiedy minęło jeszcze kilka

oddechów, chłopiec - który prawdopodobnie nie miał pojęcia, co się dzieje - przemówił ponownie.

- Jeśli chcesz, możesz zajrzeć do środka, sieur. Nie będziesz jej przeszkadzał.

Odważył się nawet pociągnąć mnie lekko za rękaw, jakby w ten sposób chciał

uwiarygodnić swoje słowa, nieświadom, iż sam jego wygląd świadczy ponad wszelką wątpliwość o ich prawdziwości.

- Wierzę ci - odparłem, ale natychmiast zrozumiałem, że mówiąc tak obrażam go, gdyż okazuję, że nie mam odwagi wystawić na próbę jego prawdomówności. Schyliłem się więc i zajrzałem do wnętrza lepianki; w pierwszej chwili niewiele zobaczyłem, gdyż moje oczy nie zdążyły dostosować się do panującego tam półmroku.

Na karku czułem ciepło słonecznych promieni i ciężar spojrzenia murarza. Teraz, kiedy byłem odwrócony do niego plecami, mógł zaatakować mnie zupełnie bezkarnie.

Chociaż małe, pomieszczenie z całą pewnością nie było zagrożone. Dziewczyna leżała na słomie rozrzuconej na podłodze pod ścianą. Trawiąca ją choroba osiągnęła już to stadium, w którym nie czujemy dla chorego współczucia, ponieważ stał się on postacią z koszmarnego snu.

Jej głowa przypominała zmumifikowaną czaszkę obciążoną cienką jak pergamin, półprzezroczystą skórą, wargi nie osłaniały już zębów, z włosów zaś zostały jedynie rzadkie kosmyki.

Oparłem ręce na drewniano-glinianej ścianie lepianki, cofnąłem głowę i wyprostowałem się.

- Sam widzisz, sieur, jaka jest chora - powiedział chłopiec, po czym znowu wyciągnął rękę. - To moja siostra.

Widziałem jego rękę - widzę ją przed sobą nawet teraz - ale nie zareagowałem. Myślałem tylko o Pazurze spoczywającym na mojej piersi niczym mała, zaciśnięta pięść, o żołnierzu, który wydawał się martwy, dopóki nie przyłożyłem klejnotu do jego ust, o małpoludzie i jego cudownie zaleczonym kikucie, wreszcie o szybko blednących oparzeniach Jonasa. Nie używałem Pazura od chwili, kiedy nie udało mu się uratować Jolenty.

Tak długo utrzymywałem w tajemnicy istnienie klejnotu, że teraz po prostu nie miałem odwagi z niego skorzystać. Przypuszczam jednak, iż mimo wszystko dotknąłbym nim ust umierającej dziewczyny, gdyby nie to, że obserwował mnie jej brat, i spróbowałbym wyleczyć opuchnięte oko chłopca, gdyby nie to, że krzepki murarz ani na chwilę nie spuszczał ze mnie nieufnego spojrzenia. Westchnąłem więc tylko głęboko, próbując zrzucić z piersi nieznośny ciężar, po czym odwróciłem się i zacząłem schodzić po stromiznie, nie troszcząc się, dokąd ani którędy idę. Usłyszałem za plecami ciche klaśnięcie, ale dopiero wówczas, kiedy byłem już prawie przy Vinculi i częściowo odzyskałem równowagę, zrozumiałem, że odgłos ten wydała ślina murarza, rozbryzgując się na kamienistej ścieżce za moimi plecami.

VINCULA

- Masz gościa, liktorze - powiedział strażnik, a kiedy zbyłem tę informację obojętnym skinieniem głowy, dodał: - Myślę, że powinieneś się przebrać.

Dzięki temu nie musiałem pytać, kim jest mój gość; jedynie pojawienie się archonta mogło skłonić strażnika do przejawiania takiej troski o mój wygląd.

Udałem się do kwatery okrężną drogą, by ominąć gabinet, gdzie trzymałem wszystkie dokumenty związane z funkcjonowaniem Vinculi. Dotarwszy tam zrzuciłem pożyczoną dżalabiję i założyłem fuliginowy płaszcz, zastanawiając się, co też mogło skłonić archonta - który nigdy wcześniej mnie nie odwiedzał i którego w ogóle bardzo rzadko widywano gdziekolwiek indziej niż w jego pałacu lub w sali rozpraw - do złożenia mi niespodziewanej wizyty, w dodatku, o ile mogłem się zorientować, bez żadnych osób towarzyszących.

Kwestia ta zaprzątnęła bez reszty moją uwagę, pozwalając zapomnieć o innych sprawach.

W sypialni wisiało duże szklane zwierciadło, znacznie lepiej spełniające swą funkcję niż niewielkie płytki wypolerowanego metalu, z jakimi zazwyczaj miałem do czynienia. Kiedy staną-

łem przed nim, by skontrolować swój wygląd, dostrzegłem fragment tekstu piosenki, który Dorcas napisała mydłem na szklanej tafli:

Urth stare trąby, co ślecie brzmienia swe ku niebu,

Zielone i dobre, dobre i zielone,

Wtórujcie brzmieniem swym wędrowcowi znużonemu,

Który podąża tam, gdzie las wieczny płonie.

W gabinecie stało kilka krzeseł o wysokich oparciach. Spodziewałem się ujrzeć archonta siedzącego na jednym z nich, choć przyszło mi też do głowy, że być może uznał za stosowne przejrzeć dokumenty, do czego zresztą miał pełne prawo. On jednak stał przy oknie, spoglądając na miasto dokładnie tak samo, jak ja spoglądałem na nie przed południem z wieży Zamku Acies.

Jego ręce, które złączył za plecami, poruszały się, jakby były obdarzone własnym życiem.

Minęło sporo czasu, zanim odwrócił się i spostrzegł moją obecność.

- Przyszedłeś, mistrzu kacie. Nie usłyszałem twoich kroków.

- Jestem tylko czeladnikiem, archoncie.

Uśmiechnął się i usiadł na parapecie, plecami do przepaści. Miał twarz o grubych rysach, orlim nosie i dużych, podkrążonych oczach, ale odnosiło się wrażenie, że nie jest to twarz mężczyzny, tylko

wyjątkowo brzydkiej kobiety.

- Mimo odpowiedzialności i obowiązków, jakie na ciebie nałożyłem?

- Do godności mistrza mogą mnie wynieść jedynie mistrzowie naszej konfraterni, archoncie.

- Jednak sądząc z treści listu, jaki mi doręczyłeś, faktu, że wybrali właśnie ciebie, oraz z jakości twojej pracy, jesteś bez wątpienia najlepszym z ich czeladników. Co naturalnie nie oznacza, że ktokolwiek zauważyłby różnicę, gdyby było inaczej. Ilu jest tych mistrzów?

- Ja na pewno bym zauważył, archoncie. Tylko dwóch, chyba że ktoś dostąpił godności wyniesienia już po tym, jak wyruszyłem w drogę.

- Napiszę do nich i poproszę, żeby awansowali cię in absentia.

- Dziękuję, archoncie.

- Nie ma za co. - Odwrócił się i ponownie spojrzął w okno, jakby chcąc ukryć zakłopotanie. - Myślę, że najdalej za miesiąc poznasz ich decyzję.

- Z pewnością nie spełnią twojej prośby, archoncie, ale mistrza Palaemona ucieszy wiadomość, że jesteś ze mnie zadowolony.

Odwrócił się twarzą do mnie.

- Powinniśmy dać sobie spokój z tymi formalnościami. Nazywam się Abdiesus i nie ma żadnego powodu, żebyś nie mógł zwracać się do mnie w ten sposób, kiedy jesteśmy sami. O ile się nie mylę, ty masz na imię Severian?

Skinąłem głową, a on znowu odwrócił się do okna.

- Parapet jest bardzo nisko. Właśnie przyglądałem mu się, kiedy przyszedłeś. Gdyby ktoś się potknął i stracił równowagę, łatwo mógłby wypaść przez okno.

- Tylko ktoś tak wysoki jak ty, Abdiesusie.

- Czy to prawda, że dawno temu wykonywano czasem wyroki zrzucając skazańca z wieży albo z krawędzi urwiska?

- Owszem, stosowano obie te metody.

- Ale ty chyba nie miałeś okazji zapoznać się z nimi?

Ponownie spojrzął na mnie.

- O ile wiem, zaniechano ich przed wieloma laty, Abdiesusie. Ja tylko ucinałem głowy, zarówno na pniu, jak i na krześle.

- Jednak z pewnością nie miałbyś nic przeciwko temu, by wypróbować inne sposoby, szczególnie, jeżeli otrzymałbyś takie polecenie?

- Jestem tu po to, by wykonywać wyroki archonta.

- Niekiedy publiczne egzekucje służą ogólnemu dobru, ale czasem takie wydarzenia mogą się jedynie przyczynić do wzburzenia nastrojów.

- To jasne, Abdiesusie.

Tak jak czasem w oczach chłopca widać troski mężczyzny, którym kiedyś się stanie, tak ja dostrzegłem na twarzy archonta poczucie winy (choć może nie był tego świadom).

- Dziś wieczorem wydaję w pałacu przyjęcie dla kilku gości. Mam nadzieję, że będziesz jednym z nich, Severianie.

Ukloniłem się.

- Tradycja nakazuje osobom pełniącym funkcje publiczne unikać kontaktów towarzyskich z ludźmi wykonującymi moją profesję.

- A ty uważasz, że to niesprawiedliwe, i trudno ci się dziwić. Powiedzmy, że dzisiaj spróbujemy temu częściowo zadośćuczynić.

- Członkowie naszej konfraterni nigdy nie uskarżali się na niesprawiedliwość. Wręcz przeciwnie, byliśmy i jesteśmy dumni z naszego odosobnienia. Obawiam się natomiast, że inni mogą nie w pełni pochwalać twoją decyzję.

Przez twarz archonta przemknął ledwo dostrzegalny uśmiech.

- Nie obchodzi mnie to. Masz, dzięki temu będziesz mógł wejść do pałacu.

Dwoma palcami, tak ostrożnie, jakby bał się, że lada chwila wyślizgnie mu się z dłoni, trzymał jeden z tych okrągłych, sztywnych papierków wielkości chrisos, pokrytych złożonymi ornamentami, o których często opowiadała mi Thecla (poruszyła się w moim umyśle, kiedy wziąłem krążek od Abdiesusa), a których nigdy do tej pory nie widziałem.

- Dziękuję ci, archoncie. Dziś wieczorem, powiadasz? Postaram się zdobyć jakiś stosowny strój.

- Przyjdź w tym, w czym jesteś. To ma być maskarada, więc nie będziesz potrzebował

kostiumu. - Wstał z parapetu i wyprostował się jak człowiek zadowolony z tego, że udało mu się wreszcie uporać z długim i niewdzięcznym zadaniem. - Aha, wracając do naszej rozmowy o mniejszych wyszukanych sposobach wykonywania egzekucji: byłoby dobrze, gdybyś zabrał ze sobą wszystko, czego mógłbyś potrzebować.

Zrozumiałem, do czego zmierza, i odparłem, że wystarczą mi moje ręce, następnie zaś czując, że

zaniedbałem obowiązki gospodarza, zapytałem, czy miałby ochotę czegoś się napić.

- Nie. Gdybyś wiedział, jak dużo muszę jeść i pić tylko dlatego, że tak wypada, zrozumiałbyś, jak bardzo cenię sobie towarzystwo kogoś, komu mogę po prostu odmówić.

Przypuszczam, że wasze bractwo nigdy nie stosowało obżarstwa jako tortury, w przeciwieństwie do morzenia głodem?

- Owszem, archoncie. Nazywamy to „flancowaniem”.

- Musisz mi kiedyś o tym opowiedzieć. Widzę, że osiągnięcia twojej konfraterni wyprzedzają moje o nich wyobrażenia co najmniej o dziesięć stuleci. Wasza sztuka jest chyba najstarsza ze wszystkich, może z wyjątkiem polowania... Ale teraz muszę już iść. Zobaczymy się wieczorem?

- Już jest prawie wieczór, archoncie.

- W takim razie, pod koniec następnej wachty.

Dopiero kiedy zamknęły się za nim drzwi, poczułem delikatny zapach piżma, jakim były przesiąknięte jego szaty.

Spojrzałem na okrągły kawałek sztywnego papieru, który obracałem w palcach. Na odwrocie widniał rysunek przedstawiający mnóstwo masek, wśród których rozpoznałem przerażającą twarz - składała się wyłącznie z szeroko otwartych, wypełnionych ostrymi zębami ust - jaką ujrzałem w ogrodzie Autarchy, kiedy oglądający nasze przedstawienie kakogeni zrzucili przebrania, oraz oblicze jednego z małpoludów zamieszkujących opuszczone kopalnie w pobliżu Saltus.

Poczułem zmęczenie nie tylko z powodu długiego spaceru, ale także po niemal całodziennej pracy, gdyż zabrałem się do niej bardzo wcześnie, dlatego też rozebrałem się, umyłem, zjadłem nieco owoców i zimnego mięsa i wypilem szklanę ostro przyprawionej północnej herbaty. Sprawy, które mnie gnębią, zaprzatają mój umysł nawet wtedy, kiedy nie zdaję sobie z tego sprawy. Podobnie było i tym razem: choć nic o tym nie wiedziałem, to jednak wspomnienie Dorcas leżącej w małym, niskim pokoiku na piętrze gospody, a także umierającej dziewczyny w lepiance blisko szczytu urwiska, nadal wypełniały znaczną część moich myśli.

Chyba właśnie dlatego nie usłyszałem kroków sierżanta ani nie zdawałem sobie sprawy - aż do chwili, kiedy wszedł - że wpatruję się w wygasłe palenisko, wydaję kolejno szczapy z głębokiego kosza, łamię je i wrzucam do kominka. Sierżant zapytał, czy wychodzę, a ponieważ pod moją nieobecność odpowiedzialność za prawidłowe funkcjonowanie Vinculi spoczywała na jego barkach, odparłem, że tak i że nie wiem, kiedy wrócę. Podziękowałem mu także za dżalabiję, która nie była już mi potrzebna.

- Możesz z niej korzystać, kiedy tylko zechcesz, liktorze. Jednak nie w tej sprawie przyszedłem. Chciałem zaproponować, żebyś idąc do miasta wziął ze sobą dwóch naszych strażników.

- Dziękuję ci za troskę, ale ulice są często patrolowane, a poza tym nie spodziewam się, żeby groziło mi jakieś niebezpieczeństwo.

Odchrząknął niepewnie.

- Chodzi też o prestiż Vinculi, liktorze. Jako nasz dowódca powinieneś mieć eskortę.

Natychmiast zorientowałem się, że kłamie, ale wiedziałem też, iż robi to ze względu na moje dobro, dlatego powiedziałem:

- Zastanowię się nad tym, naturalnie zakładając, że znajdziesz dwóch ludzi o odpowiedniej prezencji.

Natychmiast się rozchmurzył, ja zaś dodałem:

- Nie życzę sobie jednak, żeby mieli broń. Idę do pałacu archonta i wyrządziłbym mu zniewagę, gdybym zjawił się w towarzystwie uzbrojonej ochrony.

Próbował protestować, ale ja odwróciłem się gwałtownie w jego stronę i z udawaną wściekłością cisnąłem na podłogę szczapę, którą trzymałem w rękach.

- O co ci właściwie chodzi? Dlaczego uważasz, że coś mi zagraża? Czy coś się stało?

- Nic, liktorze. To znaczy nic, co by dotyczyło ciebie osobiście. Tyle, że...

- Że co?

Podszedłem do kredensu i napełniłem rosolisem dwa kubki.

- Ostatnio miało miejsce kilka morderstw. Trzy minionej nocy, dwa noc wcześniej...

Dziękuję, liktorze. Za twoje zdrowie.

- Za twoje. O ile wiem, morderstwa nie są tu niczym nadzwyczajnym, prawda? Eklektycy bez przerwy zarzynają się nawzajem.

- Ci ludzie spłonęli żywcem, liktorze. Nie wiem zbyt dużo na ten temat - przypuszczam, że znacznie mniej od ciebie.

Twarz sierżanta była tak samo pozbawiona wyrazu jak oblicza wyrzeźbione w chropawym brązowym kamieniu, ale dostrzegłem ukradkowe spojrzenie, jakie posłał w kierunku wygasłego paleniska i domyśliłem się, że wiąże fakt łamania przeze mnie szczap (z którego zdałem sobie sprawę dopiero wtedy, kiedy przestałem to robić, podobnie jak Abdiesus nie wiedział, że wpatruje się przez okno we własną śmierć, dopóki nie wszedłem do gabinetu i nie przerwałem mu rozmyślań), z jakąś ponurą tajemnicą, którą podzielił się ze mną archont, gdy tymczasem było to tylko wspomnienie o Dorcas i jej rozpacz oraz o ubogiej, umierającej dziewczynie.

- Przed drzwiami stoi dwóch dzielnych ludzi, liktorze. Będą ci towarzyszyć, dokądkolwiek pójdziesz, i zaczekają tak długo, aż zechcesz wrócić.

Odparłem, że to bardzo miło z jego strony, a on pospiesznie odwrócił się i ruszył ku drzwiom, nie chcąc zdradzić przede mną, że wie - albo domyśla się - znacznie więcej, niż mi wyjawiał. Jednak sztywno wyprostowane plecy, napięte mięśnie karku oraz szybkie kroki były równie wymowne jak ukradkowe spojrzenie kamiennych oczu.

Moją eskortę stanowili dwaj potężni mężczyźni wybrani bez wątpienia ze względu na swą siłę. Ściskając w dłoniach długie metalowe pręty szli albo po bokach, albo z przodu, albo z tyłu, kiedy z przerzuconym przez ramię Terminus Est podążałem krętymi, miejscami dość szerokimi, miejscami zaś bardzo wąskimi uliczkami. Odprawiłem ich na brzegu Acis, mówiąc, że pozostałą część nocy mogą spędzić wedle własnego uznania, po czym wynająłem wąski, nieduży kaik z kolorowym baldachimem (teraz, kiedy słońce odwróciło już twarz od Urth, był on zupełnie zbyteczny) i kazałem zawieźć się w górę rzeki, do pałacu.

Nigdy do tej pory nie płynąłem po Acis. Kiedy usiadłem na rufie, między sternikiem, a zarazem właścicielem łodzi, i czterema wioślarzami, a czysta, zimna woda pędziła tak blisko mnie, że gdybym tylko chciał, mógłbym zanurzyć w niej obie ręce, wydawało mi się zupełnie niemożliwe, aby ta krucha drewniana skorupka, z wysokości Vinculi przypominająca z pewnością maleńkiego owada, zdołała posunąć się pod prąd choćby na odległość jednego łańcucha. Jednak sternik wydał rozkaz i odbiliśmy od brzegu; co prawda nadal znajdowaliśmy się w jego pobliżu, ale, ku memu zdumieniu, pchana równymi pociągnięciami wiosel łódź nie została porwana przez rwący prąd, lecz ruszyła w górę rzeki, chwilami zdając się raczej unosić w powietrzu, niż płynąć po wzburzonej wodzie. Na tylnicy wisiała latarnia o pięciu ametystowych szybkach. W chwili kiedy wydawało mi się, że mimo wysiłków wioślarzy będziemy musieli jednak uznać przewagę żywiołu i niczym źdźbło trawy zostaniemy porwani przez nurt, a następnie roztrzaskamy się na kamiennej ścianie Capulusa, sternik niespodziewanie puścił ster i zapalił knot latarni.

Wbrew moim przewidywaniom nie wydarzyło się nic strasznego. Purpurowe światło rozproszyło nocne ciemności, jednocześnie zaś porwał nas potężny wir, w okamgnieniu przeniósł

na odległość co najmniej stu kroków - wioślarze nie czynili najmniejszego wysiłku, aby mu się przeciwstawić - po czym wepchnął kaik do spokojnej zatoczki, w której tłoczyło się kilkanaście ozdobnych łodzi spacerowych. Kamienne schody, bardzo podobne do tych nad Gyoll, gdzie często przychodziłem jako chłopiec - tyle że znacznie czystsze - pięły się stromo w górę, ku oświetlonym pochodniami bramom strzegącym dostępu na teren pałacu.

Wielokrotnie oglądałem to miejsce z Vinculi, dzięki czemu wiedziałem, że pałac w niczym nie przypomina ani ukrytego głęboko pod ziemią Domu Absolutu, ani ponurej fortecy, jaką była nasza Cytadela. Najwyraźniej poprzednicy archonta uznali, iż umocnienia Zaniku Acies i Capulusa, w połączeniu z murami i basztami wzniesionymi na obu krawędziach urwiska, są w stanie zapewnić miastu całkowite bezpieczeństwo. Tutaj blanki miały rozmiary niedużych skrzyń i z pewnością służyły wyłącznie ozdobie, budynki zaś przypominały złożone kopuły rozrzucone na urozmaiconym, barwnym terenie. Z okien mojej kwatery wyglądały jak perydotowe paciorki, które zsunęły się z nitki i rozsypały po różnokolorowym dywanie.

Co prawda przy zdobionych delikatnymi ornamentami bramach stali strażnicy w stalowych półpancerzach i hełmach, z lśniącymi pikami i kawaleryjskimi szablami u boku, wszyscy jednak wyglądali albo jak drugorzędni lub amatorscy aktorzy, albo jak ludzie zadowoleni przede wszystkim z tego, że przez jakiś czas nie muszą brać udziału w zbrojnych potyczkach czy długich, męczących patrolach. Dwaj, którym pokazałem okrągły kawałek sztywnego papieru, ledwo raczyli na niego zerknąć i machnięciem ręki dali mi znak, żebym szedł

dalej.

ROZDZIAŁ V

CYRIACA

Zjawiłem się jako jeden z pierwszych. Na pałacowych terenach wciąż jeszcze widać było więcej służby niż gości, która w dodatku zachowywała się tak, jakby dopiero przed chwilą zabrała się do pracy i miała zamiar szybko się z nią uporać. Lokaje zapalali świece w kan-delabrach z kryształowymi soczewkami i lampionach zwieszających się z górnych gałęzi drzew, roznosili tace z potrawami i trunkami, stawiali je, przesuwali, poprawiali, następnie zaś odnosili z powrotem do jednego z kopulastych budynków.

Przez jakiś czas spacerowałem bez celu, podziwiając kwiaty w szybko gęstniejącym mroku. Kiedy między kolumnami białego pawilonu dostrzegłem ludzi w kostiumach, natychmiast ruszyłem w ich kierunku.

Opisałem już, jak takie przyjęcie wyglądało w Domu Absolutu. Tutaj, na prowincji, przypominało raczej zabawę dzieci, które postanowiły poprzebierać się w stare ubrania rodziców.

Ujrzałem kobiety i mężczyzn w strojach autochtonów, z twarzami pomalowanymi na czerwono i oznaczonymi białymi cętkami, a także jednego człowieka, który, chociaż naprawdę był

autochtonem, założył taki sam kostium jak pozostali, ani mniej, ani bardziej autentyczny od innych. Rozbawiło mnie to, ale szybko uświadomiłem sobie, że choć wiemy o tym tylko ja i on, w rzeczywistości jego kostium jest najoryginalniejszy. Obok autochtonów - tych prawdziwych i fałszywych - kręciły się równie, albo nawet jeszcze bardziej, absurdalne postaci: oficerowie przebrani za kobiety i kobiety przebrane za oficerów, eklektycy równie fałszywi jak większość autochtonów, gimnosofiści, ablegaci wraz ze swoimi akolitami, eremici, eilodony, w połowie zwierzęcy a w połowie ludzcy zoantropi, oraz deodandzi i remontadosi w jaskrawych łachmanach, z dziko umalowanymi oczami.

Nagle przyszło mi do głowy, jak niezwykle mógłby zakończyć się ten wieczór, gdyby Nowe Słońce, Dzienna Gwiazda we własnej osobie, pojawiło się równie nagle jak dawno temu, kiedy nazwano je Łagodzicielem, właśnie tutaj, w tym najmniej odpowiednim miejscu, i spojrzało na tych ludzi wzrokiem świeższym od naszego, potem zaś ogłosiło, iż wszyscy oni (ani ja ich nie znałem, ani oni mnie) od tej pory już na zawsze będą odgrywać role, które wybrali sobie na to przyjęcie: autochtoni zamieszkają we wzniesionych z kamieni chatach, by grzać się wysoko w górach przy rozpalonym na posadzce ognisku, prawdziwy autochton przeistoczy się w mieszkańca Thraxu przebranego za autochtona, kobiety będą musiały wystąpić z bronią w rękę przeciwko nieprzyjaciołom Wspólnoty, oficerowie zaczną wypełniać domowe obowiązki, deodandzi będą mamrotać swoje wszeteczeństwa w odludnych zakątkach, remontadosi puszczą z dymem swoje domy i wyruszą w góry, i tylko ja pozostanę nie zmieniony, tak jak niezmienna pozostaje prędkość światła bez względu na matematyczne transformacje, jakim się ją poddaje.

I właśnie wtedy, kiedy uśmiechałem się do siebie, korzystając z tego, że moją twarz okrywa katowska maska, odniosłem wrażenie, jakby ukryty w skórzanym woreczku Pazur poruszył się na mojej piersi, aby przypomnieć mi, że Łagodziciel wcale nie był jedynie czczym żartem i że nadal dysponuję częścią jego siły. W tej samej chwili rozejrzałem się po sali wypełnionej postaciami

odzianymi w przedziwne stroje i dostrzegłem Pelerynę.

Natychmiast ruszyłem ku niej, odtrącając tych, którzy ociągali się z ustąpieniem mi z drogi. (Było ich niewielu, bo choć nikt nie wierzył, że jestem tym, na kogo wyglądam, to mój wzrost sprawiał, iż brano mnie za arystokratę - tym łatwiej, że w pobliżu nie było nikogo, kto byłby nim naprawdę).

Pod wąskim dominem twarz Peleryny - ani stara, ani młoda -wydawała się niemal doskonale okrągła, delikatna i zarazem nieobecna jak twarz głównej kapłanki, która pozwoliła nam opuścić Katedrę zaraz po tym, jak Agia i ja zniszczyliśmy ołtarz. Obracała w dłoni kieliszek z winem, a kiedy ukląknę przed nią, odstawiła go na stolik i podała mi dłoń do ucałowania.

- Odpuść mi, matko, ponieważ wyrządziłem wielką krzywdę tobie i twoim siostrom -
powiedziałem.

- Śmierć wszystkim nam wyrządza wielką krzywdę - odparła.

- Nie jestem nią.

Podniosłem wzrok i nagle ogarnęły mnie wątpliwości. Pomimo gwaru wyraźnie usłyszałem, jak gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Nie jesteś?

- Nie, matko. - Chociaż już zwątpiłem w jej autentyczność, obawiałem się, że mi ucieknie, wyciągnąłem więc rękę i chwyciłem za pasek jej szaty. - Wybacz mi, ale czy naprawdę należysz do zakonu?

Bez słowa potrząsnęła głową, po czym osunęła się na podłogę.

Nasi klienci często symulują utratę przytomności, lecz zdemaskowanie oszustwa nie nastęcza nam żadnych trudności, przede wszystkim dlatego, że nieszczęśnik uciekający się do tego wybiegu starannie zamyka oczy, a następnie przez cały czas trzyma je zamknięte. Ten, kto naprawdę mdleje - czy to mężczyzna, czy kobieta - najpierw traci kontrolę właśnie nad oczami, w związku z czym przez chwilę każde z nich może spoglądać w innym kierunku albo też wywracają się białkami na wierzch. Jeżeli chodzi o powieki, to bardzo rzadko bywają szczelnie zamknięte, opadają zaś wyłącznie dlatego, że zwiotczeniu ulegają ich mięśnie. Zazwyczaj pozostaje między nimi wąska szpara, w której widać błysk białka. Tak właśnie stało się teraz, kiedy moja rozmówczyni osunęła się na posadzkę.

Kilku mężczyzn pomogło mi przenieść ją do alkowy. Natychmiast zaczęła się bezsensowna paplanina o upale i ogólnym podnieceniu, co nie miało nic wspólnego z rzeczywistością. Przez jakiś czas wokół nas tłoczyło się mnóstwo ciekawskich, szybko jednak stracili zainteresowanie i jestem pewien, że miałbym tyle samo kłopotów z zatrzymaniem ich na miejscu co wcześniej z nakłonieniem, by sobie poszli. Kobieta w szkarłacie poruszyła się lekko, ja zaś dowiedziałem się od innej, mniej więcej w tym samym wieku, która była przebrana za dziecko, iż nieprzytomna jest żoną pewnego szlachcica mieszkającego w willi wzniesionej w pobliżu Thraxu, który niedawno wyruszył w podróż do Nessus. Przyniosłem pozostawiony na stoliku kieliszek z winem i przyłożyłem jej go do ust.

- Nie... - szepnęła słabo. - Nie chcę. To wino owocowe, a ja go nie znoszę. Kazałam sobie nalać tylko dlatego, że pasuje kolorem do mojego kostiumu.

- Dlaczego zemdlałaś? Czy dlatego, że wziąłem cię za prawdziwą mniszkę?

- Nie. Dlatego, że domyśliłam się, kim jesteś.

Przez dłuższy czas milczeliśmy ona pólżąc na otomanie, ja siedząc u jej stóp. Wróciłem pamięcią do chwili, kiedy ukląknę przed nią na środku sali (jak już wielokrotnie wspominałem, dysponuję umiejętnością odtworzenia każdego, dowolnie wybranego momentu mojego życia), ale nie uzyskałem w ten sposób odpowiedzi na nie dające mi spokoju pytanie, więc w końcu musiałem wypowiedzieć je na głos:

- W jaki sposób?

- Każdy inny w takim przebraniu, zapytany o to, czy jest śmiercią, odpowiedziałby twierdząco... właśnie dlatego, że to byłoby tylko przebranie. Tydzień temu przyszedłem do sądu, ponieważ mój mąż oskarżył jednego z naszych chłopów o kradzież. Widziałam cię, jak stoisz na uboczu wsparty na mieczu, który masz teraz ze sobą, a kiedy pocałowałeś mnie w rękę i zapytałeś o to, o co zapytałeś, pomyślałam sobie... Och, sama nie wiem, co pomyślałam. Pewnie uznałam, że ukląknę przede mną wyłącznie po to, żeby mnie zabić. Widząc cię w sądzie, doszłam do wniosku, iż należysz do ludzi traktujących z szacunkiem tych, którym mają ściąć głowę, a szczególnie kobiety.

- Ukląknę tylko dlatego, że pragnę odnaleźć zakon Peleryn, i wydawało mi się, że twój kostium, tak samo jak mój, wcale nie jest przebraniem.

- Bo nie jest. To znaczy nie mam prawa go nosić, ale ręczę za jego autentyczność. -

Umilkła na chwilę, po czym zapytała: - Czy wiesz, że nawet nie znam twojego imienia?

- Severian. A ty jesteś Cyriaca. Powiedziała mi to jedna z kobiet, które zajmowały się tobą, kiedy leżałaś bez przytomności. Czy mogę spytać, w jaki sposób weszłaś w posiadanie tego ubioru i czy wiesz może, gdzie obecnie przebywają Peleryny?

- Chyba nie interesujesz się nimi w związku ze swoimi obowiązkami? - Spojrzała mi prosto w oczy, po czym pokręciła głową. - Nie, to jakaś osobista sprawa. Peleryny wychowywały mnie, a potem byłam u nich postulantką. Podróżowałyśmy po całym kontynencie, ja zaś uczyłam się botaniki, obserwując mijane drzewa i kwiaty. Nieraz, kiedy wracam pamięcią do tamtych chwil, wydaje mi się, że w ciągu zaledwie tygodnia pokonywałyśmy drogę od palm do sosen, chociaż wiem, że to niemożliwe.

Na rok przed złożeniem ostatecznych ślubów dostałam własną zakonną szatę. Dają taki prezent każdej kandydatce, żeby zdążyła oswoić się z jej widokiem - tak samo, jak w wielu rodzinach dziewczyna prawie codziennie ogląda suknię ślubną matki, wiedząc, że była to też suknia babki i że ona także weźmie w niej ślub, o ile zdecyduje się wyjść za mąż. Ja jednak ani razu nie założyłam swojej szaty,

a kiedy wreszcie wróciłam do domu - długo czekałam na chwilę, kiedy znajdziemy się w jego pobliżu, gdyż nie było nikogo, kto mógłby mi towarzyszyć w podróży - zabrałam ją ze sobą.

Przez wiele lat w ogóle o niej nie myślałam, ale kiedy otrzymałam zaproszenie na przyjęcie w pałacu archonta, wyjęłam ją z szafy i postanowiłam wystąpić w niej dziś wieczorem.

Nadal mam dobrą figurę, trzeba więc było tylko popuścić kilka zaszewek. Myślę, że jest mi w niej do twarzy, tym bardziej że mam twarz Peleryn, może z wyjątkiem oczu. Myślałam, że zmienią się, kiedy złożę ostatnie śluby. Przełożona postulanek miała takie oczy, o jakich zawsze marzyłam. Nawet kiedy coś szyła, wydawało się, że jej wzrok przenika ściany namiotu i sięga aż po najdalsze krańce Urth. Niestety, nie wiem, gdzie przebywają teraz Peleryny. Wątpię, czy one same to wiedzą, może z wyjątkiem Matki.

- Z pewnością zaprzyjaźniłaś się z wieloma z nich - powiedziałem. - Chyba nie wszystkie postulanki zrezygnowały z wstąpienia do zakonu?

Cyriaca wzruszyła ramionami.

- Żadna nigdy do mnie nie napisała. Naprawdę, nie mam pojęcia.

Do naszej alkowy dotarły pierwsze dźwięki muzyki.

- Czy czujesz się już wystarczająco dobrze, żeby zatańczyć?

Nie poruszyła głową, ale jej oczy, do tej pory penetrujące kręte korytarze wspomnień, skierowały się w moją stronę.

- A ty masz na to ochotę?

- Raczej nie. Nie czuję się zbyt swobodnie w większym towarzystwie, chyba że są to moi przyjaciele.

- Więc ty masz przyjaciół? - zapytała ze zdumieniem.

- Nie tutaj... To znaczy, tutaj tylko jednego. W Nessus byli nimi bracia z konfraterni.

- Rozumiem. - Zawahała się. - Wcale nie musimy tam iść. Zabawa potrwa do białego rana, a wówczas, jeżeli archont będzie zadowolony z jej przebiegu, być może poleci opuścić kotary albo nawet zaciągnąć dach nad całym ogrodem. Możemy sobie tu siedzieć tak długo, jak tylko zechcemy, korzystając do woli z jedzenia i napitków, a jeżeli w pobliżu zjawi się ktoś, z kim będziemy chcieli porozmawiać, po prostu zatrzymamy go i zaprosimy do towarzystwa.

- Obawiam się, że szybko byś się mną znudziła.

- Wcale nie, ponieważ nie mam zamiaru pozwolić ci dużo mówić. To ja będę mówiła, tobie zaś nie pozostanie nic innego jak słuchać. Tak na początek: czy wiesz, że jesteś bardzo przystojny?

- Wiem, że nie jestem. Skąd jednak wiesz, jak wyglądam, skoro nigdy nie widziałaś mnie bez maski?

- To wcale nie przeszkadza. - Pochyliła się, jakby chciała przyjrzeć mi się przez otwory na oczy. Jej własna maska, tego samego koloru co szata, była tak mała, że właściwie niczego nie zasłaniała, ale dodawała odrobiny tajemniczości, o której bez niej kobieta mogłaby jedynie marzyć, i pozwalała zapomnieć o codziennym życiu oraz związanej z nim odpowiedzialności. -

Bez wątpienia jesteś bardzo inteligentnym człowiekiem, lecz nie dysponujesz zbyt bogatym doświadczeniem, bo wiedziałbyś, że można ocenić czyjąś twarz wcale jej nie widząc. Naturalnie dużo trudniej jest to uczynić wówczas, kiedy ktoś kryje się za jakąś zasłoną uniemożliwiającą dostrzeżenie choćby kształtu twarzy, ale i wtedy da się wiele powiedzieć. Ty na przykład masz ostro zakończoną brodę z małym dołeczkiem, prawda?

- Zgadza się, jeśli chodzi o brodę - odparłem. - Nie, jeśli chodzi o dołeczek.

- Kłamiesz, żeby zbić mnie z tropu albo nigdy nie zwróciłeś na niego uwagi. Potrafię ocenić kształt brody na podstawie talii i pasa, szczególnie u mężczyzn, którymi, co chyba zrozumiałe, interesuję się najbardziej. Szczupły pas oznacza ostro zakończoną brodę, twoja skórzana maska zaś przylega na tyle ściśle do twarzy, żeby potwierdzić moje domysły. Masz także duże, głęboko osadzone i ruchliwe oczy, co z kolei wiąże się z obecnością dołka w brodzie, szczególnie u mężczyzny o pociągłej twarzy. Masz wystające kości policzkowe, czarne włosy -

domyślałam się tego, ponieważ widzę je na twoich rękach - a także wąskie usta, które są widoczne w rozcięciu maski. Wąskie, ale jednocześnie zmysłowe, czyli dokładnie takie, jakie powinny być usta mężczyzny.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, i szczerze mówiąc dałbym bardzo wiele, żeby móc bezzwłocznie opuścić Cyriacę.

- Czy chcesz, abym zdjął maskę, żebyś przekonała się o trafności swoich domysłów? --

zapytałem wreszcie.

- Och, skądże znowu. Wolno ci to uczynić dopiero wtedy, kiedy orkiestra zagra sygnał.

Poza tym powinieneś brać pod uwagę moje uczucia. Gdybyś teraz zdjął maskę i okazałoby się, że wcale nie jesteś przystojny, zepsułbyś mi zapowiadający się interesująco wieczór. - Podczas naszej rozmowy podniosła się prawie do pozycji siedzącej, teraz jednak uśmiechnęła się i ponownie ułożyła na otomanie. Długie włosy otaczały jej twarz ciemną aureolą. - Nie, Severianie, zamiast odsłaniać twarz, odsłonisz przede mną duszę. Później pokażesz mi, co byś uczynił, gdybyś mógł robić wszystko, na co tylko przyjdzie ci ochota, teraz natomiast opowiesz mi o sobie. Wiem już, że pochodzisz z Nessus. Dlaczego tak bardzo zależy ci na odnalezieniu Peleryni?

ROZDZIAŁ VI

BIBLIOTEKA CYTADELI

Miałem już odpowiedzieć na pytanie, kiedy koło naszej alkowy przeszli mężczyzna i kobieta, on ubrany w sanbenito, ona przebrana za służącą. Zaledwie zerknęli w naszą stronę, ale coś - być może wyraz ich oczu albo nagłe zbliżenie głów - powiedziało mi, że oboje wiedzą, lub przynajmniej podejrzewają, iż mój strój nie jest maskaradowym kostiumem. Udałem jednak, że niczego nie zauważyłem i odparłem:

- W moje ręce przypadkowo trafiło coś, co stanowi ich własność. Teraz pragnę im to oddać.

- A więc nie zamierzasz wyrzucić im krzywdy? Możesz mi powiedzieć, co to takiego?

Nie odważyłem się wyznać prawdy, wiedziałem jednak, iż zostanę poproszony o pokazanie przedmiotu, którego nazwę wymienię.

- Książka. Bardzo stara książka z pięknymi ilustracjami. Nie znam się na tym, ale jestem pewien, że ma nie tylko wielką wartość materialną, lecz także religijną.

Mówiąc to wyjąłem z sakwy książkę w brązowych okładkach, którą przyniosłem Thecli z biblioteki mistrza Ultana, następnie zaś wziąłem ze sobą na wędrowną.

- Istotnie, jest stara - powiedziała Cyriaca. - I chyba miewała częste kontakty z wodą.

Mogę ją obejrzeć?

Wyjęła mi książkę z ręki i zaczęła przerzucać kartki. Zatrzymała się na stronie, na której znajdowała się ilustracja przedstawiająca rogatych satyrów i sylfidy. W migotliwym blasku lampy oświetlającej naszą alkowę narysowane postaci zdawały się płasnąć przy dźwiękach muzyki.

- Ja także nie znam się na książkach - powiedziała oddając mi ją - ale mam wuja, który jest ich wielkim znawcą. Przypuszczam, że byłby gotów wiele zapłacić za ten egzemplarz.

Szkoda, że nie ma go tutaj... chociaż z drugiej strony, może to i dobrze, ponieważ będę miała okazję spróbować, czy uda mi się uzyskać ją od ciebie w inny sposób. Wuj co pięć lat wyrusza w długą podróż tylko po to, by powiększyć swoją kolekcję starych książek. Kiedyś trafił nawet do zaginionych archiwów. Słyszałeś o nich?

Pokręciłem głową.

- Wiem tylko tyle, ile usłyszałam od niego, kiedy pewnego razu wypił trochę więcej wina niż zwykle. Przypuszczam, iż nie powiedział wszystkiego, ponieważ przez cały czas miałam wrażenie, że obawia się, bym nie spróbowała powtórzyć jego wyczynu. Nie spróbowałam, choć czasem mam o to do siebie pretensję. Tak czy inaczej, w Nessus - a dokładniej na południowych krańcach miasta, gdzie nie docierają już turyści, tak daleko w dole rzeki, że wielu ludzi uważa, iż jest to właściwie poza miastem - wznosi się starożytna forteca. Wszyscy dawno o niej zapomnieli (może jedynie z wyjątkiem Autarchy, oby jego dusza odradzała się bez końca w następnych pokoleniach), niektórzy

zaś sądzą, że mieszkają w niej upiory. Stoi na wzgórzu nad brzegiem Gyoll, przy zrujnowanym cmentarzu, niczego już nie strzegąc.

Umilkła, bezwiednie poruszając przed sobą rękami, jakby chciała nakreślić w powietrzu zarysy wzgórza i warownego grodu. Odniosłem wrażenie, iż opowiadała tę historię wiele razy, być może własnym dzieciom. Dopiero teraz zauważyłem, iż rzeczywiście mogła mieć dzieci, może nawet na tyle duże, żeby przysłuchiwać się tej, a także innym opowieściom. Co prawda zmarszczki nie porały jeszcze gładkiej, zmysłowej twarzy, lecz płomień młodości, który tak żywo płonął w Dorcas, a nawet rzucał nieziemski blask na Jolentę, który dawał niespożyte siły Thecli i rozświetlał zasnuęte mgłą ścieżki nekropolii, kiedy przy rozkopanym grobie Thea wzięła pistolet z rąk Vodalusa, wygasł w niej bardzo dawno, nie pozostawiając nawet zapachu dymu.

Zrobiło mi się jej żal.

- Z pewnością znasz historię o tym, jak dawno temu ludzie polecili ku gwiazdom, ale by to osiągnąć, zaprzędali dziką część duszy, tak że potem nie pragnęli już czuć we włosach powiewów wiatru, nie znali miłości ani pożądania, nie śpiewali starych pieśni i nie układali nowych, i w ogóle zatracili upodobanie do przyzwyczajęń, które - jak wierzyli - w zamierzchłych czasach zabrali ze sobą z ciepłego wnętrza wilgotnych lasów tropikalnych, chociaż mój wuj twierdzi, że to właśnie te przyzwyczajenia pozwoliły im wydostać się stamtąd. Jak wiesz - a przynajmniej, jak powinieś wiedzieć - w głębi serca nienawidzili tych, którym sprzedali tę część siebie, a którzy stanowili wytwór ich własnych rąk i umysłów. Istoty te miały nawet serca, choć ich autorzy nie chcieli tego przyznać. W każdym razie stworzeni postanowili zniszczyć tworzących, dokonali zaś tego wówczas, kiedy ludzkość rozprzestrzeniła się już na planetach wokół tysiąca słońc, zwracając jej to, czego pozbyła się dawno temu.

Wuj opowiadał mi o tym tak, jak teraz ja opowiadam tobie, dowiedział się zaś wszystkiego z jednej z ksiązek, jakie miał w swojej kolekcji. Głęboko wierzył, że jest pierwszym od co najmniej chiliady, który przewracał jej karty.

Znacznie mniej wiadomo o sposobie, w jaki wprowadzili swój zamiar w życie. Pamiętam, że jako dziecko wyobrażałam sobie te złe maszyny zajęte kopaniem - kopały pod osłoną ciemności, odsłaniając splątane korzenie wiekowych drzew, aż wreszcie dotarły do żelaznej szkatuły, którą ukryły wtedy, kiedy świat był jeszcze młody. Otworzyły ją, a wówczas wszystkie te rzeczy, o których mówiłam, wyleciały w świat niczym rój złotych pszczoł. Wiem, że to głupie, ale nawet teraz nie wiem, jak naprawdę mogły wyglądać te myślące urządzenia.

Pomyślałem o Jonasie, którego ciało składało się w znacznej mierze z metalowych części, ale nie potrafiłem wyobrazić go sobie, jak uwalnia plagi mogące doprowadzić do zagłady ludzkości, potrząsałem więc tylko głową.

- Jednak w książce mego wuja napisano, że tak właśnie postąpiły, to zaś, co wyleciało ze szkatuły, nie było rojem owadów, lecz zbieraniną najróżniejszych przedmiotów, które miały skłonić ludzi do zajęcia się sprawami, o których dawno temu przestali myśleć, gdyż nie dało się wyrazić ich cyframi. Maszyny zajmowały się wówczas dosłownie wszystkim, od budowania miast poczynając, na produkowaniu żywności kończąc, a po tysiącach lat wznoszenia miast przypominających ogromne

mechanizmy zaczęły tworzyć takie, co wyglądały jak burzowe chmury albo szkielety smoków.

- Kiedy to było? - zapytałem.

- Bardzo dawno temu, na długo przed tym, jak położono pierwszy kamień pod fundamenty Nessus.

Objąłem ją ramieniem, ona zaś położyła rękę na moim udzie. Czułem jej ciepło i powolną wędrówkę.

- Tą samą zasadą kierowały się we wszystkim, co robiły, na przykład projektując meble i ustalając obowiązujący krój strojów. Ludzie byli zachwyceni, ponieważ zdążyli już zapomnieć o swoich przywódcach z odległej przeszłości, którzy zarządzili, aby ich poddani odrzucili precz wszelkie myśli i pomysły znajdujące symboliczne odzwierciedlenie właśnie w kształtach mebli i kroju ubrań. Imperium, u którego podstaw legły te zasady, przestało istnieć, planety natomiast zaczęły powoli umierać.

Początkowo, aby uzyskać pewność, że ludzie nie odrzucą tego wszystkiego, co zostało im ofiarowane, maszyny tworzyły żywe obrazy i fantasmagorie, ci zaś, którzy je oglądali, zaczęli coraz więcej czasu poświęcać myślom o bogactwie, zemście lub niewidzialnym świecie. Później przydzieliły każdemu mężczyźnie i każdej kobiecie niewidzialnego towarzysza doradcę. (Dzieci miały takich doradców już od dawna).

Kiedy władza maszyn osłabła jeszcze bardziej, zresztą dokładnie tak, jak sobie tego życzyły, nie były w stanie utrzymać tych zjaw i ułud w umysłach ludzi ani budować nowych miast, tym bardziej że miasta, które już istniały, świeciły pustkami. Miały nadzieję, że ludzkość zwróci się przeciwko nim i zniszczy je, ale tak się nie stało, ponieważ one, do tej pory pogardzane jako niewolnicy lub wynoszone na ołtarze jako diabły, stały się obiektem powszechnego uwielbienia. Dlatego też zgromadziły wokół siebie tych, co najbardziej je kochali i przez długie lata uczyły ich wszystkiego, co powinni wiedzieć, a co zostało skazane na zapomnienie, potem zaś umarły.

Wówczas ci, którzy je kochali, i których one darzyły miłością, zebrali się, aby podjąć decyzję, w jaki sposób zachować zdobytą wiedzę dla potomnych, gdyż doskonale zdawali sobie sprawę, że maszyny nigdy już nie pojawią się na powierzchni Urth. Doszło jednak do wielu sprzeczek i nieporozumień, ponieważ okazało się, iż nie uczyli się razem, tylko każdy mężczyzna i każda kobieta słuchali swojej maszyny tak, jakby na świecie pozostali tylko oni dwoje.

Nieporozumienia wynikły stąd, że wiedzy było mnóstwo, słuchaczy zaś niewielu, więc każda z maszyn przekazywała wiadomości w odmienny sposób.

Ludzie podzielili się na grupy, które z kolei podzieliły się na mniejsze, te zaś na jeszcze mniejsze, aż wreszcie okazało się, że każdy jest zupełnie sam, przekonany o tym, że tylko on ma rację, zionący nienawiścią do innych i tak samo przez nich nienawidzony. Każdy więc ruszył w swoją stronę, poza granice miast lub w ich głąb, z wyjątkiem bardzo nielicznych, co postanowili zostać w pałacach zamieszkałych przez maszyny, by pełnić straż przy ich martwych ciałach.

Lokaj przyniósł nam wino przejrzyste jak woda i równie jak ona nieruchome. Trzeba było poruszyć

kieliszkiem, aby obudzić je do życia, pachniało jak te niezwykle kwiaty, które mogą odnaleźć jedynie ludzie pozbawieni wzroku, a pijąc je odnosiło się wrażenie, iż zawierają ekstrakt czystej siły prosto z serca byka. Cyriaca łapczywie chwyciła puchar, opróżniła go do dna, po czym cisnęła w kąt.

- Opowiedz mi coś jeszcze o zaginionych archiwach - poprosiłem.

- Kiedy wszystkie maszyny były już martwe, a każdy z tych, co uzyskali dzięki nim dostęp do pokładów zakazanej wiedzy, którą ludzkość postanowiła kiedyś ukryć w mrocznych studniach niepamięci, znalazł się z dala od pozostałych, w ich serca wkradł się lęk. Wszyscy doskonale wiedzieli, że są śmiertelni, większość zaś nie była młoda. Każdy zdawał sobie sprawę, iż wraz z jego śmiercią zginie wszystko, czego udało mu się dowiedzieć i co cenił najbardziej na świecie. Zaczęli więc spisywać swoją wiedzę - nikt nie przypuszczał, żeby na taki sam pomysł

mogli wpaść także pozostali. Niektórzy nie zdołali dokończyć dzieła, ale wielu się to udało, choć zdarzało się, że prawie kompletne zapiski dostawały się w ręce obcych ludzi, którzy albo wzbogacali je o własne doświadczenia, albo zubożali, usuwając obszerne ustępy... Pocałuj mnie, Severianie.

Choć maski stanowiły pewną przeszkodę, nasze usta jednak się spotkały. Kiedy Cyriaca przerwała pocałunek, wezbraną falą ogarnęły mnie wspomnienia Thecli o niepoważnych miłostkach i obłapywaniach w buduarach Domu Absolutu.

- Czy nie wiesz, że coś takiego wymaga od mężczyzny pełnej koncentracji? - zapytałem.

- Właśnie dlatego to zrobiłam - odparła z uśmiechem Cyriaca - Chciałam się przekonać, czy mnie słuchasz.

Przez bardzo długi czas - nikt dokładnie nie wie jak długi, tym bardziej że wtedy słońce było jeszcze młode, a lata dłuższe - zapiski krążyły wśród ludzi lub powoli obrastały pleśnią w grobowcach, gdzie ukryli je ich autorzy. Były fragmentaryczne, wzajemnie sprzeczne i niejasne.

Wreszcie jeden z autarchów (choć wówczas nie nazywano ich jeszcze autarchami) postanowił

odtworzyć potęgę unicestwionego imperium, zaczął zaś od tego, że rozkazał swoim odzianym w białe szaty sługom, by plądrowali strychy i piwnice, obalali androsfinksy wzniesione dla upamiętnienia maszyn oraz przeszukiwali groby zmarłych przed wieloma laty kobiet i mężczyzn.

Wszystkie przekazy trafiały na wielki stos w mieście Nessus, gdzie miał je strawić ogień.

Jednak wieczorem, zaledwie kilka wacht przed podpaleniem stosu, autarcha, który do tej pory tylko śnił na jawie sny o potędze, zasnął prawdziwym snem i ujrzał w nim przerażającą wizję: śmierć i życie, nieujarzmione żywioły, rośliny i zwierzęta wymykające się na zawsze z jego rąk.

Kiedy nadszedł ranek, a władca przebudził się ze snu, rozkazał, aby zgaszono przygotowane pochodnie i wybudowano ogromny loch, w którym spoczną dokumenty, zapiski i relacje zgromadzone przez służących odzianych w białe szaty. Podjął bowiem decyzję, że jeśli istotnie nie uda mu się zbudować nowego imperium, zejdzie do tego lochu i zajmie się poznawaniem światów, które, tak jak jego starożytni przodkowie, postanowił na zawsze odrzucić.

Rzeczywiście, jego wysiłki spełzły na niczym, przeszłości bowiem nie da się odszukać w przyszłości, gdzie jej po prostu nie ma - przynajmniej do czasu, kiedy świat metafizyczny, tylekroć większy od naszego, w którym wszystko dzieje się w wolniejszym tempie, wykona pełen obrót i umożliwi nadejście Nowemu Słońcu. Jednak autarcha nie przeszedł na drugą stronę ogromnego muru i nie skrył się w lochu, gdyż nikomu jeszcze nie udało się odnaleźć tego, co pozostawił za sobą, skazując na wieczne zapomnienie.

Powiada się jednak, że wyznaczył strażnika i przykazał mu strzec lochu, ten zaś, kiedy jego czas na Urth zbliżał się ku końcowi, wyznaczył następnego, ten zaś jeszcze następnego i tak trwają aż po dziś j dzień, wierni rozkazowi autarchy, ponieważ do szpiku kości przesiąkli!

naukami maszyn, a niewzruszona wiara jest jedną z rzeczy, jakich one najchętniej uczyły.

Byłem zajęty rozbieraniem kobiety i całowaniem jej piersi, ale jej przerwałem na chwilę, by zapytać:

- Czy wszystkie myśli i nauki, o których wspominałaś, zniknęły ze świata w chwili, kiedy autarcha zamknął je w lochu? Czy nie mogłem w jakiś sposób zetknąć się z nimi?

- Mogłeś, ponieważ przez całe wieki przekazywano je z ust do ust, dzięki czemu znamy je wszyscy, nie zdając sobie z tego sprawy, a poza tym strażnik podobno co jakiś czas wypuszcza w świat księgi, w których są spisane, i choć prędzej lub później wracają do niego, to jednak w trakcie swojej wędrówki trafiają do wielu rąk, by ponownie zniknąć w otchłani mrocznego lochu.

- To bardzo piękna historia - powiedziałem. - Wydaje mi się, że znam ją lepiej od ciebie, choć z pewnością nigdy jej nie słyszałem.

Miała długie nogi o niezwykle delikatnej, ałłasowej skórze. Całe jej ciało było stworzone po to, by dawać rozkosz. Wyciągnęła rękę ku sprzączce spinającej mi płaszcz na ramionach.

- Możesz go zdjąć, żebyśmy mogli się przykryć? - zapytała.

- Mogę - odparłem.

ROZDZIAŁ VII

ATRAKCJE

Omiałem nie utonąłem w rozkoszy, jaką mi ofiarowała, bo choć nie kochałem jej ani tak jak kiedyś Theclę, ani tak, jak wtedy jeszcze Dorcas, ona zaś z pewnością nie dorównywała urodą Jolencie, to poczułem do niej ogromną czułość nie mającą jednak nic wspólnego z wypitym przeze mnie winem. Cyriaca była dokładnie taką kobietą, o jakiej marzyłem jako odziany w łachmany chłopiec w Wieży Matachina, zanim jeszcze wśród mgieł nekropolii ujrzałem przypominającą kształtem serce twarz kasztelanki Thei.

Kiedy wreszcie wstaliśmy z otomany, poszliśmy do basenu o ścianach wykładanych srebrną blachą, aby się umyć. Kochały się tam dwie kobiety; spojrzały na nas i wybuchnęły śmiechem, ale kiedy zrozumiały, że nie oszczędziłbym ich tylko dlatego, że są kobietami, uciekły z krzykiem.

Polewaliśmy się nawzajem wodą. Wiem teraz, iż Cyriaca była pewna, że zaraz ją opuszczę, ja zaś to samo myślałem o niej. Nie rozstaliśmy się jednak (choć byłoby chyba lepiej, gdyby tak się stało), lecz wyszliśmy do niewielkiego, pogrążonego w ciszy i ciemności ogrodu i przystanęliśmy obok samotnej fontanny. Trzymaliśmy się za ręce jak dzieci.

- Byłeś kiedyś w Domu Absolutu? - zapytała.

Obserwowała nasze odbicia w lśniącej w blasku księżyca wodzie, a mówiła tak cicho, że z trudem ją słyszałem.

Odparłem, że owszem, i natychmiast poczułem, jak jej ręka zacisnęła się na mojej.

- A widziałeś Studnię Orchidei?

Potrząsnąłem głową.

- Ja też nie, chociaż, podobnie jak ty, byłem w Domu Absolutu. Podobno niegdyś mieszkały tam małżonki autarchów, ale nawet teraz, mimo że nasz Autarcha nie ma towarzyszki życia, wolno tam przebywać jedynie najpiękniejszym kobietom. Podczas pobytu w Domu mój pan i ja zamieszkaliśmy w niewielkim pokoju stosownym do naszego urodzenia. Pewnego wieczoru mój małżonek zniknął, ja zaś wyszłam na korytarz, a kiedy rozglądałam się w obie strony, nadszedł jakiś wysoki urzędnik. Nie znałam jego imienia i nie wiedziałam, jaką funkcję sprawuje, lecz mimo to zatrzymałam go i zapytałam, czy mogę zobaczyć Studnię Orchidei.

Cyriaca umilkła. Przez dwa lub trzy oddechy słyszeliśmy jedynie dźwięki muzyki dobiegające z pawilonu i szmer wody w fontannie.

- Popatrzyl na mnie ze zdziwieniem. Nie masz pojęcia, co to znaczy być ubogą szlachcianką z północy, odzianą w suknię uszytą przez służące, z tanimi klejnotami na szyi, i stać przed kimś, kto całe życie spędził wśród arystokratów zamieszkujących Dom Absolutu. A potem... potem się uśmiechnął. - Ponownie zacisnęła palce na mojej ręce. - I powiedział mi, którądy mam iść: prosto korytarzem, skręcić przy posągu, następnie w górę po schodach, dalej prosto ścieżką wysypaną białym żwirem. Och, Severianie, mój ukochany!

Jej twarz błyszczała jak księżyc. Pojąłem, iż wydarzenie, którego przebieg mi relacjonuje, stanowi szczytowy moment jej życia i że uczucie, którym ją obdarowałem, odświeżyło w jej pamięci te chwile, kiedy okazało się, że może swoją urodą zmiękczyć serca nawet tych, co wcale nie pragnęli jej posiadać. Rozsądek podpowiadał mi, że powinienem czuć się urażony, ale nie potrafiłem się do tego zmusić.

- Zaraz potem odszedł, ja natomiast ruszyłam we wskazanym kierunku, ale zaledwie przeszłam kilkanaście kroków, zjawił się mój pan i rozkazał mi wrócić do pokoju.

- Rozumiem - odparłem, poprawiając miecz.

- Myślę, że naprawdę mnie rozumiesz. Jak uważasz, czy źle postępuję, zdradzając go z tobą?

- Nie jestem sędzią.

- Jednak wszyscy oceniają moje postępowanie... Przyjaciele i kochankowie, a nawet te kobiety w pawilonie.

- My od dzieciństwa uczymy się nie wydawać żadnych wyroków, a jedynie wykonywać te, które przekażą nam sądy Wspólnoty. Dlatego nie będę oceniał ani ciebie, ani jego.

- Ja natomiast to czynię - powiedziała, zwracając twarz ku świecącym zimnym blaskiem gwiazdom. Po raz pierwszy od chwili, kiedy dostrzegłem ją z daleka w zatłoczonej sali, zrozumiałem, dlaczego wziąłem ją za prawdziwą członkinię zakonu, którego habit założyła z okazji maskarady. - A przynajmniej próbuję i za każdym razem i wyrok jest taki sam: winna.

Mimo to nie jestem w stanie się powstrzymać. Myślę, że przyciągam do siebie takich mężczyzn jak ty. Czuleś, jak coś cię do mnie ciągnie? Przecież wiem, że miałeś do wyboru mnóstwo kobiet bardziej urodziwych ode mnie.

- Nie jestem pewien - odparłem. - Podczas naszej wędrówki do Thraxu...

- A więc ty także masz do opowiedzenia jakąś historię? Chętnie jej wysłucham, Severianie. Ja już opowiedziałam ci o jedynym interesującym zdarzeniu, jakie miało miejsce w moim życiu.

- W drodze tutaj - przy innej okazji opowiem ci, kto towarzyszył mi w podróży -

spotkałem wiedźmę, jej uczennicę oraz klienta, którzy zeszli się w pewnym miejscu, aby wskrzesić zmarłego dawno temu człowieka.

- Naprawdę? - Oczy kobiety zapłonęły podnieceniem. - Cudownie! Słyszałam o czymś takim, ale nigdy nie widziałam. Opowiedz mi o wszystkim, lecz postaraj się, żeby to była sama prawda.

- Nie mam wiele do opowiadania. Nasza droga wiodła przez opuszczone miasto, a kiedy zauważyliśmy ognisko, ruszyliśmy w tamtą stronę, ponieważ mieliśmy ze sobą bardzo chorą osobę. Potem wiedźma wskrzesiła człowieka, po którego tam przyszli, mnie zaś wydawało się, że zwraca życie całemu miastu. Dopiero kilka dni później zrozumiałem...

Okazało się, że nie potrafię powiedzieć, co zrozumiałem, gdyż znaczenie tamtych wydarzeń należało rozpatrywać na poziomie znacznie wyższym niż językowy, o którym najczęściej staramy się nie myśleć, chociaż z pewnością nasze myśli bez przerwy by się tam zapędzały, gdyby nie surowa dyscyplina, jaką nauczyliśmy się im narzucać.

- Mów dalej.

- To znaczy, tak naprawdę niczego nie rozumiałem. Wciąż o tym myślę i wciąż nie rozumiem, ale wydaje mi się, że wiedźma wskrzeszała go, on zaś starał się ożywić całe miasto, które stanowiłoby scenerię dla jego występu. Czasem też myślę, że w rzeczywistości miasto i on stanowili jedno i kiedy wędrowaliśmy pustymi chodnikami i ulicami, tak naprawdę szliśmy wzdłuż jego potrzaskanych kości.

- Pojawił się? - zapytała Cyriaca. - Powiedz, pojawił się?

.- Owszem. Zaraz potem klient wiedźmy umarł, podobnie jak chora kobieta, która towarzyszyła nam w podróży, Apu-Punchau zaś - tak właśnie nazywał się martwy człowiek -

znowu zniknął. Wiedźmy uciekły, choć nie umiem powiedzieć, czy biegnąc czy może lecąc jak ptaki. Nazajutrz ruszyliśmy pieszo w dalszą drogę i zatrzymaliśmy się na noc w chacie zamieszkałej przez bardzo ubogą rodzinę. Kiedy moja kobieta zasnęła, odbyłem długą rozmowę z ojcem rodziny. Zdawał się dużo wiedzieć o kamiennym mieście, choć on także nie znał jego prawdziwej nazwy. Rozmawiałem także z jego matką, która chyba wiedziała jeszcze więcej, lecz nie miała zbyt chętności dzielić się ze mną tą wiedzą. - Zawahałem się, gdyż ciężko mi było opowiadać o tych sprawach stojącej przy mnie kobiecie. - Początkowo przypuszczałem, że ich przodkowie przybyli z kamiennego miasta, oboje jednak twierdzili, iż uległo zniszczeniu na długo przed pojawieniem się ludzi w tej okolicy. Mimo to zdołali się sporo dowiedzieć na jego temat, ponieważ mężczyzna od dzieciństwa penetrował ruiny w poszukiwaniu skarbów; twierdził, że nic nie znalazł, z wyjątkiem pogruchotanych kamieni, rozbitych naczyń oraz śladów pozostawionych przez innych poszukiwaczy, którzy zjawili się tam na długo przed nim.

„W dawnych czasach - opowiadała jego matka - ludzie wierzyli, że można przyciągnąć ukryte w ziemi złoto, zagrzebując kilka złotych monet i wypowiadając stosowne zaklęcie. Wielu to robiło, niektórzy zaś zapominali, gdzie zakopali monety albo z jakichś przyczyn nie zdążyli ich zabrać. To są skarby, które odnajduje mój syn i dzięki nim mamy co jeść”.

Zapamiętałem ją taką, jaką widziałem tej nocy: starą, zgarbioną, grzejącą ręce nad małym ogniskiem z torfu. Być może przypominała jedną z wiekowych piastunek Thecli albo jakiś szczegół jej wyglądu poruszył wspomnienia Thecli do tego stopnia, że moja ukochana odżyła w moim umyśle niemal tak samo, jak wówczas, gdy wraz z Jonasem byłem uwięziony w Domu Absolutu. Kiedy przypadkowo spojrzałem na swoje ręce, zdumiała mnie ich wielkość, kolor oraz fakt, że na palcach nie mam ani jednego pierścionka.

- Mów dalej, Severianie - zachęciła mnie Cyriaca.

- Potem stara kobieta powiedziała mi, że w kamiennym mieście Jest coś, co przyciąga do niego szczególny gatunek ludzi. „Z pewnością słyszałeś o nekromantach, którzy polują na dusze umarłych.

Czy wiesz, że wśród zmarłych znajdują się wiwimanci potrafiący wzywać na pomoc tych, co są w stanie przywrócić ich do życia? Jeden z nich mieszka w kamiennym mieście, a co jakiś czas gościmy w naszej chacie tych, których do siebie wezwał". Następnie zwróciła się do syna: „Pamiętasz tego milczącego mężczyznę, co ani na chwilę nie rozstawał się z laską? Byłeś wtedy mały, ale powinieneś go pamiętać. Potem długi czas nikt nas nie odwiedzał, dopóki nie przyszli ci dwoje". Wtedy zrozumiałem, że ja również zostałem wezwany do miasta przez wiwimantę o imieniu Apu-Punchau, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy. Cyriaca spojrzała na mnie z ukosa.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że ja także nie żyję? Wspomniałeś wcześniej, że przypadkiem zobaczyłeś płomień ogniska, przy którym siedziała wiedźma zajmująca się nekromancją. Ja jednak myślę, że to ty byłeś tą wiedźmą, chora osoba twoim klientem, kobieta zaś sługą.

- Wszystko dlatego, iż opuściłem najważniejsze fragmenty opowieści - odparłem.

Niewiele brakowało, a roześmiałbym się głośno na myśl o tym, że ktoś bierze mnie za wiedźmę, ale wówczas Pazur poruszył się na mojej piersi, przypominając mi, że dzięki jego mocy, z której bezprawnie korzystałem, rzeczywiście stałem się wiedźmą, chociaż brakowało mi odpowiedniej wiedzy. Zrozumiałem także - w tym samym sensie, w jakim zrozumiałem wcześniej wiele innych rzeczy - że choć Apu-Punchau miał go w swoich rękach, to jednak nie był w stanie mi go odebrać.

- Najważniejsze jest to - odezwałem się po krótkim milczeniu - że kiedy wiwimanta zniknął, na ziemi pozostała szkarłatna szata Peleryn, taka sama, jaką założyłaś na dzisiejszą uroczystość. Mam ją w sakwie. Czy Peleryny także zajmują się nekromancją?

Nie usłyszałem odpowiedzi, ponieważ właśnie w tej chwili na ścieżce prowadzącej do fontanny pojawiła się wysoka sylwetka archonta. Założył maskę oraz kostium gnoma, tak że z pewnością nie rozpoznałbym go, gdyby ukazał mi się w pełnym świetle. Jednak panujący w ogrodzie półmrok zdarł z niego przebranie równie bezwzględnie, jak uczyniłyby to ludzkie ręce, więc bez najmniejszego trudu domyśliłem się, z kim mam do czynienia.

- Widzę, że ją znalazłeś - powiedział, zatrzymując się przede mną. - Powiniennem był się domyślić.

- Podejrzewałem, że chodzi właśnie o nią, ale nie byłem pewien - odparłem.

ROZDZIAŁ VIII

NA KRAWĘDZI URWISKA

Opuściłem tereny pałacowe przez jedną z bram usytuowanych od strony łądu. Pilnowało jej sześciu żołnierzy, znacznie bardziej czujnych od dwójki, którą kilka wacht temu minąłem przy bramie u szczytu schodów prowadzących od rzeki. Jeden z nich zastąpił mi drogę i zapytał

grzecznie, ale stanowczo, czy naprawdę muszę tak wcześnie wyjść z przyjęcia. Okazałem mu dokument stwierdzający, kim jestem, następnie zaś odparłem, że niestety muszę, gdyż tej nocy czeka mnie jeszcze sporo pracy (co było prawdą), rankiem natomiast zacznę się dla mnie bardzo wyczerpujący dzień (również w tym przypadku nie kłamałem).

- W takim razie jesteś bohaterem, liktorze - powiedział żołnierz nieco bardziej przyjaznym tonem. - Czy masz jakąś eskortę?

- Towarzyszyli mi dwaj strażnicy, ale ich odprawiłem. Nie widzę powodu, dla którego nie mógłbym samodzielnie wrócić do Vinculi.

- Byłoby chyba lepiej, gdybyś został do rana w pałacu - odezwał się drugi żołnierz. - Z

pewnością znajdą dla ciebie jakieś miejsce, gdzie będziesz mógł się przespać.

- Owszem, ale wtedy nie zdążę zrobić tego, co musi zostać zrobione.

Żołnierz, który do tej pory blokował mi przejście, odsunął się na bok.

- Chętnie dam ci ochronę. Jeśli chwilę zaczekasz, poproszę o zgodę dowódcę warty i wyznaczę kilku ludzi.

- Nie trzeba - odparłem i ruszyłem przed siebie, zanim zdążył zaprotestować.

Nie ulegało wątpliwości, że w mieście coś się dzieje. Przypuszczalnie w czasie, kiedy uczestniczyłem w przyjęciu zorganizowanym w pałacu archonta, tajemniczy zbrodniarz popełnił

kolejne morderstwo. Na myśl o tym odczułem przyjemne podniecenie - bynajmniej nie dlatego, że bym był głupcem przekonanym o własnej sile, który wierzy, że poradzi sobie z każdym przeciwnikiem. Po prostu perspektywa spotkania w ciemnej ulicy kogoś, kto może dybać na moje życie, pozwoliła mi przynajmniej częściowo otrząsnąć się z przygnębienia, któremu w innym razie z pewnością dałbym się ogarnąć. Trudny do zdefiniowania strach i pozbawione twarzy niebezpieczeństwa czyhające w mrokach nocy towarzyszyły mi od najwcześniejszego dzieciństwa. Teraz, kiedy byłem już dorosłym człowiekiem, nabrały charakteru sentymentalnych wspomnień z dawno minionych czasów.

Znajdowałem się po tej samej stronie rzeki co lepianka, którą odwiedziłem po południu, dzięki czemu nie musiałem korzystać z łodzi, ale otaczające mnie uliczki były zupełnie obce, w ciemności zaś przypominały labirynt zbudowany jedynie po to, aby utrudnić mi orientację. Kilka razy zawracałem do punktu wyjścia, zanim wreszcie udało mi się znaleźć wąską dróżkę, którą minionego dnia wspinałem się ku krawędzi urwiska.

Domostwa po jej obu stronach, wówczas czekające w milczeniu, aż potężna kamienna ściana po drugiej stronie rzeki zakryje tarczę słońca, ożyły teraz licznymi, stłumionymi głosami, a w kilku oknach płonęły ogniki łojowych lampek. Podczas gdy Abdiesus świętował w swoim pałacu, ubodzy mieszkańcy wyżej położonych części miasta także oddawali się zabawie, równie wesołej, choć z pewnością mniej hałaśliwej. Do moich uszu dobiegały odgłosy miłości, takie same jak w ogrodzie, przez który szedłem po ostatecznym rozstaniu z Cyriacą, rozmowy prowadzone przyciszonymi głosami oraz wybuchy śmiechu. W pałacowym ogrodzie pachniały kwiaty i szemrały fontanny, powietrze zaś było przyjemnie chłodne dzięki płynącej w pobliżu Acis. Nie słyszałem już szumu rzeki, a powiewy leniwego wiatru niosły woń nieczystości wymieszaną z zapachem świeżo

zaparzonej herbaty lub jakiegoś skromnego posiłku. Niekiedy wydawało mi się, że czuję także czyste górskie powietrze.

Znalazłszy się wysoko na zboczu, gdzie wnętrza ubogich domostw oświetlał jedynie blask kuchennego ognia, odwróciłem się i spojrzałem z góry na miasto tak jak spoglądałem na nie po południu z blanków Zamku Acies, chociaż wtedy towarzyszył mi zupełnie inny nastrój.

Słyszałem opowieści o górskich szczelinach tak głębokich, że na ich dnie widać świecące gwiazdy; teraz wydawało mi się, iż dostrzegłem jedną z nich. Poczułem się tak, jakby Urth zniknęła nagle spod moich stóp, ja zaś znalazłem się zupełnie sam w rozgwieżdżonej pustce.

Możliwe, że już wtedy zaczęto mnie szukać. Wyobraziłem sobie dimarchów archonta biegnących pogrążonymi w ciszy uliczkami, być może ściskających w rękach pochodnie zabrane z ogrodu. Znacznie bardziej niepokojąca była jednak myśl o strażnikach, którymi do tej pory dowodziłem, wysypujących się gromadnie z bramy Vinculi. Nie zauważyłem jednak żadnych ruchomych światełek i nie usłyszałem nawoływań, jeżeli zaś nawet w samej Vinculi powstało jakieś poruszenie, to w najmniejszym stopniu nie wpłynęło ono na wygląd miasta po drugiej stronie rzeki. Stałem bez ruchu przez dłuższą chwilę, po czym odwróciłem się, by kontynuować wspinaczkę. Nie ogłoszono jeszcze alarmu, ale już niedługo należało się tego spodziewać.

W ciemnym wnętrzu lepianki panowała całkowita cisza. Jeszcze przed wejściem wyjąłem Pazur ze skórzanego woreczka, obawiając się, iż zabraknie mi odwagi, by to zrobić, kiedy znajdę się w środku. Klejnot czasem jarzył się jaskrawym blaskiem jak niegdyś w gospodzie w Saltus, czasem zaś przypominał matowe szkiełko. Tej nocy nie świecił bardzo jasno, ale roztaczał wokół

siebie błękitną poświatę, przy której zwykle światło wydawało się zaledwie lekko rozjaśnioną ciemnością. Spośród niezliczonych imion Łagodziciela najrzadziej używanym, a dla mnie najbardziej zagadkowym, było Czarne Słońce. Tej nocy chyba udało mi się zrozumieć jego pochodzenie. Nie mogłem trzymać klejnotu w palcach, tak jak czyniłem to wielokrotnie do tej pory i jak miałem czynić jeszcze nieraz, położyłem więc go na prawej dłoni, aby w jak najmniejszym stopniu zbecześcić go swoim dotknięciem, schyliłem głowę i wszedłem do lepianki.

Dziewczyna leżała w tym samym miejscu, co po południu. Nawet jeżeli oddychała, to ja nie byłem w stanie tego ani usłyszeć, ani zauważyć. Chłopiec z zainfekowanym okiem spał na gołej ziemi u jej stóp. Za pieniądze, które dostał ode mnie, kupił chyba nieco żywności, gdyż na klepisku pełniącym funkcję podłogi wały się łuski po nasionach i pestki. Przez chwilę miałem nadzieję, że żadne z nich się nie obudzi.

W ciemnobłękitnym blasku Pazura, podkreślającym zapadnięte policzki i podkrążone oczy, twarz dziewczyny była jeszcze bardziej przerażająca niż w dzień. Wydawało mi się, że powinienem coś powiedzieć - może wezwać na pomoc Prastwórcę lub jego posłańców - ale miałem zupełnie sucho w ustach i czułem się niemy jak zwierzę. Powoli wyciągnąłem rękę, aż wreszcie jej cień padł na twarz chorej, kiedy jednak ją cofnąłem, nie dostrzegłem żadnej zmiany.

Ponieważ Pazur nie pomógł także Jolencie, zaświtała mi myśl, że może klejnot nie działa na kobiety albo że po to, by zadziałał, musi najpierw trafić do kobiecej dłoni. Na wszelki wypadek dotknąłem nim czoła dziewczyny, tak że przez chwilę wyglądał jak trzecie oko na pozbawionej oznak życia twarzy.

Spośród wszystkich przypadków, kiedy obserwowałem jego działanie, ten był najbardziej zdumiewający i jednocześnie najbardziej wiarygodny, gdyż nie istniała najmniejsza szansa na to, by zaszedł zbieg okoliczności albo żebym uległ złudzeniu. Jest przecież możliwe, że małpolud powstrzymał krwawienie z kikuta siłą własnej woli, że żołnierz na drodze prowadzącej do Domu Absolutu jedynie stracił przytomność, którą, prędzej czy później, z pewnością by odzyskał, i że cudowne zaleczenie ran Jonasa dokonało się tylko dzięki niezwyklej grze światła.

Tym razem wyglądało to tak, jakby jakaś niewyobrażalna siła zadziałała między jednym chrononem a drugim, przerywając na chwilę obroty wszechświata. Dziewczyna otworzyła oczy, które były ciemne jak górskie jeziora. Jej twarz nie przypominała już maski przedstawiającej trupią główkę, stając się na powrót twarzą wycieńczonej młodej kobiety.

- Kim jesteś, w tych barwnych szatach? - zapytała, po czym dodała: - Och, ja śnię...

Powiedziałem, że jestem przyjacielem i że nie powinna się mnie lękać.

- Wcale się nie boję - odparła. - Przestraszyłabym się, gdybym ujrzała cię na jawie, ale przecież to tylko sen. Wyglądasz, jakbyś spadł z nieba, ja jednak wiem, że jesteś tylko skrzydłem jakiegoś nieszczęsnego ptaka. Czy schwytał cię Jader? Zaśpiewaj mi coś...

Zamknęła oczy, ale tym razem bez trudu mogłem dostrzec, jak jej pierś unosi się i opada w spokojnym rytmie oddechu. Twarz dziewczyny nadal była blada i mizerna, lecz zniknęło z niej już piętno śmierci.

Zdjąłem klejnot z jej czoła i dotknąłem nim opuchniętego oka chłopca, ale nie wydaje mi się, żeby było to potrzebne, gdyż opuchlizna zaczęła błyskawicznie znikać jeszcze przed pocałunkiem Pazura. Jader poruszył się niespokojnie, po czym zawołał coś niewyraźnie, jakby śniło mu się, że biegnie dokądś na czele gromady chłopców i pokrzykuje na nich, by nie zostawali w tyle.

Schowałem Pazur do skózanego woreczka, następnie zaś usiadłem na klepisku, wśród łusek i pestek. Po pewnym czasie chłopiec uspokoił się. W lepiance panowała całkowita ciemność, jeśli nie liczyć światła gwiazd kładącego się bladym prostokątem w pobliżu otworu wejściowego. W niezmaconej ciszy słyszałem szmer równych, spokojnych oddechów dwojga dzieci.

Dziewczyna powiedziała, że ja, który od chwili wyniesienia do godności czeladnika nosiłem katowski fuligin, przedtem zaś buroszare łachmany, byłem odziany w różnobarwne szaty. Przypuszczam, iż stało się tak za sprawą świecącej na jej czole, błękitnej gwiazdy, w której blasku nawet czarny płaszcz mógł mienić się wszystkimi kolorami tęczy. Mimo to w pewnym sensie miała rację. Nie chodzi o to, że od tej chwili zniechęciłem swój strój - raczej zrozumiałem, iż w rzeczywistości stanowi on tylko przebranie, podobnie jak stroje pozostałych gości biorących udział w przyjęciu w pałacu archonta albo sceniczny kostium, taki jak podczas spektaklu przygotowanego

przez doktora Talosa. Nawet kat jest człowiekiem, żaden człowiek zaś nie będzie z własnej woli ubierał się wyłącznie w stroje z materiału bardziej czarnego od najgłębszej czerni; uważałem się za hipokrytę nosząc brązowy płaszcz nabyty w sklepie Agilusa, ale chyba ukryty pod nim fuligin czynił mnie hipokrytą w równym albo nawet jeszcze większym stopniu.

Potem stopniowo zaczęła docierać do mnie prawda. Nawet jeżeli kiedykolwiek naprawdę byłem katem - w tym sensie, w jakim katami byli mistrz Gurloes, a nawet mistrz Palaemon - to w tej chwili przestałem nim być. Tutaj, w Thraksie, otrzymałem drugą szansę, ale zaprzepaściłem ją tak samo jak pierwszą, na trzecią zaś nie miałem co liczyć. Rzecz jasna, mógłbym zarabiać na życie dzięki mojemu strojowi i umiejętnościom, ale bez wątpienia byłoby dla mnie lepiej, gdybym przy pierwszej nadarzającej się okazji zniszczył katowski płaszcz i spróbował dołączyć do żołnierzy walczących na północy z hordami Ascian -naturalnie pod warunkiem, że wcześniej uda mi się zwrócić Pazur jego prawowitym właścicielkom.

Chłopiec ponownie poruszył się i wypowiedział głośno imię, które musiało być imieniem jego siostry. Dziewczyna wymamrotała coś niewyraźnie, nie budząc się ze snu. Wstałem, przez chwilę przyglądałem się obojgu, a następnie bezszelestnie wyszedłem z lepianki, obawiając się, że gdyby się obudzili, przeraziłby ich widok mojej twarzy i długiego miecza.

ROZDZIAŁ IX

SALAMANDRA

Gwiazdy świeciły jasno na niebie i po raz pierwszy od wielu tygodni nie czułem na piersi ciężaru Pazura.

Schodząc wąską ścieżką, nie musiałem zatrzymywać się i odwracać, by popatrzeć na miasto, ponieważ miałem je przed sobą jak na dłoni, migające tysiącami światełek - od ognia płonącego na szczycie najwyższej baszty Zamku Acies po odbicia rozświetlonych blaskiem pochodni okienek wartowni w wartkiej wodzie płynącej pod Capulusem.

Wszystkie bramy powinny już być zamknięte, a jeśli nawet żołnierze nie wyruszyli jeszcze, by mnie szukać, to z całą pewnością otrzymają taki rozkaz, zanim zejdę nad rzekę. Mimo to postanowiłem przed opuszczeniem miasta jeszcze raz zobaczyć się z Dorcas i nie wątpiłem, że uda mi się to osiągnąć. Właśnie zacząłem zastanawiać się nad sposobem, w jaki mógłbym później pokonać mur, kiedy nagle daleko w dole zapłonęło jeszcze jedno światełko.

Z tej odległości wydawało się bardzo małe - zaledwie ułucie szpilki, dokładnie takie samo, jak tysiące innych - i być może mój umysł zarejestrował je właśnie jako światło wyłącznie ze względu na to podobieństwo. Pamiętnej nocy w nekropolii byłem świadkiem wystrzału z pistoletu; skupiony promień energii przeorał wówczas mgłę i ciemność jak błyskawica. To, co ujrzałem teraz, było nieco inne, choć jednocześnie bardzo podobne do tamtego zjawiska.

Pokazało się i znikło, chwilę później zaś poczułem na twarzy powiew gorącego powietrza.

Nie wiem, jak to się stało, ale w ciemności nie trafiłem do małej gospody zwanej

„Kaczym Gniazdem”; być może skręciłem w niewłaściwą uliczkę albo minąłem pogrążony w ciemności budynek nie zauważywszy wiszącego nad drzwiami szyldu. Jakikolwiek był tego powód, wkrótce znalazłem się znacznie dalej od rzeki, niż powinienem, na biegnącej niemal równoległe do podnóża skały ulicy wypełnionej intensywną, nieprzyjemną wonią przypalonego mięsa. Miałem już zamiar zawrócić, kiedy nagle zderzyłem się z jakąś kobietą. Biegła tak szybko, że zatoczyłem się do tyłu, ona zaś runęła na bruk.

- Nie zauważyłem cię - powiedziałem, nachylając się, by pomóc jej się podnieść.

- Uciekaj! - wydyszała. - Uciekaj! - A potem: - Nie mogę wstać...

Jej głos wydał mi się dziwnie znajomy.

- Dlaczego miałbym uciekać?

Dźwignąłem ją na nogi. W rozproszonym blasku gwiazd dostrzegłem, że ma twarz umazaną sadzą i strach w oczach.

- Zabiło Jurmina! Spaliło go żywcem. Kiedy go znaleźliśmy, jego laska jeszcze płonęła.

On...

Zaniosła się rozpaczliwym łkaniem.

- Kto zabił Jurmina? - Nie odpowiadała, więc chwyciłem ją za ramiona i potrząsałem mocno, ale osiągnąłem tylko tyle, że zaczęła szlochać jeszcze głośniejsze. - Czy ja ciebie nie znam?

Mówże, kobieto! Tak, jesteś gospodynią z „Kaczego Gniazda"! Zaprowadź mnie tam.

- Nie mogę - odparła. - Boję je. Podaj mi ramię, sieur. Powinniśmy się ukryć.

- Znakomicie, ukryjemy się w „Kaczym Gnieździe". To na pewno niedaleko stąd. A cóż to znowu?

- Daleko! - Ponownie zaniosła się płaczem. - Za daleko... Nie byliśmy już sami. Nie wiem, czy zawiodły mnie zmysły, czy wcześniej po prostu nie dało się wyczuć obecności tego czegoś, lecz teraz nagle zdałem sobie z niej sprawę. Ludzie, którzy śmiertelnie boją się szcurów, twierdzą, iż potrafią stwierdzić ich obecność zaraz po wejściu do domu, nawet jeżeli zwierzęta ukryją się w najgłębszych zakamarkach. Teraz ja mogłem powiedzieć to samo. Wydawało mi się, że gdzieś blisko jest jakieś źródło ciepła, a choć powietrze stało się nagle zupełnie bezwonne, odniosłem wrażenie, iż prawie nie zawiera składników podtrzymujących życie.

Kobieta nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Minionej nocy spaliło trzech ludzi w pobliżu hareny, dzisiaj zaś jednego, przy Vinculi.

A teraz jeszcze Jurmina. Podobno kogoś szuka - tak przynajmniej mówią ludzie.

Pomyślałem o notulach i o niewidocznej rzeczy, która pełzła wzdłuż ściany przedpokoju Domu Absolutu, i powiedziałem:

- Myślę, że już go znalazło.

Rozejrzałem się szybko we wszystkie strony. Żar wyraźnie narastał, ale nigdzie nie pojawiło się światło. Kusiło mnie, aby wydobyć Pazur i skorzystać z jego blasku, ale przypomniałem sobie o istocie, którą obudził w nieczynnej kopalni i doszedłem do wniosku, że światło klejnotu jedynie pomogłoby jej mnie odnaleźć, bez względu na to, czym była. Nie miałem żadnej gwarancji, że mój miecz okaże się teraz bardziej skuteczny niż przeciwko notulom, przed którymi uciekaliśmy z Jonasem przez cedrowy las, niemniej jednak obnażyłem go.

W tej samej chwili rozległ się tętent oraz głośny okrzyk i zza zakrętu oddalonego od nas nie więcej niż o sto kroków wyłonili się dwaj jezdni. Gdybym miał trochę więcej czasu, z pewnością uśmiechnąłbym się do siebie, gdyż wyglądali niemal dokładnie tak, jak ich sobie wyobrażałem. Nie uczyniłem tego jednak, gdyż zimny blask bijący ze szczytów ich lanc wydobyl

z mroku jakąś ciemną, skuloną postać stojącą między nimi a nami.

Natychmiast zwróciła się w kierunku światła i otworzyła niczym kwiat, rosnąc jednocześnie w oszałamiającym tempie. Bardzo szybko zaczęła przypominać jarzącego się lekką poświatą węża, który, chociaż rozpalony niemal do białości, pozostał wężem, podobnie jak te zadziwiające gady z dżungli północy, mieniające się niespotykanymi, czarodziejskimi barwami.

Rumaki natychmiast stanęły dęba i zarżały przeraźliwie, ale jeden z żołnierzy zachował dość przytomności umysłu, aby wycelować lancę w potwora i nacisnąć spust. Na jedno uderzenie serca noc zamieniła się w dzień.

Gospodyni z „Kaczego Gniazda” ponownie osunęła się na ziemię, ja zaś błyskawicznie chwyciłem ją wolną ręką i jednym szarpnięciem postawiłem na nogi.

- Ta rzecz wchłania ciepło żywych istot - powiedziałem. - Myślę, że zajmie się wierzchowcami, a wtedy my uciekniemy.

W chwili, kiedy skończyłem mówić, coś odwróciło się w naszą stronę.

Powiedziałem już, że od tyłu przypominało skrzyżowanie kwiatu z ogromnym wężem.

Wrażenie to pozostało i teraz, kiedy ujrzałem przerażające stworzenie w całej jego grozie i niesamowitości, ale dołączyły do niego dwa inne: intensywne, nieziemskie ciepła (potwór nadal przypominał węża, tyle tylko, że takiego, który spłonął w ogniu, jakiego nigdy do tej pory nie widziano na Urth) oraz smagania przez porywisty wiatr nie mający jednak nic wspólnego z ruchem powietrza, który najpierw zrodził się w samym sercu kwiatu, by potem bezlitośnie poszarpać białe i bladożółte płatki.

Nad tymi wszystkimi odczuciami niepodzielnie dominowało obezwładniające, trudne do opisu przerażenie. Opuściły mnie siły i zdolność myślenia, tak że przez chwilę nie byłem w stanie ani zaatakować, ani rzucić się do ucieczki. Stwór i ja zdawaliśmy się trwać w nierucho-mym fragmencie czasu, nie mającym nic wspólnego z przeszłością i przyszłością, i nie podlegającym żadnym zmianom.

Ktoś krzyknął i czar prysł jak bańka mydlana. Drugi oddział dimarchów wyłonił się z mroku za moimi plecami i na widok potwora natychmiast ruszył do ataku. Chyba jedynie interwencji świętej Katarzyny kobieta i ja możemy zawdzięczać, że żadne z nas nie zostało stratowane przez pędzące rumaki. Jeżeli do tej pory żywiłem jakieś wątpliwości co do odwagi żołnierzy Autarchy, to teraz rozwiały się one bez śladu, gdyż wszyscy rzucili się na przerażające stworzenie jak spragnione krwi psy gończe.

Był to atak samobójczy. Błysnęło oślepiające światło, powiało obezwładniającym ciepłem, ja zaś, częściowo niosąc, a częściowo ciągnąc za sobą półprzytomną kobietę, wreszcie wziąłem nogi za pas.

Zamierzałem skręcić w zaułek, z którego wyłonił się drugi oddział kawalerzystów, ale w panice wybrałem nie tę przecznicę, co trzeba. (Naprawdę ogarnęła mnie panika, tym silniejsza, że nie tylko moja, ale także Thecli, której przeraźliwy krzyk rozsadzał mi czaszkę). Zamiast na stromej uliczce wiodącej ku niżej położonej części miasta znalazłem się w ślepym zaułku prowadzącym nie wiadomo

po co na szczyt krótkiego nawisu wystającego ze zbocza. Kiedy zorientowałem się, że popełniłem błąd, było już za późno; u wylotu zaułka stała ścigająca mnie istota, teraz znowu skurczona i dziwnie poskręcana, ale nadal emanująca niesamowitą energią.

W mdłym blasku gwiazd przypominała starego, zgarbionego człowieka w ciemnym płaszczu, lecz ja nigdy w życiu nie czułem takiego Przerżenia jak wtedy, kiedy ukazała się moim oczom. W głębi zaułka stała lepianka, nieco większa od tej, w której mieszkali chora dziewczyna i chłopiec, ale również zbudowana z patyków, kamieni i gliny. Otworzyłem kopnięciem drzwi, wpadłem do środka i nie zatrzymując się przebiegłem przez trzy sąsiadujące ze sobą pomieszczenia; dwa pierwsze były puste, w trzecim zaś spało może pół tuzina mężczyzn i kobiet. Stamtąd przedostałem się do czwartego pokoju, w którego ścianie dostrzegłem okno -

roztaczał się z niego niemal taki sam widok jak z okna mojego gabinetu w Vinculi. Było to ostatnie pomieszczenie w domu, zawieszane nad przepaścią niczym jaskółcze gniazdo.

Z sąsiedniego pokoju dobiegały gniewne głosy ludzi, którym zakłóciliśmy sen. Ktoś otworzył drzwi, ale chyba dostrzegł błysk Terminus Est, gdyż zatrzymał się, zaklął i cofnął o krok. W chwilę potem rozległ się przeraźliwy krzyk, ja zaś domyśliłem się, że ognista istota wtargnęła do lepianki.

Kobieta osunęła się na podłogę u moich stóp jak ciężki pakunek. Za oknem nie było dosłownie nic: sklecona byle jak ściana kończyła się kilka łokci poniżej dolnej krawędzi ramy, w górze zaś wystająca krawędź dachu z przegniłego sitowia wyglądała równie solidnie co pajęczyna. Mimo to wychyliłem się i spróbowałem jej dosięgnąć, lecz nagle zalała mnie powódź

jaskrawego światła, w którym przedmioty rzucały cienie równie czarne jak fuligin i zrozumiałem, że muszę walczyć i zginąć tak jak żołnierze albo skoczyć i roztrzaskać się na brukowanej nawierzchni jednej z biegnących w dole ulic. Odwróciłem się w stronę drzwi, żeby stanąć twarzą w twarz z istotą, która lada chwila miała się w nich pojawić.

Była jeszcze w sąsiednim pokoju, ale ja już ją widziałem przez uchylone drzwi, tym razem w takiej postaci, w jakiej niedawno stawiała czoło dimarchom. Tuż przy niej na kamiennej posadzce leżało na pół zmiażdżone ciało jakiegoś nieszczęśnika; istota pochyliła się nad nim jakby ze zdziwieniem, zaraz potem zaś trup szerniał, skóra popękała, ciało błyskawicznie zamieniło się w popiół, a jedno uderzenie serca później ten sam los spotkał białe kości. Potwór ruszył powoli naprzód.

Wiedziałem, że Terminus Est jest chyba najlepszym mieczem, jaki kiedykolwiek wyszedł

spod ręki płatnerza na starej Urth, ale zdawałem sobie także doskonale sprawę, iż nic nim nie zdziałam przeciwko stworzeniu, które bez trudu poradziło sobie z tyloma uzbrojonymi po zęby żołnierzami. Odrzuciłem go na bok, żywiąc złudną nadzieję, że ktoś go odnajdzie i zwróci mistrzowi Palaemonowi, po czym wyjąłem pazur z woreczka na piersi.

Była to moja ostatnia, niewielka szansa, lecz od razu zorientowałem się, że niepotrzebnie na nią liczyłem. Niezależnie od sposobu, w jaki przerażająca istota postrzegала świat (a z jej ruchów należało się domyślać, iż na naszej Urth jest niemal ślepa), z pewnością dostrzegła świecący klejnot, ale ani trochę się go nie przestraszyła. Wręcz przeciwnie, ruszyła naprzód znacznie szybciej niż do

tej pory, stanęła w drzwiach... i zniknęła z ogłuszającym hukiem w kłębach dymu. Ta część lepianki stała już nie na stałym gruncie, tylko na drewnianych podporach wysuniętych poza krawędź urwiska; cienka podłoga po prostu nie wytrzymała ciężaru istoty i załamała się pod nią. Otwór o poszarpanych brzegach zapłonął najpierw oślepiającym, niezmiernym blaskiem, potem wypełniła go feeria szybko zmieniających się, jaskrawych kolorów

- były wśród nich pawi błękit, liliowy i róż - wreszcie zaś pozostał jedynie słaby, pełgający poblask płomieni.

ROZDZIAŁ X

OLÓW

Przez chwilę wydawało mi się, że wpadnę w otwór ziejący pośrodku małego pomieszczenia, zaraz potem odniosłem wrażenie, iż lada moment wszystko runie w przepaść.

Jakoś udało nam się uciec. Ulica była pusta; żołnierze, którzy j pozostali przy życiu, bez wątpienia popędzili ku szalejącemu w dole pożarowi, przerażeni mieszkańcy zaś pozamykali się w domach. Podtrzymałem kobietę ramieniem i choć była jeszcze zbyt wystraszona, j żeby sensownie odpowiadać na moje pytania, to jednak pozwoliłem jej wskazywać drogę. Tak jak przypuszczałem, zaprowadziła nas prosto do gospody.

Dorcas spała w tym samym pokoju, w którym ją zostawiłem. Nie budziłem jej, tylko usiadłem na zydłu w pobliżu łóżka, postawiwszy uprzednio na małym stoliku butelkę i szklankę, które zabrałem z sali na parterze. Nie wiem, co to było za wino, ale wydawało mi się bardzo mocne, kiedy brałem je do ust, przy przełykaniu zaś przypominało czystą wodę. Kiedy Dorcas wreszcie się obudziła, butelka była już j w połowie pusta, ja natomiast czułem się tak, jakbym przez cały czas pił szербet.

Dziewczyna usiadła raptownie w łóżku, po czym z westchnieniem ulgi opadła na poduszkę.

- Powinam była się domyślić, że to ty, Severianie.

- Przepraszam, jeżeli cię przestraszyłem. Przyszedłem tylko zobaczyć, jak się czujesz.

- To miło z twojej strony. Mam wrażenie, że zawsze, kiedy się budzę, ty pochylasz się nade mną. - Na chwilę ponownie przymknęła oczy. - W tych butach na grubej podeszwie poruszasz się tak j cicho, że prawie cię nie słychać. Między innymi dlatego ludzie boją się ciebie.

- Powiedziałaś kiedyś, że przypominam ci wampira, ponieważ jadłem owoc granatu i usta ociekały mi czerwonym sokiem. Pamiętasz?

(Było to na łące w obrębie Muru Nessus, gdzie spędziliśmy noc obok sceny wzniesionej przez doktora Talosa, na śniadanie zaś raczyliśmy się owocarni porzuconymi poprzedniego wieczoru przez uciekających w popłochu widzów).

- Tak - odparła Dorcas. - Zapewne chciałbyś, żebym znowu śmiała się i żartowała, prawda? Obawiam się, że to niemożliwe.

- Masz ochotę na wino? Nic nie kosztuje i nawet nie jest takie złe.

- Żeby poprawić sobie nastrój? Nie, dziękuję. Moim zdaniem należy pić wtedy, kiedy już jest się w dobrym humorze. W przeciwnym razie smutek tylko ulega zwielokrotnieniu.

- Chociaż jeden łyk. Gospodyni mówi, że przez cały dzień nic nie jadłaś.

Okolona złocistymi włosami głowa Dorcas poruszyła się na poduszce, kiedy dziewczyna zwróciła ją w moim kierunku. Wyglądało na to, że nie będzie już spała, toteż wstałem i zapaliłem świecę.

- Masz na sobie swój katowski strój. Z pewnością nieźle ją przestraszyłeś.

- Wcale się mnie nie bała. Bez przerwy pociąga z kubka, a nalewa do niego wszystko, co nawinie jej się pod rękę.

- Była dla mnie bardzo miła. To dobra kobieta. Nie miej jej za złe, jeżeli o tej porze sięgnęła po coś mocniejszego.

- Nie mam jej niczego za złe. Może byś jednak coś zjadła? Przyniosę ci z kuchni, co tylko zechcesz.

Dorcas uśmiechnęła się słabo.

- Szkoda twojej fatygi. Przez cały dzień wymiotowałam.. To właśnie miała na myśli gospodyni, kiedy powiedziała ci, że byłam chora. Niczego nie poczułeś? Biedna kobieta starała się jak mogła, żeby wszystko posprzątać. - Umilkła na chwilę i pociągnęła nosem. - Ja natomiast coś czuję. Co to może być? Przypalony materiał? A może świeca? Wątpię, czy uda ci się przyciąć knot tym wielkim mieczem.

- Wydaje mi się, że to mój płaszcz - odparłem. - Znalazłem się zbyt blisko ognia.

- Poprosiłabym cię, żebyś otworzył okno, gdyby nie to, że już jest otwarte. Sprawiasz wrażenie, jakby cię to niepokoiło. Podmuchy wiatru Poruszają płomieniem świecy, ale chyba nie boisz się ruchomych cieni?

- Nie. Jedyne, czego się boję, to patrzeć prosto w płomień.

- Sądząc z wyrazu twojej twarzy, czujesz się w jego pobliżu tak samo, jak ja nad wodą.

- A jednak dziś po południu znalazłem cię siedzącą na brzegu rzeki.

- Wiem - powiedziała Dorcas i umilkła. Cisza trwała tak długo, iż zacząłem się obawiać, że Dorcas nigdy już się nie odezwie.

- Zdziwiłem się, widząc cię w tym miejscu - przemówiłem wreszcie. - Długo ci się przyglądałem, zanim nabrałem pewności, że to właśnie ty, choć szukałem cię od dłuższego czasu.

- Wymiotowałam, Severianie... A może już ci o tym mówiłam?

- Owszem.

- Wiesz, czym wymiotowałam?

Wpatrywała się w niski sufit, a ja odniosłem wrażenie, iż wraz z nią w małym pokoju przebywa jakiś inny Severian, łagodny i szlachetny, który istniał wyłącznie w jej wyobraźni.

Wydaje mi się, że każde z nas, prowadząc z kimś intymną rozmowę, zwraca się w gruncie rzeczy do wyobrażenia, jakie ma o tym człowieku. Teraz jednak wydawało mi się, że Dorcas mówiłaby dalej nawet wtedy, gdybym wyszedł z pokoju.

- Nie. Może wodą?

- Pociskami do procy.

Uznałem, że to jakaś metafora, powiedziałem więc ostrożnie:

- To musiało być niezbyt przyjemne.

Jej głowa ponownie zwróciła się w moją stronę i ujrzałem szeroko otwarte błękitne oczy o wielkich źrenicach tak pustych, jakby były dwoma duchami.

- Prawdziwymi pociskami do procy, mój drogi. Ciężkimi metalowymi kroplami średnicy orzechów i długości kciuka. Wysypały mi się z gardła do wiadra, ja zaś wyciągnęłam je stamtąd, z nieczystości, które leciały wraz z nimi. Kobieta zabrała wiadro, ale ja zdążyłam wytrzeć pociski i schować je przed nią. Są dwa i leżą w szufladce tego stolika. Otwórz ją, jeśli chcesz je zobaczyć.

Nie bardzo rozumiałem, o czym właściwie Dorcas mówi, i zapytałem, czy podejrzewa, że ktoś usiłował ją otruć.

- Och nie, skądże znowu. Nie otworzysz szuflady? Przecież jesteś taki odważny. Nie chcesz ich obejrzeć?

- Wierzę ci. Jeżeli mówisz, że są tam pociski do procy, to znaczy, że są.

- Ale nie wierzysz, że je zwymiotowałam. Nie mam ci tego za złe. Słyszałam kiedyś opowieść o córce myśliwego zakłętej przez lamparta; za każdym razem, gdy otwierała usta, żeby coś powiedzieć, sypały się z nich czarne paciorki. Potem zakłęcie przeniosło się na żonę jej brata, tyle tylko, że zamiast paciorków pojawiły się ropuchy. Wówczas nie wierzyłam w tę historię.

- Jak to możliwe, żeby ktoś wymiotował ołowiem?

Dorcas roześmiała się, ale w jej głosie nie było ani śladu wesołości.

- To naprawdę bardzo proste. Wiesz, co dzisiaj zobaczyłam? Wiesz, dlaczego nie mogłam mówić, kiedy mnie znalazłeś? Naprawdę nie mogłam, Severianie, przysięgam. Myślałeś, że rozgniewałam się na ciebie i zawzięłam w uporze, a tymczasem ja byłam jak niemy kamień, ponieważ nagle wszystko

straciło dla mnie znaczenie i wcale nie jestem pewna, czy już je odzyskało. Wybacz jednak, że ośmieliłam się zażartować z twojej odwagi. Doskonale wiem, że jesteś bardzo dzielny - chodzi tylko o to, że wcale mi się taki nie wydajesz, kiedy robisz różne straszne rzeczy więźniom w Vinculi... Byłeś niezwykle odważny walcząc z Agilusem, a także później, kiedy nie zawahałbyś się przeciwstawić Baldandersowi, ponieważ wydawało ci się, że olbrzym zabije Jolentę... - Umilkła, po czym z jej piersi wyrwało się głębokie westchnienie. -

Och, Severianie, jestem taka zmęczona!

- Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać - powiedziałem. - To znaczy o więźniach.

Musisz mnie zrozumieć, nawet jeżeli nie będziesz mogła mi wybaczyć. To był mój zawód, do którego przygotowywano mnie od najwcześniejszego dzieciństwa.

- Już mi to mówiłeś, a ja ci uwierzyłam. Naprawdę.

- Ale nie rozumiałaś. Torturowanie i wykonywanie egzekucji jest sztuką, ja zaś mam do tego talent, dar, powołanie, czy jak tam chcesz sobie to nazwać. Weźmy na przykład ten miecz...

Zresztą, nie tylko on. Wszystkie narzędzia, jakich używamy, zdają się ożywać, kiedy biorę je do ręki. Gdybym został w Cytadeli, mógłbym już być mistrzem. Słuchasz mnie? Czy to wszystko, co mówię, znaczy cokolwiek dla ciebie?

- Tak - odparła. - Cokolwiek. Chce mi się pić. Mógłbyś nalać mi trochę tego wina?

Postąpiłem zgodnie z jej życzeniem, napełniając szklankę tylko w jednej czwartej, gdyż obawiałem się, że mogłaby wylać jej zawartość na pościel.

Dorcas usiadła w łóżku - aż do tej chwili nie byłem pewien, czy będzie zdolna do takiego wysiłku - a kiedy wysączyła wino do ostatniej kropli, cisnęła szklankę przez okno.

- Nie chcę, żebyś pił po mnie - wyjaśniła. - Musiałam to zrobić, bo wiem, że na pewno byś mnie nie posłuchał.

- A więc uważasz, że twoja choroba jest zaraźliwa?

Roześmiała się ponownie.

- Tak, ale ty też już na nią zapadłeś, Severianie. Zaraziłeś się nią od matki. Ta choroba to śmierć. Nie zapytałeś jednak, co właściwie dzisiaj zobaczyłam.

ROZDZIAŁ XI

REKA PRZESZŁOŚCI

Jak tylko Dorcas powiedziała: „Nie zapytałeś jednak, co właściwie dzisiaj zobaczyłam”, uświadomiłem sobie, że przez cały czas starałem się nie dopuścić do poruszenia tego tematu.

Miałem przeczucie, iż sprawa, do której Dorcas przywiązuje ogromne znaczenie - tak jak szaleńcy przywiązują znaczenie do kształtu śladów pozostawionych przez dżdżownice w wilgotnej ziemi, twierdząc, jakoby były to znaki tajemnego pisma - dla mnie okaże się mało ważna.

- Wydawało mi się, że będzie lepiej, jeśli przestaniesz o tym myśleć.

- Z pewnością, ale to zupełnie niemożliwe. Otóż widziałam... fotel.

- Fotel?

- Tak, stary fotel. A oprócz tego stół i kilka innych rzeczy. Zdaje się, że przy Ulicy Tokarzy jest sklep, gdzie sprzedaje się stare meble eklektykom oraz tym spośród autochtonów, którzy przejęli wystarczająco dużo naszej kultury, aby pragnąć wejść w ich posiadanie.

Zapotrzebowanie jest duże, nie ma natomiast źródła, które mogłoby je zaspokoić, w związku z czym dwa lub trzy razy w roku właściciel wyrusza wraz z synami do Nessus, a dokładniej do jego opustoszałych, południowych dzielnic, by załadować łódź po brzegi towarem. Wiem, że tak robi, bo z nim rozmawiałam. Są tam tysiące pustych domów. Niektóre dawno temu zamieniły się w ruiny, wiele jednak wygląda tak jak w chwili, kiedy opuścili je właściciele. Większość została już splądrowana, lecz nadal można znaleźć w nich różne przedmioty ze srebra, a nawet klejnoty, nie wspominając o meblach.

Wydawało mi się, że lada chwila z oczu Dorcas popłyną łzy, pochyliłem się więc, aby pogłaskać ją po głowie, lecz ona posłała mi spojrzenie świadczące o tym, że nie życzy sobie, abym to robił.

- Są domy, gdzie wszystko nadal stoi na swoim miejscu i te są najlepsze, jak mi powiedział. Jego zdaniem niektóre rodziny - a może mieszkali tam samotni ludzie? - nie wyprowadziły się z dzielnicy nawet wtedy, kiedy życie zupełnie w niej zamarło. Byli za starzy, żeby się przenosić, albo zbyt uparci. Zastanawiałam się nad tym i doszłam do wniosku, że zapewne niektórzy z nich nie potrafili rozstać się z czymś, czego nie mogli zabrać ze sobą, na przykład z grobem przodków.

Zabarykadowali okna i drzwi, w mieszkaniach zaś trzymali psy i różne inne, znacznie groźniejsze stworzenia, które miały ich strzec. Wreszcie jednak i oni ruszyli w drogę albo też umarli, zwierzęta zaś pożarły ich ciała i wydostały się na wolność, ale wówczas nie miało to większego znaczenia, ponieważ dzielnica była zupełnie pusta. Aż do chwili, kiedy pojawili się w niej sprzedawca mebli i jego synowie.

- Z pewnością musi być wiele starych foteli - wtrąciłem.

- Nie takich jak ten. Znam go dokładnie, każdy ornament rzeźbionych nóg i wzór obić na podłokietnikach. Od razu go sobie przypomniałam, a później, kiedy zwróciłam te kawałki ołowiu podobne do twardych, ciężkich nasion... wtedy dopiero zrozumiałam. Czy pamiętasz, Severianie, jak wyszliśmy z Ogrodów Botanicznych? Jak tylko ty, Agia i ja opuściliśmy to ogromne szklane wiwarium, wynajęłaś łódź, która przewiozła nas z wyspy na brzeg. Na rzece rosło mnóstwo nenufarów o błękitnych kwiatach i lśniących zielonych liściach. Ich nasiona są właśnie takie: twarde, ciężkie i prawie czarne. Podobno opadają na dno Gyoll, by czekać tam na koniec świata, ale kiedy przypadkiem znajdują się blisko powierzchni, zaczynają kiełkować bez względu na to, jak bardzo są

stare, dzięki czemu światło dzienne mogą czasem ujrzeć kwiaty nawet sprzed wielu tysięcy lat.

- Ja także o tym słyszałem - odparłem. - Nie wydaje mi się jednak, żeby miało to dla nas jakiegokolwiek znaczenie.

Dorcas leżała bez ruchu, ale w jej głosie pojawiło się wyraźne drżenie.

- Co sprawia, że wracają do życia? Potrafisz mi to wyjaśnić?

- Może słoneczne światło... Nie, chyba nie wiem.

- A czy istnieje jakieś inne jego źródło oprócz słońca?

Wtedy zrozumiałem, do czego Dorcas zmierza, choć jakaś cząstka mojej duszy nadal nie chciała się z tym pogodzić.

- Kiedy ten człowiek, Hildegrin - spotkaliśmy go później na dachu grobowca w kamiennym mieście - wiozł nas swoją łodzią przez Ptasie Jezioro, opowiadał o milionach nieżywych ludzi, których ciała utopiono w wodzie. W jaki sposób te ciała mogły utonąć, Severianie? Przecież zwłoki powinny unosić się na powierzchni wody. Czym je obciążono?

Wiesz może? Bo ja nie wiem.

Wiedziałem.

- Wpychają im ołów do gardeł.

- Tak właśnie myślałam. - Mówiła tak cicho, że nawet w tym małym pokoju z trudem słyszałem jej głos. - Nie, ja też wiedziałam. Zrozumiałam to od razu, jak tylko zobaczyłam te ołowiane pociski.

- Uważasz, że Pazur Łagodziciela przywrócił ci życie.

Dorcas skinęła głową.

- Przyznaję, że istotnie czasem działał w ten sposób, ale tylko wówczas, kiedy go wyjąłem, a i to nie zawsze. Kiedy wyciągnęłaś mnie z wody w Ogrodzie Wiecznego Snu, znajdował się w mojej sakwie, a ja nawet nie wiedziałem, że tam jest.

- Severianie, kiedyś pozwoliłeś mi wziąć go do ręki. Czy mogę zobaczyć go raz jeszcze?

Wydobyłem Pazur ze skórzanego woreczka na piersi i uniosłem wysoko. Błękitny płomień ledwo się żarzył, ale bez trudu dostrzegłem ostry, zakrzywiony cień, od którego klejnot wziął swoją nazwę. Dorcas wyciągnęła rękę, lecz ja pokręciłem głową, pamiętając, jaki los spotkał szklanekę.

- Myślisz, że wyrządę mu krzywdę, prawda? Nie zrobię nic takiego. To byłoby świętokradztwo.

- Jeżeli wierzysz w to, co mówisz, a chyba wierzysz, to chyba nienawidzisz go za to, że obudził cię...

- Ze śmierci. - Ponownie wpatrywała się w sufit, uśmiechając się przy tym tajemniczo, jakby dzieliła z nim jakiś głęboki, a zarazem zabawny sekret. - Dalej, wypowiedz to słowo. Nie ugryzie cię.

- ...ze snu - dokończyłem. - Nie jest śmiercią, skoro można się z niego obudzić. W

każdym razie nie jest śmiercią w tym sensie, o jakim myślimy wypowiadając słowo „śmierć”.

Muszę jednak przyznać, iż bardzo trudno mi uwierzyć, żeby Łagodzieciel, sam nieżywy przecież od wielu tysięcy lat, za pomocą tego małego kamyka miał wskrzeszać zmarłych.

Dorcas nie odpowiedziała. Nie wiedziałem nawet, czy w ogóle mnie słucha.

- Wspomniałaś o Hildegrii i o naszej podróży przez jezioro po kwiat zemsty. Pamiętasz, co powiedział wtedy o śmierci? Że jest dobrą przyjaciółką ptaków. Powinniśmy byli wtedy zrozumieć, że nie jest taka, jaką ją sobie wyobrażamy.

- Czy pozwolisz mi wziąć Pazur do ręki, jeśli przysięgnę, że wierzę w to wszystko?

Jeszcze raz pokręciłem głową.

Dorcas nie patrzyła na mnie, ale chyba dostrzegła poruszenie mojego cienia albo też jej wymyślony Severian zrobił to samo co ja, gdyż powiedziała:

- Masz rację, bo zniszczyłabym go, gdybym mogła. Mam ci wyznać, w co naprawdę wierzę? Otóż wierzę, że byłam martwa. Nie spałam, tylko po prostu byłam martwa. Że przed śmiercią, która nastąpiła bardzo dawno temu, mieszkałam z mężem i dzieckiem nad małym sklepikiem oraz że twój Łagodzieciel był żadnym przygód śmiałkiem należącym do jednej ze starożytnych ras, które przetrwały powszechną zagładę. - Zaciśnęła ręce na krawędzi koca. -

Pytam cię, Severianie: czy to nie on zostanie nazwany Nowym Słońcem, kiedy zjawi się powtórnie? Wierzę też, że gdy zjawił się po raz pierwszy, miał ze sobą coś, co dawało mu taką samą władzę nad czasem, jaką ojcu Inire dają nad przestrzenią jego słynne zwierciadła. Tym czymś był klejnot, który teraz znajduje się w twoim posiadaniu.

Umilkła i popatrzyła na mnie wyzywająco, ale ja nie zareagowałem.

- Żołnierz zabity przez notule ożył dlatego, że Pazur cofnął go w czasie do chwili, kiedy jeszcze był żywy. Rany twojego przyjaciela zagoiły się tak szybko, ponieważ Pazur przyspieszył

bieg czasu. Kiedy w Ogrodzie Wiecznego Snu wpadłeś do wody, Pazur zapewne dotknął moich zwłok i sprawił, że przeniosłam się do czasu, w którym żyłam, a więc życie zaczęło się dla mnie od nowa - co jednak w niczym nie zmienia faktu, że bardzo długo byłam tylko skurczonymi zwłokami zakonserwowanymi w brązowej wodzie. Aż do dzisiaj pozostało we mnie coś martwego.

- W każdym z nas jest coś martwego - odparłem. - Właśnie dlatego wiemy, że kiedyś musimy umrzeć. Tylko małe dzieci nie zdają sobie z tego sprawy.

- Muszę wrócić, Severianie. Zdałam sobie z tego sprawę i to właśnie staram ci się powiedzieć. Muszę wrócić, żeby dowiedzieć się, kim byłam, co robiłam i co się ze mną stało.

Wiem, że ty nie możesz ze mną iść...

Skinąłem głową.

- I nie proszę cię o to. Chyba nawet nie chciałabym, żebyś to zrobił. Kocham cię, ale ty jesteś innym rodzajem śmierci, która co prawda zaprzyjaźniła się ze mną tak jak śmierć z jeziora, ale nadal jest śmiercią. Nie chcę mieć jej za towarzysza, kiedy udam się na poszukiwanie swojego życia.

- Rozumiem cię.

- Kto wie, może moje dziecko jeszcze żyje? Teraz jest już zapewne starym człowiekiem, ale mimo wszystko muszę się tego dowiedzieć.

- Oczywiście - odparłem, po czym dodałem: - Kiedyś jednak powiedziałaś mi, że nie jestem śmiercią i że nie mogę pozwolić, aby fakt, że inni myślą o mnie w ten sposób, wpłynął na moją opinię o samym sobie. Było to w starym sadzie na terenach należących do Domu Absolutu, pamiętasz?

- Dla mnie mimo wszystko byłeś i jesteś śmiercią - stwierdziła. - Całkiem możliwe, iż sama wpadłam w pułapkę, przed którą cię ostrzegałam. A jeżeli nawet nie jesteś nią, to na zawsze pozostaniesz katem, a twoje ręce będą spływać krwią. Skoro tak dobrze pamiętasz naszą rozmowę w Domu Absolutu, być może... Nie, nie mogę tego powiedzieć. Wszystko, co mi się przytrafiło, zdarzyło się za sprawą Łagodziciela albo Pazura, albo Prastwórcy, nie za twoją.

- O co chciałaś zapytać?

- Pamiętasz, jak na leśnej polanie doktor Talos rozdzielił między nas pieniądze, które otrzymał od jakiegoś dworskiego dostojnika? W czasie podróży oddałam ci moją część. Czy teraz mogę ją odzyskać? Będę potrzebowała pieniędzy. Jeżeli nie masz całej kwoty, wezmę tyle, ile możesz mi dać.

Wysypałem na stolik zawartość sakiewki. Było tam właśnie tyle, ile dostałem od Dorcas, może trochę więcej.

- Dziękuję - powiedziała. - A tobie nie będą potrzebne?

- Nie tak bardzo jak tobie. Poza tym należą do ciebie.

- Wyruszę jutro, jeśli będę się czuła na siłach, albo pojutrze, bez względu na wszystko.

Wiesz może, jak często łodzie odpływają w dół rzeki?

- Tak często, jak tylko zechcesz. Wystarczy je pchnąć, a woda troszczy się o resztę.

- To niepodobne do ciebie, Severianie. Taką rzecz mógłby powiedzieć twój przyjaciel Jonas... A właśnie: nie jesteś pierwszym gościem, który dzisiaj przyszedł mnie odwiedzić. Przed tobą był tutaj

nasz, a raczej twój, przyjaciel Hethor. Chyba nie spodobał ci się mój żart, prawda?

Wybacz mi. Chciałam tylko zmienić temat.

- On to lubi. Uwielbia mnie oglądać.

- Tysiące ludzi oglądają cię, kiedy wstępujesz na szafot, a ty nie masz nic przeciwko temu.

- Oni przychodzą po to, żeby zaznać strachu, a potem cieszyć się, że żyją, oraz dlatego, że lubią nastrój ogólnego podniecenia i liczą na to, że dojdzie do jakiegoś makabrycznego wypadku.

Jeżeli o mnie chodzi, to interesuje mnie jedynie perfekcyjne wykonywanie moich obowiązków.

Hethorowi zależy na czymś innym.

- Na bólu?

- Tak, ale nie tylko.

- On cię uwielbia - powiedziała Dorcas. - Rozmawiał ze mną przez jakiś czas, a ja odniosłam wrażenie, że poszedłby za tobą w ogień. - Chyba dostrzegła na mojej twarzy grymas zniecierpliwienia, gdyż pospiesznie dodała: - Na myśl o Hethorze robi ci się niedobrze, prawda?

Lepiej pomówmy o czymś innym, bo wystarczy, że już ja dziś wymiotowałam.

- Mnie to z pewnością nie grozi, ale myśląc o Hethorze wciąż widzę go takim, jakiego ujrzałem go kiedyś z szafotu: z szeroko otwartymi ustami i oczami...

Poruszyła się w łóżku.

- Tak, te oczy... Dzisiaj też zwróciłam na nie uwagę. Są martwe, chociaż przypuszczam, że w moich ustach musi to brzmieć trochę głupio. Oczy trupa. Masz wrażenie, że gdybyś ich dotknął, okazałyby się suche jak kamienie i zupełnie nieruchome.

- Chyba nie masz racji, bo kiedy w Saltus spojrzałem na niego z szafotu, jego oczy tańczyły we wszystkie strony. Przed chwilą powiedziałaś, że puste oczy przypominają ci oczy trupa... Spoglądałaś kiedykolwiek w lustro? Twoje oczy są oczami żywej osoby.

- Być może. - Zastanawiała się przez chwilę. - Często powtarzałeś mi też, że są piękne.

- Czy nie cieszysz się tym, że żyjesz? Czy nie sprawia ci radości, że znowu tu jesteś, nawet jeżeli twój mąż i dziecko nie żyją, a dom zamienił się w ruinę, co zresztą wcale nie musi być prawdą? Nie jesteś duchem przywołanym z zaświatów, takim jak te, które widzieliśmy w kamiennym mieście. Spójrz w lustro, tak jak ci radziłem, a jeżeli nie chcesz, to w moją twarz lub w twarz jakiegokolwiek mężczyzny. Wtedy zrozumiesz, kim naprawdę jesteś.

Dorcas usiadła z jeszcze większym wysiłkiem niż wtedy, kiedy zgadzała się wypić nieco wina, tym

razem jednak zsunęła nogi na podłogę, a wtedy zobaczyłem, że pod cienkim kocem jest zupełnie naga. Zanim Jolenta zachorowała, jej skóra była jędrna i gładka jak jedwab; skórę Dorcas pokrywały małe, złociste piegi i odznaczały się pod nią wszystkie kości, a mimo to w swojej niedoskonałości wydawała mi się znacznie bardziej godna pożądania. Choć zdawałem sobie sprawę, jak niegodnie bym postąpił zmuszając ją, by mi się teraz oddała, kiedy była chora i kiedy już jutro miałem ją opuścić, to jednak ogarnęło mnie wielkie pragnienie, żeby jednak tak zrobić. Bez względu na to, jak bardzo - lub jak mało - kocham kobietę, pożadam jej najbardziej właśnie wtedy, kiedy nie mogę jej mieć. Jednak uczucie, jakie żywiłem wobec Dorcas, było silniejsze i bardziej złożone. Przez pewien czas była najbliższym przyjacielem, jakiego miałem w życiu, a nasze zbliżenia - od pośpiesznego, łapczywego zaspokajania żądz w dawnym magazynie w Nessus, aż po długie i leniwe igraszki w sypialni w Vinculi - stanowiły spełnienie nie tylko naszej miłości, ale także przyjaźni.

- Ty płaczesz - powiedziałem. - Chcesz, żebym sobie poszedł?

Potrząsnęła głową, a potem, jakby nie mogła już powstrzymać słów cisnących się jej na usta, wyszeptała:

- Dlaczego nie pójdziesz ze mną, Severianie? Ja naprawdę tak nie myślałam. Dlaczego nie pójdziesz ze mną?

- Nie mogę.

Opadła z powrotem na wąskie łóżko, mniejsza niż przedtem i bardziej podobna do dziecka.

- Wiem. Masz zobowiązania wobec swojej konfraterni. Gdybyś zdradził ją ponownie, nie mógłbyś z tym żyć, a ja nie powinnam nawet o to prosić. Tyle tylko, iż nigdy nie straciłam nadziei, że jednak to uczynisz.

Ponownie pokręciłem głową.

- Muszę uciekać z miasta...

- Severianie!

- ...i udać się na północ, podczas gdy ty podążysz na południe. Gdybym poszedł z tobą, wkrótce dogoniłyby nas łodzie pełne żołnierzy.

- Severianie, co się stało?

Twarz Dorcas była spokojna, ale jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

- Puściłem wolno pewną kobietę, którą powinienem był udusić i wrzucić do rzeki.

Zrobiłbym to, gdyż nic do niej nie czułem, a zadanie nie należało do trudnych, ale kiedy zostałem z nią sam na sam, pomyślałem o Thecli. Byliśmy w małej altanie nad wodą i już położyłem ręce na jej szyi, lecz właśnie wtedy przypomniałem sobie, jak bardzo pragnąłem zwrócić wolność Thecli, a mimo to nie potrafiłem tego uczynić. Opowiadałem ci kiedyś, jak to było?

Dorcas prawie niezauważalnie skinęła głową.

- Wszędzie kręcili się bracia, tak że nawet gdybym wybrał najkrótszą drogę, musiałbym minąć co najmniej pięciu z nich, a wszyscy o nas wiedzieli. (W jakimś odległym zakątku mego umysłu rozległ się przeraźliwy krzyk Thecli). Wystarczyło powiedzieć im, że mistrz Gurloes polecił mi przyprowadzić ją do siebie, ale wówczas musiałbym z nią pójść, a ja chciałem jednak pozostać w konfraterni. Chyba nie kochałem jej tak bardzo, jak mi się wydawało.

- To już przeszłość, Severianie - odparła Dorcas. - A śmierć wcale nie jest taka okropna, jak myślisz.

Zamieniliśmy się rolami jak dzieci, które zgubiły drogę i pocieszają się nawzajem.

Wzruszyłem ramionami. Duch, którego wchłonałem podczas uczyty u Vodalusa, już się prawie uspokoił. Czułem na swoich myślach dotyk długich chłodnych palców i choć nie mogłem jej zobaczyć, to wiedziałem, że zaraz za moimi oczami znajdują się jej oczy, głębokie i fioletowe.

Niewiele brakowało, a odezwałbym się głosem Thecli.

- W każdym razie byłem w altanie z tą kobietą. Miała na imię Cyriaca. Podejrzewałem, że wie, gdzie aktualnie przebywają Peleryny, gdyż przez jakiś czas podróżowała z nimi po kraju.

Istnieją sposoby zadawania tortur, które nie wymagają żadnych narzędzi, i choć niespecjalnie efektowne, są bardzo efektywne. Miałem już zastosować coś, co w naszym bractwie nazywamy Pałeczką Humbaby, ale zanim zdążyłem jej dotknąć, wszystko mi powiedziała. Peleryny przebywają obecnie w rejonie przełęczy Orithiya, gdzie opiekują się rannymi. Zaledwie tydzień temu Cyriaca otrzymała list od kobiety, która pozostała w zakonie.

ROZDZIAŁ XII

ZA WODĄ

Altana miała solidny dach i ażurowe ściany z desek, wypełnione gęstymi liśćmi wysokich paproci rosnących wokół budynku. Do wnętrza zewsząd przedostawały się promienie księżyca, ale najjaśniej było przy wejściu, gdyż tam docierał także zielonkawy blask odbity od powierzchni wody. Widziałem lęk malujący się na twarzy kobiety oraz świadomość, iż może liczyć tylko na to, że w głębi serca żywie dla niej cieplejsze uczucia. Mogła wyzbyć się wszelkiej nadziei, gdyż moje serce było zupełnie puste.

- W obozie Autarchy - powtórzyła. - Tak napisała Einhildis. Koło przełęczy Orithiya, blisko źródeł Gyoll. Ale musisz być bardzo ostrożny, jeżeli udasz się tam, aby oddać książkę.

Podobno gdzieś na północy niedawno wylądowali kakogeni.

Przyglądałem się jej, próbując ustalić, czy kłamie, czy też mówi prawdę.

- Wiem to od Einhildis. Przypuszczalnie chcieli znaleźć się poza zasięgiem zwierciadeł z Domu Absolutu, a tym samym umknąć uwagi Autarchy. Podobno jest ich sługą, choć czasem zachowuje się

tak, jakby było dokładnie na odwrót.

Chwyciłem ją za ramiona i potrząsałem mocno.

- Kpisz sobie ze mnie? Autarcha miałby im służyć?

- Proszę...

Pchnąłem ją na podłogę altany.

- Wszyscy... Na Erebl! Wybacz mi. - Chociaż leżała w cieniu, dostrzegłem, jak ociera nos i oczy skrajem szkarłatnego habitu. - Wszyscy o tym wiedzą, może z wyjątkiem wieśniaków i prostego ludu. Szlachta, większość optymatów, i naturalnie arystokracja. Nigdy nie widziałam Autarchy, ale słyszałam, że wicekról Nowego Słońca jest niewiele wyższy ode mnie. Czy naprawdę uważasz, że nasi dumni arystokraci zgodziliby się służyć komuś takiemu, gdyby nie miał poparcia tysiąca armat?

- Ja go widziałem, i też się nad tym zastanawiałem. Grzebałem we wspomnieniach Thecli w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby potwierdzić słowa kobiety, ale natrafiałem tylko na plotki.

- Opowiesz mi o nim, Severianie? Proszę, zanim...

- Nie teraz. Dlaczego jednak miałoby mi grozić jakieś niebezpieczeństwo ze strony kakogenów?

- Ponieważ Autarcha z pewnością roześle patrole, żeby ich odnaleźć, a tak samo uczyni zapewne tutejszy archont. Każdy, kogo schwytają w ich pobliżu, będzie podejrzany o współpracę z nimi albo, co gorsza, o to, że starał się dotrzeć do nich na własną rękę, by zaproponować im udział w spisku przeciwko Tronowi Feniksa.

- Rozumiem.

- Severianie, błagam cię, nie zabijaj mnie. Nie jestem dobrą kobietą - nigdy nią nie byłam, odkąd odłączyłam się od Peleryn - i nie mogę stanąć twarzą w twarz ze śmiercią.

- A co takiego właściwie zrobiłaś? - zapytałem. - Dlaczego Abdiesus postanowił cię usunąć?

Uduszenie kogoś, kto nie ma silnych mięśni karku, nie nastrocza najmniejszych problemów; rozgrzewałem już sobie ręce, szykując się do wykonania zadania, choć szczerze mówiąc wolałbym, żeby pozwolono mi skorzystać z miecza.

- Dlatego, że oprócz męża kochałam zbyt wielu mężczyzn. Jakby na wspomnienie swoich dokonań Cyriaca podniosła się i ruszyła w moją stronę. Światło księżyca ponownie padło na jej twarz: w oczach błyszczały łzy.

- Po ślubie był dla mnie bardzo okrutny, wzięłam więc sobie kochankę, żeby zrobić mu na złość, a potem następnego...

(Mówiła coraz ciszej, aż wreszcie z trudem rozróżniałem słowa).

- W końcu weszło mi to w krew, stając się sposobem spędzania czasu i udowadniania przed sobą, że życie jeszcze nie przeciekło mi między palcami, że jestem jeszcze na tyle młoda, by mężczyźni przynosili mi prezenty i gładzili moje włosy. Bądź co bądź, po to właśnie odeszłam od Peleryn. - Umilkła i przez chwilę zdawała się zbierać siły. - Czy wiesz, ile mam lat? - zapytała wreszcie. - Powiedziałam ci?

- Nie.

- Więc nie powiem, ale mogłabym być twoją matką, gdybym zaszła w ciążę w pierwszym lub drugim roku po tym, jak stało się to możliwe. Przebywałyśmy wówczas daleko na południu, gdzie wielkie lodowe góry, błękitne i białe, żeglują po czarnym morzu. Często obserwowałam je ze szczytu niewysokiego wzgórza, marząc o tym, by założyć ciepły strój i popłynąć ku nim łodzią z zapasem żywności oraz tresowanym ptakiem, którego nigdy nie miałam, a którego zawsze pragnęłam, a potem pożeglować na własnej lodowej górze na północ, ku porośniętym palmami wyspom, gdzie odkryłabym ruiny zamku zbudowanego u zarania dziejów. Być może urodziłbyś się właśnie wtedy, kiedy byłabym sama na lodowej górze. Dlaczego zmyślane dziecko nie mogłoby przyjść na świat podczas zmyślanej podróży? Dorastałbyś łowiąc ryby i pływając w wodzie cieplejszej od mleka.

- Nikt nie zabija kobiety za zdradę, chyba że jej mąż - powiedziałem.

Cyriaca westchnęła ciężko i wróciła myślami do rzeczywistości.

- Jest jednym z nielicznych posiadaczy ziemskich w okolicy, którzy popierają archonta.

Większość ma nadzieję, że okazując mu nieposłuszeństwo i podburzając eklektyków zdołają przekonać Autarchę, by zastąpił go kimś innym. Ja tymczasem wystawiłam męża na po-

śmiewisko, a wraz z nim jego przyjaciół i samego archonta.

Dzięki wspomnieniom Thecli ujrzałem wiejską willę, w połowie luksusową rezydencję, a w połowie warowną twierdzę, z licznymi pokojami, których wygląd nie zmienił się od dwustu lat. Usłyszałem szczebiotliwe głosy kobiet i pokrzykujących mężczyzn, dźwięk myśliwskiego rogu i basowe ujadanie psów. Do tego właśnie świata miała zamiar uciec moja Thecla, ja zaś poczułem głębokie współczucie dla stojącej przede mną kobiety, które spędziła w nim całe życie, nieświadoma istnienia innego, znacznie bardziej interesującego.

Tak jak w najgłębszych podziemiach Domu Absolutu jest ukryta komnata przesłuchań ze sztuki doktora Talosa, tak samo w najgłębszych zakamarkach duszy każdego z nas znajduje się coś w rodzaju kasy, do której przychodzimy, by spłacić długi przeszłości fałszywymi pieniędzmi teraźniejszości. Tam właśnie przyniosłem życie tej kobiety, by zapłacić nim za życie Thecli.

Wyszliśmy z altany. Cyriaca prawdopodobnie przypuszczała, że zamierzam zabić ją na brzegu Acis, ale ja wskazałem na wodę i powiedziałem:

- Ta rzeka płynie szybko na południe, by połączyć się z Gyoll, która znacznie bardziej dostojnie przepływa przez Nessus, a wreszcie wpada do południowego morza. Każdy, kto tego pragnie, może

przez całe życie ukrywać się w labiryncie Nessus i nigdy nie zostanie odnaleziony, gdyż jest tam niezliczona liczba ulic, placów i zaułków, nie wspominając już o domach i pałacach, na każdym kroku zaś spotyka się ludzi o najrozmaitszych twarzach. Czy jesteś gotowa podjąć to ryzyko, nawet gdybyś miała znaleźć się tam ubrana tak jak teraz, bez pieniędzy i przyjaciół?

Skinęła głową, nieświadomie przesuwając białą dłońią po szyi.

- Pod Capulusem nie ma jeszcze bariery uniemożliwiającej ruch łodzi, gdyż Abdiesus wie, że przed połową lata nikt nie odważy się spróbować ataku od strony rzeki, walcząc z jej porywistym nurtem. Możesz jednak utonąć podczas przepływania pod murem, a kiedy dotrzesz do Nessus, będziesz musiała zarabiać na życie, na przykład jako praczka lub kucharka.

- Potrafię czesać i szyć. Severianie, słyszałam od kogoś o najstraszliwszej torturze, jaką stosujecie czasem na samym końcu, mówiąc więźniowi, że będzie wolny. Jeżeli to właśnie czynisz, proszę cię, abys przestał.

- Coś takiego mówi czasem pocieszyciel albo inny duchowny. Katowi nikt by nie uwierzył. Jednak zanim cię uwolnię, muszę mieć pewność, że nie wrócisz do domu ani nie będziesz próbowała uzyskać przebaczenia od archonta.

- Jestem niemądrą kobietą, ale nawet ja nie zrobiłabym takiego głupstwa.

Doszliśmy brzegiem rzeki do miejsca, gdzie zaczynały się schody pilnowane przez strażników i stały małe, pomalowane jaskrawymi barwami łódki. Powiedziałem jednemu z żołnierzy, że chcemy zażyć przejażdżki po rzece, a następnie zapytałem, czy jego zdaniem uda nam się wynająć wioślarzy, którzy odwiozą nas z powrotem do pałacu. Strażnik odparł, że możemy zostawić łódkę przy Capulusie i wrócić fiakrem. Kiedy odwrócił się, aby powiedzieć coś do swego towarzysza, nachyliłem się i niepostrzeżenie zdjąłem cumę z pachołka.

- Teraz więc musisz uciekać na północ, a ja zabrałam ci wszystkie pieniądze - zauważyła Dorcas.

Wstałem z miejsca.

- Nie będę ich potrzebował, a w razie czego na pewno uda mi się coś zarobić.

- Weź przynajmniej połowę.

Potrząsnąłem głową.

- W takim razie chociaż dwa chrisos. Mogę sprzedawać swoje ciało albo nawet kraść, gdyby doszło do najgorszego.

- Jeżeli przyłapią cię na kradzieży, obetną ci rękę. Lepiej, żeby to ja obcinał ręce, by zarobić na obiad, niż ty miałabyś stracić swoje z tego samego powodu.

Odwróciłem się, by odejść, ale ona wyskoczyła z łóżka i chwyciła skraj mego płaszcza.

- Uważaj na siebie, Severianie. Po mieście grasuje jakiś stwór, którego Hethor nazwał salamandrą. Cokolwiek to jest, pali swoje ofiary żywym ogniem.

Odparłem, że znacznie bardziej niż salamandry lękam się żołnierzy archonta, i wyszedłem, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej. Jednak podążając w górę wąską uliczką, która, według zapewnień wioślarzy, powinna zaprowadzić mnie na szczyt urwiska, zastanawiałem się, czy moim największym wrogiem nie okażą się chłód panujący w górach oraz zamieszkujące je dzikie zwierzęta. Rozmyślałem również o Hethorze, usiłując dociec, dlaczego zdecydował się podążać za mną tak daleko na północ. Przede wszystkim jednak myślałem o Dorcas, o tym, czym ona była dla mnie, a ja dla niej. Miało minąć sporo czasu, zanim ponownie ją ujrzałem, i chyba już wówczas to przeczuwałem. Kiedy opuszczałem Cytadelę, nasunąłem kaptur na głowę, aby przechodnie nie dostrzegli uśmiechu na moich ustach; teraz postąpiłem podobnie, ale tym razem po to, by nikt nie zobaczył łez spływających mi po policzkach.

Zbiornik, z którego płynęła woda do Vinculi, oglądałem już wcześniej dwukrotnie, ale nigdy nocą. Wówczas wydawał mi się bardzo mały: dorównywał powierzchnią podstawie średniego domu, głębokością zaś płytkiemu grobowi. Jednak w blasku chudnącego księżyca przypominał niemal jezioro i mógł być równie głęboki jak zbiornik pod Wieżą Dzwonów.

Znajdował się zaledwie sto kroków od muru strzegącego miasta od zachodu. W murze tym były liczne wieże - jedna nawet blisko zbiornika - i bez wątpienia ich załogi dostały już rozkaz, aby zatrzymać mnie, gdybym próbował opuścić miasto. Posuwając się wzdłuż muru, poniżej krawędzi urwiska, kilkakrotnie dostrzegłem patrolujących go strażników. Co prawda mieli wyłączone lance, ale ich ozdobione wysokimi grzebieniami hełmy przesłaniały rozgwieżdżone niebo, czasem zaś odbijały zielonkawy blask księżyca.

Ukryłem się w cieniu skał, licząc na to, że nieprzenikniona czerń fuliginu uczyni mnie niewidzialnym. Z mojego punktu obserwacyjnego roztaczał się widok na całe miasto; natychmiast zauważyłem, że w przepływach pod Capulusem opuszczono żelazne kraty, gdyż Acis pieniała się gniewnie, napierając na przeszkody. To rozwiało wszelkie wątpliwości - Cyriaca została pojmana albo, co bardziej prawdopodobne, któryś ze strażników zauważył jej ucieczkę i zawiadomił zwierzchników. Należało się spodziewać, iż Abdiesusowi nie będzie zanadto zależało na pojmaniu kobiety, natomiast dołoży wszelkich starań, aby schwytać mnie i ukarać za zdradę, jakiej się dopuściłem.

Oderwałem wzrok od wzburzonej Acis i przeniosłem go na nieruchomą powierzchnię zbiornika, potem zaś wypowiedziałem hasło uruchamiające stawidło. Wiekowy mechanizm zazgrzytał, jakby zmusiły go do ruchu mięśnie niewidzialnych niewolników, po czym spokojna do tej pory woda ruszyła z ogromną szybkością. Zamknięci pod ziemią więźniowie bez wątpienia usłyszeli jej ryk, ci zaś, których przykuto najbliżej wejścia do lochów, ujrzeni zbliżającą się w błyskawicznym tempie spienioną falę. Chwilę później wszyscy stali już po kostki w wodzie, po kilku oddechach zaś jej poziom podniósł się do pasa. Ponieważ jednak wszyscy byli skuci solidnymi łańcuchami, a silniejsi z pewnością podtrzymywali słabszych, nikomu - taką przynajmniej miałem nadzieję - nie groziło utonięcie. Strażnicy z pewnością opuścili w po-

śpiechu stanowiska i pospieszyli na górę, aby schwytąć tego, kto ośmielił się majstrować przy zbiorniku.

Rzeczywiście, jak tylko wyciekły ostatnie krople wody, usłyszałem stukot kamieni toczących się po zboczu. Opuściłem stawidło, po czym zagłębiłem się w śliski, niemal pionowy tunel, którym przed chwilą płynęła woda. Byłoby mi znacznie łatwiej, gdybym nie miał ze sobą miecza; schodziłem zapierając się nogami i rękami o omszałe ściany, w związku z czym musiałem zarzucić sobie pendent na szyję i starać się nie dać pociągnąć kołyszącemu się we wszystkie strony ciężarowi. Dwa razy poślizgnąłem się, lecz na szczęście zaraz odzyskałem oparcie, ponieważ w korytarzu, a właściwie sztolni, znajdowały się liczne zakręty. Wreszcie, kiedy upłynęło już tak dużo czasu, iż byłem niemal pewien, że strażnicy zdążyli wrócić na stanowiska, ujrzałem czerwony blask pochodni i wyjąłem Pazur.

Po raz ostatni widziałem go świecącego tak jasnym blaskiem. Musiałem zmrużyć oczy i odwrócić głowę, a kiedy szedłem długim tunelem Vinculi trzymając rękę wysoko uniesioną w górę, mogłem się tylko dziwić, że nie zamieniła się jeszcze w zwęglony kikut. Chyba żaden z więźniów nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności. Pazur przykuł ich uwagę tak samo jak płonąca jasno lampa przykuwa nocą uwagę leśnych zwierząt. Stali bez ruchu z rozdziawionymi ustami i podniesionymi głowami, ich cienie zaś miały tak ostre krawędzie, jakby zostały wycięte z metalu i były czarne jak fuligin.

W końcowej części korytarza, tam gdzie woda spływała do szerokiej, kamiennej rury prowadzącej do rzeki poniżej Capulusa, trzymano najsłabszych, najbardziej schorowanych więźniów. Tam właśnie przekonałem się naocznie, jak wielką moc ma Pazur: mężczyźni i kobiety, którzy od dawna nie byli w stanie podnieść się na nogi, wstawali teraz bez najmniejszego trudu, szybko odzyskując siły. Pomachałem im, choć wątpię, aby ktokolwiek zwracał na mnie uwagę, a potem schowałem Pazur Łagodziciela do woreczka i zagłębiłem się w ciemność, przy której nawet najbardziej mroczna noc na powierzchni Urth musiała wydawać się jasnym dniem.

Rwący strumień wody splukał wszystkie nieczystości, ja zaś posuwałem się naprzód z mniejszymi trudnościami niż w sztolni, ponieważ ten odpływ, chociaż nieco węższy, był zarazem mniej stromy, w związku z czym mogłem pełznąć na czworakach głową naprzód. Co prawda u jego wylotu znajdowała się krata, ale podczas jednej z moich pierwszych inspekcji zauważyłem, iż jest niemal zupełnie przerdzewiała.

ROZDZIAŁ XIII

W GÓRY

Był już początek lata, kiedy szarym świtem oddalałem się pospiesznie od Capulusa, ale nawet o tej porze roku w górach robi się ciepło tylko wówczas, kiedy słońce znajduje się blisko zenitu. Mimo to nie odważyłem się zejść w doliny, gdzie przycupnęły nieliczne wioski, i przez cały dzień wędrowałem w górę, udrapowawszy uprzednio płaszcz na jednym ramieniu, tak by możliwie najbardziej upodobnić się do eklektyka. Rozmontowałem także Terminus Est, a następnie złożyłem go bez osłony, tak że z daleka, w pochwie z ludzkiej skóry, przypominał

laskę.

Około południa znalazłem się wśród nagich skał, teren zaś stał się tak stromy, że mój marsz zamienił się we wspinaczkę. Dwa razy daleko w dole dostrzegłem błysk pancerzy; dimarchowie, z rozwianymi szkarłatnymi płaszczami i w pełnym rynsztunku bojowym, penetrowali nawet takie zakamarki, gdzie trudno byłoby dotrzeć człowiekowi w znacznie lżejszym stroju. Nie udało mi się znaleźć ani jadalnych roślin, ani zwierzyny, z wyjątkiem krążących wysoko w powietrzu drapieżnych ptaków. Zresztą nie dysponowałem żadną bronią oprócz miecza, który z pewnością nie nadawał się do polowania.

Jednak na przekór wszystkiemu byłem oczarowany rozległymi górskimi widokami w tym królestwie skał i powietrza. Podobnie jak dzieci często nie potrafimy w pełni rozkoszować się pięknym widokiem, gdyż nie możemy porównać go z żadnym podobnym przeżyciem utrwalonym w naszej pamięci, a tym samym nie potrafimy wzbogacić przeżycia estetycznego o współbrzące z nim przeżycie psychiczne. Teraz jednak, kiedy spoglądałem na niknące w chmurach szczyty, miałem przed oczami panoramę Nessus roztaczającą się z Wieży Matachina oraz Thraxu, oglądaną z blanków Zamku Acies i choć głodny i zmęczony, nie posiadałem się z zachwytu.

Noc spędziłem skulony w skalnym załomie. Nic nie jadłem od chwili, kiedy przebierałem się w mojej kwaterze w Vinculi - wydawało mi się, że było to tygodnie, jeśli nie lata, temu.

Tymczasem w rzeczywistości zaledwie przed kilkoma miesiącami ukradłem z kuchni ostry nóż i dałem go Thecli, a potem zobaczyłem, jak spod drzwi jej celi wycieka strużka krwi, przypominająca pełznącą powoli, szkarłatną dżdżownicę.

Na szczęście znalazłem sobie dobrą kryjówkę. Skalny występ chronił mnie przed wiatrem, dzięki czemu dopóty, dopóki się zza niego nie wychylałem, mogłem wypocząć w całkiem znośnych warunkach, wdychając ostre, orzeźwiające powietrze.

Wydaje mi się, że mój pozbawiony marzeń sen trwał mniej więcej wachnię. Obudziłem się z przeświadczeniem - nie był to senny koszmar, tylko pozbawione jakichkolwiek podstaw przekonanie czy raczej pseudoprzekonanie, jakie staje się często naszym udziałem, gdy jesteśmy zmęczeni i pełni obaw - że pochyła się nade mną Hethor. Wydawało mi się, iż czuję na twarzy jego zimny, cuchnący oddech, jego oczy zaś, tym razem wcale nie puste, wpatrują się we mnie intensywnie. Otrząsnąwszy się z resztek snu przekonałem się, że błyszczące źrenice są tak naprawdę dwiema dużymi gwiazdami, świecącymi bardzo jasno przez cienką zasłonę z czystego powietrza.

Zaniknąłem oczy i usiłowałem ponownie zasnąć, kierując swoje myśli ku najcieplejszym i najwygodniejszym miejscom, w jakich kiedykolwiek przebywałem: kwaterom czeladników w naszej wieży, które, w porównaniu z uczniowską bursą, wydały mi się niemal pałacem; łóżku, które dzieliłem kiedyś z Baldandersem, promieniującym ciepłem niczym piec; komnatom Thecli w Domu Absolutu; przytulnemu pokoikowi w Saltus, gdzie mieszkałem z Jonasem.

Niestety, bezskutecznie. Nie mogłem usnąć, a jednocześnie bałem się ruszyć w drogę z obawy, że po ciemku runę do jakiejś szczeliny. Pozostałą część nocy spędziłem wpatrując się w gwiazdy. Po raz pierwszy mogłem docenić majestat konstelacji, o których uczył nas mistrz Malrubius, kiedy jeszcze

byłem najmłodszym z uczniów. Czyż to nie dziwne, że niebo, za dnia stanowiące nieruchome tło, po którym przesuwają się obłoki, nocą pozwala nam dojrzeć ruch Urth, tak że czujemy pod stopami jej pęd, podobnie jak żeglarz czuje drżenie pokładu łodzi niesionej wzbierającym przypiływem? Tej nocy powolne, nie mające końca ani początku obroty były tak łatwo wyczuwalne, że niewiele brakowało, a zakręciłoby mi się od nich w głowie.

Wrażeniu temu towarzyszyło równie silne przekonanie, iż niebo jest bezdenną studnią, w którą prędzej czy później runie wszechświat. Są tacy, co twierdzą, że nie mogą spoglądać długo w gwiazdy, gdyż wydaje im się, że coś ich ku nim ciągnie. Jednak przyczyną mego lęku - aż całą pewnością odczuwałem lęk - nie były odległe słońca, lecz raczej ziejąca pustka. Chwilami zaciskałem kurczowo palce na skałach, gdyż miałem wrażenie, iż zaraz spadnę z Urth. Każdy człowiek doświadcza czasami podobnego uczucia, gdyż podobno nawet w najcieplejszym klimacie trudno znaleźć śmiałków, którzy na zawsze zrezygnowaliby z dachu nad głową.

Wspomniałem już, jak to obudziłem się z przekonaniem, że Hethor wpatruje się z bliska w moją twarz (prawdopodobnie złudzenie to wzięło się stąd, że po rozmowie z Dorcas bardzo dużo o nim myślałem), by zaraz potem przekonać się, iż jego oczy są w rzeczywistości dwiema jasnymi gwiazdami. Następnie zająłem się wyszukiwaniem konstelacji o doskonale znanych mi nazwach, chociaż miałem tylko mgliste pojęcie, w której części nieba mogę je znaleźć.

Początkowo widziałem jedynie mrowie rozsypanych chaotycznie światełek, przypominających iskry ulatujące w górę z ogniska, wkrótce jednak zauważyłem, iż niektóre są znacznie jaśniejsze od innych oraz że wbrew pozorom mają rozmaite kolory. Jeszcze później, całkiem niespodziewanie, dostrzegłem niezwykle wiernie oddany kształt perytona, zupełnie jakby ogromny ptak pojawił się nagle na niebie, obsypany diamentowym pyłem. Chwilę potem zniknął, by wkrótce znowu się pojawić, tym razem w towarzystwie innych kształtów. Wiele z nich istotnie przypominało gwiazdozbiory, o których się uczyłem, sporo jednak stanowiło chyba wyłącznie wytwór mojej wyobraźni. Najbardziej rzucał się w oczy wąż o dwóch głowach, po jednej na każdym końcu ciała.

Oszłomiła mnie uroda tych niebiańskich stworzeń, jednak po pewnym czasie, kiedy stały się tak dobrze widoczne, że nie mogłem już wymazać ich z firmamentu jednym mrugnięciem, zacząłem odczuwać przed nimi strach równie silny, jak przed runięciem w bezdenną otchłań, którą zamieszkiwały. Ten strach nie był jednak instynktowny i fizyczny, jak poprzedni, lecz stanowił raczej coś w rodzaju filozoficznego przerażenia wywołanego myślą o kosmosie, w którym ktoś posłużył się płonącymi słońcami, by namalować prymitywne podobizny zwierząt i potworów.

Nakryłem głowę płaszczem - gdybym tego nie uczynił, z pewnością bym oszalał - i pogrzyłem się w rozmyślaniach o planetach, które krążą wokół tych słońc. Wszyscy wiemy, że istnieją, choć powierzchnię wielu z nich pokrywają jałowe równiny albo wzgórza o zasypanych popiołem zboczach, którymi płyną strumienie lawy, inne zaś są ogromnymi, lodowymi kulami.

Jest jednak także sporo zamieszkaných przez istoty albo będące potomkami ludzi, albo blisko z nimi spokrewnione. Najpierw wyobraziłem sobie zielone niebo, błękitną trawę oraz całe mnóstwo tej egzotycznej dziecinady, jaka kojarzy się zwykle z obcymi światami. Na szczęście po pewnym czasie zdołałem się uwolnić od tych niepoważnych stereotypów i zająłem się rozważaniami o społeczeństwach i sposobach myślenia całkowicie odmiennych od naszego, o planetach, których

mieszkańcy, świadomi faktu, iż wszyscy wywodzą się od pary pierwszych kolonistów, traktują się nawzajem jak rodzeństwo, o światach, gdzie jedyną walutą jest honor i gdzie wszyscy pracują co sił, aby dostąpić zaszczytu połączenia z mężczyzną lub kobietą, którzy uczynili coś szczególnie szlachetnego, o kontynentach, na których dawno temu zakończyła się odwieczna walka między ludźmi a zwierzętami. Przez moją głowę przewinęło się także mnóstwo innych myśli: jaką rolę ma pełnić wymiar sprawiedliwości w społeczeństwie, gdzie wszyscy kochają wszystkich; w jaki sposób nędzarz może zebrać o honor; jak ubrać i wyżywić ludzi, którzy nie podniosą ręki na żadne zwierzę.

Kiedy jako chłopiec uświadomiłem sobie po raz pierwszy, że zielony księżyc jest w rzeczywistości czymś w rodzaju wyspy zawieszanej na niebie, intensywną barwę zaś nadają mu lasy posadzone u zarania dziejów ludzkości, postanowiłem udać się tam, później zaś rozszerzyłem to postanowienie na wszystkie planety wszechświata, jak tylko zdałem sobie sprawę z ich istnienia. Dorosłejąc, porzuciłem te marzenia, gdyż stało się dla mnie jasne, że o tym, by opuścić Urth, mogą marzyć jedynie nieliczni ludzie zajmujący najwyższe pozycje w naszym społeczeństwie.

Teraz jednak to stare pragnienie zapłonęło w mej piersi żywym ogniem, a choć wraz z upływem lat stało się chyba jeszcze bardziej absurdalne (cieszący się uznaniem przełożonych czeladnik miał przecież większe szansę na to, by śmigać między gwiazdami, niż ścigany wy-rzutek, jakim się stałem), to jednocześnie było znacznie silniejsze, zdążyłem się bowiem dowiedzieć, jak wielkim błędem jest tłumienie pożądania do czegoś, co bynajmniej nie jest niemożliwe. Polecę, gdyż tak właśnie postanowiłem. Przez resztę życia będę czujnie wypatrywał

choćby najmniejszej okazji. Raz już znalazłem się w bezpośredniej bliskości zwierciadeł ojca Inire, ale to Jonas, znacznie mądrzejszy ode mnie, bez wahania zanurzył się we wzburzoną rzekę fotonów. Kto jednak powiedział, że taka okazja nie nadarzy mi się powtórnie?

Gwałtownym ruchem ściągnąłem płaszcz z głowy, by spojrzeć gwiazdom prosto w oczy, lecz ku swemu zdumieniu przekonałem się, że prawie zupełnie znikły, ustępując przed blaskiem wstającego słońca, który począł sączyć się zza górskich szczytów. Jedyne twarze, jakie nad sobą widziałem, należały do odwiecznych, martwych władców Urth; miały ostre rysy i zapadnięte policzki, wyżłobione niezliczonymi lawinami.

Wstałem i rozprostowałem kości. Było dla mnie jasne, że tego dnia muszę znaleźć coś do jedzenia oraz że następnej nocy nie mogę spędzić tak jak tej, w skalnym załomie, okryty jedynie płaszczem. W związku z tym, chociaż nie odważyłem się jeszcze skierować ku zamieszkanym dolinom, ruszyłem w stronę lasu rosnącego na położonych nieco niżej partiach zboczy.

Na dotarcie do niego potrzebowalem prawie całego ranka. Kiedy wreszcie znalazłem się wśród karłowatych brzoź stanowiących jego forpoczcie, przekonałem się, że w jego głębi, gdzie teren był nieco mniej stromy, a cienka gleba bardziej żyzna, rosną drzewa całkiem słusznej wysokości, tak stłoczone, że odstępy między pniami były niewiele większe od ich średnicy.

Rzecz jasna drzewa te w niczym nie przypominały gatunków, które podziwiałem w tropikalnym lesie rozciągającym się na południowym brzegu rzeki Cephissus; najwięcej było drzew iglastych o nierównej, chropawej korze, które, chociaż takie wysokie i mocarne, starały się za wszelką cenę odsunąć od rzucanego przez okoliczne góry cienia, i dumnie nosiły ślady walki z wichrami oraz

błyskawicami.

Miałem nadzieję spotkać drwali lub myśliwych, których mógłbym poprosić o gościnę.

(Ludzie z miasta święcie wierzą, iż w dzikiej głuszy taka prośba zawsze zostanie wysłuchana z życzliwością). Niestety, przez długi czas moje nadzieje pozostawały jedynie nadziejami.

Wielokrotnie przystawałem, nasłuchując stukotu siekier albo poszczekiwania psów, ale w lesie panowała niczym nie zmacona cisza. Rozejrzawszy się uważnie stwierdziłem, iż nigdzie nie widać śladów wyrębu.

Wreszcie dotarłem do strumyka o lodowatej wodzie, który wił się między drzewami. Jego brzegi porastała drobna, bardzo miękka trawa oraz delikatne paprocie. Zaspokoilem pragnienie, po czym przez mniej więcej pół wachty szedłem wzdłuż biegu strumienia, mijając liczne miniaturowe wodospady. Zastanawiałem się - tak samo, jak na przestrzeni minionych chiliad bez wątplenia czyniło to wielu innych - dlaczego strumień staje się coraz większy, skoro nie łączą się z nim żadne dopływy. Wreszcie osiągnął takie rozmiary, że zaczął zagrażać drzewom; niebawem dojrzałem przed sobą pień jednego z nich, które runęło w wyniku podmycia korzeni przez wodę.

Podszedłem do niego nie zachowując szczególnej ostrożności, gdyż nic nie świadczyło o grożącym mi niebezpieczeństwie, po czym chwyciłem kikut złamanej gałęzi i wskoczyłem na pień.

Niewiele brakowało, a runąłbym w ocean powietrza. W porównaniu z tym urwiskiem mury Zamku Acies, z których dostrzegłem pogrążoną w rozpacz Dorcas, przypominały niepozorną balustradę. Jedynym sztucznym tworem mogącym równać się z tym dziełem natury był bez wątpienia Mur Nessus. Strumień bezszelestnie wpadał w przepaść tak głęboką, że na długo przed osiągnięciem dna zamieniał się w wodny pył, tworzący oszalamiającą barwami tęczę. Widoczne daleko w dole drzewa wyglądały jak zabawki, które kochający ojciec zrobił

własnoręcznie synowi, na skraju lasu zaś ujrzałem domek wielkości kamyka, z wąską strużką dymu sącącą się z komina.

Skoczyłem na pień z takim rozmachem, że o mało nie spadłem z urwiska, co było z pewnością najprostszym i najszybszym sposobem dotarcia na dno przepaści. Kiedy jednak odzyskałem równowagę i zacząłem zastanawiać się nad metodą, która pozwoliłaby mi osiągnąć to samo, tyle tylko, że wolniej i z nie tak opłakanymi skutkami, okazało się, że stanąłem przed zadaniem prawie niemożliwym do zrealizowania, gdyż skała opadała w dół pionową ścianą.

Gdybym miał ze sobą linę, z pewnością jeszcze przed zmierzchem zastukałbym do drzwi domku, ale oczywiście jej nie miałem, a poza tym wcale nie jestem pewien, czy zawierzyłbym życie linie tak ogromnej długości, jaka była tu potrzebna.

Wobec tego uważnie przyjrzałem się krawędzi urwiska i w końcu natrafiłem na ścieżkę, która, choć stroma i zdradliwa, z pewnością była przez kogoś używana. Nie będę opowiadał o szczegółach mojej wędrówki, gdyż nie mają one żadnego znaczenia dla opowieści, chociaż, jak z pewnością czytelnik może sobie wyobrazić, absorbowały mnie wówczas bez reszty. Bardzo szybko nauczyłem się, że

należy spoglądać wyłącznie pod nogi i na ścianę stromizny po mojej lewej lub prawej ręce, zależnie od tego, w którą stronę skręcała właśnie dróżka. W żadnym miejscu jej szerokość nie przekraczała jednego łokcia, gdzieś tam ścieżka zamieniała się w płytkie, wykute w skale stopnie, na pewnym odcinku zaś ustąpiła miejsca zagłębieniom na ręce i stopy, po których zszedłem jak po drabinie. Mimo wszystko szło mi się znacznie łatwiej niż wówczas, kiedy w głębokich ciemnościach wracałem z zamieszkaną przez małpoludy kopalni, tym bardziej że nie groziło mi trafienie eksplodującym pociskiem wystrzelonym z kuszy. Jedyne niebezpieczeństwo wiązało się z oszłamiającą wysokością, od której kręciło mi się w głowie.

Być może właśnie dlatego, że tak bardzo starałem się nie zwracać uwagi na przepaść otwierającą się zaledwie pół kroku obok mnie, poświęcałem wiele uwagi skale, po której pełzłem w dół. W niezmiernie odległych czasach - dowiedziałem się o tym z jednego z tekstów, jakie otrzymywałem od mistrza Palaemona - serce Urth żyło, jego poruszenia zaś posyłały ku powierzchni masy płynnej skały. Często w ciągu zaledwie jednej nocy tam, gdzie jeszcze poprzedniego dnia był kontynent, powstawało ogromne morze lub jezioro, dzieląc go na dwie części. Teraz jednak nasza planeta jest martwa i usycha we wnętrzu kamiennego płaszcza niczym ciało starej kobiety w jednym z tych opuszczonych domów, o których opowiadała mi Dorcas.

Pewnego dnia skurczy się tak bardzo, że wierzchnia warstwa zapadnie się pod własnym ciężarem. Taka katastrofa, tyle że na znacznie mniejszą skalę, zdarzyła się właśnie w tym miejscu; połowa góry runęła w pustkę, tworząc urwisko co najmniej milowej wysokości.

ROZDZIAŁ XIV

DOMEK WDOWY

W Saltus, gdzie zatrzymaliśmy się z Jonasem na kilka dni i gdzie dokonałem drugiej oraz trzeciej publicznej egzekucji w mojej karierze, górnicy wykradają spod ziemi metale, kamień budowlany, a nawet wytwory cywilizacji zapomnianej całe chiliady przed wzniesieni Muru Nessus. Czynią to drążąc wąskie tunele w zboczach wzniesień, licząc na to, że natrafią na jakieś ruiny albo nawet (jeżeli będzie sprzyjało im szczęście) na częściowo zachowany budynek, którego wewnątrz będzie można wykorzystać jako dodatkowy chodnik.

To, co tam kosztowało ich tyle wysiłku, tutaj, na tym ogromnym urwisku, osiągnęliby bez najmniejszego trudu. Miałem przeszłość na wyciągnięcie ręki, nagą i bezbronną jak wszystko co martwe, zupełnie jakby upadek góry odsłonił pokłady czasu. Co chwila natrafiałem na skamieniałe kości, należące zarówno do zwierząt, jak i do ludzi oraz na pnie i gałęzie, które po niezliczonych stuleciach również zamieniły się w kamień, tak że ciągle podążając w dół

zastanawiałem się, czy aby na pewno mamy rację wierząc, że Urth jest starsza od drzew uważanych za jej córki. Wyobraziłem je sobie rosnące w pustce przed obliczem słońca, wczepione w siebie korzeniami i połączone gałęziami, aż w końcu to ich nagromadzenie dało początek naszej Urth, one zaś skromnie zaczęły odgrywać rolę jej zielonej szaty.

Niżej - to znaczy głębiej - natrafiłem na resztki budowli i mechanizmów używanych przez ludzi. (Jest całkiem możliwe, iż były tam również sztuczne twory wykonane przez inne stworzenia, ponieważ wiele opowieści spisanych w brązowej księżce zdaje się sugerować, że na Urth istniały kiedyś całe kolonie istot zwanych przez nas kakogenami, choć w rzeczywistości należą one do ras tak bardzo różniących się między sobą, jak my różnimy się od którejkolwiek z nich). Widziałem metale zielone i niebieskie w takim samym sensie, w jakim miedź jest czerwona, a srebro białe, tak przedziwnie powyginane, że nie miałem pewności, czy były to niegdyś dzieła sztuki czy raczej części jakichś zagadkowych urządzeń, choć należało brać pod uwagę i tę ewentualność, że ich twórcy nie widzieli potrzeby wprowadzania takich rozróżnień.

W pewnym miejscu, mniej więcej w połowie drogi, linia uskoku przebiegała wzdłuż wyłożonej różnobarwnymi płytami ściany jakiegoś ogromnego budynku, tak że ścieżka, którą szedłem, biegła ukośnie przez tę ścianę. Nie mam pojęcia, jaki wzór mogły tworzyć kolorowe płyty, gdyż znajdowałem się zbyt blisko nich, a dotarwszy do podstawy budowli, znalazłem się za nisko, aby ogarnąć wzrokiem jej górną czy choćby nawet środkową część, bo zakrywały je mgliste opary, jakie tworzył spadający z niebotycznej wysokości strumień. Posuwając się w dół

oglądałem kolejne fragmenty mozaiki niczym owad, który pełźnie po namalowanym na płótnie wizerunku, oglądając szczegóły twarzy sportretowanej osoby. Płyty miały najrozmaitsze kształty i ściśle do siebie pasowały. Z początku wydawało mi się, że przedstawiają ptaki, jaszczury, ryby oraz inne stworzenia, dziś jednak odnoszę wrażenie, iż w rzeczywistości były to jedynie niezwykle skomplikowane figury geometryczne o tak niesłychanym stopniu złożoności, że zupełnie spontanicznie układały się w sylwetki żywych istot, tak samo jak przedziwne molekuly łączą się, tworząc prawdziwe organizmy.

Bez względu na to, jak przedstawiała się prawda, kształty te zdawały się nie mieć nic wspólnego z jakimś architektonicznym lub artystycznym zamysłem. Przecinały je kolorowe smugi o barwach tak żywych i jaskrawych, jakby dopiero co zostały przeniesione na kamienną ścianę z palety gigantycznego mistrza. Najczęściej pojawiały się przeróżne odcienie berylu i bieli, i choć zatrzymywałem się wielokrotnie, usiłując zrozumieć sens tytanicznych malowideł

(czy było to pismo czy raczej portret? A może geometryczny lub roślinny motyw?), to moje wysiłki nie dawały żadnych rezultatów. Teraz skłaniam się ku opinii, że sposób interpretacji tych dzieł zależał przede wszystkim od miejsca, z którego się je podziwiał, a także od nastroju oglądającego.

Po minięciu zagadkowej ściany szło mi się znacznie łatwiej, gdyż ścieżka nie prowadziła już tak stromo w dół, a choć w kilku miejscach natrafiłem na stopnie, to nie były one tak wąskie i zdradliwe jak przedtem. Dotarłem na dno szybciej, niż się tego spodziewałem. Natychmiast popatrzyłem w górę, na drogę, którą przebyłem, z takim zdumieniem, jakbym jej przed chwilą nie pokonał. Moje zdumienie było całkowicie uzasadnione, ponieważ w kilku miejscach ścieżka wtapiała się w skalną ścianę, wydając się nie do przebycia.

Dom, który dostrzegłem z tak wysoka, był teraz niewidoczny, gdyż skrył się za drzewami, ale dym unoszący się z komina rysował się wyraźną kreską na tle nieba. Nie zwlekając ruszyłem w jego stronę przez teren znacznie mniej zdradliwy od tego, jaki musiałem pokonać na górze, podążając wzdłuż biegu strumienia. Ciemne drzewa wydawały mi się znacznie starsze, nigdzie też nie mogłem dostrzec wielkich paproci, których pełno jest w lasach na południu kontynentu (dopiero teraz uświadomiłem sobie, że właściwie po raz ostatni w stanie dzikim widziałem je w okolicach Domu Absolutu, potem zaś tylko w wielkich donicach w ogrodzie Abdiesusa), wszędzie natomiast rosło mnóstwo dzikich fiołków o lśniących liściach i kwiatach koloru oczu nieszczęsnej Thecli oraz mchu przypominającego gruby zielony atlas, dzięki czemu ziemia zdawała się przykryta miękkim dywanem, drzewa zaś wyglądały tak, jakby ktoś poowijał ich pnie kosztownym materiałem.

Zanim zobaczyłem dom lub dostrzegłem jakiegokolwiek ślady ludzkiej obecności, do moich uszu dobiegło szczekanie psa. Milczący czar drzew natychmiast prysł - może nie do końca, gdyż w dalszym ciągu był obecny, ale należało mocno się wysilić, aby go odczuć. Odniosłem wrażenie, jakby jakaś tajemnicza istota, wiekowa i niezwykła, choć zarazem bardzo łagodna, chciała mi się pokazać, lecz w ostatniej chwili wycofała się niczym niezwykle dystyngowany człowiek, na przykład mistrz muzyków, którego przez wiele lat starałem się zwabić do mojej komnaty, ale kiedy wreszcie przyszedł i uniósł rękę, by zapukać do drzwi, usłyszał dobiegający z wnętrza głos kogoś, kogo nie lubił, odwrócił się więc i odszedł, aby już nigdy nie wrócić.

Mimo wszystko poczułem ogromną ulgę. Przez niemal dwa długie dni byłem zupełnie sam: najpierw na skalistych zboczach, później pod lodowatym pięknem gwiazd, wreszcie wśród milczących, wiekowych drzew. Ostry, doskonale znany odgłos sprawił, iż przypomniałem sobie, ile otuchy może dodać obecność drugiego człowieka. Jeszcze zanim zobaczyłem psa, wiedziałem już, że będzie przypominał Triskele. Nie myliłem się - co prawda miał cztery łapy zamiast trzech, smuklejszą czaszkę i sierść raczej brązową niż płową, ale rozbiegane oczy, ogon i wywieszony ozór były dokładnie takie same. Zaczął od wypowiedzenia mi wojny, ale szybko spotulniał, jak tylko przemówiłem do niego, a zanim przeszedłem dwadzieścia kroków, czynił wszystko, żebym zatrzymał się choć na chwilę i podrapał go za uszami. Oganiając się od niego dotarłem do polany, na której stał

dom.

Kamienne ściany sięgały mi do połowy głowy, a na niezwykle stromym, krytym strzechą dachu tu i ówdzie leżały płaskie kamienie, które miały chronić słomę przed porwaniem przez silne wiatry. Budynek bardzo przypominał domostwa rekultywujących coraz to nowe tereny wieśniaków, którzy są jednocześnie błogosławieństwem i przekleństwem Wspólnoty, ponieważ jednego roku wytwarzają nadmiar żywności, by już w następnym wyciągać ręce po jałmużnę.

Jeżeli do drzwi nie prowadzi brukowana ścieżka, łatwo zorientować się po wyglądzie trawy, jak często chodzą tędy ludzie. Tutaj splachetek wydeptanej trawy miał wielkość chusteczki do nosa. Pomyślałem, że osoba mieszkająca w chatce (byłem prawie pewien, iż jest tylko jedna), mogłaby przestraszyć się na mój widok, gdybym pojawił się bez uprzedzenia, a ponieważ pies już dawno przestał szczekać, zatrzymałem się na skraju polany i zawołałem głośno.

Mój głos poszybował w niebo i zaplątał się w gałęziach drzew, ale odpowiedziała mi tylko cisza.

Zawołałem ponownie, a następnie, z psem płaczącym mi się wciąż pod nogami, ruszyłem w kierunku drzwi. Byłem już blisko, kiedy nagle otworzyły się na oścież i stanęła w nich kobieta.

Miała delikatną twarz, którą można by nazwać piękną, gdyby nie szalone oczy. Ubrana była w obszarpaną sukienkę tym tylko różniącą się od żebraczych łachmanów, że była czysta. Chwilę potem zza fałd materiału wystawił głowę chłopczyk o okrągłej twarzy i oczach jeszcze większych niż oczy matki.

- Przykro mi, jeżeli cię wystraszyłem, ale zgubiłem drogę w górach - powiedziałem.

Kobieta skinęła głową, zawahała się, po czym cofnęła się, ja zaś wszedłem do środka.

Wnętrze domu - jeszcze mniejsze, niż przypuszczałem, a to ze względu na niespotykaną grubość ścian - wypełniała intensywna woń jakichś roślin, które gotowały się w kociołku zawieszonym nad paleniskiem. Nieliczne okna były bardzo małe, w tych grubych ścianach przypominały zaś raczej prostokątne oazy cienia niż otwory, przez które miało przedostawać się światło. Na skórze pantery siedział stary mężczyzna, zwrócony plecami do ognia; miał tak puste i pozbawione inteligencji oczy, iż w pierwszej chwili pomyślałem, że musi być niewidomy. Na środku pokoju stał stół otoczony pięcioma krzesłami, z których tylko trzy były ponad wszelką wątpliwość przeznaczone dla dorosłych. Przypomniałem sobie, co Dorcas opowiadała mi o meblach z opuszczonych domów w Nessus, przywożonych na północ i sprzedawanych tym spośród eklektyków, którzy hołdowali nieco bardziej cywilizowanym zwyczajom, ale zarówno stół, jak i krzesła były chyba domowej roboty.

Kobieta pochwyciła moje spojrzenie, gdyż powiedziała:

- Mój mąż wkrótce przyjdzie. Przed wieczerzą.

- Niepotrzebnie się lękaś - odparłem. - Nie zamierzam zrobić wam krzywdy. Jeżeli pozwolisz mi spożyć z wami posiłek i spędzić tu noc, a rano wskażesz mi właściwą drogę, chętnie odwdzięczę się wykonując jakąś pracę.

Kobieta ponownie skinęła głową.

- Widziałeś Severę? - zapytał niespodziewanie chłopczyk.

Matka zareagowała niemal równie szybko jak mistrz Gurloes, kiedy uczył nas obezwładniających ciosów i chwytów. Usłyszałem odgłos uderzenia, choć nie zdążyłem go zauważyć, a chłopiec rozplakał się wniebogłosy. Kobieta natychmiast zasłoniła sobą drzwi, on zaś schował się za skrzynią w najdalszym kącie pomieszczenia. Domyśliłem się, że Severa jest dziewczyną lub kobietą, którą matka chłopczyka ukryła gdzieś (prawdopodobnie na stryszku) i dopiero potem zdecydowała się wpuścić mnie do domu. Doszedłem jednak do wniosku, że dalsze zapewnianie o moich dobrych intencjach mija się z celem, i że jeżeli chcę zdobyć zaufanie kobiety, to muszę sobie na nie zapracować. Zacząłem od tego, że poprosiłem ją o wodę, w której mógłbym się umyć, przy czym nie o mieszkalem dodać, iż chętnie sam ją przyniosę, skąd będzie trzeba, byle tylko pozwolono mi zagrzać ją na ogniu. Kobieta wręczyła mi dzbanek i wyjaśniła, gdzie znajdę źródło.

Zdarzało mi się bywać w miejscach uznawanych za nadzwyczaj romantyczne - na szczytach wysokich wież, głęboko w trzewiach Urth, we wspaniałych pałacach, w dżunglach, na pokładzie statku - a mimo to żadne z nich nie wywarło na mnie tak wielkiego wrażenia jak ta uboga chatka o ścianach z kamienia. Wydała mi się archetypem jaskiń, w których, jak uczą nasi mędrcy, ludzkość kryje się w schyłkowym okresie każdego cyklu cywilizacji. Zawsze kiedy słyszałem opowieść o malowniczym wiejskim domku lub czytałem jego opis (Thecla wprost uwielbiała takie miejsca), moją uwagę zwracała powaga, z jaką opowiadający albo autor podkreślali czystość i porządek panujące w izbie. Przy oknie zasłane łóżko, pod ścianą zapas opałowego drewna, wypucowana kamienna posadzka, i tak dalej, i tak dalej. Tutaj o niczym takim nie było mowy, a jednak domek mimo swoich niedoskonałości wydawał się bardziej doskonały i stanowił namacalny dowód na to, że ludzkie istoty mogą normalnie żyć i kochać się w takim miejscu, nie przekształcając go w bajkowy zakątek.

- Czy zawsze golisz się za pomocą miecza? - zapytała kobieta. Po raz pierwszy w jej głosie nie usłyszałem nieudolnie skrywanej obawy.

- To taki zwyczaj. Wstydziłbym się nosić miecz nie dość ostry, żeby się nim ogolić, a skoro już jest taki ostry, to po co mi brzytwa?

- Ale chyba nie jest zbyt wygodnie posługiwać się takim długim ostrzem i musisz bardzo uważać, żeby się nie skaleczyć.

- Dzięki temu ćwiczę mięśnie ramion. Poza tym staram się korzystać z miecza, kiedy tylko mogę, bo w ten sposób doskonalam się w swoim rzemiośle.

- A więc jesteś żołnierzem... Tak przypuszczałam.

- Jestem rzeźnikiem ludzi.

Chyba ją zaskoczyłem.

- Nie chciałam cię obrazić.

- Wcale nie czuję się obrażony. Każdy kogoś zabija. Ty na przykład zabiłaś te korzenie, wkładając je do wrzącej wody. Zabijając niektórych ludzi ratuję życie wielu istotom, które oni by zgładzili, w tym także mężczyznom, kobietom i dzieciom. A czym zajmuje się twój mąż?

Uśmiechnęła się lekko, dzięki czemu od razu wydała się młodsza.

- Wszystkim po trochu. W górach mężczyzna musi wiele potrafić.

- Ale ty nie urodziłaś się tutaj?

- Nie. Tylko Severian.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Powiedziałaś: Severian?

- Takie imię nosi mój syn. Był przy mnie, kiedy przyszedłeś, a teraz przygląda się nam z ukrycia. Czasem zachowuje się jak bardzo niemądry chłopiec.

- Ja też mam tak na imię. Jestem mistrz Severian.

- Słyszałeś?! - zawołała kobieta do syna. - Ten człowiek nazywa się tak samo jak ty! -

Ponownie spojrzała na mnie. - Myślisz, że te dobre imię? Lubisz je?

- Chyba tak, choć obawiam się, że nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Mam wrażenie, że pasuje do mnie.

Skończyłem się golić i usiadłem na jednym z krzeseł, aby oczyścić ostrze.

- Urodziłam się w Thraksie - powiedziała kobieta. - Byłeś tam kiedyś?

- Właśnie stamtąd przybywam - odparłem. Gdyby później przesłuchiwali ją żołnierze i tak zidentyfikowaliby mnie choćby na podstawie opisu mego stroju.

- Spotkałeś może kobietę imieniem Herais? To moja matka.

Pokręciłem głową.

- Cóż, to duże miasto... Długo tam byłeś?

- Nie. Czy mieszkając tutaj, w górach, słyszałaś coś o Pelerynach? To kapłanki, które zawsze noszą czerwone szaty.

- Obawiam się, że nie. Wiadomości docierają do nas z dużym opóźnieniem.

- Chcę je odnaleźć albo, jeżeli mi się nie uda, przyłączyć się do armii, która pod dowództwem Autarchy maszeruje przeciwko Ascianom.

- Z pewnością mój mąż powie ci na ten temat więcej ode mnie, ale wydaje mi się, że zapuściłeś się trochę zbyt wysoko. Becan - tak właśnie nazywa się mój mąż - powiada, że patrole nie niepokoją żołnierzy podążających na północ, nawet tych, którzy korzystają z dróg.

Kiedy to mówiła, coś się poruszyło bardzo blisko nas. Szelest był ledwo uchwytny, niewiele głośniejszy od trzaskania płomieni i posapywania starego mężczyzny, ale jednak go usłyszałem. Bose stopy przesunęły się lekko, nie mogąc wytrwać dłużej w całkowitym bezruchu, a suche deski zaskrzypiały cichutko, kiedy zmienił się rozkład naciskającego na nie ciężaru.

ROZDZIAŁ XV

ON JEST PRZED TOBĄ!

Mąż, który miał wrócić do domu przed kolacją, jednak się nie pojawił, w związku z czym nasza czwórka - kobieta, starzec, chłopczyk i ja - zasiedliśmy do posiłku bez niego. Początkowo przypuszczałem, iż zapowiedź jego powrotu była kłamstwem, które miało odwieść mnie od zamiaru popełnienia jakiegoś przestępstwa, ale w miarę, jak wieczór zmieniał się w noc, a w izbie pogłębiało się ponure milczenie zwiastujące nadejście burzy, zrozumiałem, że kobieta nie kłamała i że teraz naprawdę się niepokoi.

Kolacja należała do wyjątkowo niewyszukanych, ale byłem tak głodny, że nie zwracałem uwagi na takie subtelności. Składały się na nią gotowane warzywa bez soli i masła, czerstwy chleb oraz trochę mięsa. Żadnego wina, żadnych owoców, nic świeżego ani słodkiego, a mimo to zjadłem chyba więcej niż pozostała trójka.

Kiedy posiłek dobiegł końca, kobieta (nazywała się Casdoe) wzięła z kąta długą, nabijaną metalem laskę i wyruszyła na poszukiwanie męża, zapewniwszy mnie wcześniej, że nie potrzebuje pomocy. Na odchodnym powiedziała starcowi, który chyba jej w ogóle nie słyszał, że nie idzie daleko i wkrótce wróci. Ponieważ stary wciąż siedział bez ruchu przy ogniu, nie odzywając się ani słowem, przywołałem do siebie chłopca, po czym, zdobywszy jego zaufanie dzięki temu, że pozwoliłem mu położyć rękę na rękojęści Terminus Est i spróbować podnieść miecz, zapytałem, czy teraz, kiedy jego matka wyszła, Severa nie powinna zejść na dół, by się nim zaopiekować.

- Wróciła wczoraj wieczorem - odparł.

Odniosłem wrażenie, że ma na myśli matkę, więc powiedziałem:

- Jestem pewien, że dzisiaj także wróci, ale czy nie uważasz, że Severa powinna wziąć na siebie część jej obowiązków?

Chłopiec wzruszył ramionami i odwrócił się, tak jak czynią czasem dzieci, które jeszcze za słabo radzą sobie ze słowami, aby wdawać się w dyskusje z dorosłymi. Chciał odejść, ale ja chwyciłem go za ramiona i zatrzymałem na miejscu.

- Pójdź teraz na górę, mały Severianie, i powiedz jej, żeby zeszła do izby. Obiecuję, że nie zrobię jej krzywdy.

Skinął głową, po czym ruszył z ociąganiem ku drabinie.

- Zła kobieta - powiedział.

Wówczas, po raz pierwszy od chwili, kiedy przekroczyłem próg domku, odezwał się stary człowiek:

- Becan, chodź tutaj! Opowiem ci o Fechinie.

Dopiero po chwili zrozumiałem, że zwraca się do mnie, biorąc mnie za swego zięcia.

- Był najgorszy z nas wszystkich. Wysoki, dziki chłopak z rudymi włosami na ramionach i rękach. Kiedy widziałeś je, jak po coś sięgają, mógłbyś przysiąc, że należą do małpy - tyle tylko, że były trochę mniejsze. Zabrał nam kiedyś miedzianą patelnię, na której matka zawsze smażyła kielbasę, a ja nie wydałem go, ponieważ był moim przyjacielem. Patelnia przepadła bez śladu - nigdy jej już nie widziałem, choć spędziłem z Fechinem mnóstwo czasu. Nieraz myślałem, że zrobił z niej łódź i wypłynął na rzekę, ponieważ ja sam kiedyś miałem zamiar tak postąpić. Poszedłem więc nad wodę, żeby jej poszukać, i zanim zorientowałem się, jak bardzo jest późno, zapadła noc. Może wypolerował spód, żeby się w nim przeglądać, bo często rysował

swoje podobizny... Albo może napełnił ją wodą, aby osiągnąć ten sam skutek.

Przeszedłem na drugą stronę pomieszczenia, gdzie siedział, aby wysłuchać jego opowieści.

Uczyliłem to częściowo dlatego, że mówił bardzo niewyraźnie, częściowo zaś z szacunku, ponieważ jego stara twarz przypominała mi trochę twarz mistrza Palaemona, z tą różnicą, że nie miał szkieł poprawiających ostrość widzenia.

- Spotkałem człowieka w twoim wieku, który kiedyś pozował Fechinowi - powiedziałem.

Starzec spojrzał na mnie, przez jego twarz zaś przemknęło coś na kształt zrozumienia, że nie jestem Becanem. Zniknęło ono jednak równie szybko, jak się pojawiło. Mężczyzna mówił

dalej, jakby zależało mu tylko na tym, aby jak najszybciej przekazać komuś to, co miał do powiedzenia.

- Wcale nie miał małpiej twarzy, wręcz przeciwnie, należał do najprzystojniejszych w okolicy. Kiedy tylko chciał, dostawał od kobiet żywność i pieniądze. Pamiętam, jak szliśmy razem ścieżką prowadzącą do starego młyna. Miałem wtedy kartkę, którą dał mi nauczyciel...

prawdziwy papier, tyle tylko, że nie całkiem biały, lecz trochę zbrązowiały, z małymi plamkami, tak że wyglądał jak pstrąg zanurzony w mleku. Na tej kartce miałem napisać list do matki. W

szkole pisaliśmy tylko na tabliczkach, które wycierało się wilgotnymi gąbkami. Kiedy nikt nie patrzył, odbijaliśmy gąbki tabliczkami, tak że lądowały na ścianie albo na czyjejsz głowie. Jednak idąc do młyna myślałem o tym, jak bardzo Fechin lubi rysować i jak też jego twarz wyglądałaby na papierze, gdyby mógł ją na nim uwiecznić i zatrzymać swój portret dla siebie.

Bo tak naprawdę obchodziły go tylko rysunki. Resztę pogubił, porozdawał albo wyrzucił.

Doszedłem do wniosku, że jeśli będę pisał najciaśniej jak umiem, zmieszczę list na połowie kartki. Fechin nie wiedział, że ją mam, ale wyjąłem ją, złożyłem i przedarłem na pół.

(Usłyszałem dobiegający z góry głos chłopca, choć nie mogłem rozróżnić słów).

- Był to jeden z najpiękniejszych dni w moim życiu. Słońce przypominało człowieka, który co prawda był wczoraj chory i wie, że nazajutrz także złoży go choroba, ale dziś jest pełen wigoru i śmieje się głośno, w związku z czym obcy, który by go zobaczył, łatwo mógłby dojść do wniosku, że wszystko jest w porządku i że leki na szafce przy łóżku są przeznaczone dla kogoś innego. W modlitwach zawsze mówi się, że Nowe Słońce będzie zbyt jasne, aby patrzeć prosto w jego tarczę, ja zaś aż do tamtego dnia uważałem to jedynie za przenośnię, jedną z tych, jakich używa się chwając urodę dziecka lub podziwiając jakąś rzecz wykonaną własnoręcznie przez przyjaciela. Wtedy jednak przekonałem się, iż może to być prawda, gdyż światło, jakim rozblęśtała twarz Fechina, wycisnęło mi łzy z oczu. Podziękował mi i szliśmy dalej w milczeniu, aż wreszcie dotarliśmy do domu, w którym mieszkała pewna dziewczyna. Nie pamiętam już, jak miała na imię, ale była bardzo piękna, tak jak czasem bywają te najbardziej skryte. Nie wiedziałem, że Fechin ją zna, ale on poprosił mnie, abym zaczekał, usiadłem więc na kamiennym stopniu przed drzwiami.

(Ktoś znacznie cięższy od chłopca ruszył w kierunku drabiny).

- Nie był tam długo, ale kiedy wyszedł, a dziewczyna wyjrzała za nim przez okno, natychmiast domyśliłem się, co robili. Popatrzyłem na niego, a on rozłożył te swoje długie, małe ręce. W jaki sposób miałyby podzielić się ze mną tym, co otrzymał? Namówił dziewczynę żeby dała mi pół bochenka chleba i trochę owoców, potem zaś na jednej stronie kartki narysował

mój portret, a po drugiej portret dziewczyny, ale zachował je dla siebie.

Drabina zaskrzypiała, spojrzałem więc w tamtą stronę. Tak jak się, spodziewałem, po szczeblach schodziła kobieta. Nie była wysoka, ale miała zgrabną figurę i szczupłą talię, natomiast jej suknia znajdowała się w równie opłakanym stanie, co strój matki chłopca, tyle tylko, że była znacznie bardziej brudna. Na plecach spływały jej gęste brązowe włosy. Wydaje mi się, że rozpoznałem ją, jeszcze zanim odwróciła się, do mnie, i ujrzałem wystające kości policzkowe oraz lekko skośne oczy; była to Agia.

- A więc przez cały czas wiedziałeś, że tu jestem! - stwierdziła.

- To samo odnosi się do ciebie. Zdaje się, że zjawiałaś się jako pierwsza.

- Domyśliłam się, że możesz iść właśnie tędy, a tak się szczęśliwie złożyło, że dotarłam tu przed tobą i powiedziałam tej kobiecie, co ze mną zrobisz, jeżeli mnie nie ukryje.

W ten sposób chciała chyba dać mi do zrozumienia, iż ma sojusznika, nawet tak słabego i mało wartościowego.

- Nastajesz na moje życie od chwili, kiedy dostrzegłem cię wśród tłumu w Saltus.

- Czy to ma być oskarżenie? Zgadza się.

- Kłamiesz.

Przez chwilę miałem jedną z nielicznych okazji, by obserwować Agię zdezorientowaną i pozbawioną zwykłej pewności siebie.

- Co przez to rozumiesz?

Tylko to, że próbowałaś mnie zabić także wcześniej.

- Oczywiście. Za pomocą kwiatu zemsty.

- A także później. Agio, wiem już, kim jest Hethor.

Czekałem na jej odpowiedź, ale ona milczała.

- Tego dnia, kiedy cię poznałem, powiedziałaś mi o pewnym starym żeglarzu, który pragnie, abyś z nim zamieszkała. Miał być stary, brzydki i biedny, a ja nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego ty, piękna młoda kobieta miałabyś zaprzętać sobie głowę jego propozycją. Przecież nie przymierałaś głodem, miałaś brata, który cię bronił, i skromny dochód ze sklepu.

Tym razem to ja nie mogłem ukryć zdumienia, kiedy usłyszałem jej odpowiedź.

- Powinnam była już wtedy pójść i ujarzmić go, tak jak zrobiłam to teraz.

- Zawarłaś z nim układ, obiecując, że mu się oddasz, jeżeli mnie zabije?

- Właśnie w ten sposób go sobie podporządkowałam. On jest przed tobą, Severianie, i czeka na mój rozkaz.

- Wraz z kolejnymi stworami? Dziękuję, że mnie ostrzegłaś. Przypuszczam, że wykorzystywał potwory, które przywiózł z innych planet, żeby nękać ciebie i Agilusa?

Skinęła głową.

- Przyszedł kiedyś sprzedać swoje ubranie - takie, jakie niegdyś noszono na statkach żeglujących po pustce, która zaczyna się zaraz za krawędzią świata. Nie było jednak zniszczone ani nie wyglądało na takie, które przeleżało kilka stuleci na jakimś strychu albo nawet w grobie; prawdę mówiąc, wyglądało prawie jak nowe. Powiedział, że jego statki - w ogóle wszystkie statki - zaginęły w czerni między słońcami, gdzie nawet Czas nie może ich odnaleźć.

- Wiem - odparłem. - Jonas opowiadał mi o tym.

- Poszłam do niego, kiedy dowiedziałam się, że zabijesz Agilusa. Pod pewnymi względami jest twardy jak stal, pod wieloma innymi miękki jak ciasto. Nic bym nie osiągnęła, odmawiając mu swego ciała, więc zgodziłam się zrobić wszystko, czego ode mnie żądał.

Uwierzył, że go kocham, a teraz robi, co mu rozkażę. Śledził cię od śmierci Agilusa. To za jego pieniądze wynajęłam ludzi, których zabiłeś przy wejściu do starej kopalni, a stworzenia, którymi włada, prędzej czy później pozbawią cię życia, naturalnie, o ile ja nie zrobię tego już tutaj.

- Zapewne chciałaś zacciać się na strychu i poczekać, aż zasnę?

- Obudziłabym cię, kiedy już trzymałabym nóż na twoim gardle. Jednak chłopiec powiedział mi, że wiesz o mnie, więc pomyślałam sobie, że zejdem, by z tobą porozmawiać.

Powiedz mi, proszę: w jaki sposób odgadłeś prawdę o Hethorze?

Przez wąskie okna do izby wcisnął się podmuch wiatru. Ogień natychmiast zaczął

intensywniej dymić, a stary człowiek zakaszał i splunął do paleniska. Chłopczyk, który tymczasem zdążył zejść po drabinie ze strychu, przyglądał nam się szeroko otwartymi oczami.

- Powinienem był domyślić się znacznie wcześniej. Mój przyjaciel Jonas też był takim żeglarzem. Z pewnością go pamiętasz: pojawił się przy kopalni, a poza tym oboje wiedzieliście, że podróżuję w jego towarzystwie.

- Zgadza się.

- Może byli kiedyś na tym samym statku albo poznali się po jakimś tajemnym znaku, albo może Hethor obawiał się właśnie czegoś takiego. W każdym razie bardzo rzadko pojawiał się obok mnie w obecności Jonasa, choć w innych okolicznościach wykazywał do tego wręcz nadmierną ochotę. Zobaczyłem go w tłumie, kiedy w Saltus wykonywałem wyrok na mężczyźnie i kobiecie, ale wtedy nie zbliżył się do mnie. W drodze do Domu Absolutu zauważyliśmy go z Jonasem za nami, lecz zbliżył się dopiero wówczas, kiedy Jonas pojechał naprzód, mimo że z pewnością bardzo zależało mu na tym, by odzyskać notule. Kiedy pojmano go i wrzucono do przedpokoju w Domu Absolutu, nie próbował do nas podejść, choć Jonas był wówczas prawie nieżywy, ale jakiś stwór szukał nas po całym pomieszczeniu, pozostawiając ślady ze śluzu.

Agia nic na to nie odpowiedziała. W swoim milczeniu upodobniła się do tej młodej kobiety, którą ujrzałem rankiem następnego dnia po opuszczeniu Cytadeli, kiedy otwierała okiennice skromnego sklepiku.

- W drodze do Thraxu zapewne zgubiliście mój ślad albo też zatrzymały was jakieś nieprzewidziane wydarzenia - ciągnąłem. - Potem, nawet jeżeli dowiedzieliście się, że dotarliśmy już do miasta, nie mieliście pojęcia, iż mieszkamy w Vinculi, ponieważ Hethor wysłał ognistego stwora na ulice, aby mnie odnalazł. Potem, zapewne przypadkowo, znaleźliście Dorcas w

„Kaczym Gnieździe”...

- Zatrzymaliśmy się tam - przerwała mi Agia. - Szukaliśmy cię wszędzie, a ty zjawiłeś się w gospodzie akurat w czasie naszej nieobecności. Co prawda wiedziałam, że dziewczyna śpiąca w małym pokoiku to ta sama szalona smarkula, którą znalazłeś w Ogrodach Botanicznych, ale nie domyśliłam się, że ty ją tam umieściłeś, ponieważ gospodyni powiedziała, iż człowiek, który ją

przyprował, był ubrany całkiem zwyczajnie. Pomyśleliśmy jednak, że może wiedzieć, gdzie jesteś, i uznaliśmy, że Hethor powinien spróbować wyciągnąć z niej tę tajemnicę. Aha, tak przy okazji: on wcale nie nazywa się Hethor. Twierdzi, iż jego prawdziwe imię jest znacznie starsze, tak stare, że mało kto z żyjących kiedykolwiek o nim słyszał.

- Opowiedział Dorcas o ognistym potworze, a ona powtórzyła to mnie - odezwał się ponownie. - Słyszałem o nim już wcześniej, ale dopiero Hethor powiedział, jak się nazywa: salamandra. Początkowo nie zwróciłem na to uwagi, lecz później przypomniałem sobie, iż tylko Jonas wiedział, jak nazywają się czarne istoty, które ściagały nas na drodze do Domu Absolutu.

Powiedział, że załogi statków nazwały je notulami dlatego, że zdradzają swoją obecność podmuchem ciepłego powietrza. Jeżeli Herthor znał nazwę ognistego potwora, to było całkiem prawdopodobne, iż jest żeglarzem, i że ma coś wspólnego z tym stworzeniem.

Na twarzy Agii pojawił się wymuszony uśmiech.

- A więc teraz wiesz już wszystko i masz mnie tam, gdzie chciałeś mnie mieć. Naturalnie jeżeli uda ci się w tej izbie wziąć zamach twoim wielkim mieczem.

- Nie muszę tego robić. Przy wejściu do kopalni trzymałem stopę na twoim karku.

- Ale ja nadal mam nóż.

Umilkliśmy, gdyż w drzwiach pojawiła się matka chłopca. Obrzuciła nas zdziwionym spojrzeniem, a potem, jakby nic nie było w stanie zmniejszyć jej niepokoju ani zmienić podjętej decyzji, odwróciła się, zamknęła drzwi i zaryglowała je starannie.

- Usłyszał, jak poruszam się na strychu, i kazał mi zejść na dół - powiedziała Agia. -

Teraz chce mnie zabić.

- Jak miałabym mu w tym przeszkodzić? - zapytała kobieta ze znużeniem w głosie, po czym zwróciła się do mnie: - Ukryłam ją, ponieważ twierdziła, że pragniesz ją skrzywdzić. Czy mnie także zabijesz?

- Nie. Jej też nawet nie tknę, z czego ona doskonale zdaje sobie sprawę.

Wykrzywiona gniewem twarz Agii przypominała przez mgnienie oka wymodelowany w kolorowym wosku, być może nawet przez samego Fechina, wizerunek, który został rzucony w ogień, gdzie zaczął się jednocześnie topić i płonąć.

- Zamordowałaś Agilusa i byłeś z tego dumny! Czy ja nie zasługuję na śmierć z twojej ręki? Przecież jestem jego siostrą!

Nie uwierzyłem jej, kiedy powiedziała, że ma nóż, ale ona błyskawicznym ruchem wydobyla z fałd sukni jeden ze sztyletów wyrabianych w Thraksie, o długim, zakrzywionym ostrzu.

Już od dłuższego czasu w powietrzu czuć było nadciągającą burzę. Teraz rozległ się huk grzmotu,

który przetoczył się po okolicznych szczytach i zwielokrotniony echem dotarł do naszych uszu. Kiedy ponownie zapadła cisza, odpowiedział mu jakiś odgłos. Nie potrafię go opisać; nie przypominał ani ludzkiego krzyku, ani ryku zwierzęcia.

Casdoe natychmiast zapomniała o przygnębieniu i rezygnacji. W największym pośpiechu rzuciła się ku stojącym pod ścianą ciężkim drewnianym okiennicom, chwyciła najbliższą, podniosła tak łatwo, jakby prawie nic nie ważyła, i umieściła w pierwszym oknie. Z zewnątrz dobiegło wściekłe ujadanie psa, ale szybko umilkło. Przez chwilę słychać było jedynie ciężkie uderzenia pierwszych kropli deszczu.

- Tak wcześnie! - jęknęła Casdoe. - Tak wcześnie... Schowaj się, Severianie - zwróciła się do syna.

Przez jedno z wciąż jeszcze otwartych okien usłyszałem płaczliwy głos dziecka:

- Pomóż mi, ojczel!

ROZDZIAŁ XVI

ALZABO

Ruszyłem na pomoc Casdoe i odwróciłem się plecami do Agii. Niewiele brakowało, żebym zapłacił za ten błąd życiem, gdyż rzuciła się na mnie natychmiast, jak tylko zająłem się pierwszą okiennicą. Przysłowie powiada, że kobiety i krawcy zawsze tną z góry, lecz Agia uderzyła z dołu, tuż pod żebra, jak doświadczony zabójca, by dosięgnąć serca zakrzywionym ostrzem. W ostatniej chwili odwróciłem się i zasłoniłem przed ciosem okiennicą. Cios był tak silny, że sztylet przebił drewno i utkwił w nim na dobre, ja zaś szarpnąłem okiennicę w bok i cisnąłem w drugi koniec pokoju. Obie kobiety natychmiast rzuciły się w tamtą stronę, ale ja złapałem Agię za łokcie i przytrzymałem w miejscu, Casdoe zaś podniosła okiennicę i wepchnęła ją na miejsce, z rękojeścią sztyletu sterczącą na zewnątrz.

- Głupia kobieto - powiedziała Agia głosem wypranym ze wszelkich emocji. - Przecież w ten sposób dajesz broń temu, kogo się boisz.

- To nie potrzebuje noża - odparła Casdoe.

W izbie zapadła ciemność, którą rozjaśniał jedynie czerwony blask przygasającego ognia. Rozejrzałem się w poszukiwaniu świec lub latarni, ale nic takiego nie dostrzegłem; później okazało się, że nieliczne, które znajdowały się w domu, były trzymane na strychu. Na dworze rozbłysła błyskawica, wypełniając jaskrawym światłem szczeliny w okiennicach oraz szparę pod drzwiami. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że linia blasku nad progiem składa się z dwóch części, oddzielonych od siebie strefą cienia.

- Tam ktoś jest - powiedziałem. - Stoi tuż za drzwiami.

Casdoe skinęła głową.

- Całe szczęście, że zdążyłam zamknąć okna. Nigdy nie przychodziło tak wcześnie.

Pewnie obudziła je burza.

- A może to twój mąż?

Zanim zdołała odpowiedzieć, rozległ się głos jeszcze cieńszy od głosu małego Severiana:

- Wpuść mnie, matko!

Nawet ja, chociaż nie wiedziałem, kto wypowiedział te słowa, wyczułem, że coś jest nie w porządku. Może i był to głos dziecka, ale na pewno nie człowieka.

- Matko, zaczyna padać!

- Lepiej pójdźmy na górę - powiedziała Casdoe. - Jeżeli wciągniemy drabinę, nie będzie mogło nas dosięgnąć, nawet jeśli wejdzie do środka.

Zbliżyłem się do drzwi. Bez światła nie mogłem dostrzec stóp tego kogoś - lub czegoś -

kto stał zaraz za progiem, ale poprzez przybierające na sile bębnienie deszczu wyraźnie usłyszałem powolny, chrapliwy oddech i niewyraźny szelest, jakby ktoś przestąpił z nogi na nogę.

- Czy to wasza sprawka? - zapytałem Agię. - Kolejny stwór z menażerii Hethora?

Potrząsnęła głową. Jej skośne, brązowe oczy rzucały niespokojne spojrzenia we wszystkie strony.

- One żyją dziko w tych górach, o czym powinieneś wiedzieć lepiej ode mnie.

- Matko?!...

Zaraz potem rozległ się kolejny szelest i ten, kto zadał pytanie, odszedł od drzwi. W

jednej z okiennic znajdowało się ukośne pęknięcie; próbowałem dojrzeć przez nie cokolwiek, ale bezskutecznie. Usłyszałem jedynie miękkie, ciężkie stąpnięcia, dokładnie takie same, jakie czasem docierały do mych uszu w Cytadeli, gdy przechodziłem obok Niedźwiedziej Wieży.

- Trzy dni temu zabrało Severę - powiedziała Casdoe, starając się skłonić starca, by wstał

z miejsca. Wreszcie uczynił to z ociąganiem, niechętnie oddalając się od dającego ciepło ognia. -

Nigdy nie pozwalałam dzieciom wchodzić do lasu, ale na niecałą wachtę przed zmierzchem przyszło tutaj, na polanę, i od tej pory wraca każdego wieczoru. Pies nie mógł go wytropić, więc dziś Becan poszedł, by na nie zapolować.

Domyśliłem się już, o jakim zwierzęciu mowa, mimo że nigdy nie widziałem go na oczy.

- Chodzi o alzabo? O stworzenie, z którego gruczołów robi się analept?

- Nazywa się alzabo, ale nic nie wiem o żadnym analepcie - odparła Casdoe.

Agia parsknęła śmiechem.

- Za to Severian wie o nim wszystko, co można wiedzieć! Skosztował już mądrości tego stworzenia i dzięki niemu stale nosi ze sobą część swojej ukochanej. Podobno nocą czasem można usłyszeć, jak szepczą do siebie, ogarnięci miłosnym uniesieniem.

Spróbowałem ją uderzyć, ale ona sprytnie się uchyliła, po czym przebiegła na drugą stronę stołu.

- Czy nie jesteś zadowolony, Severianie, że alzabo znalazło się wśród zwierząt, które przywieziono na Urth, aby zastąpiły te wytępione przez naszych przodków? Gdyby nie ono, na zawsze utraciłbyś swoją ukochaną Theclę. Dalej, powiedz naszej gospodyni, jak bardzo uszczęś-

liwiło cię to stworzenie!

- Ogromnie mi przykro z powodu śmierci twojej córki - zwróciłem się do Casdoe. -

Postaram się obronić ten dom, jeżeli tylko będzie to możliwe.

Aby udowodnić, że jestem gotów poprzeć czynami swoje słowa, sięgnąłem po miecz, który stał oparty o ścianę. Całe szczęście, że to uczyniłem, gdyż w tej samej chwili zza drzwi dobiegł męski głos:

- Otwórz, kochanie!

Agia i ja rzuciliśmy się, aby powstrzymać Casdoe, lecz nie byliśmy wystarczająco szybcy. Kobieta odsunęła rygiel i drzwi otworzyły się z hukiem.

Bestia stała na czterech łapach, a mimo to jej barki znajdowały się na wysokości mojej głowy. Łeb miała nisko opuszczony, jej zęby zdawały się lśnić w blasku ognia niesamowitą bielą, oczy zaś czerwienią. Od tamtej pory widywałem oczy wielu stworzeń, które podobno przybyły do nas spoza krawędzi świata - uczeni twierdzą, iż zjawily się tu, by wypełnić pustkę pozostawioną przez wymarłe zwierzęta, które żyły na Urth od zarania dziejów, tak samo jak górskie plemiona schodzą w doliny wyludnione z powodu epidemii lub wojny - ale ich oczy były całkiem zwyczajne. W czerwonych oczach alzabo nie mogłem doszukać się ani ludzkiej inteligencji, ani niewinności bezrozumnego zwierzęcia. Tak mogłyby chyba wyglądać oczy diabła, któremu udało się wreszcie wydostać z czeluści gasnącej gwiazdy. Zaraz jednak przypomniałem sobie ludzi-małpy, także zwanych diabłami, którzy jednak mają ludzkie oczy.

Przez chwilę wydawało się, że mimo wszystko zdołamy zamknąć drzwi. Casdoe najpierw cofnęła się o krok, przerażona widokiem, jaki jej się ukazał, potem zaś spróbowała je zatrzaskać, lecz alzabo, chociaż na pozór poruszało się leniwie i powoli, zdążyło postąpić już krok naprzód i drzwi odbiły się od jego boku, jakby trafiły na kamienną ścianę. - Zostaw je - powiedziałem. -

Będę potrzebował światła.

Wysunąłem Terminus Est z pochwy i blask ognia padł na jego ostrze, które zabłysło, jakby samo było źródłem zimnego światła. W tym momencie znacznie bardziej przydałaby mi się kusza, jedna z tych, w jakie byli uzbrojeni płatni mordercy wynajęci przez Agię; groty wyrzucanych przez nie pocisków zapalają się od samego tarcia o powietrze i wybuchają po uderzeniu w cel, niczym kamienie rzucone do wnętrza rozpalonego pieca. Z drugiej jednak strony, w przeciwieństwie do miecza, taka kusza nie stanowi naturalnego przedłużenia ramienia, a poza tym przez kilka dobrych chwil byłbym całkowicie bezbronny, ładując ją ponownie, gdyby pierwszy pocisk rozminął się z celem. Alzabo mogłoby wówczas dopaść mnie jednym skokiem.

Długi miecz chronił mnie przed tym niebezpieczeństwem, choć miejsce, w jakim miała odbyć się walka, bardzo utrudniało mi zadanie. Ponieważ ostrze było tępo zakończone, nie mogłem wykonać prostego pchnięcia, lecz musiałem liczyć się z koniecznością cięcia, i choć nie ulegało dla mnie wątpliwości, że uda mi się zdjąć bestii łeb z karku, to pozostawał jednak problem precyzyjnego trafienia w szybko gęstniejącym mroku. Poza tym izba była tak ciasna, iż obawiałem się, że biorąc zamach zawadzę o któryś ze sprzętów, ścianę albo niską powalę.

Starzec, mały Severian i Casdoe gdzieś zniknęli; nie miałem pojęcia, czy w czasie, kiedy ja wpatrywałem się jak urzeczony w oczy zwierzęcia, skryli się na strychu, czy może udało im się wymknąć na zewnątrz. Oprócz mnie i Alzabo w pomieszczeniu została tylko Agia, wciśnięta w kąt, dzierżąc w dłoni okutą laskę gospodyni. Przypominała zdesperowanego żeglarza, gotowego z bosakiem w ręku bronić do upadłego swego okrętu. Zdawałem sobie sprawę, że odzywając się do niej zwrócę na nią uwagę bestii, ale liczyłem na to, że jeśli Alzabo choć na chwilę odwróci głowę, wówczas być może uda mi się jednym ciosem przerąbać mu kark.

- Potrzebuję światła - powiedziałem. - W ciemności nie mam żadnych szans. Powiedziałaś kiedyś swoim ludziom, że jesteś gotowa zmierzyć się ze mną, pod warunkiem, że oni w tym czasie znajdą mnie od tyłu, by dokonać dzieła. Ja jestem teraz gotów zmierzyć się z tym stworzeniem, aby ocalić nas oboje, jednak pod warunkiem, że przyniesiesz świecę.

Skinęła głową, a w tej samej chwili zwierzę ruszyło w moją stronę. Nie skoczyło, jak się tego spodziewałem, tylko przesunęło się w bok, wciąż jednak pozostając poza zasięgiem miecza.

Natychmiast zrozumiałem, że zbliżając się do ściany stara się utrudnić mi ewentualny atak oraz że jeśli zdoła zająć pozycję między mną a paleniskiem (co już mu się prawie udało), pozbawi mnie tej niewielkiej przewagi, jaką dawał mi blask ognia.

Zaczęła się prowadzona powoli i ostrożnie gra, w trakcie której Alzabo starało się do maksimum wykorzystać osłonę, jaką dawały mu krzesła, stół i ściany, ja zaś usiłowałem znaleźć jak najwięcej miejsca dla mojego miecza.

Potem skoczyłem naprzód. Alzabo uchyliło się przed ciosem - ostrze minęło je najwyżej o szerokość palca - rzuciło się na mnie, ale natychmiast cofnęło, w samą porę, aby uniknąć powtórnego ciosu. Jego szczęki, tak duże, że bez trudu mogłyby zgnieść ludzką głowę, zatrzasnęły się tuż przed moją twarzą. Owionął mnie ciepły, cuchnący oddech.

Rozległ się ogłuszający huk gromu, w chwilę potem zaś trzask padającego drzewa, którego śmierć obwieścił. Błyskawica oślepiła mnie, przed oczami zatańczyły mi czarne plamy.

Odruchowo uderzyłem mieczem w jakiś ciemny kształt, który ruszył w moją stronę, poczułem, jak ostrze zatrzymuje się na kości, i odskoczyłem w bok. Zamachnąłem się ponownie, ale tym razem tylko rozrąbałem na pół jedno z krzesel.

Powoli odzyskiwałem wzrok. Kiedy ja walczyłem z Alzabo, Agia ostrożnie zmieniała pozycję, by w chwili, kiedy zaświeciła błyskawica, pobiec ku drabinie. Teraz znajdowała się już w jej połowie, Casdoe zaś wyciągnęła rękę, by pomóc dziewczynie wejść na górę. Alzabo nadal stało przede mną, lecz na podłogę kapą obficie krew, sierść miało zmierzwioną i wilgotną, pazury zaś, bardzo przypominające pazury niedźwiedzia, zbroczone krwią.

- Tak, jestem ranny - powiedział tym samym głosem, który niedawno przemówił zza drzwi do Casdoe. Głos należał do pewnego siebie, dzielnego mężczyzny, ale ponieważ wydobyl

się z paszczy zwierzęcia, był ohydny jak głos trupa. - Jednak ból nie jest wielki i mogę poruszać się

równie szybko, jak przedtem. Nie uda ci się oddzielić mnie od rodziny.

Wyjąłem Pazur i położyłem go na stole, ale klejnot ledwie się zarzył.

- Światła! - krzyknąłem do Agii.

Nie odpowiedziała, ja zaś usłyszałem stukot wciąganej drabiny.

- Nie masz drogi ucieczki - powiedziało alzabo głosem mężczyzny.

- A ty nie możesz posuwać się naprzód. Nie uda ci się skoczyć tak wysoko, szczególnie ze zranioną nogą.

Nagle męski głos ustąpił drżącemu dyszkantowi.

- Czy myślisz, że ja, który potrafię mówić, nie wpadnę na pomysł, by przysunąć stół pod otwór w suficie?

- A więc zdajesz sobie sprawę, że jesteś zwierzęciem?

- Wiemy, że znajdujemy się we wnętrzu zwierzęcia - odparł głos mężczyzny - podobnie jak kiedyś znajdowaliśmy się we wnętrzu ciała, które ono pożarło.

- I nie masz nic przeciwko temu, żeby teraz tak samo postąpiło z twoją żoną i synem?

- Ja tego chcę. Pragnę, aby Casdoe i Severian dołączyli do nas, podobnie jak ja dołączyłem dzisiaj do Severy. Kiedy ogień zgaśnie, ty umrzesz i dołączysz do nas tak samo jak oni.

Parsknąłem śmiechem.

- Zapomniałeś już, że zraniłem cię właśnie wtedy, kiedy nic nie widziałem? -

Trzymając w pogotowiu Terminus Est podszedłem do miejsca, w którym leżały resztki krzesła, podniosłem to, co zostało z jego oparcia, i rzuciłem w ogień. Natychmiast w górę strzelił kłęb iskier.
- To dobrze wysuszone drewno, natarte pszczelim woskiem. Powinno dobrze się palić.

- Mimo to prędzej czy później zapadnie ciemność - odparło ze spokojem alzabo głosem Becana. - Wtedy do nas dołączysz.

- Nie. Zabiję cię, jak tylko ogień zacznie przygasać. Na razie poczekam, żebyś stracił jak najwięcej krwi.

Zapadło milczenie, tym bardziej niezwykle, że spoglądając na alzabo nie sposób było dopatrzeć się jakichkolwiek oznak inteligencji. Zdązałem sobie sprawę, iż tak samo, jak resztki zakodowanych w formie związków chemicznych wspomnień Thecli trafiły do mego mózgu, również osobowości mężczyzny i jego córki błąkały się po mózgu nierozumnego stworzenia, choć nie miałem pojęcia, jakie też myśli i marzenia mogły stać się ich udziałem.

Wreszcie w małej izbie ponownie rozległ się głos Becana:

- Tak więc, za wachtę lub dwie, ty zabijesz mnie albo ja zabiję ciebie. Albo zabijemy się nawzajem. Gdybym teraz odwrócił się i odszedł, czy będziesz mnie ścigał, kiedy Urth ponownie zwróci twarz ku słońcu? A może zostaniesz tutaj, aby oddzielić mnie od kobiety i dziecka, którzy należą do mnie?

- Nie - odparłem.

- Klniesz się na honor? Jesteś gotów przysiąc na miecz, mimo że nie możesz skierować go ku słońcu?

Cofnąłem się o krok, ująłem Terminus Est za ostrze i zwróciłem go w stronę własnego serca.

- Przysięgam na ten miecz, symbol mego posłannictwa, że jeżeli odejdziesz i nie powrócisz tej nocy, jutro nie wyruszę w pogoń za tobą. Przysięgam też, że nie zostanę w tym domu.

Alzabo odwróciło się szybko i bezszelestnie jak wąż - przez chwilę wydawało mi się, że mógłbym zadać celny cios w jego szeroki grzbiet - po czym zniknęło. O jego niedawnej obecności świadczyły jedynie otwarte na oścież drzwi, roztrzaskane krzesło oraz kałuża krwi (znacznie ciemniejszej niż krew zwierząt od wieków zamieszkujących naszą planetę), która zdążyła już częściowo wsiąknąć w podłogę z heblowanych desek.

Zamknąłem i zaryglowałem drzwi, schowałem Pazur do skórzanego woreczka na szyi, następnie zaś przesunąłem stół pod otwór w suficie, wskoczyłem na niego i bez trudności wspiałem się na strych. Casdoe, starzec oraz mały Severian, skapani w blasku bijącym od lampy zawieszanej na belce, siedzieli w najdalszym kącie pomieszczenia. Sądząc po wyrazie oczu chłopca, wspomnienia o wydarzeniach tej nocy miały towarzyszyć mu przez najbliższe dwadzieścia lat.

- Przeżyłem, jak widzicie - powiedziałem. - Słyszeliście, co mówiliśmy na dole?

Kobieta skinęła głową.

- Nie uczyniłbym tego, gdybyście przynieśli mi światło, tak jak prosiłem. Ponieważ tego nie zrobiliście, nie czułem się do niczego zobowiązany. Na waszym miejscu opuściłbym ten dom z samego rana i ruszył w kierunku nizin, ale postąpić, jak będziecie chcieli.

- Baliśmy się... - wymamrotała Casdoe.

- Ja też. Gdzie Agia?

Ku memu zdziwieniu starzec wyciągnął rękę i wskazał miejsce, w którym rozsunięto grubą warstwę słomy tworzącej strzechę. Otwór był dość wąski, ale szczupłe ciało Agii precyzyjnie przeczisnęło się tamtędy bez najmniejszego trudu.

Noc przespałem przy palenisku, ostrzegłszy uprzednio Casdoe, że zabiję każdego, kto spróbuje zejść ze strychu. Rankiem obszedłem dom; tak jak się spodziewałem, nóż Agii zniknął z okiennicy.

ROZDZIAŁ XVII

MIECZ LIKTORA

- Odchodzimy - powiedziała Casdoe. - Najpierw jednak przygotuję śniadanie. Nie musisz jeść z nami w izbie, jeśli sobie tego nie życzysz.

Skinąłem głową i zaczekałem przed chatą, gdzie przyniosła mi miskę owsianki i drewnianą łyżkę, po czym przeszedłem nad strumień, usiadłem na brzegu i zjadłem posiłek.

Myślę, że w pewien sposób pogwałciłem przysięgę złożoną alzabo, gdyż przez cały czas obserwowałem dom, sam będąc ukryty za zasłoną gęstych krzewów.

Wreszcie z chaty wyłonili się Casdoe, jej ojciec oraz mały Severian. Kobieta niosła na plecach spory pakunek, w rękę ścisnęła okutą laskę męża, starzec zaś i chłopiec mieli niewielkie sakwy. Pies, który zapewne schował się pod podłogę, kiedy przyszło alzabo (nie mogę powiedzieć, żebym go za to potępiał, choć jestem pewien, że Triskele nie zachowałby się w taki sposób), kręcił im się pod nogami. Casdoe rozejrzała się dokoła, a kiedy nigdzie mnie nie dostrzegła, położyła na progu nieduże zawiniątko.

Patrzyłem, jak idą skrajem małego pola, zaoranego i obsianego nie dalej niż przed miesiącem, które teraz miało zostać okradzione przez ptaki i zarosnąć chwastami. Casdoe i jej ojciec ani razu nie obejrzeliby się za siebie, natomiast chłopczyk przystanął na chwilę przed szczytem pierwszego wzniesienia, by jeszcze raz popatrzeć na jedyny dom, jaki do tej pory znał

w życiu. Kamienne ściany stały równie pewnie jak zawsze, a z komina wciąż jeszcze wydobywała się strużka dymu. Potem mały Severian odwrócił się i pobiegł za matką, niknąc mi z oczu.

Opuściłem kryjówkę i podszedłem do drzwi. W zawiniątku znajdowały się dwa koce z miękkiej wełny wigonia oraz nieco suszonego mięsa. Mięso schowałem do sakwy, koce zaś rozłożyłem i zrolowałem, tak by móc je nieść przewieszane przez ramię.

Po deszczu powietrze było świeże i czyste. Cieszyłem się, że za chwilę opuszczę kamienną chatę, wypełnioną zapachem dymu i jedzenia. Zajrzałem jeszcze raz do środka, by popatrzeć na plamę krwi pozostawioną przez alzabo. Przy okazji przekonałem się, że Casdoe przesunęła stół na poprzednie miejsce oraz że Pazur nie zostawił na jego powierzchni najmniejszego śladu. W izbie nie zostało nic wartego zabrania, cofnąłem się więc i zamknąłem drzwi.

Wkrótce ruszyłem śladem Casdoe i jej rodziny. Co prawda nie wybaczyłem jej, że nie przyniosła mi światła, kiedy walczyłem z alzabo - mogła to zrobić bardzo łatwo, choćby wystawiając lampę przez otwór w suficie - choć nie miałem do niej pretensji za to, że stanęła po stronie Agii; była przecież tylko samotną kobietą, mieszkającą w chacie otoczonej zewsząd skalistymi twarzami gór, w towarzystwie starca i małego chłopca, równie bezbronnych jak ona -

ich dwóch trudno było obarczać jakąkolwiek winą.

Ścieżka była tak miękka, że bez trudu dostrzegłem niewielkie ślady stóp Casdoe, jeszcze mniejsze chłopca oraz duże, należące do starca, z palcami skierowanymi na zewnątrz. Szedłem powoli, żeby

ich nie dogonić, a choć zdawałem sobie sprawę, iż z każdym krokiem coraz bardziej zbliżam się do niebezpieczeństwa, to miałem nadzieję, że zawczasu dostrzegę patrol, który zatrzyma trójkę uciekinierów, aby ich przesłuchać - naturalnie, o ile coś takiego w ogóle nastąpi. Ze strony Casdoe nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo, gdyż informacje, jakich mogła udzielić żołnierzom, tylko skierowałyby ich na fałszywy trop, natomiast gdyby gdzieś blisko pojawiło się alzabo, chyba wyczułbym zawczasu jego zapach. Bądź co bądź, zobowiązałem się tylko do tego, że nie będę go ściagał i że nie zostanę w domu, nie zaś, że pozostawię bez opieki tych, których upatrzyło sobie na kolejne ofiary.

Dróżka była chyba tylko szlakiem wydeptanym przez zwierzynę i nieco poszerzonym przez Becana, gdyż bardzo szybko zniknęła. Okolica nie dorównywała dzikością tej, przez jaką szedłem nad krawędzią lasu: tutaj, na południowych stokach, rosły mchy i paprocie, na stromych urwiskach zaś zadomowiła się kosodrzewina. Bardzo często natykałem się na strumienie i wodospady. Żyjąca w moim umyśle Thecla pamiętała, że często odwiedzała takie miejsca w towarzystwie nauczyciela i dwóch osobistych strażników, by malować pejzaże. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, iż lada chwila natknę się na sztalugi, Paletę i pudełko z pędzlami, pozostawione przy jakimś wodospadzie i czekające na moment, kiedy promienie słońca ponownie zaśnią w huczącej kaskadzie.

Rzecz jasna nic takiego nie nastąpiło, a przez kilka wacht w ogóle nie dostrzegłem śladu człowieka, oczywiście nie licząc odcisków stóp poprzedzającej mnie trójki, nakładających się na tropy jeleni oraz wielkich kotów, które na nie polują. Zwierzęta zapewne szły tędy o świcie, kiedy przestało padać.

A potem ujrzałem ślady bosych stóp znacznie większe od tych, jakie zostawiał starzec.

Były nawet większe od moich: jeden od drugiego dzieliła spora odległość. Krzyżowały się ze szlakiem, a jeden z nich zatarł odciski stopy chłopca, co świadczyło o tym, że ktoś zjawił się w tym miejscu już po przejściu Casdoe i jej rodziny.

Natychmiast przyspieszyłem kroku.

Przypuszczałem, iż te wielkie ślady należą do jakiegoś autochtona, choć zastanowienie budziła niezwykła długość kroku - te dzikusy zamieszkujące niedostępne partie gór są zazwyczaj dość niskiego wzrostu. Jeżeli to rzeczywiście był autochton, wówczas Casdoe i jej rodzinie nie groziło żadne poważne niebezpieczeństwo, a co najwyżej utrata skromnego dobytku, który ze sobą zabrali. Z tego, co słyszałem, autochtoni są dobrymi myśliwymi, ale nie grzeszą nadmierną odwagą.

Wkrótce do śladów, które wzbudziły mój niepokój, dołączyły dwa lub trzy nowe.

Sprawa przedstawiałaby się znacznie gorzej, gdyby mieli to być dezercerzy z armii.

Stanowili mniej więcej jedną czwartą więźniów Vinculi, trafiali tam zaś za najbardziej okrutne zbrodnie. Dezercerzy z pewnością dysponowali doskonałą bronią, ale należało się spodziewać, że będą także obuci.

Dotarłem do miejsca, w którym szlak zaczynał piąć się ostro w górę. Bez trudu dostrzegłem

wgłębienia pozostawione przez okutą laskę kobiety, a także połamane gałązki w tych miejscach, gdzie zapewne pomagała starcowi we wspinaczce. Niektóre z tych gałązek mogli też połamać ci, którzy szli za nimi. Stary mężczyzna z pewnością musiał już być kompletnie wyczerpany i należało się dziwić, że córka zmusza go do uciążliwego marszu, ale może robiła to dlatego, iż wiedziała, że ktoś ich ściga. Zbliżając się do grzbietu wzniesienia usłyszałem ujadanie psa, a zaraz potem (w pierwszej chwili odniosłem wrażenie, iż jest to echo odgłosów, jakie wypełniały miniony wieczór) przeraźliwy, nieartykułowany wrzask.

Nie był to jednak okropny, na pół ludzki a na pół zwierzęcy ryk alzabo, lecz odgłos, jaki często słyszałem, leżąc na twardej pryczy obok Roche'a lub zanosząc posiłki klientom oraz braciom pełniącym służbę w lochach. Tak właśnie krzyczeli klienci przetrzymywani na trzecim poziomie - ci, co już nie potrafili mówić, i dlatego nigdy nie prowadzono ich do pokoju przesłuchań.

Byli to zoantropi, dokładnie tacy, za jakich przebrali się niektórzy spośród gości zaproszonych na maskaradę do Abdiesusa. Dotarłszy na szczyt ujrzałem ich przed sobą, a także Casdoe, jej ojca i syna. Nie sposób nazwać ich ludźmi, choć z daleka byli nawet do nich podobni: dziewięciu zupełnie nagich osobników, krążących w dzikich podskokach wokół kobiety, starca i dziecka. Ruszyłem czym prędzej ku nim, kiedy nagle jeden z nich zadał cios maczugą i stary człowiek osunął się na ziemię.

Zawahałem się wówczas, i to bynajmniej nie dlatego, że doszły do głosu ukryte gdzieś głęboko w moim umyśle obawy Thecli.

To prawda, że dzielnie stawiałem czoło małpoludom z kopalni, ale nie miałem innego wyjścia. To prawda, że zmierzyłem się z groźnym alzabo, lecz alternatywę stanowiła ucieczka w gęstniejącą ciemność, gdzie bez wątpienia szybko by mnie dopadło.

Teraz jednak mogłem dokonać wyboru... i zawahałem się.

Casdoe mieszkała w górach, a więc zapewne słyszała o zoantropach, choć całkiem możliwe, iż nigdy ich nie spotkała. Chłopiec wczepił się kurczowo w fałdy jej sukni, ona zaś walczyła wymachując laską, jakby to była szabla. Jej piskliwy głos bez trudu przebijał się przez wrzaski napastników, choć jednocześnie wydawał się dobiegać z niezmiernej dali. Ogarnęło mnie przerażenie - jak każdego, kto jest świadkiem ataku na kobietę - mimo że gdzieś w głębi mojej duszy kołatało przekonanie, że ta, która nie chciała walczyć u mego boku, powinna teraz samotnie zmierzyć się z niebezpieczeństwem.

Rzecz jasna taka sytuacja nie mogła trwać w nieskończoność. Te istoty albo uciekają od razu, albo nie uciekają w ogóle. Jedna z nich Wyrwała laskę z ręki kobiety, a ja wówczas wyciągnąłem Terminus Est z pochwy i pogałem co sił w nogach ze szczytu wzniesienia. Nie spuszczałem jednak oka z tego, co dzieje się przede mną, i ujrzałem, jak naga postać rzuca Casdoe na ziemię - jak przypuszczałem, po to, by ją zgwałcić.

Jednocześnie coś wielkiego wypadło spomiędzy drzew po mojej lewej stronie. Było tak ogromne i poruszało się tak szybko, iż w pierwszej chwili wziąłem to za rdzawobrazowego rumaka bez jeźdźca i siodła. Dopiero kiedy dostrzegłem błysk kłów i usłyszałem wrzask rozszarpywanego zoantropa, uświadomiłem sobie, że to alzabo.

Pozostali natychmiast rzucili się w kierunku zwierzęcia. Ich wznoszące się i opadające maczugi z drzewa żelaznego przypominały groteskowo zniekształcone głowy kur dziobiących rozsypane na ziemi ziarna, a potem kolejny zoantrop poszybował wysoko w powietrze; jeszcze niedawno był zupełnie nagi, teraz zaś wydawało się, iż przywdział jakąś szkarłatną szatę.

Kiedy włączyłem się do walki, alzabo zostało już powalone na ziemię i przez chwilę mogłem nie zwracać na nie uwagi. Zatoczyłem mieczem szerokie koło, a powietrze zaśpiewało cicho, przecinane długim ostrzem. Jeden z przeciwników padł bez życia, po nim drugi. Tuż obok mojego ucha przeleciał ciśnięty z ogromną siłą kamień; gdyby trafił mnie w głowę, bez wątpienia zginąłbym na miejscu.

Na szczęście tym razem nie miałem do czynienia z małpoludami zamieszkującymi nieczynną kopalnię, których było tak wielu, że nigdy nie zdołałbym wyciąć ich wszystkich.

Wywijałem mieczem we wszystkie strony, tnąc z góry na dół, przez zębra, ukośnie, odcinając ramiona, i poziomo, odrabując głowy.

Wreszcie zapadła cisza, w której słyhać było jedynie płacz chłopca. Na trawie leżało siedmiu zoantropów; czterech zabił Terminus Est, trzech zaś alzabo. Częściowo pożarte ciało Casdoe tkwiło w paszczy zwierzęcia. Stary człowiek, który znał Fechina, leżał niczym zepsuta lalka; z całą pewnością znakomity artysta uczyniłby z jego śmierci wspaniałe dzieło sztuki, ukazując ją z zupełnie nowej, niezwyklej perspektywy oraz przekazując posłanie dotyczące godności, a jednocześnie ulotności ludzkiego życia. Niestety, Fechina tutaj nie było. Obok starca spoczywał nieruchomo pies z zakrwawionymi szczękami.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu chłopca i stwierdziłem z przerażeniem, że tuli się do grzbietu alzaba. Bez wątpienia bestia zawołała go głosem ojca, więc przyszedł do niej. Tylne ciało zwierzęcia drżała jak w febrze, ale oczy były zamknięte. Odciągnąłem chłopca, a wówczas spomiędzy przerażających kłów wysunął się język, jakby alzabo chciało polizać dziecko po ręce, po czym ogromnym ciałem wstrząsnął gwałtowny dreszcz i potwór wyzionął

ducha. Częściowo wysunięty język znieruchomiał na trawie, dłuższy i grubszy od języka wołu.

- Już po wszystkim, mały Severianie - powiedziałem do chłopca. - Nic ci nie jest?

Pokręcił głową i rozplakał się na dobre. Przytuliłem go do piersi, po czym długo chodziłem z nim w tę i z powrotem, starając się ukoić jego ból.

Zastanawiałem się nawet, czy nie użyć Pazura, choć przecież zawiódł mnie niedawno w chacie Casdoe, podobnie jak wiele razy przedtem. Gdyby jednak teraz zadziałał, kto wie, jakie byłyby tego skutki? Nie miałem najmniejszej ochoty przywracać życia ani zoantropom, ani alzabo, bezgłowe ciało kobiety zaś z pewnością niewiele skorzystałoby z jego pomocy. Co do starca, to i tak stał już nad grobem, a teraz zginął w okamgnieniu, bez niepotrzebnych męczarni.

Czy podziękowałby mi, gdybym teraz wezwał go z powrotem tylko po to, żeby za rok lub dwa musiał ponownie umrzeć? Wyjąłem klejnot i popatrzyłem na niego z powątpiewaniem; co prawda błysnął jasnym światłem, lecz było to jedynie światło słońca, nie zaś blask Łagodziciela, gegenschein Nowego Słońca, schowałem go więc do woreczka i zawiesiłem na piersi. Chłopiec przyglądał mi się szeroko otwartymi oczami.

Terminus Est był zakrwawiony aż po rękojeść. Usiadłem na zwałonym drzewie, by oczyścić go kawałkami kory i butwiejącego drewna, następnie zaś wytarłem ostrze i starannie je naoliwiłem. Zoantropi i alzabo niewiele mnie obchodzili, lecz nie mogłem się zdobyć na to, by zostawić dzikim zwierzętom na pożarcie ciała Casdoe i jej ojca.

Przeciwko takiemu rozwiązaniu przemawiało nie tylko poczucie przyzwoitości, ale także zwykła roztropność. Przecież na miejscu starcia mogło pojawić się drugie alzabo i pożarłszy zwłoki kobiety wyruszyć na poszukiwanie jej syna. Zastanawiałem się, czy nie zanieść trupów z powrotem do chaty, ale w końcu zrezygnowałem z tego zamiaru, gdyż odległość była jednak dość duża, a w dodatku pewnie nie udałoby mi się zabrać obu zwłok naraz; te, które bym zostawił, choćby na krótki czas, z pewnością przyciągnęłyby uwagę jakichś padlinożerców. Już teraz wysoko w górze krążyły ogromne teratornisy, szybujące z szeroko rozłożonymi skrzydłami, których rozpiętość równa się długości głównej rei karaweli.

Przez jakiś czas badałem grunt, szukając miejsca, w którym ziemia byłaby na tyle miękka, żebym mógł wygrzebać w niej dół za pomocą okutej laski Casdoe. Ostatecznie zaniósłem oba ciała na skalistą ziemię w pobliżu wodospadu i usypałem nad nimi kopiec z kamieni. Miałem nadzieję, że przeleżą tam w spokoju prawie cały rok, aż do chwili, kiedy w okolicach świętej Katarzyny stopią się śniegi i wezbrana woda górskiego strumienia poniesie ku nizinom kości córki i ojca.

Mały Severian początkowo tylko się przyglądał, potem zaś sam zaczął przynosić małe kamienie.

- Czy ty jesteś moim wujkiem? - zapytał, kiedy po skończonej pracy mylił się w strumieniu.

- Jestem twoim ojcem - odparłem. - Przynajmniej na razie. Kiedy ktoś tak młody jak ty traci ojca, musi znaleźć sobie drugiego.

Skinął głową, pogrążony głęboko w myślach, ja natomiast przypomniałem sobie mój sen sprzed zaledwie dwóch nocy o planecie, której wszyscy mieszkańcy byli połączeni więzami krwi, jako potomkowie jednej pary kolonistów. Nie znałem ani imienia swojej matki, ani ojca, mogłem więc być krewnym tego dziecka, noszącego moje imię, albo każdego, kogo spotkałem na swojej drodze, a światem z mojego snu było dla mnie łóżko, na którym spałem. Nawet nie będę próbował opisać, jak bardzo poważni byliśmy wtedy przy szemrzącym wesoło strumieniu ani ile smutku mieściło się w oczach chłopca, kiedy spoglądał na mnie z mokrą twarzą, spod długich rzęs, na których lśniły krople wody.

ROZDZIAŁ XVIII

SEVERIAN I SEVERIAN

Wypiłem tyle wody, ile mogłem, i nakazałem chłopcu, aby uczynił to samo, gdyż było całkiem możliwe, że dopiero nazajutrz rano będziemy mogli ponownie zaspokoić pragnienie.

Zapytał mnie, czy wrócimy do domu, a choć do tej pory miałem zamiar tak właśnie postąpić, to odparłem, że nie, ponieważ pragnę zaoszczędzić mu okropnych wspomnień związanych z chatą, polem i małym ogródkiem oraz bólu, jaki musiałby towarzyszyć ponownemu rozstaniu. Kto wie, może nawet spodziewałby się ujrzeć tam matkę, ojca, siostrę i dziadka?

Mimo to nie mogliśmy zejść niżej, gdyż i tak znajdowaliśmy się na terenie, gdzie groziło mi poważne niebezpieczeństwo. Zbrojne ramię archonta z Thraxu sięgało na sto mil i więcej od miasta, teraz zaś należało się spodziewać, że Agia skieruje jego żołnierzy na właściwy trop.

Na północny wschód od nas wznosiła się najwyższa góra, jaką w życiu widziałem. Nie tylko jej głowa, ale także ramiona były pokryte śnieżną peleryną, spływającą aż do pasa. Co prawda nie wiedziałem - i zapewne nikt nie wiedział - czyja to dumna twarz spoglądała na zachód, na mnóstwo niższych szczytów, ale z pewnością należała ona do władcy panującego u zarania dziejów ludzkości, który władał siłami będącymi w stanie kształtować granit równie łatwo, jak nóż rzeźbiarza kształtuje drewno. Byłem niemal pewien, że nawet zaprawieni w bojach żołnierze, którzy doskonale znali te rejony, musieli odczuwać na ten widok zabobonny lęk.

Dlatego właśnie ruszyliśmy w tamtą stronę, a dokładniej rzecz biorąc ku przełęczą łączącej pofałdowany materiał szaty z górą, u podnóża której Becan wybudował swój dom. Początkowo wspinaczka nie była zanadto uciążliwa, dlatego też szliśmy szybkim krokiem.

Chłopiec trzymał mnie za rękę także wtedy, kiedy mógł się doskonale obejść bez mojej pomocy. Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia, jeżeli chodzi o określanie wieku dzieci, lecz wydawało mi się, że gdyby był jednym z uczniów naszej konfraterni, mógłby właśnie zacząć uczęszczać na zajęcia prowadzone przez mistrza Palaemona, gdyż nie miał kłopotów z chodzeniem i potrafił mówić na tyle, aby rozumieć innych i być przez nich rozumianym.

Jednak przez ponad wachtę nie odezwał się ani słowem. Dopiero kiedy schodziliśmy po szerokim, trawiastym zboczu okolonym zewsząd wysokimi sosnami - podobnie wyglądało miejsce, gdzie zginęła jego matka - zapytał:

- Severianie, co to byli za ludzie?

Bez trudu odgadłem, kogo ma na myśli.

- To nie ludzie, choć kiedyś z pewnością nimi byli i nadal trochę ich przypominają, lecz zoantropi, czyli zwierzęta o ludzkich kształtach. Rozumiesz?

Chłopczyk poważnie skinął głową, po czym zadał kolejne pytanie:

- Dlaczego nie noszą ubrań?

- Ponieważ nie są już ludźmi, jak ci powiedziałem. Pies rodzi się psem, ptak rodzi się ptakiem, ale stać się człowiekiem jest niezmiernie trudno. Najpierw trzeba o tym długo myśleć, co najmniej przez trzy albo cztery lata, choć do tej pory z pewnością nie zdawałeś sobie z tego sprawy.

- Pies nie myśli, tylko szuka czegoś, co mógłby zjeść.

- Otóż to. W całkiem naturalny sposób pojawia się więc pytanie, czy należy zmuszać każdego do podjęcia tego wysiłku. Dawno temu mądrzy ludzie doszli do wniosku, że nie. Co prawda czasem każemy psu zachowywać się jak człowiek - chodzić na tylnych łapach, nosić obrożę, która stanowi namiastkę ubrania, i tak dalej - ale nie wolno nam postępować tak wobec człowieka. Czy zdarzało ci się, że ogarniała cię senność, mimo iż wcale nie było późno, a ty nie odczuwałeś zmęczenia?

Severian skinął głową.

- Otóż działa się tak dlatego, że chciałeś przynajmniej na jakiś czas pozbyć się ciężaru bycia chłopcem. Ja z kolei czasem piję za dużo wina, a to dlatego, iż pragnę zapomnieć, że jestem mężczyzną. Zdarza się, że ludzie odbierają sobie życie właśnie z tego powodu. Wiedziałaś o tym?

- Albo robią różne rzeczy, które są dla nich niedobre.

Tę wiedzę chłopiec zdobył zapewne dzięki podsłuchanym rozmowom rodziców. Becan z pewnością należał do ludzi, o których wspomniałem, gdyż w przeciwnym razie nie zamieszkałby z rodziną w takim odosobnionym i niebezpiecznym miejscu.

- Istotnie, to właściwie to samo. Czasem niektórzy mężczyźni, a nawet kobiety, mają już dosyć ciężaru myśli, choć nie zdążyli jeszcze zapragnąć śmierci. Pragną za to stać się tacy sami jak zwierzęta, które kierują się nie rozumem, a jedynie instynktem. Czy wiesz, dzięki czemu możesz myśleć?

- Dzięki mojej głowie - odparł bez wahania chłopiec i chwycił się za nią obiema rękami.

- Zwierzęta też mają głowy, nawet te najgłupsze, jak raki, woły i kleszcze. Myślisz tylko niewielką częścią głowy, która znajduje się w jej wnętrzu, tuż nad oczami. - Dotknąłem jego czoła. - Zapewne wiesz, że gdybyś z jakiegoś powodu zapragnął pozbyć się ręki - na przykład gdyby wdała się w nią jakaś choroba zagrażająca reszcie ciała - to są ludzie, którzy potrafią ją odciąć bez uszczerbku dla twego zdrowia.

Severian ponownie skinął głową.

- Bardzo dobrze. Ci sami ludzie mogą także usunąć tę niewielką część twojej głowy, która pozwala ci myśleć. Naturalnie, potem nie są w stanie włożyć jej z powrotem, a nawet gdyby byli, to ty nie mógłbyś ich o to poprosić, bo nie wiedziałbyś, jak to zrobić. Są jednak tacy, którzy dobrowolnie poddają się temu zabiegowi, gdyż chcą już na zawsze przestać myśleć, twierdząc, iż zależy im przede wszystkim na tym, by zapomnieć o tym wszystkim, czego dokonała ludzkość.

W ten sposób stają się zwierzętami o ludzkich kształtach. Zapytałeś mnie, dlaczego nie noszą ubrań; po prostu nie wiedzą, czemu miałyby one służyć i dlatego nie zakładają ich nawet wtedy, kiedy jest

bardzo zimno, choć czasem wpełzają pod nie albo próbują się w nie zawinać.

- Czy ty też jesteś trochę taki jak oni? - zapytał mały Severian, wskazując na moją nagą pierś.

Milczałem przez dłuższą chwilę, zaskoczony jego pytaniem.

- Po prostu stosuję się do zwyczajów obowiązujących w mojej konfraterni - powiedziałem wreszcie.
- Nie kazałem sobie wyciąć kawałka głowy, jeżeli o to ci chodzi, i kiedyś nosiłem koszulę... Ale chyba masz rację: jestem trochę taki jak oni, ponieważ nigdy się nad tym nie zastanawiałem, nawet kiedy było mi bardzo zimno.

Wyraz twarzy chłopca powiedział mi, że potwierdziłem jego przypuszczenia.

- Czy właśnie dlatego uciekasz?

- Nie, wcale nie dlatego. Jeżeli już, to chyba można powiedzieć, że wręcz przeciwnie: być może ta część mojej głowy zanadto się rozrosła. Jeżeli natomiast chodzi o zoantropów, to masz rację, właśnie z tego powodu mieszkają w górach. Kiedy człowiek zmienia się w zwierzę, staje się bardzo niebezpiecznym stworzeniem, którego nikt nie będzie tolerował w bardziej zaludnionych rejonach, gdzie są farmy i wioski. Są więc wyganiani w góry albo trafiają tu jeszcze przed pozbyciem się człowieczeństwa, przywiezieni przez przyjaciół lub tych, którzy mają dokonać zabiegu. Oczywiście nadal potrafią trochę myśleć, tak samo jak zwierzęta, dzięki czemu są w stanie zdobyć żywność, choć zimą wielu z nich umiera z głodu. Rzucają kamieniami, wiedzą, do czego służą maczugi, a nawet walczą między sobą o partnerki, ponieważ są wśród nich także kobiety. Ich synowie i córki nie żyją jednak długo, chyba na szczęście dla siebie, gdyż, podobnie jak my, rodzą się obarczeni ciężarem myśli.

Akurat w tej chwili ciężar ten tak mocno dawał mi się we znaki, że po raz pierwszy zrozumiałem, iż dla niektórych może on stanowić takie samo przekleństwo, jakim dla mnie bywa moja doskonała pamięć.

Nigdy nie byłem specjalnie wrażliwy na piękno, lecz uroda nieba i gór wstrząsnęła mną do głębi, sprawiając, iż nagle zaczęło mi się wydawać, że pojmuję to wszystko, czego do tej pory nie byłem w stanie nie tylko zrozumieć, ale nawet dostrzec. Kiedy po pierwszym przedstawieniu sztuki doktora Talosa objawił mi się mistrz Malrubius - tego akurat nadal nie rozumiałem, choć byłem coraz bardziej pewien, że nie był to sen ani przywidzenie - mówił mi o kolistej strukturze władzy, choć wówczas ten temat niewiele mnie obchodził. Teraz nagle doszedłem do wniosku, iż on sam także był rządzony, jeżeli nie przez rozum, to przez coś usytuowanego wyżej lub niżej od rozumu - gdzie jednak konkretnie, tego nie potrafiłem stwierdzić. Z pewnością instynkt zajmował

podrzędne miejsce, ale czy czasem nie mógł stać się czynnikiem nadrzędnym? Kiedy alzabo zaatakowało zoantropów, działało pod wpływem instynktu, który nakazywał mu bronić zdobyczy przed napastnikami; Becan także ruszył do ataku, pragnąc ocalić żonę i dziecko. Oboje uczynili więc to samo, w dodatku zamknięci w tym ciele. Czyżby za plecami rozumu wyższe i niższe instynkty podawały sobie czasem ręce? A może jest tylko jeden instynkt, wyciągający ręce w taki sposób, że pojawiają się jednocześnie po obu stronach rozumu? Czy jednak jest on naprawdę

„przywiązaniem do osoby monarchy", będącym, jak twierdził mistrz Malrubius, jednocześnie najwyższym i najniższym stopniem w strukturze władzy? Ponad wszelką wątpliwość nie mógł

wziąć się z niczego. Co prawda jastrzębie krążące nad naszymi głowami budują gniazda kierując się właśnie instynktem, ale kiedyś, \w bardzo dawnych czasach, gniazda jeszcze nie istniały, więc jastrząb, który zaczął budować je jako pierwszy, nie mógł odziedziczyć tego instynktu po rodzicach, gdyż oni po prostu go nie posiadali. Taki instynkt nie rozwijał się też stopniowo, gdyż trudno sobie wyobrazić, aby kilka pokoleń jastrzębi kładło w jakimś miejscu jeden patyk, kilka następnych dwa, i tak dalej, aż po niezliczonych stuleciach powstało pierwsze kompletne gniazdo, ponieważ jeden, dwa czy nawet dziesięć patyków do niczego by się ptakom nie przydały. To, co działało przed pojawieniem się instynktu, mogło więc być najwyższą albo najniższą formą manifestowania się woli. Prawdopodobnie dowiedziałbym się wszystkiego od samych ptaków, ale nie potrafiłem odczytać hieroglifów, jakie kreśliły nade mną w powietrzu.

Kiedy zbliżaliśmy się do przełęczy między naszą górą a tą znacznie potężniejszą, którą opisałem wcześniej, wydawało mi się, że przemierzamy całą Urth od bieguna do równika, gdyż teren, po którym pełzliśmy niczym mrówki, przypominał odwróconą na drugą stronę powierzchnię globu. Daleko za nami i przed nami lśniły rozległe lodowo śnieżne pola, poniżej były skaliste zbocza podobne do brzegów skutego lodem południowego morza, jeszcze niżej zaś ciągnęły się łąki porośnięte zmierzwią trawą, w której kwitło mnóstwo kwiatów. Identyczny pas zielonych łąk mogłem dostrzec za półprzeźroczystą zasłoną błękitnawej mgły, spowijającej stoki ogromnej góry. Rozciągający się niżej sosnowy las z tej odległości wydawał się niemal czarny.

Przełęcz wyglądała zupełnie inaczej, gdyż porastała ją gęstwina liściastych drzew, wznoszących rzadkie korony na trzysta łokci w górę, KU umierającemu słońcu. Ich martwi bracia nadal stali pionowo, podtrzymywani przez sąsiadów oraz oplatające je ciasno liany. W pobliżu górskiego strumienia, gdzie zatrzymaliśmy się na noc, roślinność bardzo przypominała tę, jaką widziałem na nizinach. Teraz, kiedy chłopiec nie musiał poświęcać uwagi wyłącznie forsownemu marszowi, rozejrzał się uważnie dokoła, przez chwilę podziwiał rozciągającą się przed nami panoramę przełęczy, po czym zapytał, czy tam właśnie pójdziemy.

- Jutro - odparłem. - Wkrótce zapadnie zmrok, a ja wolałbym pokonywać tę dżunglę za dnia.

Na dźwięk słowa „dżungla" otworzył szerzej oczy.

- Czy jest niebezpieczna?

- Nie wiem. Z tego, co słyszałem w Thraksie, wynika, że owady nie powinny być nawet w połowie tak groźne jak na nizinach i że nie grozi nam spotkanie z krwiożerczymi nietoperzami (mój przyjaciel, który został kiedyś przez nie pokąsany, twierdzi, że nie należy to do przyjemności). Żyją tam jednak wielkie małpy, a także drapieżne koty i wiele innych zwierząt.

- I wilki.

- Owszem, ale one zapuszczają się także znacznie wyżej, nawet tam, gdzie stoi twój dom.

Natychmiast pożałowałem, że napomknąłem o domu chłopca, gdyż ożywienie natychmiast znikło z jego twarzy, ustępując miejsca smutkowi i głębokiej zadumie. Odezwał się ponownie dopiero po dłuższej chwili.

- Kiedy ci ludzie...

- Zoantropi.

Skinął głową.

- Kiedy napadli na nas zoantropi, czy przybiegłeś nam z pomocą najszybciej, jak mogłeś?

- Tak - odparłem. - Przybiegłem natychmiast, jak tylko uznałem, że powinienem wam pomóc.

W pewnym sensie była to prawda, co jednak nie zmieniło faktu, że z trudem przecisnęła mi się przez gardło.

- To dobrze - powiedział i położył się na kocu, który dla niego rozłożyłem. - Gwiazdy robią się jaśniejsze, prawda? Świecą jaśniej, jak tylko zniknie słońce.

Ułożyłem się obok i również wpatrzyłem w niebo.

- Tak naprawdę to słońce wcale nie znika, tylko Urth odwraca od niego twarz. Ja też nie znikam, kiedy na mnie nie patrzysz, mimo że mnie nie widzisz.

- Jeżeli słońce wciąż tam jest, to dlaczego gwiazdy świecą jaśniej? Ze sposobu, w jaki to powiedział, domyśliłem się, że jest dumny ze swojej umiejętności prowadzenia inteligentnej dyskusji. Podzielałem jego uczucia, dodatkowo zaś zrozumiałem, dlaczego mistrz Palaemon lubił rozmawiać ze mną, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem.

- Jak wiesz, płomień świecy jest prawie niewidoczny w pełnym blasku słońca. Gwiazdy, które same także są słońcami, blakną wówczas w taki sam sposób. Z obrazów namalowanych przed wieloma stuleciami, kiedy nasze słońce było znacznie jaśniejsze, wynika, że pojawiały się na niebie dopiero po zmroku. W starych legendach - mam w sakwie książkę zawierającą wiele z nich - aż roi się od magicznych istot niknących powoli w taki sam sposób, tylko po to, aby znowu się pojawić. Bez wątpienia autorzy tych opowieści brali za wzór zachowanie ówczesnych gwiazd.

Chłopiec wyciągnął rękę.

- To hydra.

- Chyba masz rację. Znasz jeszcze jakieś gwiazdozbiory?

Pokazał mi krzyż i byka, ja zaś wskazałem mu jaszczura oraz kilka innych.

- A tam, nad jednoróżcem, jest wilk. Powinien być jeszcze mały wilk, ale nie mogę go znaleźć.

Odszukaliśmy go wspólnie, tuż nad horyzontem.

- One są jak my, prawda? Duży wilk i mały wilk, duży Severian i mały Severian.

Przyznałem mu rację, a on przez kilka długich chwil wpatrywał się w milczeniu w gwiazdy, żując kawałek suszonego mięsa, który mu dałem.

- Gdzie masz tę książkę z historiami? - zapytał wreszcie.

Pokazałem mu ją.

- My też mieliśmy książkę i czasem mama czytała z niej mnie i Severze.

- Severa to twoja siostra, prawda?

Skinął głową.

- Byliśmy bliźniakami. Duży Severianie, czy miałeś kiedyś siostrę?

- Nie wiem. Moja rodzina nie żyje. Wszyscy umarli, kiedy byłem jeszcze mały. Jaką historię chciałbyś usłyszeć?

Poprosił o książkę, więc mu ją dałem.

- Jest inna od naszej - powiedział, przeczuciwszy kilka stron.

- Jest wiele różnych książek.

- Poszukaj historii o chłopcu, który ma brata albo siostrę i dużego przyjaciela. I żeby były w niej wilki.

Wykonałem jego polecenie najlepiej, jak mogłem, po czym zacząłem pospiesznie czytać, aby zdążyć przed zapadnięciem ciemności.

ROZDZIAŁ XIX

OPOWIEŚĆ O CHŁOPCU ZWANYM ŻABĄ

CZEŚĆ PIERWSZA

WCZESNE LATO I JEJ SYN

Na górskim szczycie, daleko od brzegów Urth, żyła sobie kiedyś piękna kobieta imieniem Wczesne Lato. Była królową tej krainy. Miała silnego i bezwzględneho męża, o którego była zazdrosna. On z kolei był zazdrosny o nią i zabił wielu mężczyzn, których podejrzewał o to, że byli jej kochankami.

Pewnego dnia Wczesne Lato przechadzała się po ogrodzie, kiedy nagle ujrzała przepiękny kwiat, którego nigdy jeszcze nie widziała. Był czerwiejszy od róży i miał słodszy od niej zapach, ale jego mocna łodyga była pozbawiona kolców i gładkością dorównywała kości słoniowej.

Kobieta zerwała go i zniosła do odosobnionego zakątka ogrodu, a kiedy usiadła, aby mu się przyjrzeć, wydał jej się kochankiem, o jakim zawsze marzyła - mocarnym, a jednocześnie łagodnym jak pocałunek. Soki kwiatu wniknęły do jej wnętrza i poczęła dziecko. Swemu panu i władcy powiedziała jednak, że to on jest ojcem, a on uwierzył jej, ponieważ była dobrze strzeżona.

Chłopca, który przyszedł na świat, zgodnie z wolą matki nazwano Wiosennym Wiatrem.

Zaraz po tym, jak się urodził, zwołano najznakomitszych spośród tych, którzy badają gwiazdy, aby ułożyli mu horoskop. Przybyli nie tylko mędrcy z górskiej krainy, ale także najwięksi magowie Urth. Długo ślęczeli nad swymi księgami, dziewięć razy spotykali się na tajnych zebraniach, aż wreszcie ogłosili, iż Wiosenny Wiatr będzie niepokonanym wojownikiem oraz że żadne z jego dzieci nie umrze, zanim w pełni nie dorośnie. Przepowiednie te sprawiły królowi ogromną radość.

Wiosenny Wiatr rósł, jego matka zaś stwierdzała z zadowoleniem, iż chłopiec uwielbia pola, kwiaty i owoce. Wszystkie rośliny miały się znakomicie pod jego opieką, on zaś pragnął

dzierżyć w dłoni nie miecz, lecz nóż ogrodniczy. Jednak kiedy był już młodym mężczyzną, wybuchła wojna, wziął więc tarczę i włócznię. Ponieważ był z natury bardzo spokojny i posłuszny królowi (którego uważał za ojca i który także wierzył, że jest jego ojcem), wielu przypuszczało, że przepowiednia się nie spełni. Tak się jednak nie stało. Nawet w samym sercu najbardziej zaciętej bitwy Wiosenny Wiatr walczył mężnie i spokojnie, nie szafując siłami ani nie dając się ponieść zapałowi. Żaden generał nie miał w zanadrzu tylu forteli co on, a żaden oficer nie wypełniał równie sumiennie obowiązków. Żołnierze, którzy szli do boju pod jego komendą, byli tak wyszkoleni, że przypominali spiżowe posągi ożywione ogniem, i tak bardzo kochali swego dowódcę, że bez wahania podążyliby za nim aż do Krainy Cieni, królestwa położonego najdalej od słońca. Dlatego ludzie mówili, iż to powiew wiosennego wiatru zwałił warowne wieże i przewracał okręty, ale Wczesne Lato wcale nie była tym zachwycona.

Koleje wojny sprawiły, że Wiosenny Wiatr często odwiedzał Urth, gdzie kiedyś poznał

dwóch braci, którzy byli królami. Starszy miał kilku synów, młodszy natomiast córkę o imieniu Leśny Ptak. Kiedy dziewczyna stała się kobietą, jej ojciec został podstępnie zabity, wuj zaś, obawiając się, by nie urodziła synów, którzy pragnęliby odzyskać dziedzictwo po dziadku, oddał

ją do zakonu dziewic-kapłanek. Nie spodobało się to Wiosennemu Wiatrowi, ponieważ zachwyciła go uroda księżniczki, a jej ojciec był jego przyjacielem. Pewnego razu zjawił się na Urth, ujrzał

Leśnego Ptaka śpiącą nad brzegiem strumienia i obudził ją pocałunkami.

Z ich miłości poczęli się dwaj chłopcy bliźniacy, ale choć kapłanki pomogły Leśnemu Ptakowi ukryć przed królem fakt, że jest brzemienna, to nie były w stanie uczynić tego samego z dziećmi. Zaraz po tym, jak przyszli na świat, nawet nie pokazawszy chłopców matce umieściły ich w miękko wymoszczonym, wiklinowym koszyku, zaniósły na brzeg tego samego strumienia, gdzie zostali poczęci, i puściły koszyk na wodę.

CZEŚĆ DRUGA

JAK ŻABA ZNALAZŁ NOWĄ MATKĘ

Koszyk płynął długo i daleko, zarówno po słodkich wodach, jak i po słonych. Inne dzieci z pewnością by tego nie przeżyły, ale synowie Wiosennego Wiatru nie umarli, ponieważ nie byli jeszcze dorośli. Opancerzone potwory przewalały się w wodzie wokół koszyka, a małpy ciskały w niego patykami i orzechami, lecz wiklinowa łódeczka płynęła dalej, aż wreszcie zatrzymała się przy brzegu, gdzie dwie ubogie siostry prały bieliznę. Kiedy kobiety ujrzały, co jest w koszyku, zaczęły głośno krzyczeć, ale nic to nie dało, zakasały więc spódnice, weszły do rzeki i wyniosły go na brzeg.

Ponieważ chłopców znaleziono w wodzie, nazwano ich Rybą i Żabą, a kiedy okazało się, że są ładni i silni, każda siostra wzięła sobie jednego. Ta, która wybrała Rybę, była żoną pasterza, natomiast mąż tej, która wzięła Żabę, był drwalem.

Kobieta, która zaopiekowała się Żabą, bardzo dbała o chłopca i nawet karmiła go własną piersią, gdyż tak się złożyło, że niedawno straciła dziecko. Kiedy mąż szedł do lasu po drewno na opał, nosiła Żabę w szalu zarzuconym na plecy i dlatego mędracy do dzisiaj twierdzą, iż była najsilniejszą ze wszystkich kobiet, ponieważ dźwigała na grzbiecie całe imperium.

Po roku Żaba nauczył się wstawać, a nawet trochę chodzić. Pewnego wieczoru drwal i jego żona siedzieli przy ognisku rozpalonym na małej polanie w dzikiej, niedostępnej okolicy.

Kobieta przygotowywała posiłek, zupełnie nagi Żaba zaś podszedł do ognia i grzał się w jego ciepłe.

- Podoba ci się? - zapytał drwal, który był prostym, dobrym człowiekiem.

Wówczas Żaba, choć do tej pory nie odezwał się jeszcze ani słowem, skinął główką i powiedział:

- Czerwony kwiat.

Podobno w tej samej chwili pogrążona we śnie Wczesne Lato poruszyła się niespokojnie w łożu na szczycie góry, daleko od brzegów Urth.

Drwal oraz jego żona nie posiadali się ze zdumienia, ale nie zdążyli porozmawiać o tym, co się wydarzyło, ani nakłonić Żabę, aby odezwał się ponownie, ani nawet zastanowić się, w jaki sposób podczas najbliższego spotkania opowiedzieć o tym pasterzowi i jego żonie, gdyż na polanie rozległ się okropny odgłos. Ci co go słyszeli i przeżyli twierdzą, że najbardziej przerażający na Urth. Jest ich jednak tak niewiele, że odgłos ten do tej pory nie ma jeszcze nazwy; trochę przypomina brzęczenie

pszczoł, trochę parskanie kota większego od krowy, a trochę dźwięk, jaki wydaje bruchomówca uczący się dopiero swego zawodu, jest bowiem dźwięczący i zarazem głuchy, i dobiega ze wszystkich stron naraz. Była to pieśń, jaką nuci smilodon, kiedy uda mu się podkraść do zdobyczy. Nawet mastodony tak bardzo boją się tego śpiewu, że często wpadają w panikę i ruszają na oślep do szarzy, najczęściej w niewłaściwym kierunku, umożliwiając napastnikowi zadanie ciosu od tyłu.

Z pewnością Prastwórca zna wszystkie tajemnice. On to wypowiedział długie słowo, które stało się naszym wszechświatem, i mało dzieje się rzeczy, które nie stanowią części tego słowa. Należy więc przyjąć, że to z jego woli drwal rozpałił ognisko w pobliżu niewielkiego pagórka, nie wiedząc o tym, że tam właśnie, w miejscu, gdzie dawno temu znajdowało się miasto zmarłych, wybudowała sobie dom wilcza para. Dom był niski, o grubych ścianach i wąskich, oświetlonych zielonymi lampami przejściach, które wiły się między pogruchotanymi pomnikami i sarkofagami - krótko mówiąc, właśnie taki, jakie wilki najbardziej lubią. Tam właśnie siedział

basior, ssąc udową kość coryphodona, a wadera, jego żona, karmiła piersią szczenięta.

Usłyszawszy pieśń smilodona oboje zaczęli przeklinać go w Szarym Języku, tak jak tylko wilki potrafią to czynić, ponieważ prawo głosi, że żaden drapieżnik nie powinien polować w pobliżu domostwa innego drapieżnika, a wilki bardzo ściśle przestrzegają prawa.

- Cóż to za zdobycz mógł znaleźć Rzeźnik, ten głupi zabójca krów rzecznych, skoro ty, mój mężu, który polujesz nawet na jaszczury wylegające się na górskich szczytach, co sięgają daleko poza naszą Urth, zadowoliliś się jedynie wyschniętą kością? - zapytała samica.

- Nie gustuję w padlinie - odparł krótko samiec. - Nie zbieram też dżdżownic w mokrej od rosy trawie ani nie wyławiani żab z płycizn.

- Nie wydaje mi się, aby Rzeźnik śpiewał swą pieśń dla któregoś z tych stworzeń -

zauważyła jego żona.

Wilk podniósł łeb i zaczął węszyć.

- Poluje na syna Meschii i córkę Meschiany. Jak dobrze wiesz, nie może z tego wyniknąć nic dobrego.

Na to wadera pokiwała głową, gdyż wiedziała, że kiedy ginie jeden z nich, synowie Meschii mszczą się zabijając wszystko, co nawinie im się pod rękę. Dzieje się tak dlatego, że Prastwórca ofiarował im kiedyś Urth, a oni odrzucili jego dar.

Zakończywszy pieśń Rzeźnik ryknął tak głośno, jakby chciał postrącać liście z drzew, następnie zaś krzyknął, ponieważ przekleństwa wilków mają wielką moc, przynajmniej wtedy, kiedy księżyc świeci na niebie.

- Dlaczego on krzyczy z bólu? - zapytała wadera, liżąc twarz jednej z córek.

Wilk ponownie napełnił płuca powietrzem.

- Przypalone ciało! Skoczył prosto w ognisko.

Oboje roześmiali się tak, jak to robią wilki: w milczeniu, odsłaniając wszystkie zęby. Ich uszy stały prosto jak namioty na pustym, ponieważ pilnie nasłuchiwali odgłosów dobiegających z ciemności, gdzie Rzeźnik buszował w zaroślach w poszukiwaniu zdobyczy.

Drzwi wilczego domu stały otworem, bo kiedy dorosłe wilki są w domu, niewiele ich obchodzi, kto zechce przez nie wejść, gdyż wyjdzie tylko ten, komu na to pozwolą. Otwór, rozświetlony blaskiem księżycy (on zawsze jest mile widzianym gościem), nagle ściemniał. W

drzwiach stało dziecko, trochę przestraszone mrokiem, ale jednocześnie zaintrygowane ciepłem i zapachem mleka. Basior parsknął gniewnie, lecz jego żona przemówiła matczynym głosem:

- Wejdz, mały synu Meschii. Możesz się napić, najeść i ogrzać. Czekają na ciebie bystroocy, szybkocondzy towarzysze zabaw, najlepsi, jacy są na świecie.

Słyszac to, chłopczyk wszedł do środka, a wilczyca zrobiła miejsce wśród najedzonych szceniąt i przygarnęła go do piersi.

- Jaki może być pożytek z takiej istoty? - zapytał samiec.

Wilczyca parsknęła śmiechem.

- Zadowolasz się wysysaniem starych kości, a jednocześnie zadajesz takie pytania?

Czyżbyś nie pamiętał, jak jeszcze niedawno szalała tu wojna i wojska księcia Wiosennego Wiatru maszerowały po tej ziemi? Wówczas nie polował na nas żaden z synów Meschii, ponieważ wszyscy polowali na siebie nawzajem, a po zakończonej bitwie ty i ja, cały Senat Wilków, Rzeźnik, Ten Który Się Śmieje, a nawet Czarny Zabójca, chodziliśmy spokojnie wśród zabitych i umierających, wybierając sobie tych, na których akurat mieliśmy ochotę?

- To prawda - odparł basior. - Księżę Wiosenny Wiatr wielce się nam przysłużył, ale przecież to szczenię Meschii nie ma z nim nic wspólnego.

Samica uśmiechnęła się na to i powiedziała:

- W sierści na jego głowie czuję bitewny dym. (W rzeczywistości był to dym Czerwonego Kwiatu.) Ty i ja będziemy już pyłem, kiedy pierwszy oddział wymaszeruje przez bramę z warownego zamku, który on zbuduje, ale za tym oddziałem pójdą następne, dzięki czemu nasze dzieci, ich dzieci, oraz dzieci ich dzieci, będą mogły jeść do syta.

Wilk skinął tylko łbem, gdyż wiedział, że jego żona jest mądrzejsza od niego. Tak jak on potrafił zwęszyć rzeczy poza brzegami Urth, tak ona potrafiła dostrzec dni ukryte za zasłoną przyszłorocznych deszczów.

- Nazwę go Żabą - dodała wadera - ponieważ Rzeźnik istotnie poluje czasem na żaby, jak słusznie powiedziałaś, mój mężu.

Chciała mu się w ten sposób przypochlebić w podzięce za to, że tak chętnie przystał na jej życzenia, ale prawda wyglądała w ten sposób, że w żyłach Żaby płynęła krew ludzi zamieszkujących górski szczyt daleko poza granicami Urth, a tak jakoś się dzieje, iż żaden z nich nie jest w stanie długo ukrywać swego prawdziwego imienia.

Na zewnątrz rozległ się dziki śmiech, a zaraz potem głos Tego Który Się Śmieje:

- Jest tutaj, mój panie! Tędy, tędy! Tutaj wiedzie trop! Do tych drzwi!

- Sama widzisz, jakie są skutki wymawiania imion niedobrych istot - mruknął wilk. -

Jeżeli o kimś mówisz, to tak, jakbyś zapraszała go do domu. Tak stanowi prawo.

Powiedziawszy to, wyjął miecz i sprawdził kciukiem, czy jest wystarczająco ostry.

Otwór wejściowy ponownie ściemniał. Był bardzo wąski, gdyż tylko głupcy i kapłani w świątyniach każą robić szerokie drzwi, a wilki nie są ani głupcami, ani kapłanami. Rzeźnik wypełnił go całkowicie, a i tak musiał odwrócić się bokiem i pochylić wielką głowę. Ponieważ ściany domu były grube, wejście przypominało krótki korytarz.

- Czego tu szukasz? - zapytał wilk i polizał ostrze miecza.

- Tylko tego, co do mnie należy - odparł Rzeźnik.

Smilodony walczą za pomocą dwóch zakrzywionych sztyletów, które trzymają w rękach, Rzeźnik zaś był znacznie większy od wilka, ale nie miał ochoty bić się w tak ciasnej przestrzeni.

- Ono nigdy do ciebie nie należało - odezwała się wilczyca. Posadziła Żabę na podłodze i podeszła tak blisko do Rzeźnika, że mógłby ją zaatakować, gdyby zdobył się na odwagę. Jej oczy miały groźne błyskawice. - Polowanie było bezprawne, na zakazaną zwierzynę. Teraz to szczenię napiło się mojego mleka i stało się wilkiem.

- Widywałem już martwe wilki! - warknął Rzeźnik.

- Owszem, i nawet zarłes ich mięso, kiedy cuchnęło tak bardzo, że nie chciały go tknąć nawet muchy. Możliwe, że kiedyś pożresz także moje, jeśli zabije mnie padające drzewo.

- Twierdzisz, że jest wilkiem? W takim razie powinien stanąć przed Senatem.

Rzeźnik obliznął wargi, ale język miał zupełnie suchy. Na otwartym terenie może odważyłby się stanąć twarzą w twarz z wilkiem, ale na pewno nie z obojgiem naraz. Poza tym zdawał sobie doskonale sprawę, że gdyby ruszył naprzód, oni chwyciliby Żabę i uciekliby do głębokich tuneli wydrążonych między wiekowymi grobowcami, skąd on z pewnością nie wyszedłby żywy.

- A cóż ty możesz mieć wspólnego z Senatem Wilków? - zapytała pogardliwie wadera.

- Być może więcej, niż myślisz - odparł Rzeźnik i poszedł szukać łatwiejszego łupu.

CZEŚĆ TRZECIA

ZŁOTO CZARNEGO ZABÓJCY

Senat Wilków zbiera się podczas każdej pełni księżyca. Na posiedzenie przybywa każdy, kto tylko jest w stanie chodzić, gdyż przyjęło się uważać, że ci, którzy się nie pojawiają, knują jakąś zdradę - na przykład w zamian za nędzne ochłapy zgodzili się pilnować stad bydła należących do synów Meschii. Wilk, który opuścił dwa posiedzenia z rzędu, musi poddać się osądowi Senatowi, a jeżeli zostanie uznany winnym, traci życie rozszarpany przez samice.

Przed Senatem muszą stawiać się także szczenięta po to, aby każdy dorosły wilk, któremu przyjdzie na to ochota, mógł je obejrzeć i upewnić się, czy aby ich ojciec był prawdziwym wilkiem. (Czasem wilczyca oddaje się psu i choć szczenięta z tego związku są bardzo podobne do wilków, to jednak zawsze mają przynajmniej jedną białą plamę, gdyż biały jest kolorem Meschii, który widział czyste światło Prastwórcy. Jego synowie pozostawiają to piętno na wszystkim, czego się dotkną).

Tak więc o pełni księżyca wadera stanęła przed Senatem Wilków. Szczenięta bawiły się u jej stóp, Żaba zaś - który naprawdę wyglądał jak żaba, kiedy sączące się przez okna zielonkawe światło padało na jego skórę - stał obok, trzymając się kurczowo fałd jej spódnicy. Przodownik Stada zasiadł na najwyższym miejscu, a nawet jeżeli zdziwił się widząc syna Meschii przyprowadzonego przed Senat, to nie dał tego po sobie poznać, tylko zaśpiewał: O to cała gromada!

Synowie i córki, żywi wśród stada!

Jeśli fałszywi, wskażcie ich zaraz!

Jeśli chcecie mówić, mówcie już teraz!

Rodzice szczeniąt, które zostały przyprowadzone na posiedzenie Senatowi, nie mogą występować w ich obronie, ale gdyby ktoś próbował wyrządzić im krzywdę przy innej okazji, popełniłby ciężkie przestępstwo.

- Mówcie już teraz!

Głos odbił się od ścian i uleciał w noc wielokrotnym echem. Daleko w dolinie synowie Meschii pospiesznie ryglowali drzwi swoich chat, a córki Meschiany przyciskały dzieci do piersi.

Rzeźnik, który do tej pory krył się za plecami wilków, wystąpił naprzód.

- Na co czekamy? - zapytał. - Co prawda nie jestem mędrcom, bo jestem na to za silny, jak wszyscy doskonale wiecie, ale widzę przed sobą cztery wilcze szczenięta i piąte, które nie jest wilkiem, tylko moją zdobyczą.

- Jakim prawem Rzeźnik zabiera głos przed Senatem? - zapytała natychmiast wilczyca. -

On na pewno nie jest wilkiem!

- Każdy może mówić, jeśli jakiś wilk poprosi go o zabranie głosu - odpowiedziały wilki. -

Mów dalej, Rzeźniku!

Wilczyca przesunęła miecz w taki sposób, żeby móc szybko chwycić za rękojeść, i zaczęła przygotowywać się do ostatniej walki w życiu. Z rozpaloną twarzą i błyszczącymi oczami wyglądała jak demon, gdyż anioły są zazwyczaj jedynie demonami stojącymi między nami a naszym wrogiem.

- Powiadasz, że nie jestem wilkiem - ciągnął Rzeźnik. - I masz rację. Wszyscy wiemy, jak pachnie wilk, jaki ma głos i jak wygląda. Ta oto samica wzięła sobie jako szczenię syna Meschii, ale przecież powszechnie wiadomo, że nie każdy, kto ma matkę wilczycę, jest wilkiem!

- Wilkiem jest ten, kto ma ojca wilka i matkę wilczycę! - krzyknął basior. - Biorę to szczenię za syna!

Zebrani wybuchnęli śmiechem. Kiedy wrzawa ucichła, przez jakiś czas słychać było jeszcze chichot Tego Który Się Śmieje, pełniącego funkcję doradcy Rzeźnika.

- Wielu już tak mówiło, ale ich szczenięta zostały pożarte przez stado! - zawołał.

- Zabito je, ponieważ miały białą sierść - powiedział Rzeźnik. - Ten tutaj, nie ma nawet sierści, tylko nagą skórę! Jak coś takiego może w ogóle żyć? Dajcie mi go!

- Dwóch musi zabrać głos - odparł przewodniczący obrad. - Tak stanowi prawo. Kto ujmie się za tym szczenięciem? Kto powie, że jest ono synem Meschii, ale także wilkiem?

Potrzebne są dwa głosy. Rodzice nie mogą przemawiać!

Wówczas podniósł się Nagi, który bierze udział w posiedzeniach Senatu, ponieważ jest nauczycielem młodych wilków.

- Nigdy jeszcze nie miałem okazji uczyć syna Meschii - powiedział. - Kto wie, może ja się czegoś od niego nauczę? Głosuję za nim.

- Jeszcze jeden - przypomniał przewodniczący. - Potrzebny jest jeszcze jeden głos.

Zapadła cisza, a potem z pogrążonego w mroku kąta sali wyszedł Czarny Zabójca.

Wszyscy boją się go, bo choć jego szata jest miękka jak sierść nowo narodzonego szczenięcia, to jego oczy płoną w ciemności.

- Zabrało głos już dwóch, którzy nie są wilkami. Czy ja też mogę coś powiedzieć? -

Pokazał wszystkim wypchany miś. - Mam złoto.

- Mów! Mów! - rozległy się liczne głosy.

- Prawo stanowi także, iż można wykupić szczenię od śmierci - rzekł Czarny Zabójca, po czym

rozwiązał mieszek i wysypał pełną garść złota, ratując w ten sposób imperium.

CZEŚĆ CZWARTA

ŚMIERĆ RYBY

Gdyby chcieć opowiedzieć o wszystkich przygodach Żaby - jak żył wśród wilków, uczył

się polować i walczyć - należałoby zapełnić karty wielu ksiąg. Jednak ci, w których żyłach płynie krew ludzi zamieszkujących górski szczyt daleko od brzegów Urth, prędzej czy później muszą usłyszeć jej zew, dlatego też w końcu nadszedł czas, kiedy Żaba stanął przed Senatem Wilków i powiedział:

- Oto Czerwony Kwiat. W jego imieniu obejmuję rządy.

A kiedy nikt mu się nie sprzeciwił, poprowadził za sobą wilki i nazwał je ludem zamieszkującym jego królestwo. Wkrótce potem poczęli się do niego garnąć także prawdziwi ludzie, bo choć był tylko chłopcem, to wydawał się większy od dorosłych mężczyzn, ponieważ miał w sobie krew Wczesnego Lata.

Pewnej nocy, kiedy zakwitły dzikie róże, przyszła do niego we śnie Wczesne Lato i opowiedziała o jego matce, Leśnym Ptaku, a także o ojcu, bracie i wuju. Wkrótce potem Żaba odnalazł brata, który był pasterzem i wraz z wilkami, Czarnym Zabójcą oraz tłumem ludzi udał

się do wuja, by upomnieć się o swoje dziedzictwo. Wuj był już stary i samotny, gdyż jego synowie pomarli bezpotomnie, zwrócił mu więc wszystko, co niegdyś odebrał. Ryba wziął z tego miasto i pola, Żaba zaś niedostępne góry.

Ludzi, którzy szli za nim, przybywało. Mężczyźni porywali kobiety i płodzili dzieci, a kiedy wilki stały się niepotrzebne i wróciły tam, gdzie zawsze mieszkały, Żaba postanowił, że jego lud musi mieć swoje miasto otoczone wysokim murem, który chroniłby je w razie wojny -

Ze stada należącego do Ryby wziął białego byka i białą krowę, zaprzął je do pługa i zorał

bruzdę, wyznaczając przebieg muru. Kiedy ludzie brali się już do budowy, przybył Ryba i zażądał zwrotu swojego bydła. Pokazano mu wówczas bruzdę i powiedziano, co ona oznacza, a on roześmiał się i przeskoczył ją jednym susem. Wtedy ludzie Żaby zabili go, ponieważ wiedzieli, że z małych, ośmieszonych rzeczy nigdy nie wyrosną wielkie. Ryba był już podówczas dorosłym mężczyzną, a więc przepowiednia ogłoszona po przyjściu na świat Wiosennego Wiatru w pełni się sprawdziła.

Kiedy Żaba ujrzał martwego Rybę, pogrzebał go w bruzdzie, aby zapewnić ziemi żyzność. Tak nauczył go Nagi, którego zwano także Dzikusem albo Squanto.

ROZDZIAŁ XX

KRĄG CZARNOKSIĘŻNIKÓW

O pierwszym brzasku zagłębiliśmy się w górską dżunglę z takim uczuciem, jakbyśmy wchodzili do domu. Za naszymi plecami promienie słońca padały na trawę, zarośla i kamienie, a przed nami, za zasłoną z pnączy tak gęstą, że musiałem dobyć miecza i wyrąbać nam przejście, widziałem jedynie głębokie cienie i potężne pnie drzew. Nie słychać było ani brzęczenia owadów, ani śpiewu ptaków, nie docierał tu także choćby najslabszy powiew wiatru. Ziemia, po której szliśmy, początkowo niczym nie różniła się od jałowej gleby na górskich stokach, ale już po niecałej mili stała się bardziej miękka i sprężysta, aż wreszcie dotarliśmy do niezbyt długich schodów ponad wszelką wątpliwość wyrąbanych w niej za pomocą łopaty.

- Spójrz - powiedział chłopiec, wskazując jakiś czerwony przedmiot o niezwykłym kształcie, leżący na najwyższym stopniu.

Przystanąłem, aby mu się przyjrzeć. Była to głowa koguta; oczy przebito metalowymi szpikulcami, w dziób zaś wetknięto kawałek skóry zrzuconej przez węża. Chłopiec przyglądał się ze zdziwieniem.

- Co to może być? - zapytał.

- Przypuszczalnie ktoś chciał rzucić urok.

- Wiedźma? I co to miał być za urok?

Spróbowałem sobie przypomnieć wszystko - a nie było tego wiele - co wiedziałem o fałszywej sztuce. W dzieciństwie Thecla znajdowała się pod opieką piastunki, która zawiązywała i rozwiązywała supły, by przyspieszyć rozwój dziewczynki, oraz twierdziła, że o północy widziała twarz jej przyszłego męża (czy to była moja twarz?), odbitą w wypolerowanej metalowej tacy, na której zwykle stawia się weselne torty.

- Kogut jest zwiastunem dnia, a w magicznym sensie jego grzebień codziennie rano zwabia słońce. Został oślepiiony chyba po to, żeby nie mógł stwierdzić, kiedy wstanie świt.

Cykliczne zrzucanie skóry przez węże to symbol oczyszczenia i odmłodzenia. Oślepiiony kogut trzyma w dziobie starą skórę.

- Ale co to znaczył - nie ustępował chłopiec.

Powiedziałem, że nie wiem, choć w głębi duszy podejrzewałem, iż może chodzić o urok, który miał za zadanie powstrzymać nadejście Nowego Słońca. Poczułem ból na myśl o tym, że ktoś może mieć coś przeciwko odrodzeniu ludzkości, na które tak bardzo czekałem będąc dzieckiem, choć niespecjalnie w nie wierzyłem. Jednocześnie nie zapominałem ani na chwilę, że nadal mam przy sobie Pazur Łagodziciela; przeciwnicy Nowego Słońca z pewnością zniszczyliby go, gdyby dostał się w ich ręce.

Nie przeszliśmy nawet stu kroków, kiedy ujrzeliśmy skrawki czerwonego materiału przywiązane do gałęzi drzew; niektóre były czyste, na innych znajdowały się napisy, których nie potrafiłem odczytać - prawdopodobnie były to tajne znaki czynione przez ludzi pragnących udawać, że posiadli wielką wiedzę, którzy w tym właśnie celu kreślą symbole podobne do tych, jakich używają astronomowie.

- Chyba powinniśmy zawrócić - powiedziałem. - Albo pójść okreśną drogą.

- W tej samej chwili usłyszałem jakiś szelest za naszymi plecami i odwróciłem się gwałtownie. Przez jedno lub dwa uderzenia serca wydawało mi się, że dwie wielkookie, pomalowane w białe, czarne i czerwone pasy postaci, które pojawiły się nie wiadomo skąd na ścieżce, naprawdę są demonami, ale bardzo szybko przekonałem się, że to nadzy ludzie o skórze pokrytej różnobarwnymi farbami. Do rąk mieli przymocowane stalowe szpony. Nie zwlekając wydobyłem z pochwy Terminus Est.

- Nie będziemy cię zatrzymywać - powiedział jeden z nich. - Idź dalej, jeśli chcesz.

Odniosłem wrażenie, że pod grubą warstwą farby dostrzegam bladą skórę i jasne włosy mieszkańca południa.

- Lepiej, żebyście zostawili nas w spokoju, bo za pomocą tego długiego ostrza mógłbym zabić was obu, zanim zdołalibyście do nas podejść - odparłem.

- Idź więc - powtórzył jasnowłosy mężczyzna. - Naturalnie, jeżeli nie zależy ci na chłopcu.

Rozejrzałem się pospiesznie dokoła, ale nigdzie nie mogłem dostrzec małego Severiana.

- Jeżeli jednak chcesz, aby do ciebie wrócił, oddasz mi teraz miecz i pójdziesz z nami. -

Wymalowany człowiek zbliżył się nie okazując najmniejszych oznak strachu i wyciągnął obie ręce. Dopiero wtedy przekonałem się, że stalowe szpony wystają spomiędzy palców i są przymocowane do krótkiego prętu, który ściska w dłoni. - Nie powtórzę tej prośby.

Schowałem miecz do pochwy, odpiąłem pendent i wręczyłem całość pasiastemu mężczyźnie.

Zamknął oczy. Na powiekach miał wymalowane czarne kropki na białym tle, niczym pewien gatunek gąsienic, które próbują w ten sposób upodobnić się do węży, aby odstraszyć żarłoczne ptaki.

- Wypił dużo krwi.

- Zgadza się - odparłem.

Natychmiast otworzył oczy i przez długą chwilę przyglądał mi się bez drgnięcia powieki.

Jego pokryta farbą twarz - podobnie jak twarz drugiego, milczącego człowieka - była nieprzenikniona jak maska.

- Niedawno wykuty miecz nie na wiele by się tu przydał, ale ten mógłby dokonać wielu szkód.

- Mam nadzieję, że zwrócicie mi go wraz z moim synem. Co zrobiliście z chłopcem?

Nie odpowiedzieli, tylko minęli mnie z obu stron i poszli ścieżką w kierunku, w którym podążałem z małym Severianem. Po chwili ruszyłem za nimi.

Miejsce, do którego mnie zaprowadzili, mógłbym chyba nazwać wioską, gdyby nie to, że w niczym nie przypominało tradycyjnej wioski, takiej jaką było na przykład Saltus ani nawet skupisk chat autochtonów, zwanych gdzieniegdzie wsiami. Drzewa były tu większe i rosły w większych odstępach niż w lesie, przez który wiodła ścieżka, ich liście zaś tworzyły na wysokości kilkuset łokci już nie baldachim, ale coś w rodzaju solidnego, grubego dachu. Drzewa wydawały się liczyć kilkaset lat. Do drzwi wyrąbanych w pniu jednego z nich wiodły schodki, nieco wyżej natomiast znajdowało się kilka okien. Na gałęziach innego wzniesiono kilkupiętrowy dom, na trzecim natomiast wisiało coś w rodzaju ogromnego gniazda wilgi. Liczne otwory w ziemi świadczyły o tym, że pod powierzchnią znajdują się korytarze i pomieszczenia.

Zaprowadzono mnie do jednego z tych otworów i kazano zejść po nikiącej w ciemności, chybotliwej drabinie. Przez chwilę (nie mam pojęcia dlaczego) obawiałem się, że sięga bardzo głęboko, może nawet do tajemnych pieczar położonych pod zamieszkanymi przez małpoludy kopalniami, ale, rzecz jasna, okazało się to nieprawdą. Po pokonaniu kilkunastu szczebli - gdyby czterech mężczyzn mojego wzrostu stanęło jeden na drugim, ten czwarty bez trudu sięgnąłby powierzchni - odgarnąłem na bok podartą matę i znalazłem się w podziemnym pokoju.

Kłapa zatrzasnęła się nad moją głową. Wyciągnąłem przed siebie ręce, po czym w całkowitej ciemności ruszyłem na obchód pomieszczenia. Miało mniej więcej trzy kroki szerokości i cztery długości, podłogę i ściany z ziemi, sufit z nie okorowanych pni, i było całkowicie puste.

Zatakowano nas późnym rankiem, a więc mrok powinien zapaść najdalej za siedem wacht. Jednak kto wie, czy wcześniej nie zostaną zaprowadzony przed oblicze miejscowego władcy. Gdyby tak się stało, starałbym się go przekonać, że chłopiec i ja jesteśmy zupełnie nie-szkodliwi i że powinien zezwolić nam odejść w pokoju. Gdyby jednak czas mijał, a nikt się po mnie nie zjawił, postanowiłem wspiać się po drabinie i spróbować otworzyć kłapę. Tymczasem, nie mając nic lepszego do roboty, usiadłem przy ścianie i czekałem.

Jestem pewien, że nie zasnąłem; skorzystałem natomiast z umiejętności przywoływania dawno minionych czasów, dzięki czemu przynajmniej duchem udało mi się opuścić pogrążone w ciemności pomieszczenie. Przez pewien czas obserwowałem zwierzęta w nekropolii rozciągającej się u podnóża naszej Cytadeli, tak jak to wielokrotnie czyniłem będąc chłopcem. Po niebie przesuwał się klucz dzikich gęsi, między grobowcami pojawiały się, to znów znikwały lisy i króliki. Chwilami biegały po zielonej trawie, zaraz potem po świeżym śniegu, zostawiając w nim wyraźne ślady. Wśród odpadków wyrzucanych z Niedźwiedziej Wieży leżał Triskele; w pierwszej chwili pomyślałem, że nie żyje, ale kiedy podszedłem, podniósł z wysiłkiem ogromny łeb i spróbował polizać mnie po ręce. Siedziałem z Theclą w jej wąskiej celi, gdzie czytaliśmy na głos książki i dyskutowaliśmy o ich treści.

- Świat działa jak wielki zegar - powiedziała Theclą. - Prastwórca nie żyje i kto go wskrzesi? Kto jest w stanie to uczynić?

- Podobno zegar zatrzymuje się, kiedy umiera jego właściciel. To przesąd. - Wzięła moją rękę w swoje, bardzo zimne, o niezwykle długich palcach. - Kiedy właściciel leży na łożu śmierci, nie ma

komu nalać wody do zbiornika. Zaraz po tym, jak wyda ostatnie tchnienie, ci, którzy przy nim czuwają, spoglądają na zegar, a wkrótce potem przekonują się, że już od jakiegoś czasu nie działa.

- Twierdzisz, że zegar zatrzymał się przed śmiercią właściciela - odparłem. - Skoro więc świat nadal funkcjonuje, czy nie oznacza to, że Prastwórca nie umarł, tylko nigdy nie istniał?

- On jest chory! Rozejrzyj się dokoła, Severianie. Popatrz choćby na tę celę i na wieżę, która wznosi się nad nią. Chyba nigdy tak naprawdę im się nie przyglądałeś.

- Przecież mógłby polecić, żeby ktoś inny napełnił zbiornik - powiedziałem. Zaraz potem na mojej twarzy wykwitł rumieniec, gdyż uświadomiłem sobie, jak można zrozumieć te słowa.

Thecla wybuchnęła śmiechem.

- Czy wiesz, że zarumieniłeś się po raz pierwszy od chwili, kiedy stanęłam przed tobą zupełnie naga? Położyłam sobie wtedy twoje ręce na piersiach, a ty zaczerwieniłeś się jak piwonia. Pamiętasz? Miałby kazać komuś go napełnić? A gdzie się podział ten młody ateista, którym zawsze byłeś?

Przesunąłem ręką po jej udzie.

- Tak samo jak wówczas jest zmieszany obecnością boskiej istoty.

- A więc nie wierzysz w moje istnienie? Chyba masz rację. Prawdopodobnie przypominam postać ze snu młodego kata: piękna więźniarka, jeszcze nie zeszpecona torturami, która wykorzystuje oprawcę do zaspokojenia swej żądzy.

- Nie potrafiłbym wyśnić kogoś tak pięknego jak ty - odparłem, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej szarmancko.

- Nawet nie musisz próbować, bo przecież i tak jestem zdana na twoją łaskę i niełaskę.

Odniosłem wrażenie, że nie jesteśmy sami. Spojrzałem na zaryglowane drzwi, na lampkę ze srebrnym reflektorem, potem rozejrzałem się po celi. Robiło się w niej coraz ciemniej. Thecla, a chyba i ja sam, znikaliśmy wraz ze światłem, nie dotyczyło to natomiast tego, kto zakłócił moje wspomnienia.

- Kim jesteś i czego od nas chcesz? - zapytałem.

- Doskonale wiesz, kim jesteśmy, my zaś wiemy, kim ty jesteś. Głos był spokojny, obojętny i chyba najbardziej władczy, jaki kiedykolwiek słyszałem. Nawet Autarcha nie mówił w ten sposób.

- W takim razie, kim jestem?

- Severianem z Nessus, liktorem z Thraxu.

- Rzeczywiście, nazywam się Severian i przybywam z Nessus, ale nie jestem już liktorem w Thraksie.

- Na pewno chciałbyś, abyśmy w to uwierzyli.

W podziemnym pomieszczeniu zapadła cisza, ja zaś domyśliłem się, że mój niewidoczny rozmówca nie ma zamiaru mnie przesłuchiwać, lecz spróbuje zmusić mnie, abym sam wszystko mu opowiedział. Korciło mnie, aby zacisnąć ręce na jego gardle - z pewnością stał zaledwie kilka łokci ode mnie - ale zdawałem sobie sprawę, że z pewnością jest uzbrojony w takie same stalowe szpony, jakie mieli ci, którzy nas pojмали. Niewiele brakowało, a wydobyłbym Pazur ze skórzanego woreczka zawieszzonego na mojej szyi, choć byłaby to bez wątpienia najgłupsza rzecz, jaką mogłem uczynić.

- Archont z Thraxu kazał mi zabić pewną kobietę, ale ja puściłem ją wolno, w związku z czym musiałem uciec z miasta.

- Magicznym sposobem mijając posterunki przy bramach. Zawsze uważałem samozwańczych cudotwórców za oszustów; teraz odniosłem wrażenie, że zwodząc innych często zwodzą także samych siebie. W głosie mego rozmówcy pobrzmiwała nuta kpiny, ale jej obiektem byłem ja, nie magia.

- Być może - odparłem. - Skąd wiesz, jaką rozporządzam mocą?

- Na pewno zbyt małą, żeby odzyskać wolność.

- Jeszcze tego nie próbowałem, a mimo to już byłem wolny.

- Nieprawda - powiedział ze znacznie mniejszą pewnością siebie. - Nie byłeś wolny, tylko sprowadziłeś tu ducha jakiejś kobiety.

Nabrałem raptownie powietrza w płuca, starając się jednak uczynić to możliwie najciszej.

W przedpokoju Domu Absolutu, kiedy osobowość Thecli zastąpiła na jakiś czas moją, dziewczynka wzięła mnie za wysoką kobietę. Teraz wszystko wskazywało na to, że przez jakiś czas mówiłem głosem martwej kasztelanki.

- Wynika z tego, iż jestem nekromantą, posiadającym władzę nad duchami zmarłych, ponieważ ta kobieta nie żyje.

- Przed chwilą twierdziłeś, że puściłeś ją wolno.

- Inną kobietę, trochę podobną do tej. Co zrobiliście z moim synem?

- On nie nazywa cię ojcem.

- Bo lubi fantazjować.

Nie otrzymałem odpowiedzi. Po pewnym czasie wstałem i obszedłem moje więzienie dookoła, przesuując rękami po ścianach; tak jak przedtem, czułem pod palcami tylko ziemię.

Nie dostrzegłem ani odrobiny światła i nie usłyszałem żadnego dźwięku, lecz mimo to

przypuszczałem, iż dałoby się przykryć otwór wejściowy tak, by nie docierała do niego nawet odrobina słonecznego blasku, a gdyby klapa została odpowiednio skonstruowana i osadzona, mogłaby podnosić się i opuszczać bez hałasu. Stałem na pierwszym szczeblu drabiny, który zaskrzypiał

głośno pod moim ciężarem.

To samo działo się z następnymi. Kiedy próbowałem wspiąć się na czwarty, poczułem na głowie i ramionach coś jakby dotknięcie skierowanych w dół sztyletów, a z rozciętego ucha pociekł mi na kark ciepły strumyczek krwi.

Cofnąłem się na trzeci szczebel, po czym ostrożnie podniosłem rękę. Przedmiot, który podczas schodzenia wziąłem za podartą matę, okazał się czymś w rodzaju kosza bez dna, uplecionego z bambusowych pędów skierowanych ostrymi końcami ku dołowi. Schodząc precyzyjnie się między nimi bez żadnych kłopotów, gdyż moje ciało po prostu rozsunęło je na boki, teraz jednak broniły dostępu do górnej części szybu niczym zadziory na strzale, które mają uniemożliwić trafionej rybie zsuniecie się z drzewca. Chwyciłem jeden z prętów i spróbowałem go złamać, ale choć oburącz z pewnością dopiąłbym celu, to jedna ręka okazała się stanowczo za słaba. Gdybym miał światło i sporo czasu, być może udałoby mi się jakoś precyzyjnie na górę.

Światło chyba mógłbym uzyskać, lecz uznałem, że ryzyko jest zbyt duże. Nie pozostało mi nic innego, jak zeskoczyć na podłogę.

Kolejny obchód pomieszczenia nie dostarczył mi żadnych nowych informacji. Wydawało się niemożliwe, aby mój rozmówca wspiął się bezszelestnie po skrzypiącej drabinie, nawet zakładając, że znał sposób na prześlizgnięcie się między ostro zakończonymi bambusami. Zdesperowany, zacząłem dokładnie obmacywać podłogę, ale to także nie dało żadnych rezultatów.

Drabina nie dała się ruszyć z miejsca, więc, poczynając od kąta najbliższej szybu, podskakiwałem najwyżej jak mogłem, dotykając sufitu, następnie zaś przesuwałem się o pół

kroku i powtarzałem operację od początku. Kiedy wreszcie dotarłem do miejsca położonego niemal dokładnie naprzeciwko tego, w którym siedziałem, znalazłem to, czego szukałem: prostokątny otwór szerokości jednego, a długości dwóch łokci. Ponieważ sufit był tutaj ukośny, do dolnej krawędzi otworu mogłem bez trudu sięgnąć ręką. Zapewne tędy właśnie mój rozmówca wchodził i wychodził z podziemnego pokoju - przypuszczalnie za pomocą liny - choć równie dobrze mógł poprzestać na wsadzeniu do środka głowy i ramion; dlatego wydawało mi się, że przebywa ze mną w tym samym pomieszczeniu. Chwyciłem się obiema rękami krawędzi otworu, odbiłem od podłogi i podciągnąłem w górę.

ROZDZIAŁ XXI

POJEDYNEK MAGII

Sąsiednie pomieszczenie bardzo przypominało to, z którego się wydostałem, tyle że znajdowało się nieco wyżej. Rzecz jasna było pogrążone w całkowitej ciemności, ale ponieważ miałem już pewność, że nie jestem obserwowany, wydobyłem Pazur z ukrycia i rozejrzałem się dokoła przy jego blasku, który, choć niezbyt intensywny, okazał się jednak całkowicie wystarczający.

Nigdzie nie dostrzegłem drabiny, ale w ścianie naprzeciwko były wąskie drzwi, wiodące -

jak należało się domyślać - do kolejnego, podziemnego pokoju. Kiedy jednak przez nie przeszedłem, znalazłem się w niewiele szerszym od nich i bardzo krętym tunelu. W pierwszej chwili pomyślałem, że poprowadzono go w taki sposób, aby blask lampy lub pochodni zapalonej w jednym z pomieszczeń nie docierał do sąsiedniego; do tego jednak w zupełności wystarczyłyby trzy zakręty, tutaj zaś było ich mnóstwo, a ściany zdawały się rozdzielać, łączyć i przecinać pod najróżniejszymi kątami. Ponownie wyjąłem Pazur, by rozproszyć otaczającą mnie zewsząd ciemność.

Wydawał się świecić nieco jaśniej, choć może było to złudzenie. W każdym razie moje oczy powiedziały mi niewiele więcej, niż zdążyłem się już dowiedzieć dzięki rękom. Byłem sam w labiryncie o ścianach z ziemi i suficie (prawie dotykałem do niego głową) z nie obrobionych pni.

Miałem już zamiar schować klejnot, kiedy nagle poczułem dziwny zapach, ostry i drażniący. Naturalnie mój zmysł powonienia nie może równać się z węchem wilka - szczerze mówiąc, nie może równać się nawet z węchem większości ludzi - niemniej jednak wydawało mi się, że poznaję tę woń, choć minęło kilka dobrych chwil, zanim skojarzyłem ją sobie z zapachem, jaki poczułem w przedpokoju Domu Absolutu w dniu naszej ucieczki, kiedy rankiem wróciłem do Jonasa po rozmowie z dziewczynką. Powiedziała mi wówczas, że coś pełza po pomieszczeniu i węszy, ja zaś znalazłem śliską wydzielinę na ścianie i podłodze.

Tym razem nie schowałem Pazura, ale choć podczas wędrówki przez podziemny labirynt kilkakrotnie przecinałem wilgotny ślad, ani razu nie zobaczyłem istoty, która go pozostawiła. Po mniej więcej wachcie dotarłem do drabiny stojącej w krótkim, szerokim szybie. Blask dnia, który wypełniał prostokątny otwór, oślepił mnie, ale jednocześnie sprawił mi ogromną radość. Przez pewien czas wystawiałem twarz na ciepło słonecznych promieni, nawet nie myśląc o tym, by wspiąć się na górę, tym bardziej iż należało się spodziewać, że natychmiast zostanę ponownie pojmany. Potem jednak do głosu doszły głód i pragnienie, a kiedy pomyślałem o tajemniczym stworzeniu, szukającym mnie w podziemiach - ponad wszelką wątpliwość był to jeden z pupili Hethora - bez wahania ruszyłem ku powierzchni.

Dotarwszy na samą górę ostrożnie wystawiłem głowę nad ziemię. Wbrew moim przypuszczeniom nie znajdowałem się w wiosce, lecz w dziewiczym lesie. Wszędzie dokoła stały nieruchome, milczące drzewa, a blask, który tak mnie oślepił, okazał się przesyconym zielonkawą poświatą cieniem ich liści. Wszedłem na zewnątrz i przekonałem się, że ukryta między potężnymi korzeniami, wiodąca do podziemi dziura jest tak słabo widoczna, iż nawet mijając ją w odległości dwóch kroków z pewnością nie zwróciłbym na nią uwagi. Rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiegoś kamienia lub innego przedmiotu, którym mógłbym zatkać otwór, aby przynajmniej na jakiś czas powstrzymać

ścigającą mnie istotę, lecz niczego takiego nie dostrzegłem.

Dzięki starej sztuczce polegającej na tym, by uważnie obserwować ukształtowanie terenu i w miarę możliwości podążać ciągle w dół, bardzo szybko dotarłem do niewielkiego strumienia.

Drzewa rosły tu nieco rzadziej, dzięki czemu mogłem dostrzec skrawek nieba. Na podstawie tego, co zobaczyłem, doszedłem do wniosku, iż minęło już osiem albo dziewięć wacht. Wkrótce potem odnalazłem także wioskę, opierając się na słusznym założeniu, że zapewne wybudowano ją w pobliżu wody. Owinięty fuliginowym płaszczem dość długo obserwowałem ją z głębokiego cienia. Zobaczyłem mężczyznę - jego skóra była pozbawiona jakichkolwiek malowideł - który przeszedł przez polanę, w chwilę później zaś inny wyszedł z napowietrznej chaty, napił się nieco wody ze strumienia, po czym wrócił na drzewo.

W miarę jak robiło się coraz ciemniej, wioska budziła się do życia. Dwunastu mężczyzn opuściło wiszącą chatę i zaczęło gromadzić drewno na środku polany, wkrótce potem pojawiło się jeszcze trzech, odzianych w długie szaty, z rozwidlonymi kijami w rękach, a zaraz po rozpaleniu ognia spomiędzy drzew wyłoniło się jeszcze kilkunastu, którzy zapewne do tej pory strzegli ścieżek wiodących przez dżunglę.

Jeden z tych w długich szatach stanął plecami do ognia, podczas gdy dwaj pozostali przykucnęli u jego stóp. Było w nich coś niezwykłego, co jednak bardziej przypominało postawę arystokratów niż hieroduli, których widziałem w ogrodach Domu Absolutu: chyba jest to świadomość odpowiedzialności związanej nierozdzielnie z władzą, która jednocześnie stanowi głęboką przepaść oddzielającą przywódcę od zwykłych ludzi. Wymalowani i nie wymalowani mężczyźni siedzieli na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i obserwowali tę trójkę. Do moich uszu dotarł głos stojącego człowieka, ale choć mówił donośnym, silnym głosem, byłem za daleko, aby rozróżnić poszczególne słowa. Po pewnym czasie jego dwaj towarzysze także wstali; jeden z nich rozchylił szaty, spomiędzy których wyłonił się syn Becana, drugi natomiast w taki sam sposób odsłonił Terminus Est. Wprawnym ruchem wyjął go z pochwy, pokazując tłumowi błyszczącą stal ostrza i czarny onyks tkwiący w rękojeści. Zaraz potem jeden z wymalowanych mężczyzn wstał z miejsca i ruszył w moją stronę. Przez kilka uderzeń serca obawiałem się, że mnie dostrzeże, choć zakryłem twarz maską, on jednak zatrzymał się, otworzył klapę zakrywającą zejście do podziemnego tunelu i zniknął w nim, by niebawem wyłonić się z innego otworu usytuowanego znacznie bliżej ogniska. Podszedł szybkim krokiem do odzianej w powłóczyście szaty trójki i powiedział coś przyciszonym głosem.

Nietrudno było domyślić się, jaką przyniósł wiadomość. Skrzyżowałem ramiona na piersi i wszedłem w krąg światła rzucanego przez ogień.

- Nie ma mnie tam - powiedziałem głośno. - Jestem tutaj. Tłum zafalował, a gdzieś dały się słyszeć stłumione okrzyki zdumienia. Sprawilo mi to przyjemność, choć zdawałem sobie sprawę, iż już niedługo mogę umrzeć.

- Jak sam widzisz, nie jesteś w stanie od nas uciec - odezwał się ten z przyobleczonej w szaty trójki, który stał pośrodku. - Byłeś wolny, a mimo to zmusiliśmy cię do powrotu.

To właśnie z nim rozmawiałem w podziemnej celi.

- Jeżeli zawędrowałeś daleko Drogą, to zdajesz sobie doskonale sprawę, że masz nade mną jeszcze mniejszą władzę, niż mogliby przypuszczać ci, co nic nie wiedzą - odparłem. (Wcale nie jest trudno naśladować sposób mówienia takich ludzi, gdyż oni z kolei naśladują mowę ascetów oraz różnych kapłanów i kapłanek, choćby takich jak peleryny). - Zabraliście mi syna, który jest także synem Bestii Która Mówi, o czym z pewnością zdążyliście się już przekonać, jeśli przesłuchiwaliście go tak samo jak mnie. Po to, by go odzyskać, pozwoliłem waszym niewolnikom, aby zabrali mi miecz, a sam na jakiś czas podporządkowałem się waszej woli.

Teraz jednak dość tego.

Jest takie miejsce na barku, które wystarczy ucisnąć mocno palcem, aby sparaliżować całe ramię. Położyłem rękę na ramieniu mężczyzny trzymającego Terminus Est, a ten natychmiast wypuścił miecz, który upadł u moich stóp. Mały Severian zachował więcej przytomności umysłu, niż mógłbym spodziewać się po kimś w jego wieku, gdyż błyskawicznie schylił się i podał mi miecz.

- Do broni! - krzyknął człowiek stojący pośrodku i wszyscy jak jeden mąż zerwali się na nogi. Większość miała stalowe szpony, których wygląd już opisałem, a niektórzy ściskali w rękach noże.

Pozornie nie zwracając na nich uwagi przytroczyłem Terminus Est w zwykłym miejscu, a następnie powiedziałem:

- Chyba nie przypuszczacie, że wykorzystuję ten starożytny miecz w charakterze broni?

On służy wyższemu celom, o czym kto jak kto, ale wy powinniście dobrze wiedzieć.

- Tak właśnie mówił Abundantius! - wymamrotał ten, pod którego szatą ukrywał się mały Severian. Trzeci milczał, rozcierając zdrętwiałe ramię.

Spojrzałem na środkowego, domyślając się, że to właśnie o nim wspomniano. Miał przebiegłe oczy, twarde jak kamienie.

- Abundantius jest mądry. - Zastanawiałem się, jak by go zabić, nie ściągając nam na głowę zemsty pozostałych. - Z pewnością wie także o przekleństwie, jakie grozi każdemu, kto będzie próbował skrzywdzić maga.

- A więc jesteś magiem? - zapytał Abundantius.

- Ja, który wyrwałem archontowi zdobycz z rąk i nie dostrzeżony Przez nikogo przeszedłem przez sam środek jego armii? Owszem, tak Baśnie mnie nazywają.

- Udowodnij, że to prawda, a wówczas uznamy cię za brata. Gdybyś jednak nie przeszedł pomyślnie próby albo nie chciał się jej poddać... Jest nas wielu, a ty masz tylko miecz.

- Chętnie poddam się każdej uczciwej próbie, choć ani ty, ani żaden z twoich podwładnych nie macie prawa być moimi sędziami.

Okazało się, iż jest zanadto przebiegły, aby dać się wciągnąć w dyskusję.

- Wszyscy, z wyjątkiem ciebie, znają zasady tej próby, wszyscy też mogą potwierdzić, że są uczciwe. Każdy z nas albo już ją przeszedł, albo ma zamiar wkrótce to uczynić.

Zabrali mnie do długiego budynku wzniesionego z ociosanych pni, którego do tej pory nie zauważyłem. Był pozbawiony okien i miał tylko jedno wejście. Kiedy wniesiono pochodnie, przekonałem się, że znajduje się w nim tylko jedno pomieszczenie, tak długie i wąskie, że bardziej przypominało korytarz niż salę.

- Tutaj zmierzysz się z Decumanem - powiedział Abundantius, wskazując mężczyznę, któremu ucisnąłem nerw ramieniowy. Odniosłem wrażenie, iż Decuman jest cokolwiek zaskoczony tą decyzją.
- Ośmieszylesz go przy ognisku, więc teraz on musi ośmieszyć ciebie, jeżeli będzie do tego zdolny. Możesz usiąść przy drzwiach, aby mieć pewność, że nikt z nas nie pospieszy mu z pomocą. On zajmie miejsce na drugim końcu pomieszczenia. Nie wolno wam zbliżać się do siebie ani dotykać, tak jak ty dotknąłeś go przy ognisku. Będziecie rzucać na siebie zaklęcia, a rano przekonamy się, kto był w tym lepszy.

Wziąwszy małego Severiana za rękę ruszyłem w kierunku najdalszego krańca korytarza.

- Ja tam usiądę - powiedziałem. - Wierzę, że nie będziecie pomagać Decumanowi, ale wy nie możecie mieć pewności, czy w dżungli nie kryją się moi sprzymierzeńcy. Zgodziliście się mi zaufać, więc ja także obdarzę was zaufaniem.

- Byłoby chyba lepiej, gdyby dziecko zostało pod naszą opieką...

Pokręciłem głową.

- Muszę go mieć przy sobie. Jest mój. Kiedy zabraliście mi go na ścieżce, jednocześnie zabraliście mi połowę mojej mocy. Nie pozwolę, aby coś takiego zdarzyło się powtórnie.

- Jak chcesz - odparł Abundantius po chwili zastanowienia. - Chodziło mi tylko o to, żeby nie stała mu się jakaś krzywda.

- Przy mnie nic mu nie grozi - zapewniłem go.

Czterech spośród towarzyszących nam nagich mężczyzn wetknęło pochodnie w przymocowane do ścian uchwyty, po czym wszyscy wyszli. Decuman usiadł ze skrzyżowanymi nogami na podłodze przy drzwiach, trzymając na kolanach rozwidloną laskę. Ja uczyniłem to samo i przygarnąłem chłopca.

- Boję się - powiedział, po czym ukrył twarz w fałdach mojego płaszcza.

- Masz prawo się bać. Minione trzy dni były dla ciebie bardzo ciężkie.

Decuman zaczął nucić melodię o jednostajnym, wyraźnie akcentowanym rytmie.

- Mały Severianie, opowiedz mi, co przydarzyło ci się na ścieżce. Kiedy rozejrzałem się dokoła, ciebie już nie było.

Minęło trochę czasu, zanim udało mi się go uspokoić.

- Oni wyskoczyli tak nagle... ci trójkolorowi ludzie ze szponami... przestraszyłem się i uciekłem.

- I to wszystko?

- Potem przybiegło ich więcej i złapali mnie, i kazali mi wejść do dziury w ziemi, gdzie było zupełnie ciemno. A potem obudzili mnie i gdzieś zanieśli, a jeszcze potem byłem pod ubraniem jakiegoś mężczyzny, aż wreszcie ty przyszedłeś i mnie uwolniłeś.

- Nikt o nic cię nie pytał?

- Jakiś człowiek w ciemnościach.

- Rozumiem. Mały Severianie, zapamiętaj, że nie wolno ci uciekać, tak jak to zrobiłeś na ścieżce, rozumiesz? Możesz to zrobić tylko wtedy, kiedy zobaczysz, że ja także rzuciłem się do ucieczki. Gdybyś wtedy został przy mnie, nie znaleźlibyśmy się tutaj.

Chłopiec skinął głową.

- Decumanie! - zawołałem. - Decumanie, czy możemy porozmawiać?

Dalej nucił swoją pieśń, może nieco głośniejszą niż do tej pory, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. Miał uniesioną twarz, jakby wpatrywał się w drewniany sufit, ale jego oczy były zamknięte.

- Co on robi? - zapytał chłopiec.

- Próbuje rzucić na nas czar.

- Czy robi nam krzywdę?

- Nie, ponieważ magia, którą włada, w zdecydowanej większości opiera się na oszustwach, na przykład na wyciąganiu cię przez dziurę w ziemi, tak by wszyscy myśleli, że nagle pojawiłeś się pod jego szatami.

Jednak nawet wtedy, kiedy mówiłem te słowa, zdawałem sobie sprawę, że w grę wchodzi coś znacznie poważniejszego. Decuman skoncentrował na mnie swoje myśli w sposób nieosiągalny dla większości ludzkich umysłów, ja zaś poczułem, że jestem zupełnie nagi w jakimś jasno oświetlonym miejscu, pod obstrzałem tysiąca spojrzeń. Jedna z pochodni zamigotała, zaskwierczała i zgasła. W pomieszczeniu zrobiło się ciemniej, ale tym bardziej jaskrawo jarzyło się to światło, którego nie byłem w stanie dostrzec za pomocą wzroku.

Podniosłem się z miejsca, dokonując w pamięci przeglądu sposobów, które pozwalają zabić bez pozostawiania żadnych śladów, i postąpiłem krok naprzód. W tej samej chwili ze szpar w obu

długich ścianach wyrosły jak na komendę ostre piki. Nie miały nic wspólnego z lancami używanymi przez żołnierzy, które miotają porażające błyskawice - były to zwykłe, naostrzone żerdzie, takie same, jakich używali wieśniacy z Saltus. Mimo to na krótki dystans stanowiły śmiertelnie groźną broń, więc pospiesznie wróciłem na swoje miejsce.

- Oni chyba stoją na zewnątrz i obserwują nas przez szpary w ścianach - szepnął chłopiec.

- Też tak mi się wydaje.

- Co teraz zrobimy? - zapytał. - Kim są ci ludzie, ojczy?

Po raz pierwszy zwrócił się do mnie w ten sposób. Przyciągnąłem go bliżej, czując, jak jednocześnie słabnie nieć, którą Decuman starał się opleść mój umysł.

- Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że trafiliśmy do akademii magów, zwanych także okultystami, którzy uprawiają to, co uważają za sztuki tajemne. Podobno mają wielu zwolenników, choć nie bardzo chce mi się w to wierzyć i są nadzwyczaj okrutni. Czy słyszałeś o Nowym Słońcu, mały Severianie? Według proroków ma to być człowiek, który odegna lód i naprawi świat.

- I zabije Abaię - dodał chłopiec, wprawiając mnie w zdumienie.

- Istotnie, to także ma uczynić, podobnie jak mnóstwo innych rzeczy. Powiadają, że już tu kiedyś był, bardzo dawno temu. Wiedziałaś o tym? Pokręcił głową.

- Wówczas jego zadanie polegało na doprowadzeniu do pokoju między ludzkością a Prastwórcą i dlatego nazwano go Łagodzicielem. Pozostawił po sobie słynną relikwię, klejnot zwany Pazurem.

Odruchowo sięgnąłem do zawieszzonego na szyi woreczka z ludzkiej skóry i choć nawet nie spróbowałem rozluźnić rzemienia, to czułem klejnot w dłoni. Jak tylko go dotknąłem, niewidzialny blask, jaki Decuman rozpalil w moim umyśle, zgasł nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego sądziłem, że Pazur może zadziałać tylko wtedy, jeśli zostanie wydobyty z ukrycia. Tej nocy przekonałem się, że tak nie jest i wybuchnąłem donośnym śmiechem.

Decuman przerwał na chwilę śpiew i otworzył oczy, mały Severian zaś przywarł do mnie z całej siły.

- Już się nie boisz?

- Nie - odparłem. - A było po mnie widać, że się boję?

Poważnie skinął głową.

- Istnienie tej relikwii podsunęło niektórym ludziom myśl, że Łagodziciel posługiwał się pazurami jako bronią. Ja osobiście przez dłuższy czas wątpiłem, czy ktoś taki w ogóle istniał, ale jeśli tak, to jestem pewien, że najczęściej kierował tę broń przeciwko sobie samemu. Rozumiesz, co mówię?

Raczej nie liczyłem na to, ale dał znak, że rozumie.

- Na ścieżce znaleźliśmy urok mający nie dopuścić do nadejścia Nowego Słońca.

Trójkolorowi ludzie - myślę, że to ci, którzy przeszli pomyślnie tę próbę - posługują się stalowymi szponami. Przypuszczalnie mają zamiar powstrzymać Nowe Słońce, aby zająć jego miejsce, a być może również zagarnąć część jego siły. Jeżeli...

Na zewnątrz ktoś krzyknął.

ROZDZIAŁ XXII

SKRAJ GÓR

O ile mój śmiech na chwilę zdekoncentrował Decumana, to krzyk nie zdołał tego uczynić.

Pleciona przez niego sieć, która prawie przestała istnieć w chwili, kiedy dotknąłem Pazura, teraz znowu zaczęła mnie oplątywać, może nieco wolniej, ale za to ciaśniej.

Zawsze pojawia się pokusa, aby określić uczucia takie jak to mianem niemożliwych do opisanego, choć w rzeczywistości wcale takie nie są. Wydawało mi się, że wiszę zupełnie nagi między dwoma myślącymi słońcami - nie wiedzieć skąd wzięła się pewność, iż są to półkule mózgu Decumana. Moje ciało zalewały potoki światła, lecz był to raczej żar bijący z otwartych palenisk, groźny i paralizujący. W tym blasku nic nie wydawało się warte tego, by istnieć, ja sam zaś mogłem myśleć o sobie jedynie z pogardą i współczuciem.

Moja koncentracja także pozostała nienaruszona, a jednak uświadomiłem sobie mgliście, że krzyk, który dobiegł zza ścian budowli, może oznaczać dla mnie szansę. Ponieważ reagowałem na wszystko jakby w zwolnionym tempie, stanąłem chwiejnie na nogach znacznie później niż powinienem, bo dopiero po dziesięciu lub dwunastu oddechach.

Coś zaczęło przeciskać się przez drzwi. W pierwszej chwili wydawało mi się, że to błoto, które pod wpływem potężnej konwulsji, jaka wstrząsnęła wnętrzościami Urth, wytrysnęło z podziemnego zbiornika i teraz stopniowo zalewa wzniesione z ociosanych bali pomieszczenie.

Pełzło powoli, ale niepowstrzymanie naprzód. Zgasła kolejna pochodnia, ale było jeszcze wystarczająco jasno, abym dostrzegł, że tajemnicza substancja zbliża się do Decumana, krzyknąłem więc głośno, aby go ostrzec.

Nie wiem, czy sprawił to mój głos czy dotknięcie czarnej istoty - gdyż jednak była to istota - ale mój przeciwnik błyskawicznie oprzytomniał, ja zaś po raz wtóry poczułem, jak rozpada się misterne rusztowanie, które miało utrzymać mnie w zasięgu niszczonego blasku dwóch bliźniaczych słońc. One same najpierw przygasły, by wkrótce zupełnie zniknąć, ja natomiast zacząłem błyskawicznie rosnąć, nie wiedząc, gdzie jest góra i dół, prawa i lewa strona, aż wreszcie zorientowałem się, że stoję w sali prób, z małym Severianem ściskającym kurczowo skraj mego płaszcza.

Między palcami Decumana błysnęły stalowe szpony (aż do tej chwili nie miałem pojęcia, że jest w nie uzbrojony). Czymkolwiek była ta czarna, prawie bezkształtna istota, pod jej skórą znajdowały się

jakby pokłady grubego tłuszczu. Krew także miała czarną albo ciemnozieloną.

Krew Decumana była czerwona; kiedy istota przesunęła się nad nim, jego skóra stopiła się jak wosk.

Podniosłem chłopca, posadziłem go sobie na karku, przykazałem, żeby trzymał się mocno nogami, a następnie podskoczyłem najwyżej, jak mogłem. Co prawda dotknąłem palcami jednego z bali tworzących sufit, ale nie zdołałem go chwycić. Istota obróciła się w moją stronę, powoli i na oślep, ale bez wahania. Możliwe, że kierowała się węchem, choć osobiście przypuszczam, iż wyczuwała raczej myśli niż zapachy - wyjaśniałoby to, dlaczego miała takie kłopoty z odnalezieniem mnie w przedpokoju, gdzie przeistoczyłem się w Theclę i dlaczego tak szybko poradziła sobie teraz, kiedy mogła kierować się myślami Decumana, skoncentrowanymi na mojej osobie.

Ponowiłem próbę, lecz tym razem zabrakło mi co najmniej piędzi. Po to, żeby zdobyć którąś z dwóch płonących jeszcze pochodni, musiałbym pobiec w kierunku istoty. Zrobiłem to, ale pochodnia zgasła, jak tylko wziąłem ją do ręki.

Trzymając się pustego uchwytu skoczyłem po raz trzeci i zdołałem zacisnąć lewą rękę na gładkiej powierzchni bala. Nie zważając na to, że ugina się pod moim ciężarem, podciągnąłem się wystarczająco wysoko, aby oprzeć nogę na metalowym uchwycie.

Bezkształtna istota podniosła się, opadła, po czym znowu spróbowała się podnieść.

Trzymając się kurczowo bala wyciągnąłem Terminus Est. Ostrze pozostawiło długie, głębokie cięcie w czarnym cielsku, ale zanim zdążyłem cofnąć miecz, rana zasklepiła się bez najmniejszego choćby śladu. Wówczas skierowałem Terminus Est w górę, ku sufitowi -

przyznaję, że zapożyczyłem ten pomysł od Agii. Miałem sporo kłopotów z przerabianiem sprężystych palików i ułożonych na nich poprzecznie gałęzi, ale wreszcie udało mi się to i spora część dachu runęła do wnętrza budowli, strącając na ziemię ostatnią pochodnię. Bez namysłu podciągnąłem się jeszcze wyżej i skoczyłem w ciemność.

Biorąc pod uwagę, że wykonałem skok z obnażonym, długim mieczem w dłoni, chyba tylko szczęśliwemu zbiegowi okoliczności należy zawdzięczać, że nie zrobiłem krzywdy ani sobie, ani chłopcu. Kiedy moje stopy zetknęły się z ziemią wypuściłem miecz z ręki i zepchnąłem małego Severiana z ramion, sam zaś najlepiej jak mogłem zamortyzowałem upadek.

Z dziury w dachu wydobywała się przybierająca szybko na sile czerwona poświata, po chwili zaś pokazały się pierwsze płomienie. Usłyszałem płaczący głos chłopca, powiedziałem mu, żeby został na miejscu, po czym jedną ręką pomogłem mu podnieść się z ziemi, w drugą chwyciłem Terminus Est i dopiero wtedy rzuciliśmy się do ucieczki.

Aż do świtu biegliśmy na oślep przez dżunglę. W miarę możliwości starałem się kierować w górę - nie tylko dlatego, że w ten sposób zbliżaliśmy się do leżącego na północy celu podróży, ale również z tego powodu, że dużo niniejsze było wtedy niebezpieczeństwo potknięcia się i runięcia w przepaść. Kiedy nadszedł ranek, nadal byliśmy w dżungli, w dalszym ciągu nie wiedząc, dokąd właściwie dotarliśmy. Wziąłem chłopca na ręce, a on natychmiast zasnął w moich ramionach.

Po kolejnej wachcie zacząłem wspinać się po coraz ostrzejszej stromiznie, aż wreszcie zobaczyłem przed sobą taką samą zasłonę z pnączy, jaką musiałem pokonać minionego dnia. Już miałem ostrożnie położyć chłopca na ziemi, tak by go nie obudzić i dobyć miecza, kiedy nagle dostrzegłem promień słonecznego światła przeciskający się przez jakąś szczelinę po mojej lewej stronie. Pobiegnę tam, by wkrótce znaleźć się na górskiej hali porośniętej rzadką trawą i mizernymi krzewami. Po jeszcze kilkunastu krokach dotarłem do strumyka o kryształowo czystej wodzie, który z wesołym szemraniem przeciskał się między skałami; ponad wszelką wątpliwość był to ten sam strumień, nad którego brzegiem spaliśmy dwie noce wcześniej. Co prawda nie wiedziałem, czy bezkształtna, czarna istota podąża naszym śladem, ale nic mnie to nie obchodziło. Położyłem się na trawie tam, gdzie stałem i niemal natychmiast zapadłem w sen.

Znajdowałem się w labiryncie, bardzo podobnym do podziemnego labiryntu magów, a jednocześnie całkowicie od niego różnym. Korytarze były tu znacznie szersze, miejscami niemal równie wielkie jak te w Domu Absolutu. Ściany niektórych wyłożono ogromnymi zwierciadłami

- widziałem w nich swój poszarpany płaszcz i wychudłą twarz, tuż obok zaś półprzejrzystą postać Thecli w uroczym, zwiewnym peniuarze. Planety pędziły ze świstem po długich, zakrzywionych torach, które tylko one mogły dostrzec. Błękitna Urth trzymała przy sobie jak dziecko zielony księżyc, ale nie dotykała go, natomiast czerwona Verthandi przeistoczyła się w Decumana bez skóry, nurzającego się we własnej krwi.

Spadałem, rozpaczliwie wymachując rękami i nogami. Przez chwilę widziałem prawdziwe gwiazdy na rozświetlonym słonecznym blaskiem niebie, lecz sen natychmiast wciągnął mnie w swoją otchłań niczym grawitacyjna studnia. Szedłem wzdłuż ściany ze szkła; po jej drugiej stronie, z przerażeniem malującym się na twarzy, biegł chłopiec w takiej samej połatanej koszuli z szarego płótna, jaką nosiłem jako uczeń. Myślę, że uciekał co sił w nogach z czwartego poziomu, kierując się ku Ogradowi Czasu. Dorcas i Jolenta szły trzymając się za ręce i uśmiechając się do siebie, ale żadna z nich mnie nie zauważyła. Wkrótce ich miejsce zajęli miedzianoskórzy, krzywonodzy autochtoni, odziani w pióra i klejnoty, tańczący w strugach deszczu pod przewodnictwem szamana. W powietrzu przepłynęła wodnica, wielka jak obłok, przesłaniając słońce.

Obudziłem się. Miękkie krople deszczu kapały mi na twarz. Mały Severian spał spokojnie przy moim boku. Najlepiej jak mogłem otuliłem go płaszczem i zaniósłem do szczeliny w zasłonie z pnączy. Tuż za nią, w cieniu ogromnych drzew, deszcz był prawie nieodczuwalny, ponownie więc się położyłem i zasnąłem obok chłopca. Tym razem nic mi się nie śniło, a kiedy obudziłem się, był już ranek następnego dnia.

Mały Severian wstał wcześniej ode mnie i przechadzał się wśród drzew. Zaprowadził

mnie do strumienia, gdzie umyłem się i ogoliłem najlepiej jak mogłem bez gorącej wody - po raz ostatni wykonałem tę czynność w domku wdowy - a następnie odnaleźliśmy znajomą ścieżkę i ruszyliśmy dalej na północ.

- Czy nie spotkamy trójkolorowych ludzi? - zapytał chłopiec.

Powiedziałem mu, żeby się nie bał i nie uciekał, bo nawet jeśli się pojawią, to bez trudu rozprawię się z nimi. Szczerze mówiąc, znacznie bardziej obawiałem się Hethora oraz tajemniczej istoty, którą posłał moim śladem. Jeżeli nie zginęła w ogniu, mogła nadal podążać za nami, bo choć swoim zachowaniem przypominała zwierzęta unikające słonecznego światła, to panujący w dżungli półmrok niewiele różnił się od tego, jaki bezpośrednio poprzedza nadejście nocnych ciemności.

Tylko jeden wymalowany człowiek wyszedł na ścieżkę, ale nie po to, by nam zagrozić, lecz by paść twarzą na ziemię. Z najwyższym trudem opanowałem pokusę, by go zabić i wreszcie mieć spokój. Co prawda uczy się nas, że możemy zadawać śmierć wyłącznie z rozkazu sądu, lecz w miarę, jak oddalałem się od Nessus, coraz bardziej zbliżając się do dzikich gór i terenów objętych wojną, uwarunkowania wyniesione z Cytadeli z każdą chwilą słabły. Niektórzy mistycy utrzymują, iż niesione wiatrem opary znad pól bitewnych oddziałują na mózgi ludzi znajdujących się nawet w znacznej odległości od miejsca rzezi; wcale bym się nie zdziwił, gdyby sprawy tak się miały w istocie. Mimo to podniosłem mężczyznę z ziemi i kazałem mu zrobić nam przejście.

- Wielki Magu, co uczyniłeś z pełzającą ciemnością? - zapytał.

- Odesłałem ją z powrotem do nory, z której ją wcześniej wyciągnąłem - odparłem. Skoro nie spotkał tajemniczej istoty, należało się domyślać, że albo Hethor odwołał ją, albo też zginęła w płomieniach.

- Dusze pięciu z nas wyruszyły w wielką podróż - powiedział trójkolorowy człowiek.

- W takim razie dysponujecie większą mocą, niż byłbym gotów przypuszczać. Zdarzało się już, że jednej nocy zabijała nawet setki ludzi.

Podejrzewałem, że zaatakuje nas, jak tylko odwrócimy się do niego plecami, ale nic takiego nie nastąpiło. Ścieżka, którą jeszcze wczoraj szedłem jako więzień, była zupełnie pusta.

Nie pojawili się żadni strażnicy, natomiast część czerwonych szmatek poprzywiązywanych do gałęzi nie wiedzieć czemu została zerwana i wdeptana w ziemię. Wszędzie widać było odciski licznych stóp.

- Czego szukasz? - zapytał chłopiec.

- Śluzu zwierzęcia, przed którym uciekliśmy minionej nocy - odparłem półgłosem, nie wiedząc, czy ktoś nie podsłuchuje nas zza drzew.

- I widzisz go?

Potrząsnąłem głową.

Przez jakiś czas chłopiec milczał, po czym zapytał:

- Duży Severianie, skąd ono się wzięło?

- Pamiętasz historię, którą ci czytałem? Z jednego z górskich szczytów daleko poza brzegami Urth.

- Z tego, gdzie mieszkała Wiosenny Wiatr?

- Nie wydaje mi się.

- A w jaki sposób tu dotarło?

- Przywiózł je pewien niedobry człowiek - odparłem. - A teraz bądź przez chwilę cicho, mały Severianie.

Jeżeli byłem trochę opryskliwy wobec chłopca, to tylko dlatego, że dręczyło mnie to samo pytanie. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż Hethor przesmuglował swój zwierzyniec na pokładzie statku, na którym służył, a podążając za mną od samego Nessus bez trudu mógł

nieść notule w jakimś niewielkim naczyniu - choć tak niebezpieczne, były cieńsze od papieru, o czym doskonale wiedział Jonas.

Skąd jednak wzięła się istota, którą widzieliśmy w sali prób? I w jaki sposób pojawiła się wcześniej w przedpokoju Domu Absolutu? Czyżby podążała za Hethorem i Agią jak pies, kiedy wędrowali do Thraxu? Przypomniałem sobie, jak wyglądała zabijając Decumana i spróbowałem oszacować jej masę; z pewnością ważyła tyle co kilku ludzi, a kto wie, czy nie dorównywała pod tym względem wierzchowcowi. Po to, żeby ją przewieźć nie zwracając niczyjej uwagi, trzeba było dysponować dużym krytym wozem. Czy Hethor odważyłby się wyruszyć w góry takim pojazdem? Mocno w to wątpiłem. Czy zdecydowałby się zabrać do tego samego wozu pełzającą ciemność oraz płomienistą salamandrę, którą zniszczyłem w Thraksie? W to także nie chciało mi się wierzyć.

Kiedy dotarliśmy do wioski, nie było w niej żywej duszy. Ze zgliszczy sali prób unosił się jeszcze dym. Szukałem szczątków Decumana, ale na próżno, choć udało mi się znaleźć jego częściowo spaloną łaskę. Była wydrążona w środku, w związku z czym należało podejrzewać, iż po usunięciu uchwyty mogła służyć jako dmuchawa do miotania zatrutych strzał. Bez wątpienia w taki właśnie sposób została wykorzystana, gdybym okazał się nadmiernie odporny na czary.

Chłopiec przez cały czas obserwował mnie uważnie i chyba odgadł moje myśli, gdyż powiedział:

- Ten człowiek był prawdziwym czarownikiem, prawda? O mało cię nie z czarował.

Skinąłem głową.

- A wcześniej mówiłeś, że to wszystko nieprawda.

- Mały Severianie, pod wieloma względami nie jestem wcale mądrzejszy od ciebie.

Naprawdę wierzyłem w to, co ci mówiłem, gdyż przyłapałem tych ludzi na kilku oszustwach: znalazłem tajne drzwi w pokoju, w którym mnie trzymali i domyśliłem się, w jaki sposób dostarczyli cię pod szaty jednego z trzech dostojników. Mimo to trzeba pamiętać, że wszędzie aż roi się od różnych ciemnych mocy i ci, którzy ich szukają, prędzej czy później na pewno je znajdą. Wtedy stają

się prawdziwymi czarownicami, tak jak powiedziałeś.

- Jeżeli znają prawdziwą magię, to mogliby nauczyć jej wszystkich, którzy by tego chcieli.

Wówczas pokręciłem przecząco głową, ale od tamtej pory często zastanawiałem się nad tą sprawą. Myślę, iż istnieją dwa zasadnicze powody, dla których pomysł chłopca nie może zostać zrealizowany.

Pierwszy jest taki, że magowie tylko niewielką część wiedzy przekazują z pokolenia na pokolenie. Ja sam byłem kształcony w czymś, co chyba można nazwać najbardziej podstawową z nauk stosowanych; przekonałem się na własne oczy, iż postęp nauki zależy w znacznie mniejszym stopniu od teoretycznych rozważań lub systematycznych badań, niż się powszechnie przypuszcza, w znacznie większym zaś od przekazywania z generacji na generację użytecznych informacji, zdobytych czy to dzięki przypadkowi, czy trudnemu do wytłumaczenia przecuciu.

Natura tych, którzy poszukują mrocznej wiedzy, każe im gromadzić wiadomości nawet na łożu śmierci i nie dzielić się nimi z nikim, to zaś, co przekazują potomnym, jest tak pogmatwane i spowite w ochronny kokon kłamstw, że nie przedstawia niemal żadnej praktycznej wartości.

Czasem podobno zdarzają się tacy, co dzielą się umiejętnościami z żoną lub dziećmi, ale najczęściej ludzie ci spędzają życie w samotności, a jeżeli istotnie uchylają przed kimś rąbek tajemnicy, wówczas tracą znaczną część swojej mocy.

Drugi powód jest natomiast taki, że samo istnienie tych sił wywołuje natychmiastowe pojawienie się przeciwników. Te pierwsze nazywamy ciemnymi lub mrocznymi, chociaż czasem korzystają ze śmiertelności światła, tak jak próbował to uczynić Decuman. Drugie określamy jako jasne lub świetliste, mimo że nierzadko posługują się ciemnością, tak samo jak najlepszy nawet człowiek prędzej czy później zaciąga zasłonę nad łóżkiem, by udać się na spoczynek.

Mimo to jest coś do głębi prawdziwego w opozycji światło-ciemność, ponieważ dowodzi ona wyraźnie, iż jedno nie może istnieć bez drugiego. W opowieści, którą czytałem małemu Severianowi, padło stwierdzenie, że świat jest jedynie długim słowem wypowiedzianym przez Prastwórcę. Jeżeli tak jest w istocie, to my stanowimy sylaby tego słowa. Jednak wypowiedzianie słowa (wszystko jedno jakiego) mija się z celem, jeżeli nie istnieją inne, których nie mówi się głośno. Jeśli zwierzę zna tylko jeden ryk, ten ryk nic nie znaczy; nawet wiatr dysponuje mnogością głosów, dzięki czemu ci, co siedzą w domu, mogą poznać, jaka pogoda panuje na zewnątrz. Według mnie, siły zwane przez nas „ciemnymi” są właśnie tymi słowami, których Prastwórca nie wypowiedział - naturalnie jeśli założymy, że Prastwórca w ogóle istnieje - i muszą pozostać na zawsze zawieszony w półistnieniu, jeżeli to jedyne wypowiedziane słowo ma być dosłyszane. To, co ukryte w milczeniu, może mieć wielkie znaczenie, jeszcze większe jednak ma to, co powiedziano na głos. Dlatego właśnie sama moja wiedza o istnieniu Pazura okazała się niemal wystarczająca, by obronić mnie przed urokiem rzuconym przez Decumana.

A jeżeli poszukujący ciemnych mocy odnajdą je, czy nie może stać się to udziałem także tych, którzy poszukują jasności? Czyż nie oni właśnie powinni przekazywać swoją mądrość następnym generacjom? Dlatego kolejne pokolenia Peleryn chroniły Pazur jak najdroższy skarb i dlatego jeszcze

bardziej utwierdziłem się w postanowieniu, żeby je odnaleźć i zwrócić im go.

Nawet jeśli wcześniej nie zdawałem sobie z tego do końca sprawy, to nocne spotkanie z alzabo uświadomiło mi z całą mocą, iż jestem tylko ciałem, że kiedyś na pewno umrę i że najprawdopodobniej nastąpi to już niedługo.

Ponieważ góra, ku której się zbliżaliśmy, wznosiła się na północ od nas i rzucała długi cień na porośniętą dżunglą przełęcz, z tej strony lasu nie natrafiliśmy na zasłonę z pnączy.

Jasnozielone liście bladły coraz bardziej, rosła też liczba martwych drzew, przy czym jednocześnie malały ich rozmiary. W baldachimie liści, pod którym szliśmy przez cały dzień, zaczęły pojawiać się coraz liczniejsze dziury, aż wreszcie zniknął zupełnie.

Potem góra znalazła się bezpośrednio przed nami, zbyt blisko, abyśmy mogli dostrzec jej podobieństwo do postaci człowieka. Z warstwy chmur wyłaniały się potężne, pofałdowane zbocza, o których wiedzieliśmy, że są jego wyrzeźbionymi w skale szatami. Z pewnością wielokrotnie okrywał się nimi zaraz po przebudzeniu, nie zdając sobie sprawy, iż kiedyś zostaną utrwalone na całe wieki, tak wielkie, że prawie wymykające się ludzkiemu postrzeganiu.

ROZDZIAŁ XXIII

PRZEKŁĘTE MIASTO

Nazajutrz około południa ponownie znaleźliśmy wodę - jak się później okazało, po raz ostatni na zboczach tej góry. Zjedliśmy resztkę suszonego mięsa otrzymanego od Casdoe i napiliśmy się ze strumienia, który był tutaj zaledwie strużką średnicy męskiego kciuka.

Wydawało mi się to dziwne, ponieważ w wyższych partiach góry widziałem mnóstwo śniegu; po pewnym czasie przekonałem się jednak, że poniżej granicy wiecznych śniegów, gdzie biała czapa mogłaby rozpuszczać się w promieniach słońca, dając początek licznym potokom, śnieg został

zmielony przez silne wiatry, wyżej natomiast przybywało go nieprzerwanie od stuleci.

Ponieważ nasze koce były wilgotne od rosy, rozpostarliśmy je na kamieniach, aby wyschły. Nastąpiło to w ciągu jednej wachty, nie tyle dzięki słońcu, co podmuchom suchego, górskiego wiatru.

Wiedziałem, że najbliższą noc przyjdzie nam spędzić na stoku, mniej więcej w takich samych warunkach, w jakich spałem pierwszej nocy po opuszczeniu Thraxu, a jednak świadomość ta nawet w najmniejszym stopniu nie wpłynęła na pogorszenie mojego nastroju.

Jego przyczyną była nie tylko ulga, że wreszcie opuszczamy niebezpieczną dżunglę, lecz także, a może nawet przede wszystkim, zadowolenie, że z każdym krokiem oddalamy się od czyhającej tam niegodziwości. Miałem wrażenie, że zostałem zbrukany i że teraz oczyszczę się w zimnym górskim powietrzu. Przez pewien czas nie bardzo wiedziałem, skąd wzięło się to uczucie, ale potem, kiedy zaczęliśmy wspinać się na dobre, zrozumiałem, iż wywołało je przede wszystkim wspomnienie

kłamstw, jakimi uraczyłem magów, udając - podobnie jak oni - że władam potężnymi mocami i znam mroczne tajemnice. Co prawda kłamałem tylko dlatego, żeby ocalić życie swoje i małego Severiana, niemniej jednak czułem się tak, jakbym przestał być w pełni mę-

żczyzną. Mistrz Gurloes, którego znienawidziłem na długo przed opuszczeniem konfraterni, kłamał bardzo często; teraz nie byłem pewien, czy nienawidziłem go dlatego, że kłamał, czy też nienawidziłem kłamstw dlatego, że on się nimi chętnie posługiwał.

A przecież mistrz Gurloes miał wymówkę równie dobrą jak moja, albo nawet jeszcze lepszą: kłamał po to, aby zachować nasze bractwo i zapewnić mu pomyślność, podając najróżniejszym dostojnikom i oficerom przesadzone informacje na temat naszej działalności, a w razie potrzeby ukrywając także nasze błędy. Czyniąc to jako, de facto, zwierzchnik konfraterni, ponad wszelką wątpliwość umacniał swoją pozycję, ale jednocześnie przyczyniał się do umocnienia pozycji mojej, Drotte'a, Roche'a, Eaty oraz wszystkich uczniów i czeladników, jacy mieli w przyszłości kontynuować jego dzieło. Gdyby naprawdę był brutalnym prostakiem, za jakiego chciał uchodzić, na pewno uwierzyłbym, że wszelka nieuczciwość miała służyć wyłącznie jego dobru. Ponieważ jednak nim nie był, miałem podstawy przypuszczać, iż przez wiele dziesięcioleci czuł się dokładnie tak samo, jak ja teraz.

Mimo to wcale nie byłem pewien, czy istotnie kierowała mną myśl, by uratować małego Severiana. Kiedy uciekłem, a ja oddałem napastnikom miecz, ocalałem chyba nie jego, lecz swoje życie - bo to przecież ja zostałbym niechybnie zabity, gdybym zdecydował się na walkę z wielokrotnie silniejszym przeciwnikiem. Później, już po ucieczce, wróciłem nie tylko po chłopca, ale także po Terminus Est, tak samo jak wróciłem po miecz w kopalni zamieszkaną przez małpoludy. Gdybym go stracił, już niczym nie różniłbym się od zwykłego włóczęgi.

Jakąś wachtę później, kiedy wspinałem się na stromiznę z chłopcem na plecach, podpierając się mieczem jak laską, w dalszym ciągu nie wiedziałem, na którym z nich bardziej mi zależy. Na szczęście byłem wypoczęty, wspinaczka więc nie sprawiała mi większych trudności. Wreszcie ten odcinek zbocza skończył się i stanęliśmy na skraju starożytnej drogi.

Chociaż zarówno wcześniej, jak i później bywałem w wielu dziwnych miejscach, żadne z nich nie wydało mi się równie nienaturalne, jak to. Po lewej stronie, w odległości zaledwie dwudziestu kroków, droga kończyła się niemal pionowym urwiskiem o poszarpanej krawędzi, po prawej natomiast znajdowała się w doskonałym stanie, jakby zaledwie wczoraj ukończono jej budowę: idealnie gładka wstęga czarnego kamienia, wijąca się w górę, ku potężnej postaci, której głowa wznosiła się wysoko nad chmurami.

Postawiłem chłopca na ziemi, a on złapał mnie mocno za rękę.

- Mama mówiła, że nie wolno korzystać z dróg, bo pilnują ich żołnierze.

- Twoja matka miała rację, tyle tylko, że miała na myśli drogi na nizinach, gdzie istotnie łatwo spotkać żołnierzy. Prawdopodobnie patrolowali kiedyś i tę drogę, ale wszyscy umarli, zanim wysiało się najgrubsze z drzew, jakie widzieliśmy w dżungli.

Mały Severian drżał z zimna, dałem mu więc jeden z koców i pokazałem, w jaki sposób należy się w

niego zawinąć. Gdyby ktoś nas wtedy zobaczył, pomyślałby zapewne, że widzi samotną, zakutaną w pled postać, obok której podąża nieproporcjonalnie duży, czarny jak noc, cień.

Weszliśmy w mgłę, co mnie trochę zdziwiło, gdyż nie spodziewałem się napotkać jej na tak znacznej wysokości. Dopiero kiedy wspięliśmy się ponad nią i spojrzeliśmy z góry na oświetloną blaskiem słońca, kłębiącą powierzchnię, zrozumiałem, iż był to jeden z obłoków, które wydawały mi się takie odległe, gdy oglądałem je z porośniętej dżunglą przełęczy.

Jednak po zastanowieniu się musiałem przyznać, że nawet tamto miejsce, teraz tak daleko w dole, ponad wszelką wątpliwość znajdowało się tysiące łokci powyżej Nessus. Jakże daleko musiałem już zawędrować, skoro na takich wysokościach mogły bujnie rosnąć dżungle -

sięgające niemal do kibici świata, gdzie zawsze panuje lato, a różnice klimatyczne wynikają jedynie z różnic wysokości. Z tego, czego dowiedziałem się od mistrza Palaemona wynikało, że gdybym teraz ruszył prosto na zachód, pozostawiwszy za sobą góry, znalazłbym się w dżungli tak niebezpiecznej, iż ta, z której niedawno wyszedłem, wydałaby mi się istnym rajem. Jednak nawet tam dostrzegłbym oznaki śmierci, bo choć do obszarów tych dociera więcej energii słonecznej niż do jakiegokolwiek innego miejsca na Urth, to jednocześnie jest jej znacznie mniej niż w dawnych czasach, a w miarę jak lód posuwał się coraz dalej na południe, rośliny strefy umiarkowanej uciekały przed jego naporem, stopniowo zastępując te, które mogły żyć jedynie w klimacie tropikalnym.

Zatrzymałem się, by popatrzeć z góry na obłok, ale chłopiec maszerował dalej. Dopiero po chwili przystanął, spojrzął na mnie błyszczącymi oczami i zapytał:

- Kto zrobił tę drogę?

- Zapewne ci sami robotnicy, którzy wyrzeźbili górę. Dysponowali ogromnymi zasobami energii oraz maszynami znacznie potężniejszymi od tych, jakie znamy obecnie. Mimo to musieli przecież w jakiś sposób pozbywać się resztek skał i pogruchotanych kamieni. Tą drogą jeździły kiedyś tysiące wozów.

Szczerze mówiąc, wcale nie byłem tego pewien, gdyż żelazne koła takich pojazdów zniszczyły nawet wykładane twardymi kamieniami ulice Thraxu i Nessus, ta droga zaś była gładka i równa jak powierzchnia stołu. Całkiem możliwe, że wędrowały nią tylko wiatr i promienie słońca.

- Duży Severianie, patrz! Widzisz rękę?

Chłopiec wskazał górski grzbiet daleko przed nami. Zadarłem głowę, aż poczułem ból w karku, ale początkowo dostrzegłem jedynie to samo, co wszędzie dokoła, to znaczy jałową, szarą skałę. Chwilę później promienie słońca zaślniły na czymś w pobliżu końca grzbietu. Tajemniczy przedmiot błyszczał jak czyste złoto. Wytężywszy wzrok stwierdziłem, że to złoty pierścień, a potem bez trudu wypatrzyłem ogromny, wykuty w skale kciuk oraz pozostałe palce.

Nie mieliśmy pieniędzy, ja zaś doskonale wiedziałem, jak bardzo możemy ich potrzebować, kiedy

wreszcie ponownie wejdziemy na zamieszkałe tereny, co prędzej lub później musiało nastąpić. Jeżeli nadal mnie szukano, złoto mogło przekonać poszukujących, aby na chwilę przymknęli oczy. Złoto mogło także pomóc małemu Severianowi rozpocząć naukę w jakiejś szacownej konfraterni, bo przecież nie mogłem ciągnąć go ze sobą na tułaczkę.

Przypuszczalnie pierścień został wykuty w skale, a następnie pokryty listkami złota, ale nawet te listki, zdrapane z tak dużej powierzchni, musiały przedstawiać ogromną wartość. Poza tym - co prawda odganiałem od siebie te myśli, ale powracały z nie słabnącym uporem - czy cienkie, złote listki mogły przetrwać tyle stuleci? Czy nie powinny złuszczyć się już dawno temu i spłynąć wraz z deszczem i śniegiem? Jeżeli pierścień wykonano z litego złota, to był wart fortunę. Jednak nawet połączone fortuny całej Urth nie wywarłyby na mnie tak kolosalnego wrażenia, jak ta kamienna ręka ze złotym pierścieniem na palcu. Ten, kto kazał ją wykuć w skale, musiał być wręcz niewyobrażalnie bogaty.

Rozmyślając nad tym wszystkim podążałem rażno w górę, a ponieważ miałem znacznie dłuższe nogi, bez trudu wyprzedziłem chłopca. Chwilami droga była tak stroma, iż nie mogłem uwierzyć, aby kiedykolwiek poruszały się po niej ciężkie, wyładowane materiałem skalnym pojazdy. Dwa razy natrafiliśmy na poprzeczne szczeliny; jedna z nich była tak szeroka, że musiałem przerzucić chłopca na drugą stronę, a dopiero potem pokonać ją długim susem. Miałem nadzieję, że przed postojem znajdziemy jeszcze wodę, ale nic takiego nie nastąpiło, a kiedy zapadła noc, wtuliliśmy się w skalną szczelinę, owinięci dwoma kocami i moim płaszczem, i tak zasnęliśmy.

Rankiem obaj odczuwaliśmy pragnienie. Chociaż do jesieni, a zarazem do nadejścia pory deszczowej, zostało jeszcze sporo czasu, powiedziałem chłopcu, że dzisiaj prawie na pewno będzie padać, wyruszyliśmy więc w dobrych nastrojach. On z kolei nauczył mnie, że można oszukać pragnienie trzymając w ustach mały kamyk. Wiatr był znacznie chłodniejszy niż do tej pory, zaczęło też dawać się we znaki rozrzedzone powietrze. Od czasu do czasu droga wyłaniała się z cienia góry i przez chwilę mogliśmy cieszyć się promieniami słońca.

Jednocześnie coraz bardziej oddalała się od pierścienia, aż wreszcie zupełnie straciliśmy go z oczu. O ile mogłem się zorientować, dotarliśmy w pobliże kolan siedzącej postaci. Tutaj nagle napotkaliśmy stromiznę jeszcze większą niż wszystkie, z jakimi mieliśmy do czynienia do tej pory, a kiedy ją pokonaliśmy, naszym oczom ukazało się zbiorowisko smukłych wież; sprawiały wrażenie, jakby wisiały nieruchomo w doskonale przejrzystym powietrzu.

- Thrax! - wykrzyknął chłopiec z taką radością w głosie, że bez trudu domyśliłem się, iż matka często opowiadała mu cudowne historie o tym mieście, a może nawet obiecywała, kiedy opuszczali ubogą chatkę w górach, że właśnie tam się udadzą.

- Nie - odparłem. - To nie jest Thrax. Bardziej przypomina moją Cytadelę z Wieżą Matachina, Wiedźmińcem, Niedźwiedzią Wieżą i Wieżą Dzwonów.

Wytrzeszczył na mnie oczy.

- Ale to także nie jest Cytadela. Byłem w Thraksie wiem, że miasto zostało zbudowane z kamieni, a te wieże są metalowe, tak jak nasze.

- I mają oczy - dodał mały Severian.

Istotnie, miały. W pierwszej chwili pomyślałem, że wyobraźnia płata mi figle, tym bardziej że oczy znajdowały się tylko na niektórych wieżach, ale w porę uświadomiłem sobie, że przecież część budowli jest odwrócona tyłem do nas. Zaraz potem zorientowałem się, iż mają nie tylko oczy, ale również barki i ramiona, i zrozumiałem, że widzimy metalowe figury katafraktów, żołnierzy uzbrojonych od stóp do głów.

- To nie jest prawdziwe miasto - powiedziałem do chłopca. - Natknęliśmy się na strażników Autarchy, czekających w jego objęciach, aby zniszczyć każdego, kto będzie chciał wystąpić przeciwko niemu.

- Czy zaatakują nas?

- Niepokojąca myśl, prawda? Przecież mogliby nas zmiażdżyć niczym myszy. Jestem jednak pewien, że nie zrobią nam krzywdy. To jedynie posągi, duchowi obrońcy pozostawieni dla upamiętnienia jego potęgi.

- Są też duże domy - zauważył mały Severian.

Miał rację. Budynki sięgały zaledwie do pasa metalowym postaciom i dlatego w pierwszej chwili nie zwróciliśmy na nie uwagi. One także przywiodły mi na myśl Cytadelę, gdzie wśród wież wznoszą się budowle, które nigdy nie odważyły się rzucić wyzwania gwiazdom. Być może sprawiło to rozrzedzone powietrze, ale nagle wydało mi się, jakby stalowi mężczyźni zaczęli się z wolna unosić, potem coraz szybciej, wznosząc ręce ku niebu, tak jak my czyniliśmy, nurkując przy świetle pochodni w zbiorniku wody pod Wieżą Dzwonów.

Choć moje buty z pewnością skrzypiały na wychłostanej wiatrem skale, nie mogę sobie przypomnieć tego odgłosu. Przypuszczalnie pochłonął go ogrom góry, dzięki czemu zbliżaliśmy się ku gigantycznym postaciom tak cicho, jakbyśmy stąpali po mchu. Nasze cienie, które zaraz po pojawieniu się leżały za nami długimi krechami, teraz zamieniły się w niewielkie kałuże.

Nagle stwierdziłem, że widzę oczy wszystkich gigantów. Próbowałem sobie wmówić, iż początkowo niektóre po prostu przeoczyłem, choć błyszczały wyraźnie w promieniach słońca.

Wreszcie wkroczyliśmy na ścieżkę wiodącą wśród metalowych postaci, a także wśród otaczających je budynków. Sądziłem, że domy te popadły już w ruinę, tak jak budowle w zapomnianym mieście Apu-Punchau, tymczasem, choć pozamykane, tajemnicze i milczące, mogły zostać wzniesione nawet wczoraj. Nigdzie nie było widać pozapadanych dachów, korzenie roślin nigdzie nie obluzowały sześciobocznych kamiennych brył, z jakich postawiono ściany.

Wszystkie były pozbawione okien, ich wygląd zaś nie kojarzył mi się ani ze świątyniami, ani z fortecami, grobowcami czy w ogóle z jakimikolwiek znanymi budowlami. Nie miały także żadnych ozdób i z pewnością brakowało im lekkości, ale ich budowniczym nie można było zarzucić braku fachowości, rozmaitość kształtów zaś zdawała się świadczyć o różnorodności funkcji, jakie niegdyś

pełniły. Lśniące posągi stały między nimi jakby zatrzymane w marszu nagłym podmuchem lodowatego wiatru i w niczym nie przypominały pomników.

Wybrałem jeden z budynków i powiedziałem chłopcu, że włamiemy się do niego. Jeżeli będzie sprzyjało nam szczęście, znajdziemy tam wodę, a może nawet zakonserwowaną żywność.

Okazało się jednak, iż nie byłem w stanie wprowadzić w życie tego ambitnego planu, gdyż drzwi były równie solidne jak ściany, dach zaś tak samo mocny jak fundamenty. Chyba nawet za pomocą siekiery nie udałooby mi się dostać do środka, a nie śmiałem narażać na szwank ostrza Terminus Est. Straciliśmy kilka wacht myszkując w poszukiwaniu wejścia, ale zarówno ten budynek, jak i dwa kolejne pozostały dla nas niedostępne.

- Z tyłu jest taki okrągły dom - powiedział mały Severian. - Pójdę go obejrzeć.

Pozwoliłem mu, ponieważ byłem pewien, że w tym opuszczonym mieście nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Ku memu zdziwieniu, wrócił niemal natychmiast.

- Drzwi są otwarte!

ROZDZIAŁ XXIV

TRUP

Nigdy nie dowiedziałem się, jakim celom miały służyć bezokienne budynki. Ten, do którego zaprowadził mnie chłopiec, także stanowił zagadkę. Był okrągły, nakryty kopułą, o metalowych ścianach - nie ciemnych, jak w Cytadeli, ale lśniących niczym wypolerowane srebro.

Zastanowiło mnie, że do tej błyszczącej budowli prowadziło kilkanaście stopni, podczas gdy gigantyczne podobizny katafraktów odzianych w starożytne zbroje stały bezpośrednio na ulicy.

Wszystkie drzwi, jakie znaleźliśmy obchodząc rotundę dokoła (było ich pięćcioro), stały otworem.

Na podstawie wyglądu posadzki w ich bezpośrednim sąsiedztwie starałem się ocenić, czy otwarto je przed wiekami czy też całkiem niedawno, ale na tak znacznej wysokości gromadzi się bardzo mało kurzu, nie doszedłem więc do żadnych konkretnych wniosków. Po zakończeniu obchodu nakazałem chłopcu, żeby trzymał się z tyłu, i jako pierwszy wkroczyłem do środka.

Nic się nie stało. Nawet kiedy chłopiec ruszył za mną, drzwi się nie zatrzasnęły, nikt nas nie zaatakował, nie nastąpiło żadne wyładowanie energii, a podłoga nie zapadła się pod naszym ciężarem. Mimo to miałem wrażenie, że znaleźliśmy się w pułapce; na zewnątrz, na zboczu góry, byliśmy wolni, choć głodni i spragnieni, tutaj natomiast o żadnej wolności nie mogło być mowy.

Gdyby nie mały Severian, chyba odwróciłbym się i wziął nogi za pas. Nie chciałem jednak, by uznał mnie za tchórza albo człowieka przesadnego, a poza tym czułem się w obowiązku poszukać wody i żywności.

W budynku znajdowało się wiele urządzeń, których nie potrafię w żaden sposób nazwać.

Z pewnością nie były to ani meble, ani skrzynie, ani maszyny - przynajmniej nie takie, jakie potrafiłbym rozpoznać. Większość miała niezwykle, skomplikowane kształty; w paru dostrzegłem wgłębienia, jakby przeznaczone do tego, żeby w nich siedzieć, choć ten, kto by tego spróbował, musiałby znosić znaczne niewygody, a w dodatku byłby zwrócony twarzą nie do towarzyszy, a do jakiejś części urządzenia. Inne wgłębienia, nieco większe, sprawiały wrażenie, jakby były nawet dość wygodne.

Przedmioty te stały wzdłuż zbiegających się centralnie alejek, przypominających szprychy ogromnego koła. Na końcu alejki, w którą weszliśmy, dostrzegłem jakiś czerwony obiekt, na nim zaś brązowy, znacznie mniejszy. Początkowo nie wzbudziły mego zainteresowania, ale kiedy przekonałem się, że przedmioty zgromadzone po obu stronach przejścia nie przedstawiają dla nas żadnej wartości, ale i nie stanowią zagrożenia, poprowadziłem chłopca w tamtą stronę.

Czerwony obiekt okazał się wymyślną kanapą zaopatrzoną w pasy, którymi można by przypiąć do niej więźnia, oraz w mnóstwo przyrządów służących najprawdopodobniej dostarczaniu pożywienia i usuwaniu odchodów. Stała na niewielkim podium, na niej zaś spoczywało coś, co kiedyś było ciałem człowieka o dwóch głowach. Suche górskie powietrze sprawiło, że zwłoki uległy mumifikacji, ale,

podobnie jak w przypadku budynków, nie sposób było stwierdzić, czy leżą tu od roku, czy od tysiąca lat. Mężczyzna znacznie przewyższał mnie wzrostem - kto wie, może nawet należał do arystokracji - i był niegdyś potężnie umięśniony; teraz mógłbym jednym ruchem oderwać mu całe ramię. Nie miał na sobie ubrania, a choć wiedziałem z doświadczenia, jak istotnym zmianom ulegają nieraz narządy prokreacyjne, to jednak zdziwiłem się, widząc je w niemal całkowitym zaniku. Na obu głowach zachowały się resztki włosów - odniosłem wrażenie, iż te na prawej były czarne, natomiast te na lewej płowóżółte.

Trup miał zamknięte oczy i rozchylone usta, w których widać było kilka zębów. Zauważyłem, że pasy, które powinny przytrzymywać tę istotę, były rozpięte.

Jednak znacznie większe zainteresowanie niż dwugłowy człowiek wzbudziły we mnie przyrządy, które kiedyś dostarczały mu pożywienia. Powtarzając sobie w myślach, że starożytne maszyny bywają często nadspodziewanie trwałe oraz że te akurat przebywały w najlepszych warunkach, jakie można sobie wymarzyć, kręciłem po kolei wszystkimi pokrętłami i poruszałem dźwigniami w nadziei, iż uda mi się wydobyć z nich choć trochę żywności. Chłopiec przez dłuższą chwilę przyglądał mi się w milczeniu, po czym zapytał, czy grozi nam śmierć głodowa.

- Nie - odparłem. - Bez jedzenia można wytrzymać znacznie dłużej, niż myślisz. Dużo bardziej potrzeba nam wody, ale nawet jeśli jej tutaj nie znajdziemy, to już wkrótce dotrzemy do granicy wiecznego śniegu.

- Dlaczego on umarł?

Z jakiegoś powodu nie mogłem się zmusić, żeby dotknąć trupa, natomiast chłopiec przesunął pulchnymi palcami po wyschniętym ramieniu.

- Każdy musi kiedyś umrzeć. Dziwne, że taki potwór w ogóle żył. Tacy jak on zazwyczaj umierają zaraz po urodzeniu.

- Myślisz, że inni zostawili go tutaj, kiedy odchodzili?

- Żywego? Całkiem możliwe. Przypuszczalnie nie chcieli wziąć go ze sobą na niziny albo on nie chciał iść, albo przywiązali go do tej kanapy, aby ukarać za złe zachowanie. Nie zdziwiłbym się, gdyby był szalony albo często ulegał atakom wściekłości. Zapewne spędzał

swoje ostatnie dni wędrując po zboczu góry i wracał tu po to, aby się najeść i napić, aż wreszcie umarł, kiedy skończyły się zapasy wody i żywności.

- Skoro tak, to znaczy, że niczego tutaj nie znajdziemy - zauważył trzeźwo chłopiec.

- Słusznie. Nie wiemy jednak, czy na pewno tak właśnie się stało. Może umarł z jakiegoś innego powodu, na długo przed wyczerpaniem się zapasów? Poza tym wcale nie musiał być maskotką ludzi, którzy rzeźbili górę, bo dlaczego mieliby go umieszczać w miejscu wypełnionym tak skomplikowanymi urządzeniami? Zresztą to i tak nie ma znaczenia, bo jestem pewien, że nie uda mi się uruchomić tej maszyny.

- Chyba powinniśmy zejść niżej - powiedział mały Severian, kiedy wychodziliśmy z budynku.

Obejrzałem się, a przez moją głowę przemknęła myśl, jak dziecinne były moje niedawne obawy. Drzwi nadal stały otworem, nic się nie poruszyło, nic się nie zmieniło. Nawet jeśli rotunda została pomyślana jako pułapka, to przestała działać wiele stuleci temu.

- Też tak uważam - odparłem.- Jednak zwróć uwagę, że dzień ma się już ku końcowi.

Widzisz, jakie długie są nasze cienie? Nie chcę, żeby noc zastała nas podczas schodzenia po stromym stoku, chyba więc najpierw sprawdzę, czy uda mi się dotrzeć do pierścienia, który widzieliśmy dziś rano. Być może zdobędziemy nie tylko złoto, ale i wodę. Noc spędzimy w tym okrągłym budynku, a jutro o pierwszym brzasku ruszymy w dół po północnym zboczach góry.

Skinął głową, po czym bez wahania ruszył za mną na poszukiwanie ścieżki wiodącej do skarbu. Musieliśmy wrócić na południowe ramię kolosa, a więc niemal cofnąć się w kierunku, z którego przybyliśmy. Obawiałem się, że czeka nas uciążliwa wspinaczka, a tymczasem w miejscu, gdzie ramię wyrasta z barku, natrafiliśmy na to, co przydałoby nam się znacznie wcześniej: wąskie, ale całkiem wygodne schody. Były tak długie, że musiałem wziąć chłopca na ręce, aby znanadto nie opadł z sił.

Samo ramię okazało się mieć bardzo gładką powierzchnię, lecz zarazem było tak szerokie, iż nie istniało niebezpieczeństwo upadku - naturalnie pod warunkiem, że szło się samym środkiem, zachowując należną ostrożność. Postawiłem chłopca na wyslizganej skale, wziąłem go za rękę i rażno ruszyliśmy naprzód.

Po lewej stronie mieliśmy zbocze, na które zaczęliśmy się wspinać poprzedniego dnia, nieco dalej leżała przykryta zielonym płaszczem dżungli przełęcz, jeszcze dalej natomiast, spowita w półprzeźroczystą zasłonę z niebieskawej mgły, wznosiła się góra, na której Becan i Casdoe postawili swój dom. Co jakiś czas odwracałem się, usiłując go dojrzeć albo choć w przybliżeniu ustalić jego położenie. Wreszcie dostrzegłem coś, co przypominało pionową ścianę urwiska, po której niedawno schodziłem, przedzieloną pośrodku cieniutką nitką spadającej wody.

Wówczas zatrzymałem się i spojrzałem na szczyt góry, po której zboczach wędrowaliśmy.

Teraz bez trudu widziałem całą głowę oraz wieńczącą ją mitrę ze śniegu, trochę niżej zaś fragment lewego ramienia, gdzie bez trudu zmieściłoby się tysiąc kawalerzystów.

Chłopiec wysforował się do przodu, ale nagle stanął jak wryty, wyciągnął rękę i krzyknął

coś, czego nie rozumiałem. Wskazywał na budynki i metalowe postaci zbrojnych. Minęła dłuższa chwila, zanim zorientowałem się, o co mu chodzi: ich twarze były skierowane w naszą stronę, tak samo jak rano, kiedy wyruszyliśmy w drogę, co oznaczało, że gigantyczne posągi poruszały głowami. Ich oczy wpatrywały się w słońce.

- Widzę! - zawołałem do chłopca.

Dotarliśmy już do przegubu, mając przed sobą niewielki płaskowyż ręki, znacznie szerszej i

bezpieczniejszej od ramienia. Mały Severian wysforował się jeszcze bardziej naprzód.

Pierścień był na serdecznym palcu, dłuższym i grubszym niż pień najpotężniejszego drzewa.

Chłopiec wbiegł na niego, bez najmniejszego trudu utrzymując równowagę, błyskawicznie dotarł do pierścienia i wyciągnął obie ręce, aby go dotknąć.

W tym momencie błysnęło światło, bardzo jasne, choć nie oślepiające. Ponieważ było lekko zabarwione fioletem, w blasku dnia wydawało się niemal ciemnością.

Ciało małego Severiana natychmiast szerniało niczym kawałek tkaniny rzucony w szalejący ogień. Myślę, że przez chwilę żył jeszcze, gdyż poderwał raptownie głowę i rozkrzyżował ramiona. W niebo buchnął kłęb dymu, porwany natychmiast przez wiatr, a potem zwęglone zwłoki runęły w szczelinę między palcami.

Mimo że widziałem wiele egzekucji wykonywanych przy użyciu ognia, a nawet sam posługiwałem się rozpalonym żelazem (wśród miliarda moich wspomnień jednym z najbardziej wyrazistych jest widok przypiekanych policzków Morwenny), to musiałem stoczyć ze sobą długą walkę, zanim wreszcie zdecydowałem się podejść i spojrzeć na to, co z niego zostało.

W wąskiej szczelinie leżało mnóstwo kości, ale wszystkie były bardzo stare, tak że kiedy zeskoczyłem z grzbietu palca, trzaskały mi pod nogami tak samo jak te, które znajdowałem w alejkach naszej nekropolii. Wyjąłem z ukrycia Pazur.

Gdy czyniłem sobie wyrzuty, że nie spróbowałem z niego skorzystać podczas bankietu u Vodalusa, kiedy przyniesiono ciało Thecli, Jonas zbeształ mnie mówiąc, że jestem głupcem i że nawet cudowna siła Pazura nie zdołałaby przywrócić życia czemuś, co było już tylko upieczonym mięsem. Teraz przemknęła mi przez głowę myśl, że jeśli uda mi się wskrzesić małego Severiana, to mimo ogromnej radości, jaką by mi to sprawiło, zaprowadziłbym go w jakieś bezpieczne miejsce, a następnie poderznął sobie gardło ostrzem Terminus Est. Oznaczałoby to bowiem, iż mogłem także ożywić Theclę, a ona przecież, choć martwa na wieki, stanowiła obecnie część mej osobowości.

Przez chwilę wydawało mi się, że powietrze drży wokół mnie, wypełnione świetlistym cieniem albo mroczną poświatą, potem zaś ciało chłopca zamieniło się w czarny popiół

poruszany niespokojnymi podmuchami wiatru.

Wstałem, schowałem Pazur i zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób mógłbym wydostać się na któryś z palców, a potem na wierzch ręki. Ostatecznie musiałem postawić Terminus Est przy skalnej ścianie, stanąć na jego rękonożce, podciągnąć się na rękach, następnie zaś położyć na brzuchu i sięgnąć w dół najdalej jak potrafiłem, by złapać go za gałkę i wyciągnąć ze szczeliny.

Moja pamięć była równie dobra jak zawsze, krótkotrwałemu zaburzeniu uległo zaś funkcjonowanie mego umysłu, gdyż wydawało mi się, że mały Severian i Jäder - chłopiec z zapuchniętym okiem, który mieszkał wraz z umierającą siostrą w lepiance w najwyższej położonej części Thraxu - są tą

samą osobą. Tego, który tyle dla mnie znaczył, nie zdołałem ocalić, a wyleczyłem tego, który znaczył tak niewiele. Bez wątpienia była to obronna reakcja umysłu usiłującego znaleźć jakąś kryjówkę, aby przeczekać burzę szaleństwa, lecz mnie wydawało się, iż dopóki Jąder żyje, chłopiec, któremu matka nadała imię Severian, nie może naprawdę umrzeć.

Miałem zamiar przystanąć na krawędzi ręki i spojrzeć za siebie, ale nie uczyniłem tego - prawdę mówiąc obawiałem się, że zawrócę i rzucę się w przepaść. Zatrzymałem się dopiero przy wąskich schodach prowadzących stromo w dół, do płaskiego terenu na kolanach gigantycznego posągu. Tu usiadłem, a następnie jeszcze raz odszukałem w oddali urwisko, u którego podnóża stał domek Casdoe. Myślałem o ujadającym brązowym psie - zachował się jak tchórz, kiedy przyszło alzabo, ale potem zginął z klami zatopionymi w ciele zoantropa, podczas gdy ja, jeszcze większy tchórz, ociągałem się z przyłączeniem do walki. Myślałem o zmęczonej, pięknej twarzy Casdoe, o chłopcu wyglądającym zza jej spódnicy oraz o starym mężczyźnie siedzącym ze skrzyżowanymi nogami przy ogniu i wspominającym Fechina. Wszyscy już nie żyli: Severa i Becan, których nawet nie zdążyłem poznać, starzec, pies, Casdoe, mały Severian, a nawet Fechin. Zniknęli we mgle spowijającej dni naszego życia. Wydaje mi się, że czas jest namacalną rzeczą, przypominającą ciągnący się bez końca płot, którego metalowe słupki oznaczają kolejne lata; płyniemy wzdłuż niego jak Gyoll, z każdą chwilą coraz bardziej zbliżając się do oceanu, skąd możemy wrócić już tylko pod postacią deszczu.

Siedząc na ramieniu ogromnego posągu dowiedziałem się, na czym polega pragnienie pokonania czasu, pragnienie, w porównaniu z którym rządzą podbicia odległych słońc stanowi jedynie małą, śmieszłą ambicyjkę wystrojonego w pióra wodza jakiegoś dzikiego plemienia, snującego plany podboju terenów należących do sąsiedniego szczepu.

Trwałem bez ruchu aż do chwili, gdy poszarpany zachodni horyzont niemal sięgnął

krawędzi gasnącego słońca. Wędrówka schodami w dół powinna być znacznie łatwiejsza niż niedawna wspinaczka, ale pragnienie dawało mi się już mocno we znaki, a każdy krok wywoływał ostre ukłucie bólu w kolanach. Ciemność coraz bardziej gęstniała, zerwał się też lodowaty wiatr. Jeden koc spłonął razem z chłopcem, zawinałem się więc w drugi, na wierzch zaś narzuciłem płaszcz.

Mniej więcej w połowie drogi zatrzymałem się dla zaczerpnięcia tchu. Z minionego dnia pozostała jedynie czerwonobrazowa poświata z najwyższym trudem przelewająca się nad skalnymi graniami, które dzieliły mnie od zachodniego horyzontu. Wkrótce ona także zniknęła, a wówczas każdy z metalowych katafraktów podniósł rękę w milczącym salucie. Uczynili to wszyscy jednocześnie i bez najmniejszego odgłosu, tak że gdybym ujrzał ich dopiero teraz, łatwo mógłbym uwierzyć, iż od wieków trwają właśnie w takiej pozie.

Zdumienie pozwoliło mi zapomnieć na jakiś czas o rozpacz. Stałem tak jak oni, bez najmniejszego ruchu, nie śmiać nawet głębiej odetchnąć. Noc błyskawicznie spływała z górskich szczytów, ale zanim otuliła mnie swymi skrzydłami, dojrzałem jeszcze, jak gigantyczne ramiona bezszelestnie powracają na poprzednie miejsce.

Wciąż oszołomiony wkroczyłem między budynki stojące w objęciach wykutej w górze postaci. Co prawda byłem świadkiem, jak jeden cud nie zadziałał, ale za to widziałem inny, a nawet pozornie

bezużyteczny cud stanowi niewyczerpane źródło nadziei, ponieważ udowadnia nam, że nie rozumiemy wszystkiego, a tym samym nie zdajemy sobie sprawy, że nawet nasze porażki - tylekroć liczniejsze od mało istotnych sukcesów - także mogą mieć jakieś ukryte znaczenie.

Popełniłem zapewne jakiś głupi błąd, gdyż nie udało mi się odnaleźć drogi do okrągłego budynku, w którym ja i mały Severian mieliśmy zamiar spędzić noc. Wkrótce jednak natrafiłem na zaciszny zakątek z dala od metalowych strażników; usiadłem na ziemi, przez chwilę rozcierałem obolałe nogi, po czym najlepiej jak mogłem zawinąłem się w koc i płaszcz. Choć zasnąłem niemal natychmiast, bardzo szybko obudził mnie odgłos kroków.

ROZDZIAŁ XXV

TYPHON I PIATON

Jak tylko usłyszałem kroki, zerwałem się z miejsca i obnażyłem miecz, po czym czekałem, skryty w cieniu, przez co najmniej wachnię - tak mi się przynajmniej wydawało, choć jest bardzo prawdopodobne, że trwało to znacznie krócej. Odgłos rozległ się jeszcze dwukrotnie; kroki były lekkie i szybkie, ale mnie nasunął się obraz potężnie zbudowanego, silnego mężczyzny, poruszającego się zwinnie i bez wysiłku.

Tutaj, wysoko w górach, gwiazdy świecą najsilniejszym blaskiem; przypuszczam, że takimi właśnie widzą je żeglarze rozwijający złociste żagle zdolne przykryć cały kontynent.

Widziałem nieruchomych strażników równie wyraźnie jak w dzień; to samo dotyczyło otaczających mnie budowli skąpanych w różnobarwnym blasku dziesięciu tysięcy słońc. Często myślimy z przerażeniem o skutych wiecznym lodem równinach Dis, najdalszej towarzyski naszego słońca, nigdy natomiast nie zastanawiamy się, dla ilu słońc my jesteśmy najdalszymi towarzyszami? Ludzie zamieszkujący Dis (o ile tacy istnieją), pędzą życie w objęciach nie mającej końca, rozgwieżdżonej nocy.

Kiedy tak stałem w cieniu jednego z budynków, niewiele brakowało, żebym ponownie zapadł w sen. Balansując na granicy między snem a jawą martwiłem się o chłopca, gdyż przypuszczałem, że obudziłem go, zrywając się tak gwałtownie z posłania, oraz zastanawiałem się, gdzie znajdę dla niego coś do jedzenia, kiedy wschodni horyzont opuści się na tyle nisko, by odsłonić ukryte za nim słońce. Zaraz potem jednak, niczym noc powracająca nad górzystą krainę, pojawiała się wspomnienie o jego śmierci i pogrążałem się w czarnej rozpacz. Dopiero teraz pojąłem, co musiała czuć Dorcas po śmierci Jolenty. Między mną a chłopcem nigdy nie doszło do seksualnego zbliżenia - jestem pewien, iż między dziewczętami miało miejsce coś takiego -

ale też nie ich cielesna miłość stała się przyczyną mojej zazdrości. Uczucie, jakie żywiłem do małego Severiana, z pewnością dorównywało głębią temu, jakim Dorcas darzyła Jolentę, przewyższało natomiast to, jakim Jolenta odwdzięczała się Dorcas. Gdyby Dorcas zdawała sobie z tego sprawę, przypuszczalnie odczuwałaby czasem zazdrość równą mojej - naturalnie pod warunkiem, że kochałaby mnie tak mocno, jak ja ją.

Kiedy wreszcie kroki umilkły na dobre, ukryłem się najlepiej jak mogłem i ponownie zasnąłem. Liczyłem się poważnie z możliwością, że już nie obudzę się z tego snu albo obudzę się z nożem przystawionym do gardła, ale nic takiego nie nastąpiło. Śniłem o wodzie, obudziłem się zaś długo po świcie, zupełnie sam, zziębnięty i ze zdrętwiałymi mięśniami.

Nic mnie nie obchodziły ani tajemnicze kroki, ani strażnicy, ani pierścień, ani w ogóle nic, co miało jakikolwiek związek z tym przeklętym miejscem. Jedyne, czego pragnąłem, to opuścić je jak najprędzej. Odczułem ogromną ulgę - choć nie miałem pojęcia, dlaczego - kiedy okazało się, że w drodze na północno-zachodnie zbocze góry nie będę musiał ponownie przechodzić obok okrągłego budynku.

Wielokrotnie w moim życiu doznałem uczucia, że tracę zmysły, ponieważ doświadczyłem licznych i niezwykłych przygód, a każda wielka przygoda odciska niezatarte piętno na naszych umysłach. Tak właśnie stało się teraz. Jakiś człowiek, znacznie wyższy i potężniejszy ode mnie, wyłonił się z cienia u stóp jednego z katafraktów; poczułem się tak, jakbym ujrzał na własne oczy, jak któraś z potwornych konstelacji nocnego nieba spadła na Urth i przywdziała ludzkie przebranie. Człowiek ten miał dwie głowy, tak samo jak olbrzym z opowieści zamieszczonej w Cudach Urth i nieba.

Odruchowo chwyciłem za rękojeść miecza i wyciągnąłem go z pochwy, a wówczas jedna z głów roześmiała się głośno. Nigdy przedtem ani potem nie zdarzyło mi się spotkać kogoś, kto zareagowałby w ten sposób na widok tego śmiertelnościanego ostrza.

- Czego się boisz? - zapytał mężczyzna. - Z tego, co widzę, jesteś równie dobrze wyposażony jak ja. Jak się nazywa twój przyjaciel?

Zdumienie nie przeszkodziło mi docenić jego śmiałości.

- Terminus Est - odparłem i ustawiłem miecz w taki sposób, aby mógł odczytać napis na ostrzu.

- „Tędy przebiega linia podziału”... Dobrze, nawet bardzo dobrze, szczególnie tu i teraz, gdyż nasz czas istotnie oddziela stare od nowego. Jeżeli chodzi o mojego przyjaciela, to nazywa się Piaton, co, obawiam się, nie znaczy nic wielkiego. Z pewnością jest gorszym sługą niż twój, choć może lepiej wywiązuje się z roli rumaka.

Usłyszawszy swoje imię, druga głowa szeroko otworzyła półprzymknięte do tej pory oczy i zatoczyła nimi wkoło. Poruszyła także ustami, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie wydobył

się z nich żaden dźwięk.

- Możesz już schować broń. Jak widzisz, jestem nie uzbrojony, choć już pozbawiony głowy, a poza tym, nie zamierzam wyrządzić ci krzywdy.

Podniósł obie ręce i odwrócił się najpierw w jedną, potem w drugą stronę, abym mógł przekonać się, że jest zupełnie nagi, co zresztą zdążyłem stwierdzić już wcześniej.

- Czy jesteś może synem martwego człowieka, którego widziałem w okrągłym budynku?

- zapytałem.

Mówiąc to schowałem Terminus Est, nieznajomy zaś postąpił krok w moją stronę i powiedział:

- Skądże znowu. Jestem nim we własnej osobie.

Oczami wyobraźni ujrzałem Dorcas unoszącą się w brązowej wodzie Ptasiego Jeziora i ponownie poczułem uścisk jej martwej ręki.

- Czyżbym przywrócił cię do życia? - wykrztusiłem.

- Powiedziałbym raczej, że mnie obudziłeś. Myślałeś, że jestem martwy, podczas gdy ja byłem tylko wyschnięty. Napiłem się jednak do syta i teraz, jak sam widzisz, znowu żyję. Woda to życie, a kąpiel w niej równa się powtórnemu narodzeniu.

- To naprawdę wspaniale, naturalnie jeśli mówisz prawdę, ale ja sam za bardzo potrzebuję wody, żebym mógł się teraz nad tym zastanawiać. Powiedziałeś, że napiłeś się do syta, a z twojego zachowania wnioskuję, że żywisz do mnie przyjazne uczucia. Udowodnij to, proszę. Od dawna niczego nie jadłem ani nie miałem okazji zaspokoić pragnienia.

Głowa, która do tej pory mówiła, uśmiechnęła się szeroko.

- Masz zdumiewającą umiejętność odgadywania moich zamiarów, twój wygląd zaś, a także ubiór budzą moją szczerą aprobatę. Właśnie miałem zamiar zaproponować, żebyśmy odwiedzili miejsce, gdzie jest pod dostatkiem jedzenia i picia. Chodź za mną.

Znajdowałem się już w takim stanie, że poszedłbym za każdym, kto obiecałby mi choć łyk wody. Od tamtej pory wielokrotnie próbowałem sobie wmówić, iż podążyłem za nim wyłącznie z ciekawości albo że miałem nadzieję rozwikłać zagadkę ogromnych katafraktów, ale kiedy sięgam pamięcią do tych chwil, natrafiam jedynie na rozpacz i pragnienie. Ilekroć zamknąłem oczy, pod powiekami natychmiast ukazywały mi się albo wodospad w pobliżu domu Casdoe, albo Fontanna Wróżb w Domu Absolutu, albo wypełniony wodą zbiornik blisko krawędzi urwiska w Thraksie, który wykorzystałem dla zatopienia Vinculi.

Dwugłowy mężczyzna szedł przede mną tak spokojnie, jakby wiedział, że na pewno za nim podążę oraz że nie grozi mu z mojej strony żadne niebezpieczeństwo. Dopiero kiedy skręciliśmy za róg, uświadomiłem sobie, że wbrew temu, co mi się wydawało, wcale nie byłem na jednej ze zbiegających się promieniście głównych ulic. Znaleźliśmy się przed okrągłym budynkiem. Drzwi - nie te, przez które wszedłem z małym Severianem - były nadal szeroko otwarte. Wkroczyliśmy do środka: najpierw dwugłowy mężczyzna, potem ja.

- To tutaj - oznajmiła ta sama głowa co poprzednio. - Wsiadaj.

Wskazał mi łódź przypominającą nieco miękko wyściełane, nenu-farowe łodzie z ogrodu Autarchy; tamte jednak unosiły się na wodzie, ta zaś wisiała w powietrzu. Kiedy dotknąłem burty, łódź zakołysała się lekko, choć wyczuwalnie.

- To chyba ślizgacz - powiedziałem. - Pierwszy raz widzę coś takiego z bliska.

- Gdyby ślizgacze były jaskółkami, to coś musiałyby być... boja wiem, chyba wróblem.

Albo ćmą, lub też latającą zabawką w kształcie ptaka, którą dzieci uderzają paletkami, każąc jej latać w tę i z powrotem. Obawiam się, iż zasady grzeczności wymagają, abys wsiadł pierwszy.

Zapewniam cię, że nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo.

Ja jednak zawahałem się. W tym pojeździe było coś tak tajemniczego, że nie mogłem się zmusić, aby postawić w nim nogę.

- Przybywam z Nessus, ze wschodniego brzegu Gyoll - powiedziałem. - Uczono nas tam, że w każdym pojeździe najbardziej honorowe miejsce zajmuje ten, kto ostatni do niego wchodzi, a pierwszy wychodzi.

- Otóż to - odparła głowa i zanim zrozumiałem, co się dzieje, mężczyzna chwycił mnie wpół i cisnął do łodzi tak łatwo, jakbym był dzieckiem. Tym razem zakołysała się mocniej, a w chwilę potem jeszcze raz, kiedy on do niej wskoczył. - Chyba nie myślałeś, że naprawdę pozwolę ci mieć pierwszeństwo przede mną? - Szepnął coś do łodzi, która natychmiast ruszyła z miejsca, powoli nabierając szybkości. - Prawdziwa grzeczność nie ma nic wspólnego z przestrzeganiem zasad dobrego wychowania, gdyż stanowi jedynie potwierdzenie oczywistych faktów. Kiedy plebejusz klęka przed monarchą i pochyla głowę, odsłania kark, gdyż wie, że władca i tak mógłby skazać go na ścięcie, gdyby tego chciał. Prości ludzie powiadają nieraz - a raczej powiadali, w dawnych, lepszych czasach - że nie kocham prawdy. Tymczasem prawdę kocham najbardziej ze wszystkiego, gdyż stanowi jednoznaczne stwierdzenie faktów.

Leżeliśmy na dnie łodzi oddaleni od siebie na szerokość dłoni. Niedorozwinięta głowa o imieniu Piaton przez cały czas wybałuszała na mnie oczy i bełkotała coś niezrozumiale.

Spróbowałem usiąść, ale mój towarzysz chwycił mnie silną jak imadło ręką i pociągnął z powrotem w dół.

- Uważaj, to niebezpieczne. Konstrukcja tych pojazdów wymaga, aby w nich leżeć.

Chyba nie chcesz stracić głowy, prawda? Zapewniam cię, że jest to niemal równie nieprzyjemne, jak zyskanie dodatkowej.

Łódź skierowała się dziobem w dół i dała nura w ciemność. Przez chwilę byłem pewien, że zaraz zginiemy, ale potem ogarnęło mnie upojenie prędkością, dokładnie takie samo, jakie odczuwałem wówczas, kiedy zimą zjeżdżaliśmy na świerkowych gałęziach wśród grobowców przykrytych białymi czapami śniegu.

- Czy urodziłeś się taki, jaki teraz jesteś? - zapytałem, gdy już oswoiłem się nieco z tym prawie zapomnianym uczuciem. - A może Piaton został do ciebie dołączony wbrew twojej woli?

Chyba już wówczas zrozumiałem, iż moje życie może zależeć od tego, jak wiele zdołam dowiedzieć się o tej zdumiewającej istocie. Inteligentniejsza głowa roześmiała się głośno.

- Nazywam się Typhon. Możesz nazywać mnie tym imieniem. Słyszałeś o mnie? Kiedyś władałem tą planetą, a także wieloma innymi.

Byłem pewien, że kłamie, odparłem więc ostrożnie:

- Legendy o twojej potędze żyją po dziś dzień, Typhonie. Zaśmiał się ponownie.

- Niewiele brakowało, a nazwałbyś mnie Imperatorem albo kimś w tym rodzaju, prawda? Jeszcze zdążysz to uczynić. Nie, nie urodziłem się taki, jaki teraz jestem. W ogóle się nie urodziłem, w twoim

rozumieniu tego słowa, ani też Piaton nie został do mnie dołączony. To mnie dołączono do niego. Co o tym myślisz?

Łódź pędziła tak szybko, że powietrze świszczało nad naszymi głowami, ale lot odbywał się już niemal poziomo.

- Czy życzyłeś sobie, aby to uczyniono?

- K a z a ł e m to zrobić.

- Po co?

- Po to, żebym mógł żyć, ma się rozumieć. - Było już za ciemno, abym mógł dostrzec którąkolwiek twarz, choć głowa Typhona leżała na dnie łodzi w odległości piędzi od mojej. -

Każda forma życia dąży do tego, żeby przedłużyć swoje istnienie. Tak właśnie brzmi prawo egzystencji. Nasze ciała umierają na długo przed nami; można chyba powiedzieć, że właśnie ich śmierć jest przyczyną naszej. Moi lekarze - najlepsi, jakich udało się znaleźć na wielu planetach - powiedzieli mi, że mógłbym przenieść się do nowego ciała, choć początkowo planowali jedynie przełożyć mój mózg do czaszki innego człowieka. Dostrzegasz błąd, jaki kryje się w tym rozumowaniu?

- Obawiam się, że nie - odparłem, zastanawiając się jednocześnie, czy powinienem brać na serio jego słowa.

- Chodzi o twarz. Twarz! Straciłbym ją, a poddani przyzwyczajają się do twarzy tego, kto wydaje im rozkazy. - Poczuję, jak zaciska rękę na moim ramieniu. - Powiedziałem im więc, że nic z tego nie będzie, a wówczas jeden z nich zaproponował, żeby przeszczepić całą głowę.

Twierdził nawet, że teraz zadanie okaże się znacznie łatwiejsze, gdyż skomplikowane połączenia nerwowe odpowiedzialne za mowę i wzrok pozostaną nienaruszone. Obiecałem mu palatynat, jeżeli operacja zakończy się sukcesem.

- Wydaje mi się...

Jednak Typhon nie pozwolił mi dokończyć.

- Że najpierw należałoby usunąć głowę prawowitego właściciela ciała? Owszem, ja też tak uważałem. Jednak technika wykonywania połączeń nerwowych była bardzo skomplikowana, lekarz ów doszedł więc do wniosku - dzięki wielu eksperymentom przeprowadzonym na obiektach doświadczalnych, których mu dostarczałem - że będzie najlepiej, jeśli chirurgicznie dokona się przeniesienia jedynie odruchów warunkowych. Bezwarunkowe miały przenieść się samodzielnie, naturalnie po pewnym czasie, a wówczas będzie można usunąć starą, niepotrzebną głowę. Co prawda po zabiegu zostanie wyraźna blizna, ale bez trudu uda się zasłonić ją koszulą.

- Coś jednak poszło nie tak, jak należy?

Odsunąłem się już od niego tak daleko, jak tylko mogłem w wąskiej łódce.

- Właściwie chodziło głównie o czas. - Po przerażającej energii, jaką do tej pory słyszałem w jego głosie, zostało tylko wspomnienie. - Piaton był jednym z moich niewolników, co prawda nie najpotężniejszym, ale na pewno najsilniejszym. Badaliśmy ich wszystkich po kolei. Nigdy bym nie przypuszczał, że ktoś taki jak on będzie w stanie powstrzymać akcję serca...

- Rozumiem - mruknąłem, choć w gruncie rzeczy nic nie rozumiałem.

- Poza tym w owym czasie panowało wielkie zamieszanie. Moi astronomowie powiedzieli mi, że aktywność tego słońca zacznie się stopniowo zmniejszać, zbyt powoli jednak, aby dało się zaobserwować ten proces za życia jednego pokolenia. Mylili się. W ciągu zaledwie kilku lat słońce straciło co najmniej dwie tysięczne części swojej mocy, po czym ustabilizowało się na pewien czas. Klęska nieurodzaju stała się przyczyną głodu i rozruchów. Powinienem był

natychmiast opuścić tę planetę.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Bo uważałem, że trzeba tu silnej ręki, ale musi to być jedna silna ręka, wszystko jedno czyja... Tymczasem akurat wtedy pojawił się ten cudotwórca. Wbrew temu, co twierdzili niektórzy spośród moich ministrów, wcale nie nakłaniał ludzi do nieposłuszeństwa. Już wówczas mieszkałem tutaj, czekając, aż moja rekonwalescencja po zabiegu dobiegnie końca, a ponieważ dotarły do mnie słuchy, że człowiek ów potrafi leczyć różne dolegliwości i likwidować deformacje, kazałem go do mnie sprowadzić.

- Łagodzieciel... - szepnąłem. Zaraz potem o mało nie odgryzłem sobie języka, ale było już za późno.

- Rzeczywiście, tak właśnie brzmiało jedno z jego imion. Wiesz może, gdzie jest teraz?

- Umarł przed wieloma chiliadami.

- A jednak w pewien sposób wciąż żyje, jak przypuszczam?

Tak bardzo zdumiała mnie ta uwaga, że pospiesznie zerknąłem na woreczek z ludzkiej skóry, aby sprawdzić, czy nie sączy się przez niego błękitne światło. W tej samej chwili dziób naszej łodzi powędrował w górę i pojazd zaczął szybko nabierać wysokości. Świszt rozdieranego powietrza wzmógł się, a potem zamienił w ogłuszający ryk.

ROZDZIAŁ XXVI

OCZY ŚWIATA

Możliwe, że łódź kierowała się ku światłu, gdy pojawiło się bowiem ono wokół nas, natychmiast się zatrzymała. Tam skąd wyruszyliśmy, dokuczało mi przenikliwe zimno, które jednak okazało się

niczym w porównaniu z tym, jakie panowało u celu naszej podróży. Pogoda była bezwietrzna, ale takiego mrozu nie zaznałem nawet podczas najostrejszej zimy. Usiadłem, a od wysiłku aż zakręciło mi się w głowie.

Typhon jednym susem wyskoczył z łodzi.

- Dawno tutaj nie byłem. Miło jest znowu wrócić do domu. Znajdowaliśmy się w pustej komnacie wykutej w litej skale; rozmiarami dorównywała sali balowej. Typhon skierował się prosto ku dwóm okrągłym oknom w najbardziej oddalonej od nas ścianie. Przypuszczam, że dzieliła je odległość jakichś stu kroków, a każde z nich miało około dziesięciu łokci średnicy.

Ruszyłem za nim, by stwierdzić ze zdziwieniem, że jego bose stopy zostawiają wyraźne, ciemne ślady. Dopiero teraz zauważyłem, iż kamienną podłogę pokrywa cienka warstwa śniegu, który dostawał się do wnętrza przez okna. Padłem na kolana, zgarnąłem śnieg obiema rękami i wepchnąłem go do ust.

Nigdy nie miałem okazji skosztować czegoś równie smakowitego. Pod wpływem ciepła panującego w ustach biały puch błyskawicznie rozpuścił się, zamieniając się w przepyszny nektar. Wydawało mi się, że mógłbym trwać tak do końca życia: na kolanach, pochłaniając kolejne garście śniegu. Typhon obejrzał się, zobaczył, co robię, i parsknął śmiechem.

- Zapomniałem, jak bardzo jesteś spragniony. Dalej, nie krępuj się. Mamy mnóstwo czasu. To, co chciałem ci pokazać, może trochę poczekać.

Piaton także poruszył ustami, jak kilka razy do tej pory. Odniosłem wrażenie, że na jego twarzy pojawił się wyraz współczucia. To pozwoliło mi wrócić do równowagi - poza tym, zaspokoilem już pierwsze pragnienie. Mimo to nadal klęczałem, zgarniając śnieg z posadzki.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, dlaczego Piaton nie mówi.

- Ponieważ nie może nabrać tchu w piersi, biedaczysko - odparł Typhon. Dostrzegłem, że ma erekcję, i że przesuwa ręką po swoim nabrzmiętym narządzie. - Jak już wspomniałem, kontroluję wszystkie odruchy warunkowe naszego wspólnego ciała, ale już niedługo przejmę także kontrolę nad bezwarunkowymi. Tak więc, mimo że biedny Piaton może poruszać językiem i ustami, przypomina muzyka, który przebiera palcami po przyciskach trąby, w którą nie jest w stanie zadąć. Powiedz mi, kiedy już nasycisz się tym śniegiem, a wtedy wskażę ci miejsce, gdzie będziesz mógł się najeść.

Wepchnąłem do ust kolejną garść i szybko przełknąłem.

- Teraz mi wystarczy. Rzeczywiście, jestem bardzo głodny.

- To dobrze - odparł, po czym odwrócił się od okien, by podejść do jednej z bocznych ścian komnaty. Kiedy ja także się tam zbliżyłem, przekonałem się, iż wcale nie jest wyciosana ze zwykłego kamienia, lecz zrobiona z czegoś w rodzaju kryształu albo grubego, przydymionego szkła. Widziałem przez nią bochenki chleba oraz wiele niezwykłych potraw - wszystko nieruchome i doskonałe jak martwa natura na obrazach.

- Masz przy sobie magiczny talizman o wielkiej mocy - ciągnął Typhon. - Musisz mi go oddać, żebyśmy mogli otworzyć tę szafę.

- Obawiam się, że nie rozumiem, o czym mówisz. Czyżbyś chciał dostać mój miecz?

- Chcę dostać to, co nosisz na szyi - odparł wyciągając rękę w kierunku woreczka.

Cofnąłem się o krok.

- Nie ma w nim już żadnej mocy.

- A więc nie poniesiesz żadnej straty. Daj mi go.

Głowa Piatona niemal niedostrzegalnie poruszyła się z boku na bok.

- To jedynie ciekawostka - powiedziałem. - Kiedyś istotnie wydawało mi się, że drzemie w nim wielka siła, ale kiedy spróbowałem z jego pomocą ocalić życie pewnej pięknej, umierającej kobiecie, niczego nie osiągnąłem, wczoraj zaś nie pomógł także chłopcu, który towarzyszył mi w podróży. Skąd wiesz, że mam go przy sobie?

- Obserwowałem was. Wspiąłem się na tyle wysoko, żeby was widzieć. Kiedy mój pierścień zabił chłopca, a ty podbiegłeś do niego, zobaczyłem święty ogień. Jeżeli nie chcesz, wcale nie musisz dać mi go do ręki. Wystarczy, że zrobisz dokładnie to, co ci powiem.

- Zatem mogłeś nas ostrzec.

- Dlaczego miałbym to uczynić? Wtedy jeszcze nic dla mnie nie znaczyliście. No więc jak, jesteś głodny czy nie?

Wyjąłem klejnot z ukrycia. Bądź co bądź widzieli go Dorcas i Jonas, a Peleryny podobno od czasu do czasu wystawiały go na pokaz w ozdobnej monstrancji. Leżał na mojej dłoni jak kawałek niebieskiego szkła, pozbawiony jakiegokolwiek blasku.

Typhon nachylił się, przyglądając mu się uważnie.

- Nie robi wielkiego wrażenia. A teraz uklęknij.

Ukląknąłem.

- Powtarzaj za mną: przysięgam na wszystko, co reprezentuje ten talizman, że w zamian za żywność, którą otrzymani, już na zawsze pozostanę niewolnikiem tego, którego znam pod imieniem Typhon...

Zaczął oplatać mnie czar, przy którym urok rzucony przez Decumana wydawał się nieskończenie prymitywny. Ten był tak subtelny, że prawie niewyczuwalny, choć jednocześnie zdawałem sobie sprawę, iż ma twardość najszlachetniejszej stali.

- ...służąc mu całym sobą oraz wszystkim, co posiadam i kiedykolwiek będę posiadał oraz że

składałam swoje życie i śmierć w jego rękach.

- Łamałem już różne przysięgi, tej więc także nie zawaham się złamać - ostrzegłem go.

- W takim razie złóż ją. To jedynie formalność, której musimy dopełnić. Złóż ją, a ja uwolnię cię natychmiast, jak tylko najesz się do syta.

Podniosłem się z klęczek.

- Niedawno wspomniałeś, że kochasz prawdę. Teraz rozumiem, dlaczego: twoja prawda zniewala ludzi.

Powiedziawszy to, schowałem Pazur do woreczka.

Gdybym tego nie uczynił, klejnot przepadłby na zawsze, gdyż Typhon chwycił mnie wpół, przyciskając ramiona w taki sposób, aby uniemożliwić mi sięgnięcie po miecz i pobiegł ku jednemu z okien. Walczyłem ze wszystkich sił, ale mogłem wskórać tyle, co szczenię trzymane w ręku przez dorosłego mężczyznę.

Z bliska okno było tak wielkie, że przestało przypominać okno. Odniosłem wrażenie, jakby część zewnętrznego świata wdarła się do komnaty i to część składająca się nie z pól oraz drzew porastających podnóże góry, lecz z błękitnego, niczym nieograniczonego nieba. Gruba na niecały łokieć, kamienna ściana przemknęła gdzieś na granicy mojego pola widzenia, podobna do zamazanej linii oddzielającej wodę od powietrza, jaką widzimy płynąc z otwartymi oczami.

A potem byłem już na zewnątrz. Typhon trzymał mnie teraz za kostki, ale czy to ze względu na grubość moich butów, czy na panikę, jaka mnie ogarnęła, przez chwilę miałem wrażenie, iż nie wiszę, lecz lecę głową w dół. Byłem odwrócony plecami do masywu góry.

Pazur, ukryty w woreczku z miękko wyprawionej skóry, zwisał na rzemieniu poniżej mojej głowy. Pamiętam, że pomyślałem z absurdalnym lękiem, czy aby Terminus Est nie wyslizgnie się z pochwy.

Zgiąłem się wpół jak akrobata, który wykonuje ewolucje wisząc głową w dół na drążku, ale Typhon uwolnił na chwilę moją jedną nogę i rąbnął mnie pięścią w twarz, opadłem więc ponownie, usiłując otrzeć z oczu krew płynącą z rozciętej wargi.

Odczuwałem ogromną pokusę, aby dobyć miecza, zgiąć się ponownie i uderzyć z całej siły; zdawałem sobie jednak sprawę, że Typhon w porę zdąży zorientować się w moich zamiarach i zwolnić uchwyt, zrzucając mnie w przepaść. Zginałbym, nawet gdyby mi się powiodło.

- Chcę, abyś zażądał teraz od swego talizmanu takiej pomocy, jaką jest w stanie ci okazać

- dobiegł do mnie z góry głos Typhona.

Potem zapadła cisza, a każda jej chwila zdawała się trwać wieczność.

- I co, może ci pomóc? - zapytał wreszcie dwugłowy mężczyzna.

- Nie! - zdołałem wykrztusić.

- Wiesz już, gdzie jesteś?

Tak. Na twarzy. Posąg autarchy.

- A czy zauważyłeś, że to moja twarz? Ja byłem tym autarchą. Znajdujesz się w jednym z moich oczu, za plecami masz jego źrenicę. Rozumiesz, co to oznacza? Jesteś łąką, samotną czarną łąką, jaką uroniłem. Jeżeli cię upuszczę, poplamisz mi szatę. Kto może cię uratować, nosicielu talizmanu?

- Ty, Typhonie.

- Tylko ja?

- Tylko ty.

Wówczas wciągnął mnie z powrotem do środka, a ja przywarłem do niego tak, jak kiedyś chłopiec do mnie, aż znalazłem się bezpieczny w ogromnej komnacie stanowiącej wnętrze czaszki posągu.

- Przeprowadzimy jeszcze jedną próbę - powiedział Typhon. - Ponownie zbliżysz się wraz ze mną do oka, ale tym razem uczynisz to dobrowolnie. Może będzie ci łatwiej, jeśli dla odmiany podejmiemy do prawego.

Ujął mnie za ramię. Chyba istotnie można powiedzieć, że szedłem z własnej woli, gdyż poruszałem nogami, ale jeszcze nigdy w życiu nie czyniłem tego z większą niechęcią. Przed tym, aby mu odmówić, powstrzymało mnie jedynie wspomnienie mego niedawnego upokorzenia.

Zatrzymaliśmy się dopiero na krawędzi przepaści, a wówczas dwugłowy mężczyzna nakazał mi spojrzeć w dół, na ocean pofalowanych, sino-białych obłoków.

- Wybacz mi, Autarcho, ale w jaki sposób dotarliśmy na taką wysokość, skoro nasza łódź przez większą część podróży pędziła w dół, a nie w górę?

Wzruszył niecierpliwie ramionami.

- A dlaczego siła ciężkości miałaby służyć Urth, skoro może służyć Typhonowi? Mimo wszystko trzeba przyznać, że Urth ma swoje uroki. Popatrz! Widzisz szatę tej planety. Czyż nie jest piękna?

- Bardzo piękna - przyznałem.

- Może stać się także twoją szatą. Powiedziałem ci już, że byłem autarchą na wielu planetach. Będę nim znowu, na jeszcze liczniejszych. Tę planetę, najstarszą ze wszystkich, uczyniłem swoją stolicą. Teraz widzę, że popełniłem błąd, pozostając na niej aż do nadejścia katastrofy. Kiedy wreszcie zdecydowałem się na ucieczkę, było już za późno. Ci, którym przekazałem komendę nad statkami zdolnymi dolecieć do innych słońc, wystartowali nie czekając na mnie, ja zaś zostałem we wnętrzu tej góry, obłączony zewsząd przez nieprzyjaciół.

Ale drugi raz nie popełnię tego samego błędu. Teraz moja stolica będzie gdzie indziej, natomiast tę planetę oddam tobie, byś władał nią jako mój zarządca.

- W żaden sposób nie zasłużyłem sobie na tak zaszczytne stanowisko - odparłem.

- Posłuchaj, posiadaczu talizmanu: nikt, nawet ty, nie ma prawa wymagać ode mnie, bym tłumaczył mu się z moich decyzji. Lepiej zamilcz i podziwiaj swoje imperium.

Daleko w dole zerwał się wiatr. Obłoki zakotłowały się pod jego uderzeniem, po czym ustawiły w szeregu jak żołnierze i pozęgłowały na wschód. W przerwach między nimi dostrzegłem góry, nadbrzeżne równiny, a jeszcze dalej zamgloną, błękitną kreskę morza.

- Spójrz! - wykrzyknął Typhon, wskazując maleńką plamkę światła, która pojawiła się w górach na północny wschód od nas. - Ktoś użył tam wysokoenergetycznej broni. Może jeden z rządzących obecnie, pomniejszych władców, a może któryś z jego nieprzyjaciół... Tak czy inaczej broń została zlokalizowana i wkrótce będzie zniszczona. Dzisiejsze armie są bardzo słabe, już niedługo zaczną pryskać na boki pod ciosami naszych cepów jak plewy podczas młócki.

- Skąd wiesz o tym wszystkim? - zapytałem. - Przecież byłeś martwy, dopóki ja i mój syn nie znaleźliśmy cię w okrągłym budynku.

- Owszem, ale żyję już prawie cały dzień i zdążyłem posłać myśli do wielu odległych zakątków. Do przejścia władzy szykują się potęgi ukryte w morskich głębinach. Staną się naszymi niewolnikami, a wraz z nimi hordy nadciągające z północy.

- Co będzie z ludźmi zamieszkującymi Nessus?

Przemarzałem już do szpiku kości, a nogi drżały pode mną jak w febrze.

- Jeśli chcesz, w Nessus urządzimy sobie stolicę. Zasiądziesz na tronie i od czasu do czasu będziesz przysyłał mi daninę w postaci pięknych kobiet i chłopców, starożytnych maszyn i ksiąg oraz wszystkich wspaniałych rzeczy, jakie można znaleźć na tej planecie.

Ponownie wyciągnął rękę. Ujrzałem ogrody Domu Absolutu przypominające złoto-zielony szal rzucony na trawnik, za nimi zaś Mur Nessus oraz samo miasto, Miasto Niezniszczalne, ciągnące się setkami mil we wszystkie strony, tak że nawet wieże Cytadeli zginęły gdzieś w masie niezliczonych dachów i plątaninie ulic.

- Żadna góra nie jest aż tak wysoka - powiedziałem. - Nawet gdyby ta była najwyższa na świecie i wznosiła się na szczycie innej, drugiej co do wielkości, nikomu nie udałoby się dojrzeć tego wszystkiego, co ja widzę teraz.

Typhon położył mi rękę na ramieniu.

- Ta góra może być tak wysoka, jak zechcę. Czyżbyś zapomniał, czyją twarz nosi?

Wpatrywałem się w niego bez słowa.

- Ty głupcze, przecież spoglądasz przez moje oczy. A teraz wyciągnij talizman i złóż na niego przysięgę.

Wyjąłem Pazar - po raz ostatni, jak mi się wydawało - z woreczka, który uszyła mi Dorcas. W tej samej chwili, daleko w dole, kątem oka dostrzegłem jakieś poruszenie. Widok, jaki roztaczał się z okna komnaty, zapierał dech w piersiach, ale teraz nie było w nim nic niezwykłego; bardzo podobny można podziwiać ze szczytu każdej wysokiej góry na Urth. Przez dziurę w zasłonie chmur widać było w miarę równy obszar na kolanach siedzącej postaci, z wieloma prostokątnymi i kwadratowymi budynkami, jednym okrągłym oraz postaciami katafraktów. To właśnie one powoli odwróciły twarze od słońca i skierowały je w górę, w naszą stronę.

- Oddają mi cześć - powiedział Typhon.

Piaton także poruszył ustami, ale tym razem poświęciłem mu trochę więcej uwagi i zdołałem odczytać z ruchu warg to, co starał mi się przekazać.

- Przedtem stałeś w drugim oku, ale jakoś nikt nie zwrócił na ciebie uwagi

-przypomniałem mu. - Oni oddają cześć Pazurowi Łagodziciela. Powiedz mi, Autarcho, co się stanie, jeśli nadejdzie Nowe Słońce? Czy będziesz jego wrogiem, tak jak byłeś wrogiem Łagodziciela?

- Przysięgnij mi wierność i uwierz, że kiedy się pojawi, ja stanę się jego panem, a on moim najpodlejszym sługą.

Wtedy zadałem cios.

Jeżeli w pewien specjalny sposób uderzy się ręką w nos, rozszczepiona kość wbija się głęboko w mózg. Trzeba to jednak zrobić bardzo szybko, gdyż zaatakowany błyskawicznie podniesie ręce do twarzy, jak tylko zorientuje się, gdzie zmierza uderzenie. Nie byłem tak szybki jak Typhon, ale niewiele mu z tego przyszło, gdyż zasłonił własną twarz, ja natomiast zmiażdżyłem nos Piatona. Usłyszałem cichy, okropny trzask zwiastujący śmierć; zaraz potem serce, które od tyłu chiliad nie chciało słuchać swego prawowitego właściciela, znieruchomiało na zawsze.

Po chwili zepchnąłem ciało w przepaść otwierającą się u moich stóp.

ROZDZIAŁ XXVII

NA GÓRSKIM SZLAKU

Latająca łódź nie chciała mnie słuchać, gdyż nie znałem hasła. (Bardzo żałowałem, że wcześniej nie poświęciłem trochę uwagi Piatonowi, gdyż przypuszczalnie próbował mi je przekazać w taki sam sposób, w jaki powiedział mi, żebym go zabił). W końcu musiałem wyjść przez prawe oko i ruszyć w dół po urwisku. Nigdy w życiu tak się nie bałem. W tej przydługiej relacji z moich przygód często podkreślałem, że niczego nie zapominani, ale szczegóły akurat tego jednego wydarzenia zatarły się w mej pamięci, ponieważ byłem tak wyczerpany, że poruszałem się jakby we śnie. Kiedy wreszcie na uginających się nogach wszedłem ponownie do milczącego miasta u stóp metalowych katafraktów,

była już noc, położyłem się więc przy ścianie dającej mi osłonę przed wiatrem i natychmiast zasnąłem.

Góry mają w sobie okrutne piękno nawet wówczas, kiedy o mało nie stają się przyczyną czyjejś śmierci. Myślę nawet, że właśnie wtedy najłatwiej je dostrzec i że na przykład myśliwi, którzy idą w góry syci i dobrze ubrani, a po polowaniu opuszczają je w równie doskonałej kondycji, chyba nie zdają sobie z niego sprawy. W górach cały świat wygląda jak naturalny zbiornik doskonale czystej, lodowatej wody.

Nazajutrz pokonałem spory szmat drogi, cały czas kierując się w dół i wreszcie dotarłem do ciągnących się milami równin porośniętych słodką trawą oraz kwiatami, jakich nie spotyka się na mniejszych wysokościach; szybko rozkwitają, są nieduże i wydają się bardziej czyste od najczystszych róż.

Równiny te często są ograniczone skalnymi ścianami. Kilka razy byłem już niemal pewien, że będę musiał zawrócić, ale zawsze udawało mi się znaleźć jakąś drogę prowadzącą w dół lub w górę, parłem więc twardo naprzód. Nigdzie nie widziałem żołnierzy, co przyjałem z ulgą - obawiałem się, że nadal ścigają mnie patrole rozesłane przez archonta - z drugiej jednak strony napełniało mnie niepokojem, ponieważ dowodziło, iż oddaliłem się od szlaku, którym armii dostarczano zaopatrzenie.

Znowu zaczęło mnie prześladować wspomnienie alzabo. Zdawałem sobie sprawę, że góry zamieszkuje wiele tych stworzeń, a w dodatku jakoś nie mogłem uwierzyć, żeby to, z którym już się spotkałem, naprawdę nie żyło. Kto wie, jakie jeszcze nadzwyczajne właściwości może posiadać taka istota? Co prawda za dnia udawało mi się o nim nie myśleć, gdyż albo niepokoiłem się nieobecnością żołnierzy, albo podziwiałem zapierające dech w piersi widoki szczytów, wodospadów oraz obszernych dolin, jednak nocą wspomnienia uparcie powracały, a kiedy leżałem w jakimś skalnym załomie, zawinięty w płaszcz i drżący od gorączki, wydawało mi się, że słyszę zbliżające się, miękkie stąpnięcia i chrobot pazurów.

Często się mówi, że światem rządzi jakiś plan, wszystko jedno, czy przygotowany przed jego powstaniem, czy stworzony już za jego istnienia dzięki naturalnej logice zmian i wzrostu.

Skoro tak, to każda, nawet najmniejsza rzecz musi stanowić miniaturowe odbicie wielkich cudów, te ogromne zaś są powiększeniami wszystkiego, czego nie sposób dostrzec gołym okiem.

Po to, aby odciągnąć moje myśli od potworności, próbowałem koncentrować je na tym aspekcie natury alzabo, który pozwala zwierzęciu wchłonąć osobowość poźartego przez nie człowieka.

Stworzenie odpowiedniej paraleli nie nastreczyło mi żadnych kłopotów: alzabo można porównać do pewnych owadów okrywających swoje ciała gałązkami i trawą, dzięki czemu stają się niewidzialne dla nieprzyjaciół. Z jednej strony trudno jest mówić o jakimkolwiek oszustwie, bo przecież gałązki, trawa i kawałki liści są jak najbardziej prawdziwe - z drugiej jednak pod przykryciem czai się przecież owad... Tak samo ma się sprawa z alzabo. Kiedy Becan przemawiał ustami tego stworzenia przekonując, że chce połączyć się z żoną i synem, wierzył, iż wypowiada własne pragnienia, i tak z

pewnością było. Jednak pragnienia te miały posłużyć zaspokojeniu apetytu alzabo, którego świadomość kryła się za głosem Becana.

Wcale mnie nie zdziwiło, że znacznie trudniejszy okazał się problem skorelowania alzabo z jakąś wyższą prawdą; ostatecznie doszedłem do wniosku, iż można je porównać do absorpcji przez świat materialny myśli i czynów nieżyjących już ludzi, którzy jednak wywarli na niego ogromny wpływ dzięki stworzonym przez siebie dziełom sztuki, wzniesionym budowlom lub dokonany odkryciom, że osiągnięcia te w pewnym sensie stanowią przedłużenie ich życia. Tak właśnie Severa doradziła alzabo, żeby przysunęło sobie stół pod otwór prowadzący na strych, mimo że sama już przecież nie żyła.

O świcie ruszyłem w dalszą drogę, często pytając o radę Theclę, której cząstka kryła się gdzieś w głębi mego umysłu. Niewiele mogła mi pomóc, ale ponieważ wielokrotnie ostrzegano ją przed niebezpieczeństwami czyhającymi w górach, bez przerwy nakłaniała mnie do szybszego marszu w dół, cały czas w dół, ku nizinom i ciepłu.

Nie czułem już głodu, ponieważ głód mija, kiedy się długo nie je. Zamiast niego pojawiło się osłabienie, któremu towarzyszyła nadzwyczajna jasność umysłu. Wieczorem drugiego dnia po tym, jak wyszedłem z kamiennej komnaty przez źrenicę gigantycznego oka, natknąłem się na pasterski szałas wzniesiony z kamieni, w nim zaś znalazłem palenisko, garnek i mały zapas kaszy gryczanej.

W odległości zaledwie dziesięciu kroków płynął górski strumień, ale w okolicy nie było ani odrobiny drewna nadającego się na opał. Niemal cały wieczór spędziłem więc na zbieraniu opuszczonych ptasich gniazd ze ściany urwiska oddalonego o jakieś pół mili na zachód, a kiedy już zgromadziłem ich wystarczająco dużo, skrzesałem iskrę za pomocą Terminus Est, rozpałem ogień i ugotowałem prosty posiłek. Ze względu na wysokość trwało to niezmiernie długo.

Kolacja okazała się jednak nadzwyczaj smakowita. Wydawało mi się, że czuję wyraźny smak miodu, jakby w niewielkich ziarnach przechowało się nieco aromatu kwiatów, tak jak na powierzchni niektórych kamieni gromadzi się sól zawarta w morzach Urth.

Postanowiłem zapłacić za to, co zjadłem, dokonałem więc przeglądu zawartości mojej sakwy w poszukiwaniu czegoś, co mógłbym zostawić pasterzowi. Z brązową książką Thecli nie rozstałbym się nigdy w życiu - poza tym, było bardzo mało prawdopodobne, żeby ubogi pasterz potrafił czytać. Nie chciałem także pozbyć się złamanej oselki, zarówno dlatego, że stanowiła pamiątkę spotkania z zielonym człowiekiem, jak i dlatego, że akurat w tym miejscu nie byłaby cennym darem, gdyż wszędzie dokoła leżało mnóstwo kamieni, które równie dobrze, albo i lepiej, mogły pełnić tę samą funkcję co ona. Nie miałem pieniędzy, gdyż wszystkie oddałem Dorcas. Wreszcie zdecydowałem się na szkarłatną pelerynę, którą znaleźliśmy w błocie na ulicy kamiennego miasta, na długo przed dotarciem do Thraxu. Co prawda była bardzo brudna i za cienka, żeby stanowić skuteczną ochronę przed chłodem, ale miałem nadzieję, że dzięki gęstym frędzlom i żywej barwie spodoba się temu, kto mnie nakarmił.

Nigdy nie udało mi się pojąć, skąd wzięła się tam, gdzie ją znaleźliśmy, ani czy tajemnicza istota, która wezwała nas do siebie, aby dzięki nam cieszyć się odzyskanym na chwilę życiem, porzuciła ją celowo w strugach deszczu, kiedy sama zamieniła się ponownie w pył, którym była od wielu stuleci.

Starożytne zgromadzenie kapłanek ponad wszelką wątpliwość zna najróżniejsze tajemne obrzędy, w tym zapewne takie, które pozwalają przywracać życie zmarłym. Możliwe więc, iż wezwała je do siebie tak samo jak nas i że peleryna pozostała tam jedynie przez przypadek.

Rzecz jasna, wcale nie wyklucza to ewentualności, że wszystko odbyło się zgodnie z wolą jakiejś wyższej istoty. Tak właśnie wielu proroków tłumaczy zastanawiający paradoks, że choć na własną rękę podejmujemy różne decyzje, na przykład popełniając przestępstwo albo z altruistycznych względów pozbawiamy bóstwa części ich boskości, to jednak cały czas wykonujemy polecenia Prastwórcy, służąc mu zarówno wtedy, kiedy jesteśmy mu posłuszni, jak i wówczas, gdy się buntujemy.

Inni, których wywody znalazłem w brązowej księżce i wielokrotnie omawiałem z Theclą, utrzymują, jakoby w Jego bezpośredniej bliskości unosiło się mnóstwo istot pozornie drobnych i prawie nieważkich, które jednak w oczach ludzi urastają do ogromnych rozmiarów. Naturalną koleją rzeczy ludzie ci nawet nie zdają sobie sprawy z Jego obecności, gdyż jest dla nich tak wielki, że aż niewidoczny. Jednak ze względu na swe niesamowite rozmiary on także, przynajmniej w pewnym sensie, staje się maleńki, my zaś jesteśmy przy nim jak ci, co wędrują po kontynentach widząc jedynie lasy, moczary i piaskowe wydmy, i choć czasem czują w butach drobne kamyki, to nie zdają sobie sprawy, iż oto niosą ze sobą fragment ziemi, na której przyszło im spędzić całe życie.

Są również tacy, co negują istnienie nadrzędnej siły władającej tymi stworzeniami, które są zwane amschaspandami, ale nie podają w wątpliwość istnienia samych amschaspandów.

Przeświadczenie ich nie opiera się na ludzkich doświadczeniach (jest ich wiele, w tym także moje, widziałem bowiem taką istotę w księdze o lustrzanych stronicach w komnacie ojca Inire), lecz na teorii, według której wszechświat nie tyle został stworzony, co raczej istniał od zawsze w takiej postaci, w jakiej teraz go oglądamy. Jeżeli tak jest w istocie, wówczas czas także nie ma końca, a w takim bezkresnym oceanie czasu musi znaleźć się miejsce dla wszystkiego, co kiedykolwiek zostało wymyślone. Amschaspandy istnieją więc, ponieważ ktoś tego zapragnął, ale jeśli dysponują tak ogromną mocą, to w jaki sposób dałoby się je zniszczyć?

Tak więc, dzięki paradoksalnej naturze wiedzy, można podać w wątpliwość istnienie Ylema, praźródła wszystkich rzeczy, nie da się natomiast zakwestionować faktu pojawienia się żadnego z jego poddanych.

Jeżeli takie byty naprawdę funkcjonują, czy nie może być tak, że wtrącają się w nasze sprawy (o ile można nazwać to wtrącaniem) właśnie poprzez takie przypadki, jakim było odnalezienie szkarłatnej peleryny? Nie trzeba przecież nadzwyczajnej mocy, aby wtrącić się do spraw mrowiska - każde dziecko potrafi rozrzucić je kijem. Chyba żadna inna myśl nie wzbudziła we mnie takiego przerażenia. (Myśli o śmierci, przez wielu uważane za najbardziej przerażające, w ogóle mnie nie niepokoją. Znacznie bardziej obawiam się myśli o życiu, ale chyba ma to jakiś związek z moją niezawodną pamięcią).

Można jednak pokusić się o jeszcze jedno wytłumaczenie: nie da się wykluczyć, iż wszyscy, którzy pragną służyć Boskiej Osobie, a przypuszczalnie nawet ci, co już jej służą, choć wydają nam się tak bardzo poróżnieni, czasem zaś pozostają w stanie wojny, muszą pogodzić się z faktem, że ich losy

nieodwracalnie splotły się ze sobą, tak jak sznurki marionetek przedstawiających chłopca i mężczyznę, które widziałem kiedyś we śnie i choć wydaje im się, że zawzięcie walczą, to znajdują się pod kontrolą niewidzialnego bytu czyniącego z nimi to, co akurat uzna za stosowne. Jeżeli tak właśnie mają się sprawy, to szaman, którego spotkaliśmy, mógł być przyjacielem i sojusznikiem wykształconych kapłanek wędrujących po kontynencie, mimo że on sam, dzikus tak jak wszyscy jego pobratymcy, przez całe życie odprawiał gusła w małej świątyni w kamiennym mieście.

Po nocy spędzonej w pasterskim szałasie wyruszyłem w dalszą drogę, by u schyłku dnia dotrzeć do jeziora Diuturna. Chyba właśnie to jezioro, nie zaś morze, dostrzegłem na horyzoncie wówczas, kiedy Typhon zawładnął moim umysłem - naturalnie jeżeli spotkanie z Typhonem i Piatonem nie było jedynie wizją lub snem. Jednak w pewnym sensie Diuturnę można uznać za morze, a to ze względu na jego rozmiary, czyniące niemożliwym ogarnięcie go przez jakikolwiek umysł. To właśnie umysł, nie co innego, tworzy skojarzenia wywoływane słowem „morze”; gdyby go nie było, mielibyśmy do czynienia jedynie z częścią Urth pokrytą słonawą wodą.

Chociaż jezioro leży wysoko nad poziomem morza, zejście nad jego brzeg zajęło mi większą część popołudnia.

Marsz ten wspominam po dziś dzień jako jedno z najpiękniejszych doznań w moim życiu (mimo że teraz dysponuję przecież wspomnieniami wielu mężczyzn i kobiet), gdyż podążając w dół, mijałem kolejne pory roku. Kiedy opuściłem szałas, za mną, nade mną i po mojej prawej stronie ciągnęły się pola wiecznego śniegu i lodu, z których gdzieniegdzie sterczały czarne turnie zmrożone chyba jeszcze bardziej od nich, tak wysmagane wiatrem, że nie mógł się utrzymać ani śnieg, ani lód, ani rzadka trawa pojawiająca się nieśmiało tu i ówdzie pod moimi stopami. W

miarę jak szedłem naprzód, trawa stawała się coraz bardziej gęsta, a jej blada początkowo zieleń przybierała na intensywności. Ponownie rozległy się dźwięki wydawane przez owady - z tego, że nas otaczają, zdajemy sobie sprawę dopiero wtedy, kiedy na jakiś czas milkną. Były tak donośne, iż przywiodły mi na myśl strojenie instrumentów w Błękitnej Sali przed rozpoczęciem pierwszej kantyleny. Odgłosy te dobiegały czasem do moich uszu, kiedy leżałem na pryczy przy otwartym oknie w naszej bursie.

Stopniowo dostrzegałem coraz więcej krzewów, które, choć pozornie tak silne i wytrwałe, nie mogły znieść surowych warunków panujących na większych wysokościach. Przyjrzawszy im się dokładniej, stwierdziłem jednak ze zdumieniem, że to wcale nie krzewy, tylko drzewa, które na nizinach osiągają ogromne rozmiary, tutaj natomiast, onieśmiałe krótkim latem i srogością zimy, z trudem wznoszą mocno przerzedzone korony na łokieć lub dwa nad ziemię. Na jednym z tych skarłowaciałych drzew dostrzegłem drozda siedzącego na gnieździe. Był to pierwszy ptak, jakiego widziałem od dłuższego czasu, nie licząc górskich drapieżców szybujących wysoko nad szczytami. Milę dalej usłyszałem także pogwizdywanie świstaków mieszkających w norach między skałami. To tu, to tam wystawiały głowy ze swoich kryjówek, informując pobratymców o moim nadejściu.

Po przebyciu kolejnej mili ujrzałem uciekającego pospiesznie królika, potem zaś skoncentrowałem się wyłącznie na tym, by nie potknąć się i nie runąć w dół po stromiznie.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak bardzo osłabłem, i to nie tylko w związku z głodem i

chorobą, ale przede wszystkim ze względu na rozrzedzone powietrze. Czułem się tak, jakby nagle w moim organizmie zaczęła rozwijać się kolejna choroba, o której do tej pory nic nie wiedziałem.

Jeziro nie było już zamgloną, błękitną kreską, lecz ogromnym, bezkształtnym zbiornikiem stalowoszarej wody, poznaczonym tu i ówdzie cętkami łodzi - później przekonałem się, że są budowane głównie z trzciny. Na brzegu zatoki położonej odrobinę w prawo w stosunku do kierunku mojego marszu, przycupnęła niewielka, urocza wioska.

Tak jak aż do tej pory nie zdawałem sobie sprawy z własnej słabości, tak dopiero teraz, kiedy ujrzałem kryte trzcina dachy domów, uświadomiłem sobie, jak bardzo byłem samotny od chwili, kiedy zginął chłopiec. Wydaje mi się nawet, że w grę wchodziło coś więcej niż zwykła samotność. Nigdy jeszcze tak bardzo nie pożałowałem czyjegoś towarzystwa, chyba że miało to być towarzystwo przyjaciela, a już z pewnością nie zdarzyło mi się pragnąć rozmowy z nieznajomymi ani tęsknić do widoku obcych twarzy. Zdaje się, że uwierzyłem, iż będąc sam tracę w pewien sposób część własnej osobowości, gdyż zarówno dla drozda, jak i dla królika, nie byłem Severianem, tylko po prostu człowiekiem. Tym, którzy lubią długo przebywać w samotności, szczególnie w dzikich rejonach, zapewne to nie przeszkadza, ja jednak pragnąłem znowu stać się konkretną osobą i dlatego chciałem jak najprędzej przejrzeć się w zwierciadle, jakim są inni ludzie, aby upewnić się, że jestem zupełnie inny niż oni.

ROZDZIAŁ XXVIII

WIECZERZA U HETMANA

Zapadał już wieczór, kiedy dotarłem do pierwszych domów. Słońce wymalowało na powierzchni jeziora lśniącą złotem ścieżkę, która zdawała się sięgać aż po jego kraniec, tworząc pomost między wioską a innym, znacznie większym uniwersum. Jednak nawet ta wieś - choć z bliska okazało się, że jest jeszcze mniejsza, niż myślałem, i bardzo biedna - była dla mnie całkowicie wystarczająca, bo przecież tak długo wędrowałem zupełnie sam.

Nie mogłem znaleźć oberży, a ponieważ żaden z mieszkańców obserwujących mnie z okien nie przejawiał zamiaru, by mnie ugościć, zapytałem o drogę do domu hetmana. Dotarwszy tam zapukałem do drzwi, odsunąłem na bok otyłą kobietę, która mi otworzyła i wszedłem do środka. Kiedy zjawił się hetman, by przekonać się na własne oczy, kim jest nieproszony gość, siedziałem już przy ogniu i czyściłem ostrze Terminus Est. Zaczął od głębokiego ukłonu, ale zżerająca go ciekawość była tak wielka, że nie mógł się powstrzymać przed ukradkowym zerkaniem w moją stronę. Dało to tak komiczny efekt, iż z najwyższym trudem udało mi się zapanować nad wzbierającym we mnie śmiechem. Gdyby nie udało mi się zachować powagi, moje plany spaliłyby na panewce.

- Serdecznie witam optymata - powiedział hetman, wydymając poorane głębokimi bruzdami policzki.
- Jak najserdeczniej. Mój ubogi dom i cała nasza biedna osada stoją do jego dyspozycji.

- Nie jestem optymatem, tylko wielkim mistrzem Severianem ze Zgromadzenia Poszukiwaczy Prawdy i Skruchy, znanego powszechnie jako gildia katów. Będiesz się do mnie zwracał „mistrzu”. Mam za sobą wyczerpującą podróż, więc jeśli zapewnisz mi dobrą strawę i wygodne łóżko, przypuszczalnie aż do rana nie będę wymagał od was niczego więcej.

- Dostaniesz moje własne łóżko i najlepszy posiłek, na jaki nas stać - zapewnił mnie pospiesznie.

- Z pewnością macie tu świeże ryby i ptactwo wodne, a zapewne również dziki ryż. Może być po trochu wszystkiego. - Doskonale pamiętałem, jak kiedyś mistrz Gurloes powiedział nam, omawiając stosunki łączące członków naszej konfraterni z innymi mieszkańcami Cytadeli, że najłatwiej osiągnąć nad kimś przewagę żądając czegoś, czego on w żaden sposób nie będzie w stanie nam dostarczyć. - Do tego jeszcze miód, świeży chleb i masło, a także warzywa, wszystko jedno jakie, ponieważ nie jestem zbyt wybredny. Ważne, żeby były smaczne i żebym nigdy wcześniej ich nie kosztował. Dzięki temu będę miał co opowiadać po powrocie do Domu Absolutu.

Podczas mojej przemowy oczy hetmana robiły się coraz bardziej okrągłe, a kiedy wspomniałem o Domu Absolutu, który dla mieszkańców tej wioski był zapewne równie mało realny jak fantastyczna bajka, prawie nie wyskoczyły mu z czaszki. Zaczął coś mamrotać na temat bydła (prawdopodobnie chodziło mu o to, że na tej wysokości nie hoduje się go tyle, aby robić z mleka masło), ale ja odprawiłem go niecierpliwym ruchem ręki, a potem zdzieliłem w kark za to, że nie zamknął za sobą drzwi.

Dopiero kiedy sobie poszedł, odważyłem się ściągnąć buty. W obecności więźniów nigdy nie należy sprawiać wrażenia, że jest się zupełnie odprężonym (a on i wszyscy mieszkańcy wioski, jak mi się wydawało, byli teraz moimi więźniami), ale nie ulegało wątpliwości, iż teraz nikt nie ośmieli się

wejść do mojego pokoju - przynajmniej do chwili, kiedy będzie gotowy jakiś posiłek. Dokończyłem czyszczenia Terminus Est, po czym starannie naostrzyłem obie krawędzie ostrza.

Następnie wyjąłem mój drugi skarb - choć właściwie nie należał do mnie - i obejrzałem go w blasku ognia. Od momentu, kiedy opuściłem Thrax, klejnot nie uciskał już mej piersi jak stalowy palec, tak że czasem zdarzało mi się nawet zapominać, że mam go przy sobie i kilka razy sięgałem w przerażeniu do szyi, gdyż przypominałem sobie nagle o jego istnieniu i wydawało mi się, że go zgubiłem. W tym niskim, kwadratowym pomieszczeniu, gdzie okrągłe kamienie tkwiące w ścianach zdawały się grzać sobie brzuchy przy ogniu niczym radcy miejscy, Pazur nie zapłonął jak w lepiance chorego chłopca i umierającej dziewczyny, ale także nie był zupełnie pozbawiony życia jak wówczas, kiedy pokazałem go Typhonowi. Żarzył się spokojnym blaskiem, ja zaś bez trudu mogłem sobie wyobrazić, jak zamknięta w nim energia oświecła moją twarz. Podobne do sierpu księżyca znamię w jego sercu nigdy nie było równie wyraźne, jak teraz, a choć czarne jak noc, zdawało się jaśnieć jak gwiazda.

Wreszcie schowałem klejnot, nieco zawstydzony, że bawię się czymś tak niezwykłym, jakby to była lada błahostka, wyjąłem natomiast brązową książkę i zapewne przeczytałbym jakiś jej fragment, gdybym mógł; jednak mimo że gorączka chyba minęła, byłem wciąż ogromnie zmęczony, a w migotliwym blasku ognia staromodne, ozdobne litery zdawały się tańczyć mi przed oczami, tak że opowieść, którą czytałem, chwilami wydawała mi się stekiem bzdur, chwilami zaś relacją o moich własnych doznaniach, gdyż była w niej mowa o nie kończącej się wędrówce, okrutnych tłumach i strumieniach krwi. W pewnej chwili mignęło mi imię Agii, ale zaraz okazało się, że chodzi o agnatów. „Agnaci stawili się w okamgnieniu, lecz ona skoczyła bez zastanowienia i lawirując między szeregami żółwiowych skorup...”

Strona lśniła niczym odbicie zwierciadła w zbiorniku stojącej wody. Zamknąłem książkę i schowałem ją do sakwy, niezbyt pewny, czy naprawdę widziałem słowa, które - jak mi się wydawało - przed chwilą przeczytałem. Agia istotnie musiała zeskoczyć z krytego strzechą dachu domku Casdoe, co się zaś tyczy lawirowania, to jej kręactwa i przeinaczenia doprowadziły do tego, że uznała egzekucję Agilusa za morderstwo. Ogromny żółw, według prastarego mitu podtrzymujący świat i stanowiący uosobienie galaktyki, bez której spiralnego porządku bylibyśmy jedynie samotnymi wędrowcami w kosmosie, w zamierzchłych czasach ujawnił

podobno sekret uniwersalnego prawa, od dawna już zaginionego. Ten, kto kierowałby się prawem w swoim postępowaniu, miałby pewność, że zawsze czyni słusznie. Skorupa żółwia wyobraża misę nieba, natomiast jej tarcza brzuszna równiny wszystkich planet. Tym samym szeregi żółwiowych skorup powinny oznaczać armie Theologumenona, straszliwe i błyszczące...

Nie wiedziałem jednak, czy naprawdę o tym wszystkim przeczytałem, bo kiedy ponownie wydobyłem książkę, nie udało mi się odszukać tej strony. Choć zdawałem sobie sprawę, że na mój obecny stan złożyło się połączone działanie zmęczenia, głodu i specyficznego oświetlenia, to jednak poczułem dobrze znany strach, który nawiedzał mnie w wielu momentach życia, kiedy jakieś wydarzenie, czasem pozornie drobne i nieistotne, ostrzegało mnie przed groźbą czającego się nie opodal szaleństwa. Kiedy tak wpatrywałem się w ogień, z każdą chwilą wydawało mi się coraz bardziej prawdopodobne, że kiedyś, być może po mocnym uderzeniu w głowę, a może bez żadnego dającego się zauważyć powodu, moja wyobraźnia zamieni się miejscami z rozsądkiem, tak jak dwaj starzy

przyjaciele, którzy od dawna spotykają się na tej samej ławce w publicznym ogrodzie, mogą pewnego dnia dojść do wniosku, że dla odmiany warto by usiąść inaczej.

Wówczas wszystkie wytwory mego umysłu stałyby się dla mnie rzeczywistością, ludzi zaś i zdarzenia tworzące prawdziwy świat postrzegałbym wyłącznie jako mało realne cienie moich obaw i ambicji. Wiem, że zamieszczając te rozważania w tym miejscu opowieści narażam się na zarzut uprzedzania wydarzeń i wykorzystywania przewagi nad czytelnikiem, jaką daje mi znajomość przyszłości. Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko tyle, że pomimo zwiększającego się z każdą chwilą ładunku wspomnień, myśli te dręczą mnie częściej, niż mogłoby się komukolwiek wydawać.

Ponure rozważania przerwało mi delikatne stukanie do drzwi.

- Wejść! - krzyknąłem, wciągnąwszy uprzednio buty.

Drzwi otworzył ktoś, kto zadał sobie wiele trudu, aby pozostać poza zasięgiem mojego wzroku, aczkolwiek jestem prawie pewien, że był to hetman. Do pokoju weszła młoda kobieta z mosięzną tacą zastawioną naczyniami. Dopiero kiedy postawiła ją na stole, zauważyłem, że jest zupełnie naga; jedynie na przegubach rąk miała coś, co początkowo wziąłem za toporne bransolety, a co po chwili okazało się kajdanami z hartowanego żelaza, połączonymi długim łańcuchem.

- Twoja wieczerza, wielki mistrzu - powiedziała, a następnie zaczęła wycofywać się tyłem w kierunku drzwi, aż wreszcie oparła się o nie. Ciało na jej zaokrąglonych biodrach rozpląszczyło się wyraźnie; choć udało jej się jedną ręką nacisnąć klamkę, drzwi pozostały zamknięte. Ani chybi osoba, która wpuściła dziewczynę do pokoju, teraz trzymała je od zewnątrz.

- Pachnie wspaniale - powiedziałem. - Sama to wszystko przygotowałaś?

- Rybę i ciastka.

Wstałem, oparłem Terminus Est o ścianę i podszedłem do stołu. Posiłek składał się z młodej pieczonej kaczki, ryby, o której wspomniała dziewczyna, ciastek (później okazało się, że zostały zrobione z mąki wymieszanej z siekanymi małżami), ziemniaków upieczonych na węglach oraz sałaty, grzybów i warzyw.

- Nie ma chleba, masła ani miodu. Zapłacą mi za to.

- Mieliśmy nadzieję, wielki mistrzu, że ciastka będą ci smakowały.

- Nie bój się. Wiem, że to nie twoja wina.

Minęło sporo czasu, odkąd miałem Cyriacę, starałem się więc zanadto nie przyglądać niewolnicy, ale teraz to uczyniłem. Długie czarne włosy sięgały jej aż do pasa, skóra zaś była niemal takiej samej barwy co taca, na której stały naczynia z potrawami. Dziewczyna miała smukłą kibić, co jest rzadkością wśród autochtonek, jej twarz natomiast była szczupła i miała ostre rysy.

- Dziękuję, wielki mistrzu. On chce, żebym tu została i usługiwała ci, kiedy będziesz jadł.

Jeśli sobie tego nie życzysz, musisz kazać mu otworzyć drzwi.

- Zaraz to zrobię - odparłem, podnosząc głos. - Powiem mu, żeby natychmiast odszedł i przestał podsłuchiwać. Przypuszczam, iż masz na myśli swojego właściciela, miejscowego hetmana.

- Tak, Zambdasa.

- A jak ty się nazywasz?

- Pia, wielki mistrzu.

- Ile masz lat?

Uśmiechnąłem się, gdyż wyszło na jaw, że jesteśmy rówieśnikami.

- Będiesz mi usługiwać, Pio. Usiądę teraz przy ogniu, a ty podasz mi wieczerzę.

Usługiwałaś kiedyś przy stole?

- O tak, wielki mistrzu. Robię to przy każdym posiłku.

- A więc powinnaś wiedzieć, jak się do tego zabrać. Co proponujesz na początek? Może rybę?

Skinęła głową.

- W takim razie przynieś ją, a także wino i kilka ciastek. Jadłaś już?

Potrząsnęła głową, aż zatańczyły jej czarne włosy.

- Nie, ale nie byłoby właściwe, gdybym jadła razem z tobą.

- Mógłbym policzyć ci zębra.

- Zostałabym ukarana, gdyby ktoś dowiedział się, że siedziałam z tobą przy stole, wielki mistrzu.

- Dopóki ja tu jestem, z pewnością włos nie spadnie ci z głowy. Naturalnie nie mam zamiaru cię zmuszać, ale jednak chciałbym się upewnić, czy nie poczęstowali mnie czymś, czego nie dałbym nawet własnemu psu, gdybym go jeszcze miał. Najbardziej podejrzane jest chyba wino. Powinno być cierpkie, a jednocześnie trochę słodkawe, jak większość podłych win. -

Napełniłem do połowy kamienny puchar i wręczyłem go dziewczynie. - Wypij to, a jeśli nie padniesz martwa na podłogę, ja także się napiję.

Z trudem, bo z trudem, ale uporała się z zawartością pucharu i podała mi go, próbując powstrzymać napływające do oczu łzy. Nalałem sobie nieco wina, a skosztowawszy go przekonałem się, że jest dokładnie takie, jak się spodziewałem - czyli paskudne.

Wówczas poleciłem, by usiadła obok mnie i dałem jej jedną z ryb, które usmażyła na oleju. Kiedy

skończyła, ja także zjadłem kilka. Były o tyle lepsze od wina, o ile twarz dziewczyny była ładniejsza od twarzy hetmana. Jestem pewien, że złowiono je najdalej przed kilkoma wachtami, w wodzie znacznie chłodniejszej i bardziej czystszej od tej, jaka płynie w dolnym biegu Gyoll, skąd pochodziły ryby trafiające od czasu do czasu na nasz stół w Cytadeli.

- Czy tutaj zawsze zakuwa się niewolników w kajdany? - zapytałem, kiedy zabraliśmy się do ciastek.
- A może w ten sposób ukarano cię za nieposłuszeństwo?

- Należę do ludzi jeziora - odparła Pia. Przypuszczalnie uważała, iż w ten sposób wszystko mi wyjaśniła. Z pewnością byłoby tak, gdybym znał miejscowe realia.

- Wydawało mi się, że to oni są ludźmi jeziora - powiedziałem, wskazując szerokim gestem dom hetmana i całą wioskę.

- Nie, to są ludzie z brzegu. My mieszkamy na pływających wyspach. Czasem docierają w te okolice, gnane wiatrem, więc Zambdas zakuł mnie, gdyż obawia się, żebym nie skoczyła do wody i nie próbowała do nich dopłynąć. Łańcuch jest tak ciężki, że gdybym weszła z nim do jeziora, z pewnością bym utonęła.

- Chyba że miałabyś w rękach kawałek drewna, który utrzymywałby jego ciężar, a pracowałabyś tylko nogami.

Udała, że nie słyszy, co do niej mówię.

- Może zjesz trochę kaczki, wielki mistrzu?

- Chętnie, pod warunkiem jednak, że najpierw ty jej skosztujesz, ale wcześniej musisz opowiedzieć mi o tych wyspach. Powiadasz, że są gnane wiatrem? Przyznam, że jeszcze nigdy o czymś takim nie słyszałem.

Pia spoglądała tęsknie na kaczkę, która w tej części świata stanowiła chyba nie lada przysmak.

- Ja z kolei słyszałam, że istnieją nieruchome wyspy, ale nigdy ich nie widziałam. Wydaje mi się, że to musi być okropnie niewygodne. Nasze wyspy przemieszczają się z miejsca na miejsce, a czasem rozwieszamy żagle na rosnących na nich drzewach, żeby poruszały się jeszcze szybciej. Niestety, nie bardzo mogą żeglować pod wiatr, ponieważ ich spodnie strony nie są tak przemyślnie ukształtowane jak dna łodzi, w związku z czym zdarza się nieraz, że się wywracają.

- Chciałbym kiedyś zobaczyć wasze wyspy, Pio - powiedziałem. - Chciałbym też, żeby udało ci się tam wrócić, gdyż odnoszę wrażenie, że bardzo ci na tym zależy. Mam pewne zobowiązania wobec człowieka o imieniu bardzo podobnym do twojego, więc postaram się z nich wywiązać przed opuszczeniem tego miejsca, ty zaś tymczasem powinnaś wzmocnić się kilkoma kęsami kaczego mięsa.

Zrobiła to, a potem zaczęła odrywać palcami co lepsze kawałki i podawać mi je do ust.

Kaczka była bardzo smaczna, wciąż jeszcze gorąca i lekko pachnąca pietruszką; prawdopodobnie zapach ten wziął się od wodnych roślin, którymi żywią się te ptaki. Była też stosunkowo tłusta, tak że

zjadłszy większą część jednego udka, musiałem przerwać na chwilę, by wytrzeć talerz liściem sałaty.

Potem znowu zabrałem się do kaczki, kiedy nagle kątem oka dostrzegłem jakieś poruszenie w palenisku. Niemal całkowicie zwięglony kawałek jednego z polan ułamał się i spadł

do popielnika, ale zamiast leżeć tam spokojnie i powoli stygnąć, wyprostował się i począł błyskawicznie rosnąć, by po kilku uderzeniach serca zamienić się w Roche'a, którego rude włosy przeistoczyły się w prawdziwe płomienie. Roche trzymał w ręku pochodnię, tak samo jak wtedy, kiedy jeszcze byliśmy chłopcami i chodziliśmy kąpać się w zbiorniku wody pod Wieżą Dzwonów.

Tak bardzo zdumiał mnie jego widok, że odwróciłem się do dziewczyny, aby go jej pokazać. Pia niczego nie zauważyła, na jej ramieniu natomiast stał Drotte nie większy od mego kciuka, częściowo zakryty gęstymi czarnymi włosami. Próbowałem powiedzieć jej, że tam jest, ale kiedy otworzyłem usta, zamiast swego głosu usłyszałem jakieś niezrozumiałe syczenie, pochrząkiwanie i mlaskanie. Przez cały czas nie czułem strachu ani niepokoju, tylko lekkie zdziwienie. Zdawałem sobie sprawę, że nie jest to ludzka mowa, wyraz przerażenia zaś, jaki pojawił się na twarzy dziewczyny, obserwowałem z taką samą obojętnością, z jaką mógłbym podziwiać któryś ze starych obrazów z galerii mistrza Rudisinda w Cytadeli. Nie byłem w stanie ani zmienić tych dziwnych dźwięków w słowa, ani nawet zmusić się do zamilknięcia. Pia zaczęła krzyczeć.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Tak długo były zamknięte, że prawie zapomniałem o ich istnieniu, ale teraz otworzyły się i stanęły w nich dwie postaci. Przez chwilę przypominały ludzi, co prawda o twarzach pokrytych futrem równie gęstym jak to, które rośnie na grzbietach wydr, ale jednak ludzi. Zaraz potem jednak przemieniły się w bujne, soczyście zielone rośliny naszpikowane kwiatami zemsty o ostrych jak brzytwy krawędziach. Między kwiatami kryły się pająki, czarne i wielonogie. Usiłowałem podnieść się z krzesła, ale wówczas obie skoczyły ku mnie, ciągnąc za sobą długie nici pozrywanej pajęczyny, które zalśniły w blasku płomieni.

Zdążyłem tylko odwrócić się i spojrzeć na twarz dziewczyny z wytrzeszczonymi oczami i szeroko otwartymi, ułożonymi jak do krzyku ustami, kiedy sokół o stalowym dziobie rzucił się na mnie, próbując zerwać mi z szyi woreczek z Pazurem.

ROZDZIAŁ XXIX

ŁÓDŹ HETMANA

Zamknięto mnie w ciemnym pomieszczeniu na, jak się później okazało, całą noc i większą część ranka. Początkowo nawet nie zdawałem sobie sprawy z ciemności, gdyż moje halucynacje doskonale obywaty się bez światła. Wciąż jeszcze je pamiętam, podobnie jak wszystko, co mnie kiedykolwiek spotkało, ale nie będę zanudzał cię, mój czytelniku, przytaczaniem obszernego katalogu fantomów, choć nie miałbym najmniejszego kłopotu z ich dokładnym opisaniem. Z pewnością natomiast nie będzie mi łatwo wyrazić uczucia, jakie mi wówczas towarzyszyły.

Sprawiłoby mi ogromną radość, gdybym mógł je wszystkie przypisać działaniu narkotyku (domyślałem się, a później potwierdziłem swoje przypuszczenia przepytując tych, którzy zajmowali się leczeniem rannych żołnierzy z armii Autarchy, że halucynogeny środek zawarty był w grzybach,

które dodano do sałaty), tak samo jak obecność w moim umyśle cząstki osobowości Thecli, czasem pokrzepiająca, a czasem sprawiająca mi sporo kłopotów, która pojawiła się, kiedy spożyłem cząstkę ciała kasztelanki podczas uczyty wydanej przez Vodalusa. Ja jednak wiedziałem, że tak nie jest i że każda rzecz, jaką widziałem - niektóre były zabawne, inne przerażające, jeszcze inne tylko groteskowe - stanowiła produkt mego umysłu albo umysłu Thecli, co obecnie oznaczało już właściwie jedno i to samo. W pewnej chwili zacząłem nawet podejrzewać, kiedy obserwowałem przesuwający się przed moimi oczami korowód dam dworu -

wszystkie były nadzwyczaj wysokimi arystokratkami, poruszały się ze sztywną gracją drogocennych porcelanowych figurek, twarze miały posypane diamentowym pyłem, oczy zaś równie wielkie jak oczy Thecli, co osiągało się podając im od dzieciństwa maleńkie dawki odpowiednio dobranych trucizn - iż zwidy te wytworzył nowy, trzeci umysł, powstały z połą-

czenia jej i mojego.

Severian, uczeń w konfraterni katów, młodzieniec zażywający wraz z przyjaciółmi kąpieli w zbiorniku pod Wieżą Dzwonów, ten, który kiedyś o mało nie utonął w nurcie Gyoll, który spędzał samotnie letnie dni w zrujnowanej nekropolii, który, pogrążony w rozpacz, dał kasztelance Thecli ukradziony nóż - zniknął.

Nie, wcale nie umarł. Na jakiej podstawie przypuszczał, że każde życie musi kończyć się śmiercią, a nigdy czymś innym? Nie umarł, tylko zniknął jak niknie samotna nuta, wtapiając się we fragment jakiejś improwizowanej melodii. Ten młody Severian, co tak bardzo nienawidził

śmierci, zdołał jej uniknąć dzięki łasce Prastwórcy, którego łaska (jak można wyczytać w wielu uczonych księgach) często nas niszczy i krzyżuje nam plany.

Kobiety odwróciły głowy na długich szyjach, aby na mnie popatrzeć. Ich owalne twarze były doskonałe, symetryczne, pozbawione wyrazu, a jednocześnie lubieżne. Nagle pojąłem, iż wszystkie, co do jednej, przestały już być damami na Dworze Absolutu, stały się natomiast kurtyzanami z Lazurowego Pałacu.

Parada tych uwodzicielskich, a zarazem nieludzkich kobiet trwała przez dłuższy czas (lub przynajmniej tak mi się wydawało). Za każdym uderzeniem mego serca - zdawałem sobie sprawę z tych uderzeń tak, jak nigdy w życiu, odbierając je jako łoskot bębna w mojej piersi - zamieniały się rolami, chociaż w ich wyglądzie nie zachodziły żadne zmiany. Tak jak w snach zdarzało mi się nieraz wiedzieć, że jakaś postać jest w rzeczywistości kimś, kogo wcale, ale to wcale nie przypomina, tak teraz doskonale zdawałem sobie sprawę, że kobiety te stanowią jedynie ozdoby mające uświetnić pojawienie się Autarchy, aby już w następnej chwili nie mieć najmniejszych wątpliwości, iż jeszcze tej nocy będą sprzedawać się za garść orichalków.

Przez cały czas było mi bardzo niewygodnie. Pajęczyny - stopniowo zaczynałem dostrzegać, iż w rzeczywistości są to rybackie sieci - nie zniknęły, ja zaś dodatkowo zostałem związany zwykłymi sznurami w taki sposób, że jedno ramię miałem ciasno przyciśnięte do tułowia, drugie natomiast zgięte w łokciu tak, że zdrętwiałymi palcami prawie dotykałem twarzy.

W momencie, kiedy narkotyk działał najsilniej, straciłem panowanie nad fizjologicznymi funkcjami organizmu, w związku z czym moje spodnie były teraz przesiąknięte zimną, cuchnącą uryną. W miarę jak halucynacje stawały się mniej wyraziste, a przerwy między nimi dłuższe, narastała we mnie świadomość nędzy mego położenia, a wraz z nią obawy o to, co się ze mną stanie, kiedy wreszcie zostanę wyprowadzony z pozbawionego okien składziku, do którego mnie wrzucono. Przypuszczałem, iż hetman otrzymał przez posłańca wiadomość, że nie jestem tym, za kogo się podaję, oraz że uciekam przed zemstą archonta, bo nie wydawało mi się możliwe, aby z jakiegokolwiek innej przyczyny odważył się potraktować mnie w tak bezceremonialny sposób.

Biorąc to pod uwagę mogłem się jedynie zastanawiać, czy pozbędzie się mnie osobiście (najprawdopodobniej przez utopienie), czy odda w ręce jakiegoś miejscowego oprawcy, czy też odeśle do Thraxu. Postanowiłem samemu odebrać sobie życie, jeżeli otrzymam prawo wyboru, ale prawdopodobieństwo, że tak właśnie się stanie, było tak niewielkie, iż ogarnęła mnie bezdenne rozpacz, a wraz z nią pragnienie, by skończyć ze sobą nie czekając na wyrok.

Wreszcie drzwi się otworzyły. Światło, choć pochodziło z pogrążonego w półmroku pokoju, wydało mi się osłepiająco jasne. Dwaj mężczyźni wyciągnęli mnie ze składziku, jakbym był workiem ziarna. Obaj mieli gęste brody, przypuszczałem więc, że to oni właśnie wtargnęli do pokoju, w którym jadłem kolację, gdyż odniosłem wówczas wrażenie, że twarze napastników porasta gęste futro. Postawili mnie na nogi, ale te natychmiast ugięły się podę mną, musieli więc mnie rozwiązać i wyplątać z sieci, które okazały się skuteczniejsze od Typhonowych. Kiedy wreszcie odzyskałem władzę w nogach, dali mi kubek wody i kawałek solonej ryby.

Wkrótce potem zjawił się hetman. Mimo że zachowywał się równie godnie jak wówczas, kiedy zajmował się sprawami wioski, to jednak jego głos wyraźnie drżał. Nie wiedziałem, dlaczego wciąż się mnie obawia, ale nie ulegało wątpliwości, że tak jest w istocie. Ponieważ nie miałem nic do stracenia, natomiast wszystko do zyskania, rozkazałem mu, aby mnie natychmiast uwolnił.

- Nie mogę tego uczynić, wielki mistrzu - odparł. - Wykonuję tylko rozkazy.

- A któż to ośmielił się nakazać ci, byś postępował w taki sposób z wysłannikiem twojego Autarchy?

Odchrząknął niepewnie.

- Dostałem polecenie z zamku. Wczoraj wieczorem wysłałem tam ptaka z twoim szafirem, a dziś rano otrzymałem odpowiedź nakazującą dostarczyć cię tam czym prędzej.

Początkowo przypuszczałem, iż ma na myśli Zamek Acies, gdzie stacjonował jeden z oddziałów żołnierzy, ale potem doszedłem do wniosku, że to chyba zbyt daleko stąd.

- O jakim zamku mówisz? - zapytałem. - I czy jest możliwe, żebym najpierw się umył, a w tym czasie ktoś zająłby się doprowadzeniem do porządku mojej garderoby?

- Chyba tak - odparł niezbyt pewnie, po czym zwrócił się do jednego ze swoich ludzi: -

Jaki mamy dzisiaj wiatr?

Brodacz wzruszył ramionami, co nic mi nie wyjaśniło, ale dla hetmana okazało się całkowicie wystarczające.

- W porządku - powiedział. - Nie możemy cię uwolnić, ale upierzemy ci ubranie i damy coś do jedzenia, jeśli sobie życzysz. - Odwrócił się i ruszył do wyjścia, ale w progu zatrzymał się i spojrzał na mnie przeprasząco. - Zamek jest blisko, Autarcha daleko. Sam rozumiesz, wielki mistrzu. W przeszłości mieliśmy wielkie kłopoty, ale teraz panuje spokój.

Zaoponowałbym, lecz nie dał mi ku temu okazji, zamykając za sobą drzwi.

Krótko potem przyszła Pia, tym razem ubrana w obszarpany chałat. Musiałem zgodzić się, żeby mnie rozebrała i umyła, ale wykorzystałem okazję, aby szepnąć jej, by dopilnowała, żeby mój miecz posłano tam, dokąd miałem się udać; żywiłem bowiem nadzieję, że jednak zdołam odzyskać wolność, choćby proponując swoje usługi panu tajemniczego zamku. Tak jak poprzednio nie dała po sobie poznać, że dotarła do niej moja sugestia, aby wykorzystała podczas ucieczki kawałek pływającego drewna, tak i teraz nic nie świadczyło o tym, żeby zrozumiała choć jedno moje słowo; jednak mniej więcej wachniętę później, kiedy na oczach całej wioski poprowadzono mnie z pompą ku przystani, zjawiała się za naszą małą procesją z Terminus Est w objęciach. Hetman zbeształ ją, gdyż zapewne zależało mu na tym, by zachować tak wspianą broń, ale ja ostrzegłem go, kiedy wciągnano mnie na łódź, że po przybyciu do zamku poinformuję kogo należy o jego postępkach, w końcu więc ustąpił, aczkolwiek niechętnie.

Taką łódź widziałem po raz pierwszy w życiu. Kształtem nieco przypominała szebękę, gdyż miała smukły dziób i takąż rufę, natomiast dość szerokie śródokręcie, ale zamiast z desek, kadłub zbudowano z ciasno ze sobą powiązanych pęków trzciny. Ma się rozumieć, w tak kruchej konstrukcji nie dało się osadzić tradycyjnego masztu, wobec czego w miejscu, gdzie powinien się znajdować, postawiono trzy połączone linami, dość giętkie tyki. Najkrótszy bok trójkąta biegł w poprzek pokładu, od burty do burty, dłuższe natomiast wznosiły się w górę, tworząc coś w rodzaju rusztowania, na które wciągnano liny żagiel. Mój miecz znajdował się teraz w rękach hetmana. Jak tylko rzucono cumy, Pia dała wielkiego susa i wskoczyła na pokład.

Hetman zaczął ją okładać, krzycząc przy tym z wściekłością, ale że nie jest łatwo sterować niewielką łódką uganiając się jednocześnie za kimś po pokładzie, odesłał ją, zalewającą się łzami, na dziób, i pozwolił zostać. Zapytałem go, dlaczego tak bardzo zależy jej na tym, by z nami płynąć, choć wydawało mi się, że znam odpowiedź na to pytanie.

- Moja żona dokucza jej, kiedy nie ma mnie w domu - wyjaśnił. - Biję ją i każe całymi dniami szorować podłogę. To tylko z korzyścią dla niej, a w dodatku ma się z czego cieszyć, kiedy wracam, ale mimo wszystko woli płynąć ze mną, a ja, jeśli mam być szczery, wcale jej się nie dziwię.

- Ani ja - powiedziałem, odwracając twarz od jego kwaśnego oddechu. - Poza tym będzie mogła zobaczyć zamek, zapewne po raz pierwszy w życiu.

- Widziała jego mury setki razy. Należała do ludzi jeziora, którzy przenoszą się z miejsca na miejsce,

gnani wiatrem, dzięki czemu wszystko widzą.

Jeżeli oni byli gnani wiatrem, to my także. Powietrze czyste jak sam duch wypełniło żagiel, nasza łódź o szerokim kadłubie przechyliła się lekko na jedną burtę i ruszyła przed siebie.

Niebawem wioska znikła za krawędzią horyzontu, ale białe szczyty gór były nadal doskonale widoczne, zdając się wyrastać bezpośrednio z jeziora.

ROZDZIAŁ XXX

SÓD

Mieszkający nad jeziorem rybacy byli tak prymitywnie uzbrojeni - znacznie gorzej nawet od autochtonów, jakich widywałem w Thraksie - iż dopiero po dłuższym czasie zauważyłem, że w ogóle mają przy sobie jakąś broń. Na pokład weszło ich nieco więcej, niż trzeba było do sterowania i operowania żaglem, ale początkowo przypuszczałem, że będą potrzebni jako wioślarze lub jako honorowa eskorta, mająca dodać prestiżu hetmanowi, kiedy ten wejdzie do zamku, prowadząc ze sobą więźnia. Za pasami nosili noże o prostych, wąskich ostrzach, takie same, jakimi posługują się rybacy na całym świecie, w przedniej części łodzi zgromadzono zaś sporo długich ościeni używanych do połowu ryb, z haczykowatymi ostrzami, ale nie dało mi to nic do myślenia. Dopiero kiedy pojawiła się jedna z pływających wysp, które tak bardzo chciałem ujrzeć, a jeden z mężczyzn zaczął przekładać z ręki do ręki grubą pałkę nabijaną zębami zwierząt, domyśliłem się, iż dodatkowa załoga to w rzeczywistości strażnicy, i że istnieją jakieś zagrożenia, przed którymi mają nas bronić.

Sama wyspa wyglądała zupełnie zwyczajnie, przynajmniej do chwili, kiedy zauważyłem, że naprawdę się porusza. Była płaska, bardzo zielona, a w najwyższym miejscu wzniesiono małą chatkę. Podobnie jak nasza łódź, wykonana była z trzciny i nakryta strzechą z tego samego materiału. Na wyspie rosło kilka wierzb, przy brzegu natomiast uwiązano długą wąską łódź, także z trzciny. Kiedy odległość zmniejszyła się jeszcze bardziej, zobaczyłem, że sama wyspa również jest z trzciny, tyle tylko, że żywej; niezliczone świeże łodygi nadawały jej charakterystyczną zielenią, a splecione korzenie utworzyły coś w rodzaju tratwy, na której osadziła się warstwa gleby - albo została przyniesiona przez mieszkańców. Należało przypuszczać, iż korzenie wysokich drzew sięgają daleko w głąb wody. W pewnej chwili dostrzegłem także zadbane poletko z warzywami.

Ponieważ wszyscy na pokładzie - z wyjątkiem dziewczyny - przyglądali się wyspie z wyraźną niechęcią, ja obserwowałem ją z sympatią i zaciekawieniem. Nietrudno mi przyszło ją pokochać, gdyż stanowiła jedyną plamkę zieleni na tle chłodnego, nieskończonego błękitu jeziora Diuturna oraz głębszego, cieplejszego, ale równie nieskończonego błękitu nieba, przystrojonego koroną słońca, o płaszczu usianym srebrzystymi gwiazdami. Gdybym spoglądał na tę scenę jak na obraz, bez wątplenia dostrzegłbym w niej więcej ukrytej symboliki (idealnie pozioma linia horyzontu dzieli płótno na dwie równe części, pośrodku kropka zieleni z zielonymi drzewami i brązową chatą) niż wielu wytrawnych znawców sztuki. Jednak kto byłby w stanie powiedzieć, co oznaczają te symbole? Nie wydaje mi się możliwe, aby symbole, jakie dostrzegamy w naturalnych krajobrazach, były nimi tylko dlatego, że my je widzimy. Nikt przecież nie waha się nazwać szaleńcami zwolenników solipsyzmu, którzy twierdzą, jakoby świat istniał tylko dlatego, że oni na niego patrzą i że budowle, góry, a nawet my sami (choć rozmawiali z nami zaledwie kilka chwil temu) znikniemy, kiedy odwrócą od nas

głowy. Czyż nie jest takim samym szaleństwem wiara, że w identyczny sposób niknie znaczenie przedmiotów? Jeżeli Thecla symbolizowała miłość, której, przynajmniej moim zdaniem, byłem niegodny, to czy jej symboliczna siła ulatniała się zaraz po tym, jak zatrzasnąłem za sobą drzwi celi? W takim razie równie dobrze można powiedzieć, że zawartość tej książki, nad którą pracuję od tak wielu wacht, zamieni się w nicość w chwili, gdy zamknę ją po raz ostatni i każę zanieść do trwającej wiecznie biblioteki starego Ultana.

Kiedy tak tęsknie obserwowałem uroczą wyspę, w duchu obrzucając hetmana najgorszymi obelgami, doszedłem do wniosku, iż najważniejszą sprawą jest ustalenie znaczenia tych symboli. Bez tego wszyscy będziemy jak dzieci, co spoglądają na zapisaną kartkę i widzą, że przedostatnia litera przypomina węża, ostatnia zaś miecz.

Nie wiem, jaką wiadomość miały przekazać mi mała, przytulna chatka i zielony ogród, zawieszony między dwiema nieskończonościami. Ja na ich widok zacząłem marzyć o domu i wolności - szczególnie o wolności, która pozwoliłaby mi do woli wędrować po górnym i dolnym świecie, a także cieszyć się wszelkimi wygodami. Nigdy nie pragnąłem jej równie mocno, nawet wówczas, kiedy byłem więźniem zamkniętym w przedpokoju Domu Absolutu, ani kiedy byłem więziony przez katów w Starej Cytadeli.

Właśnie wtedy, kiedy najsilniej marzyłem o wolności, a nasza łódź znalazła się w bezpośrednim sąsiedztwie wyspy, z chaty wyszli dwaj mężczyźni oraz mniej więcej piętnastoletni chłopiec. Przez chwilę stali nieruchomo przed otworem wejściowym, przyglądając się uważnie łodzi i jej załodze. Oprócz hetmana na pokładzie znajdowało się pięciu mieszkańców wioski, wydawało się więc oczywiste, że wyspiarze nic nie będą mogli wskórać, niemniej jednak pobiegli do swojej smukłej łodzi, wsiedli do niej i ruszyli w pościg. Dwaj mężczyźni wiosłowali, chłopiec natomiast zajął się rozpinaniem prymitywnego żagla z trzcinowej maty.

Hetman, który siedział obok mnie z Terminus Est na kolanach, odwracał się często, by spojrzeć na płynącą za nami łódź. Wydawało mi się, że lada chwila wstanie i pójdzie na dziób lub rufę. Ręce związane mi z przodu, wystarczyłaby więc chwila jego nieuwagi, by chwycić miecz, wysunąć ostrze na szerokość palca z pochwy i przeciąć krępujące mnie więzy. Niestety, na próżno czekałem na odpowiednią sposobność.

Pojawiła się druga wyspa, a wkrótce potem do pościgu dołączyła druga łódź, której załogę stanowili dwaj ludzie. Układ sił stawał się coraz mniej korzystny dla mieszkańców wioski.

Hetman wezwał jednego ze swoich podwładnych i przeszedł z nim na tył łodzi, nie wypuszczając jednak z ręki mojego miecza. Z metalowego pojemnika ukrytego pod platformą, na której siedział sternik, wyjęli broń, jakiej jeszcze nigdy nie widziałem: składała się z dwóch połączonych łuków umieszczonych w odległości pół piędzi jeden od drugiego. Cięciwy spletały się ze sobą w środkowej części, tworząc coś w rodzaju procy zdolnej do miotania nawet dość ciężkich pocisków.

Kiedy przyglądałem się niezwykłemu urządzeniu, Pia zdołała przysunąć się nieco bliżej.

- Obserwują mnie, więc nie mogę cię teraz rozwiązać - szepnęła. - Ale może już niedługo... - Spojrzała znacząco w stronę dwóch smukłych łodzi.

- Zaatakują nas?

- Tylko wtedy, jeżeli przybędą jeszcze jakieś posiłki. Są uzbrojeni tylko w ościenie i pacho. - Chyba dostrzegła niezbyt mądry wyraz mojej twarzy, gdyż dodała: - To pałki nabijane zębami. Jeden z tych ludzi też ma taką.

Wieśniak, który pochylał się wraz z hetmanem nad pojemnikiem, wyjął z niego nasączoną oliwą szmatę i rozwinął ją, odsłaniając kilkanaście srebrzystoszarych, lśniących bryłek metalu.

- Grzmiące pociski...

Pia sprawiała wrażenie mocno wystraszonej.

- Myślisz, że zjawi się więcej twoich ludzi? - zapytałem.

- Na pewno, jeśli natrafimy na więcej wysp. Zazwyczaj wszyscy przyłączają się do pościgu, żeby uczestniczyć w podziale łupów. Boję się jednak, że już niedługo znajdziemy się zbyt blisko brzegu.

Jej pierś, okryta zgrzebnym chałatem, falowała gwałtownie. Jeden z wieśniaków wytarł rękę o spodnie, sięgnął po bryłkę metalu i umieścił ją na cięciwie podwójnego łuku.

- Wydaje mi się, że to tylko ciężki kamień - powiedziałem.

Mężczyzna naciągnął cięciwę, po czym zwolnił ją, a pocisk pomknął ze świstem w kierunku ścigających nas łodzi. Pia była tak przerażona, że niemal oczekiwałem, iż lecący przedmiot przeistoczy się w coś okropnego, na przykład w jednego z pajaków, jakie widziałem w koszmarach, kiedy, odurzony narkotykiem, zostałem omotany rybackimi sieciami.

Nic takiego jednak się nie stało. Srebrzystoszary kawałek metalu wpadł z pluskiem do jeziora w odległości jakichś dziesięciu kroków od dziobu najbliższej łodzi.

Oddech lub dwa później nastąpiła głośna detonacja, zaraz potem zaś pojawiła się ognista kula i gejzer pary. Coś ciemnego - przypuszczalnie sam pocisk, wciąż jeszcze nienaruszony -

wyskoczyło z wody, by zaraz potem znowu do niej wpaść, tym razem dokładnie w połowie odległości między dwiema łodziami. Rozległ się kolejny wybuch, nieznacznie słabszy od poprzedniego i na jeden ze stateczków runęła fontanna wody. Następne eksplozje następowały w krótkich odstępach, ale pocisk najwyraźniej nie był w stanie podążać za łodziami w taki sposób, w jaki notule Hethora podążały za mną i Jonasem. Po każdym wybuchu oddalał się coraz bardziej, aż wreszcie zamknięta w nim energia uległa chyba wyczerpaniu, gdyż detonacje ustały.

Obie łodzie utrzymywały teraz nieco większą odległość, ale ja podziwiałem odwagę ich załóg, które jednak zdecydowały się kontynuować pościg.

- Grzmiące pociski wydobywają ogień z wody - powiedziała Pia.

Skinąłem głową.

- Na to wygląda.

Podwinąłem nogi, szukając solidnego oparcia dla stóp.

Nie jest wielką sztuką utrzymać się na wodzie nawet wówczas, kiedy ma się ręce związane za plecami - Drotte, Roche, Eata i ja zabawialiśmy się często w ten sposób, że skakaliśmy do wody trzymając ręce splecione w okolicach lędźwi. Ponieważ teraz miałem je związane z przodu, wiedziałem, że będę mógł płynąć tak długo, jak tylko okaże się to potrzebne.

Obawiałem się jedynie o dziewczynę i dlatego powiedziałem jej, żeby przeszła na sam dziób.

- Ale wtedy nie będę mogła cię rozwiązać!

- I tak nie uda ci się tego zrobić, dopóki nas obserwują - odparłem szeptem. - Idź już!

Jeżeli łódź się rozpadnie, chwyć się wiązki trzciny. W ten sposób na pewno utrzymasz się na powierzchni.

Nikt jej nie zatrzymywał, dzięki czemu dotarła aż do miejsca, gdzie skrzyżowane końce długich bel trzciny tworzyły dziobnicę stateczka. Wówczas nabrałem pełne płuca powietrza i skoczyłem za burtę.

Jeślibym chciał, mógłbym pójść pod wodę bez najmniejszego plusku, ja jednak podciągnąłem kolana do piersi, aby uczynić jak najwięcej hałasu i wyrzucić w górę możliwie dużą fontannę wody, a dzięki ciężarowi moich butów od razu zanurzyłem się znacznie głębiej, niż gdybym był bez ubrania.

Zauważyłem bowiem, że od chwili, kiedy wystrzelony przez łucznika pocisk wpadał do wody, do momentu pierwszej eksplozji minęło trochę czasu. Teraz z pewnością udało mi się zmoczyć nie tylko obu mężczyzn stojących przy otwartym pojemniku, ale także wszystkie pociski. Jedyne problemy polegały na tym, że nie wiedziałem, czy zdążą wybuchnąć, zanim będę musiał wypłynąć na powierzchnię dla zaczerpnięcia oddechu.

W miarę jak opadałem w kierunku dna, woda robiła się coraz zimniejsza. Otworzywszy oczy przekonałem się, że otacza mnie przepiękny kobaltowy kolor, stopniowo przybierający coraz ciemniejszy odcień. Instykt kazał mi czym prędzej zrzucić buty, ale gdybym to uczynił, szybko zacząłbym się wznosić, więc z najwyższym trudem zmusiłem się do zachowania spokoju, podziwiając cudowne barwy oraz rozmyślając o niezniszczalnych ciałach, które widziałem wśród stosów odpadków wyrzucanych z kopalni w Saltus - ciałach tonących bez końca w błękitnej otchłani czasu.

Obracałem się powoli i bez najmniejszego wysiłku, aż wreszcie daleko w górze ujrzałem ciemnobrązowy kadłub łodzi hetmana. Przez chwilę ów podłużny kształt i ja zdawaliśmy się trwać nieruchomo: ja niczym trup, on jak skrzydlaty padlinożerca, który majestatycznie szybuje tuż pod rozgwieżdżonym firmamentem.

Potem, z pękającymi płucami, zacząłem wznosić się ku powierzchni.

W tej samej chwili, zupełnie jakbym dał sygnał, nastąpiła pierwsza eksplozja. Płynąłem w górę jak żaba, do moich uszu zaś docierały odgłosy kolejnych wybuchów, każdy ostrzejszy i donośniejszy.

Kiedy wreszcie wystawiłem głowę nad powierzchnię wody, zobaczyłem, że cała tylna część łodzi właściwie przestała istnieć, i że wszędzie unoszą się mniejsze i większe wiązki trzciny. Kolejny wybuch, gdzieś po lewej stronie, ogłuszył mnie na chwilę, opryskując mi twarz kroplami siekącymi boleśnie jak grad. Łucznika zobaczyłem niedaleko ode mnie, natomiast hetman (z radością stwierdziłem, że w dalszym ciągu ściska kurczowo w rękach Terminus Est), Pia oraz pozostała część załogi zgromadzili się na nie naruszonej, przedniej części łodzi.

Zacząłem szarpać zębami krępujące mnie więzy, ale zanim zdążyłem się z nimi uporać, jeden z wyspiarzy pomógł mi wspiąć się do swojej łodzi i rozciął je nożem.

ROZDZIAŁ XXXI

ŁUDZIE JEZIORA

Wraz z Pią spędziłem noc na jednej z pływających wysp. Ja, który tylekroć miałem Theclę, która była nie skuta, choć uwięziona, miałem teraz tę dziewczynę, która była skuta, choć wolna. Później położyła głowę na mojej piersi i płakała z radości - podejrzewam, iż nie ja byłem tego powodem, a raczej odzyskanie swobody, chociaż jej pobratymcy wyspiarze nie potrafili zdjąć jej kajdan, gdyż sami nie znali się na metalach ani ich nie wytwarzali, wszystkie zaś metalowe narzędzia zdobywali albo drogą handlu, albo rabując nadbrzeżne wioski.

Słyszałem, jak mężczyźni znający wiele kobiet mówili, że prędzej czy, później zaczyna się dostrzegać pewne podobieństwa w sposobie uprawiania miłości; teraz po raz pierwszy przekonałem się, iż mieli rację, ponieważ Pia, ze swymi ustami spragnionymi pocałunków, przypominała mi Dorcas. Jednak pod pewnymi względami wrażenie to było fałszywe; co prawda obie dziewczyny zachowywały się bardzo podobnie, ale z pewnością nigdy nie miałbym kłopotów z ich odróżnieniem.

Kiedy dotarliśmy do wyspy, ogarnęło mnie tak wielkie zmęczenie, że nie miałem siły zastanawiać się nad takimi subtelnościami. Noc zbliżała się wielkimi krokami, ja zaś pamiętam tylko tyle, że wyciągnęliśmy łódź na brzeg i udaliśmy się do chaty, gdzie jeden z naszych wybawców rozpałił niewielkie ognisko. Zaraz potem naoliwiłem ostrze Terminus Est, który wyspiarze odebrali pojmanemu hetmanowi. Rano, kiedy odświeżony i wypoczęty wyszedłem z chaty, poczułem się bardzo dziwnie, gdy stanąłem oparty jedną ręką o pień wierzby i poczułem, że wyspa kołysze mi się pod stopami.

Gospodarze przygotowali nam śniadanie z gotowanych ryb. Zanim zdążyliśmy uporać się z posiłkiem, przyплыnęła jeszcze jedna łódź z dwoma kolejnymi wyspiarzami, przywożąc więcej ryb oraz warzywa, jakich nigdy wcześniej nie miałem okazji kosztować. Upiekliśmy je w popiele i zjedliśmy, kiedy jeszcze były gorące. W smaku przypominały pieczone kasztany. Później dołączyły do nas załogi jeszcze trzech łodzi, na horyzoncie natomiast pojawiła się wyspa o czterech drzewach i takiej samej liczbie dużych, wzdętych wiatrem żagli, tak że w pierwszej chwili pomyślałem, iż zbliża się cała flotyła. Wkrótce potem nastąpiło spotkanie, a wówczas okazało się, że jej kapitan jest człowiekiem w sile wieku i jednocześnie czymś w rodzaju wodza.

Nazywał się Llibio. Pia przedstawiła mi go, a on objął mnie jak ojciec syna, co zdarzyło mi się po raz pierwszy w życiu.

Reszta, nie wyłączając dziewczyny, zostawiła nas samych, abyśmy mogli spokojnie porozmawiać. Niektórzy skryli się w chacie, pozostali zaś (w sumie zjawilo się około dziesięciu osób) przeszli na drugi koniec wyspy.

- Słyszałem, że jesteś wielkim wojownikiem i zabójcą ludzi - zaczął Llibio.

Wyjaśniłem mu, że istotnie jestem zabójcą ludzi, ale bynajmniej nie wielkim.

- Otóż to. Każdy walczy tak, aby zabić innych, ale prawdziwe zwycięstwo można osiągnąć tylko wtedy, jeśli zabije się część samego siebie.

- Ty zapewne zabiłeś już całe zło, jakie w tobie było - odparłem, aby wiedział, że go zrozumiałem. -
Twoi ludzie darzą cię miłością.

- Temu także nie należy zanadto ufać. - Umilkł na chwilę, wpatrując się w fale. - Jesteśmy biedni i
jest nas niewielu, ale gdyby ludzie chcieli słuchać głosu rozsądku...

Potrząsnął głową.

- Wiele podróżowałem i zdołałem zaobserwować, że biedacy są zazwyczaj znacznie mądrzejsi i
odważniejsi od bogaczy.

Uśmiechnął się.

- To miło z twojej strony, że tak mówisz. Jednak moi ludzie mają teraz tylko tyle mądrości i odwagi,
żeby umrzeć. Nigdy nie było nas zbyt dużo, a wielu umarło ostatniej zimy, kiedy zamarzała znaczna
część jeziora.

- Jakoś nie pomyślałem, że zima może stanowić dla was poważny problem. Przecież nie macie ani
futer, ani wełnianych ubrań.

Starzec ponownie potrząsnął głową.

- Nie są nam potrzebne. Smarujemy się tłuszczem, co pomaga nam przetrzymać chłody, a z foczych
skór szyjemy lepsze ubrania od tych, jakie mają ludzie na lądzie. Jednak kiedy pojawi się lód, nasze
wyspy nie mogą się poruszać, a ludzie z brzegu mogą dotrzeć do nich suchą nogą i w wielkiej liczbie.
Każdego lata zabijamy ich, kiedy wypływają na jezioro, żeby łowić nasze ryby, ale zimą oni zabijają
nas, przy okazji biorąc wielu do niewoli.

Pomyślałem o Pazurze, który hetman posłał do zamku i powiedziałem:

- Ludzie z lądu są posłuszni władcy mieszkającemu w zamku. Gdybyś zawarł z nim pokój, może
zakazałby im urządzania wypraw przeciwko wam?

- Dawno temu, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, nasze utarczki kosztowały rocznie życie dwóch
lub trzech ludzi. Potem zjawił się budowniczy zamku... Znasz tę historię?

- Nie.

- Przybył z południa, skąd, jak mi powiedziano, ty także przychodzisz. Miał ze sobą wiele rzeczy,
które spodobały się ludziom z lądu, takich jak sukno, srebro i trwałe narzędzia. Pod jego kierunkiem
zbudowali zamek. Byli to ojcowie i dziadowie tych, co teraz zamieszkują brzegi jeziora. Posługiwali
się jego narzędziami, a on, zgodnie z obietnicą, pozwolił im potem je zatrzymać i dał im wiele innych
rzeczy. Ojciec mojej matki poszedł do nich, kiedy byli zajęci pracą i zapytał, czy nie zdają sobie
sprawy, że pomagają temu, kto pragnie być ich panem i władcą, ponieważ budowniczy zamku będzie
mógł zrobić z nimi wszystko, na co przyjdzie mu ochota, a potem schować się za grube mury, gdzie
nie zdołają go osiągnąć. Oni jednak wyśmiali ojca mojej matki, twierdząc, że jest ich wielu - co
było zgodne z prawdą - i że budowniczy jest tylko jeden, w czym także mieli rację.

Zapytałem, czy Llibio kiedykolwiek widział budowniczego, a jeśli tak, to jak on wygląda.

- Tylko raz. Stał na skale rozmawiając z ludźmi z brzegu, kiedy ja przepływałem w pobliżu swoją łódką. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że jest naprawdę nieduży; gdyby stanął przy tobie, sięgałby ci najwyżej do ramienia. Na pewno nie należy do tych, co samym swoim wyglądem wywołują strach. - Przerwał na chwilę, wpatrując się wyblakłymi oczami nie w wody jeziora, ale w dawno minione czasy. - A jednak strach przybył i rozgościł się na dobre. Kiedy mury stanęły ludzie z lądu ponownie zajęli się polowaniem i pasterstwem. Wkrótce potem zjawił

się u nas najważniejszy z nich, powiedział, że ukradliśmy im zwierzęta i dzieci, i że mamy natychmiast je oddać, bo jeśli nie, to nas wszystkich zabiją.

Llibio przeniósł spojrzenie na moją twarz i zacisnął na moim przedramieniu rękę, która była twarda jak drewno. Patrząc na niego także dostrzegłem minione lata. Z pewnością wydawały mu się wówczas dość ponure, ale przyszłość, jaką spędziły - czyli nasza teraźniejszość, w której siedziałem obok niego z mieczem na kolanach i słuchałem opowieści - była jeszcze bardziej złowroga, niż mu się wtedy wydawało. W tamtych dawnych latach znalazło się jednak miejsce na trochę radości, bo przecież był wtedy młodym, silnym mężczyzną i nawet jeśli teraz o tym nie myślał, to jego oczy doskonale to pamiętały.

- Odparliśmy, że nie zjadamy dzieci i nie potrzebujemy ani niewolników, którzy łowiliby nam ryby, ani bydła, bo nie mielibyśmy go czym wykarmić. Oni jednak i bez tego wiedzieli chyba, iż niesłusznie nas oskarżają, ponieważ nie poczynili żadnych wrogich kroków, choć kiedy nasze wyspy zbliżyły się nocą do brzegu, słyszeliśmy płacz kobiet.

W tamtych czasach pierwszy dzień po pełni księżyca był dniem targowym. Ci z nas, którzy chcieli, udawali się na brzeg po sól i noże. Kiedy nadszedł ten dzień, domyśliłem się, że ludzie z brzegu wiedzą już, co stało się z ich dziećmi i zwierzętami, ponieważ byli bardzo poważni i ciągle szeptali o czymś między sobą. Zapytaliśmy wówczas, dlaczego nie wezmą zamku szturmem, ale oni zabrali nam nasze dzieci, a także wielu mężczyzn i dużo kobiet, i przykuli ich łańcuchami przed drzwiami swoich domów, a niektórych pogнали nawet do zamku i zostawili związanych przed bramą.

Spytałem, jak długo trwała taka sytuacja.

- Przez wiele lat. Czasem ludzie z lądu walczyli, ale najczęściej nie stawiali żadnego oporu. Dwa razy zjawili się żołnierze z południa, przysłani przed dumnych mieszkańców wysokich wież, które wznoszą się na południowym brzegu jeziora. Przez czas ich pobytu panował spokój, ale nikt nie wie, o czym rozmawiano w zamku. Odkąd został ukończony, jego budowniczy przestał pokazywać się ludziom na oczy.

Starzec umilkł, jakby czekał na jakąś reakcję z mojej strony. Odniosłem wrażenie -

towarzyszy mi ono dość często podczas rozmów ze starymi ludźmi - że to, co usłyszałem, różni się znacznie od tego, co mówił, że w jego słowach kryje się mnóstwo aluzji, wskazówek oraz sugestii równie niewidzialnych dla mnie jak jego oddech, zupełnie jakby sam Czas stanął między nami i szerokimi połami szaty wycierał znaczną część tego, co zostało powiedziane.

- Może nie żyje? - wymamrotałem wreszcie.

- Teraz w zamku mieszka okrutny olbrzym, którego nikt jeszcze nie widział.

Z najwyższym trudem powstrzymałem uśmiech cisnący mi się na usta.

- A mimo to, jak się domyślam, jego niewidzialna obecność powstrzymuje ludzi z brzegu przed atakiem na zamek.

- Pięć lat temu wtargnęli tam nocą. Było ich tylu co młodych łososi przy ciełe topielca.

Spalili zamek i wymordowali wszystkich, których tam zastali.

- Czyżby więc walczyli z wami już tylko z przyzwyczajenia?

Llibio pokręcił głową.

- Tej wiosny, zaraz po stopieniu lodów, w zamku zjawili się mieszkańcy. Mieli ręce pełne podarunków - najrozmaitszych błyskotek, a także broni, w tym także tej, którą pokonałeś tych, co cię uwięzili. Ciągłe przybywają nowi, choć my, ludzie jeziora, nie wiemy, czy jako niewolnicy czy raczej jako panowie.

- Z północy czy z południa?

- Z nieba - odparł, wskazując w górę, na gwiazdy przyćmione majestatem słońca. Ja jednak pomyślałem, że chciał w ten sposób powiedzieć, iż goście przylatują ślizgaczami i nie pytałem dalej.

Przez cały dzień na wyspę docierali kolejni ludzie jeziora. Wielu płynęło takimi samymi łodziami jak te, które ścigały łódź hetmana, ale byli i tacy, co przybywali na własnych wyspach, tak że wkrótce znaleźliśmy się w samym środku ruchomego archipelagu. Nikt nie poprosił mnie wprost, abym poprowadził ich do szturm na zamek, lecz w miarę jak wschodni horyzont odsuwał się od krawędzi słońca, stawało się dla mnie coraz bardziej jasne, że tego właśnie pragną, oni natomiast nabierali przekonania, iż uczynię zadość ich oczekiwaniom. O ile się nie mylę, w książkach zazwyczaj załatwia się takie sprawy płomiennymi mowami, ale rzeczywistość nie zawsze wygląda w ten sposób. Zaimponowałem im swoim wzrostem i mieczem, Pia zaś powiedziała, że jestem przedstawicielem Autarchy, który przysłał mnie tu, bym ich oswobodził.

- Choć to my cierpieliśmy najbardziej, ludzie z brzegu zdołali już raz zająć zamek, mimo że nie mieli przywódcy z południa. Nie wszystko, co wtedy spalili, zostało odbudowane -

poinformował mnie Llibio.

Poprosiłem go i jeszcze paru mężczyzn, żeby opowiedzieli mi o ukształtowaniu terenu wokół fortecy, a następnie powiedziałem, że zaatakujemy dopiero wówczas, kiedy ciemności zapewnią nam osłonę przed wzrokiem strażników na murach. Nie uznałem za stosowne wyjaśnić, iż chcę zaczekać na noc także dlatego, żeby utrudnić obrońcom celowanie; jeżeli pan zamku zdecydował się przekazać hetmanowi grzmiące pociski, to należało się spodziewać, że w swoim arsenale ma znacznie

groźniejszą broń.

Kiedy wreszcie wyruszyliśmy w drogę, miałem pod swoimi rozkazami około stu wojowników, choć większość była uzbrojona jedynie w ościenie zakończone zaostrzonymi kawałkami foczych kości, pałki nabijane zębami zwierząt oraz noże. Mógłbym w tej chwili mile polechtać własną próżność pisząc, że zdecydowałem się poprowadzić tę małą armię z poczucia obowiązku, a także dlatego, że poruszyła mnie niedola tych ludzi, ale byłaby to nieprawda. Do podjęcia decyzji nie przyczyniła się również obawa o to, co zrobią ze mną, jeśli odmówię, choć podejrzewałem, że jeśli nie udałoby mi się uczynić tego w sposób dyplomatyczny - na przykład ukazując im rzekome korzyści, jakie mogłoby odnieść powstrzymując się od walki - to czekałyby mnie ciężkie przeżycia.

Prawda przedstawiała się w ten sposób, że odczuwałem wewnętrzny przymus jeszcze silniejszy od tego, jakiemu oni ulegali. Na szyi Llibia wisiała rybka wyrzeźbiona z zęba jakiegoś zwierzęcia; kiedy zapytałem go o nią, odparł, że to Oannes i zasłonił ją natychmiast ręką, abym nie sprofanował jej swoim wzrokiem. Zdawał sobie sprawę, że nie wierzę w Oannesa, który ponad wszelką wątpliwość był rybem bogiem tych ludzi.

Istotnie, nie wierzyłem, ale wydawało mi się, iż wiem o nim wszystko, co najważniejsze.

Wiedziałem na przykład, że mieszka w najgłębszej części jeziora, ale czasem pokazuje się na powierzchni, przeskakując z fali na falę podczas najsilniejszego sztormu. Wiedziałem, że jest pasterzem głębin, naganiającym ryby do sieci wyspiarzy i że złoczyńcy nie mogą bez lęku pływać po jeziorze, gdyż on jest w stanie w każdej chwili pojawić się obok ich łodzi, z oczami wielkimi jak księżycy, i przewrócić ją do góry dnem.

Nie wierzyłem w Oannesa i nie obawiałem się go, lecz chyba wiedziałem, skąd pochodził.

Zdawałem sobie sprawę, że we wszechświecie istnieje wszechobecna potęga, z której biorą się wszystkie inne, będące zaledwie jej cieniami. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, iż moja koncepcja tej potęgi jest równie godna pożałowania (a zarazem równie poważna), jak koncepcja Oannesa. Wiedziałem, że Pazur należy właśnie do niej i czułem, że spośród wszystkich świątyń i ołtarzy świata tylko on jeden naprawdę coś znaczy. Wielokrotnie trzymałem go w ręce, podnosiłem go nad głowę w Vinculi, dotykałem nim martwego żołnierza Autarchy i chorej dziewczyny w lepiance w Thraksie. Dzierżyłem wówczas w rękach nieskończoność, a wraz z nią jej niewyobrażalną moc; wcale nie byłem już pewien, czy istotnie oddam go pokornie Pelerynom, jeżeli kiedykolwiek uda mi się je odnaleźć, ale za to nie ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości, iż nie oddam go bez walki nikomu innemu.

Mało tego: wydawało mi się, że w jakiś sposób zostałem wybrany, aby dzierżyć tę potęgę, choćby nawet przez krótki czas. Peleryny utraciły klejnot z powodu mojej nieroztropności, gdyż pozwoliłem Agii skłonić woźnicę, by wziął udział w wyścigu, dlatego też moim obowiązkiem było teraz troszczyć się o niego, wykorzystywać go, a może nawet zwrócić poprzednim właścicielkom, z pewnością zaś starać się wyrwać go z rąk - przerażających i zbrukanych krwią, jak wynikało z relacji - w które dostał się z mojej winy.

Kiedy rozpoczynałem tę opowieść nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógłbym zdradzić którąś z

tajemnic konfraterni, o jakich dowiedziałem się od mistrza Palaemona i mistrza Gurloesa tuż przed wyniesieniem mnie do godności czeladnika podczas uroczystości ku czci świętej Katarzyny. Teraz jednak zdradzę jedną z nich, ponieważ w przeciwnym wypadku nikt nie zrozumiałby tego, co uczyniłem owej nocy na jeziorze Diuturna. Tajemnica ta polega na tym, że my, kaci, zawsze musimy być komuś posłuszni. W całej niewyobrażalnie wielkiej piramidzie istnień ludzkich, wyższej od Wieży Dzwonów, wyższej od Muru Nessus, a nawet od Góry Typhona, w piramidzie, co sięga od Autarchy zasiadającego na Tronie Feniksa aż do najmniej ważnego skryby harującego dla najbardziej bezwzględego handlarza - istoty gorszej nawet od bezdomnego żebraka - tylko my stanowimy pewny i niewzruszony fragment konstrukcji. Nikt nie jest do końca posłuszny, jeżeli nie potrafi być posłusznym niemożliwemu; nikt nie czyni tego, co niemożliwe do wyobrażenia, z wyjątkiem nas.

Czyż mogłem odmówić Prastwórcy tego, co z własnej woli ofiarowałem Autarsze, odrąbując głowę świętej Katarzynie?

ROZDZIAŁ XXXII

DO ZAMKU

Ruchome wyspy nieco oddaliły się od siebie, a choć łodzie płynęły między nimi z żaglami wypełnionymi wiatrem, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, iż trwamy bez ruchu pod galopującymi chmurami, a nasz pęd to jedynie złudzenie wywołane pozornym odsuwaniem się zatapianego przez wodę lądu.

Większość wysp została z tyłu, na nich zaś kobiety i dzieci. Forpoczta tworzyło jakieś pół tuzina, a ja stałem na wierzchołku tej, na której mieszkał Llibio, największej ze wszystkich.

Oprócz mnie i starca było na niej jeszcze siedmiu wojowników, na pozostałych natomiast płynęło ich po czterech lub pięciu. Oprócz wysp w skład flotylli wchodziło około trzydziestu łodzi z dwu- i trzyosobowymi załogami.

Nie łudziłem się ani przez chwilę, że nasza setka, uzbrojona w noże i ościenie, będzie stanowić poważną siłę; zaledwie garstka dimarchów Abdiesusa zrobiłaby z nas sieczkę. Jednak ci ludzie obdarzyli mnie zaufaniem, ja zaś przekonałem się, iż żadne uczucie nie może równać się z tym, jakie wypełnia pierś, kiedy prowadzi się oddział do walki.

W jeziorze migotało jedynie zielone, rozproszone światło, odbite od niezliczonych liści oddalonego od nas o pięćdziesiąt tysięcy mil Lasu Luny. Ten widok przywodził na myśl stal, wypolerowaną i starannie naoliwioną. Wiatr co prawda gnał przed sobą fale, ale był zbyt słaby, żeby oderwać od ich szczytów drobinki wody i ponieść je dalej jako białą pianę.

Po pewnym czasie księżyc skrył się za chmurą, mnie zaś ogarnął niepokój, czy aby ludzie jeziora nie tracą orientacji w ciemności. Bardzo szybko jednak okazało się, iż brak światła nie sprawia im żadnej różnicy i choć łodzie i wyspy płynęły zbite w ciasną gromadę, ani razu nie zaobserwowałem sytuacji grożącej zderzeniem.

Taka podróż odbywająca się w zupełnej ciemności, wraz z całym archipelagiem, w całkowitej ciszy zakłócanej jedynie szeptem wiatru i mlaskaniem wiosł zanurzających się w wodzie z regularnością zegara, bez odczuwania prędkości, a jedynie przy delikatnym kołysaniu gruntu pod nogami, mogłaby działać uspokajająco, a nawet usypiająco, tym bardziej że byłem zmęczony, choć udało mi się nieco zdrzemnąć przed wyruszeniem w drogę; jednak chłód nocnego powietrza i myśl o czekającym nas zadaniu nie pozwoliły mi ani na chwilę zmrużyć oka.

Żaden z wyspiarzy nie potrafił udzielić mi szczegółowych informacji na temat zamku, który już niebawem mieliśmy zdobywać. Na pewno składał się on z głównego budynku i muru, ale nie miałem pojęcia, czy ów główny budynek jest prawdziwą warowną wieżą, tak wysoką, że z jej blanków widać mur i okolicę. Nie wiedziałem także, czy na terenie fortecy wznoszą się jeszcze inne budowle (na przykład barbakan), czy na murze znajdują się baszty lub wieżyczki ani ilu obrońców może się tam pomieścić. Zamek wzniesiono w ciągu dwóch lub trzech lat, korzystając wyłącznie z miejscowej siły roboczej, należało się więc spodziewać, że nie jest tak potężny jak, na przykład, Zamek Acies. Jednak nawet warownia czterokrotnie mniejsza i słabiej ufortyfikowana byłaby dla nas nie do zdobycia.

Coraz wyraźniej uświadamiałem sobie, jaki marny był ze mnie materiał na dowódcę takiej wyprawy. Nie tylko nigdy nie brałem udziału w bitwie, ale nawet żadnej nie widziałem, choćby z daleka. Skromną wiedzę o umocnieniach obronnych zawdzięczałem wychowaniu na terenie Cytadeli oraz niezbyt uważnym obserwacjom poczynionym w trakcie pobytu w Thraksie, natomiast moje informacje o taktyce - o ile w ogóle można było je za takowe uznać - wzięły się wyłącznie z pobieżnych lektur. Przypomniałem sobie, jak będąc chłopcem bawiłem się z innymi uczniami w nekropolii, tocząc zażarte bitwy za pomocą drewnianych mieczy, i niewiele brakowało, by chwyciły mnie autentyczne mdłości. Nie dlatego, żebym obawiał się o swoje życie; po prostu nagle pojąłem, iż najmniejszy błąd z mojej strony może stać się przyczyną śmierci tych niewinnych, naiwnych ludzi, którzy uczynili mnie swoim przywódcą.

Wkrótce potem księżyc pojawił się znowu na niebie, przecięty ukośną kreską ułożoną z czarnych sylwetek lecących bocianów. Na horyzoncie dostrzegłem pas jeszcze głębszej czerni; był to brzeg. Kolejna chmura zasłoniła wielką, zieloną tarczę, a ja poczułem na twarzy pierwszą kroplę deszczu. Nie wiedzieć czemu bardzo podniosło mnie to na duchu - być może w mojej podświadomości pojawiło się wspomnienie deszczowej nocy, kiedy stawiałem czoło alzabo, albo lodowatego strumienia wypływającego z wejścia do kopalni zamieszkanego przez małpoludy.

Bez względu na przypadkowe skojarzenia deszcz istotnie mógł okazać się nam bardzo pomocny. Nie mieliśmy łuków, nasi przeciwnicy natomiast z pewnością nimi dysponowali, ale z łuku o mokrej cięciwie nie da się strzelać celnie na dużą odległość. Wykluczone stało się także użycie grzmiących pocisków, z których działaniem zapoznałem się w łodzi hetmana. Poza tym, podczas deszczu łatwiej podkraść się niepostrzeżenie pod same mury, ja zaś już dawno doszedłem do wniosku, iż jedynie działając z zaskoczenia możemy marzyć o osiągnięciu sukcesu.

Byłem głęboko pogrążony w myślach, kiedy księżyc ponownie wyjrzał zza chmur.

Przekonałem się, że płyniemy wzdłuż urwistego brzegu ciągnącego się po naszej prawej stronie.

Z przodu dostrzegłem jeszcze wyższy cypel wysunięty daleko w jezioro, przeszedłem więc na przód wyspy, aby zapytać pełniącego tam straż człowieka, czy właśnie na tej skale wybudowano zamek.

Mężczyzna pokręcił głową.

- Ominiemy ją.

Tak też uczyniliśmy. Żagle najpierw zlurowano, potem umocowano w nowej pozycji, po zawietrznej stronie wyspy opuszczono do wody obciążone kamieniami pływaki, jednocześnie zaś trzej mężczyźni z całej siły natarli na rumpel, aby zmienić ustawienie steru. Przyszło mi do głowy, że Llibio bardzo słusznie postanowił wylądować w miejscu, gdzie nie groziło nam przedwczesne wykrycie przez strażników patrolujących brzegi jeziora, ale nie wziął pod uwagę, że kiedy miniemy wysoki cypel, możemy znaleźć się w zasięgu wzroku wartowników rozstawionych na murach fortecy. Jednocześnie zaświtało mi podejrzenie, że skoro budowniczy zamku nie zdecydował się wznieść go na tej potężnej skale, która zdawała się jakby stworzona do tego celu, to pewnie znalazł miejsce jeszcze bardziej bezpieczne i trudniejsze do zdobycia.

Wkrótce potem minęliśmy cypel i w odległości nie więcej niż czterech łańcuchów dostrzegliśmy nasz cel: znacznie wyższy występ skalny o stromych ścianach, na którego szczycie wznosił się mur oraz potężna wieża przypominająca kształtem gigantyczny muchomor.

Nie wierzyłem własnym oczom. Na ogromnej kolumnie, zapewne wzniesionej z miejscowego kamienia, tkwił podobny do soczewki metalowy obiekt o co najmniej dziesięciokrotnie większej średnicy.

Na wszystkich wyspach, a także na płynących między nimi łodziach, ludzie zaczęli szeptać między sobą i wskazywać zdumiewającą konstrukcję. Nie ulegało wątpliwości, iż widok ten był dla nich takim samym zaskoczeniem, jak dla mnie.

Mgliste światło księżyca kładło się na górnej powierzchni dysku niczym pocałunek złożony przez młodszą siostrę na policzku umierającej starszej. Poniżej, w głębokim cieniu, migotały jakieś pomarańczowe punkciki. Przez cały czas wędrowały w górę i dół, choć poruszały się tak wolno, że trzeba było sporo czasu, aby w ogóle zdać sobie z tego sprawę. Wreszcie jeden z nich dotarł aż do dysku i zniknął, a zanim zdążyliśmy przybić do brzegu, w tym samym miejscu pojawiły się dwa inne.

U podnóża stromego zbocza, ukryta częściowo w jego cieniu, znajdowała się niewielka plaża. Wyspa Llibia nie zdołała jednak do niej dopłynąć, gdyż osiadła na mieliźnie kilkanaście kroków od brzegu, w związku z czym musiałem po raz kolejny skoczyć do wody, tym razem trzymając Terminus Est wysoko nad głową. Na szczęście nie było przyboju, a choć deszcz wisiał

w powietrzu, to jeszcze nie zaczęło padać. Pomagałem wyciągać łodzie na piasek, a w tym samym czasie inni uczestnicy ekspedycji przywiązywali wyspy do wielkich głazów za pomocą lin ze zwierzęcych ścięgien.

Po wędrowce, jaką odbyłem przez góry, wspinaczka wąską, zdradliwą ścieżką byłaby dla mnie błahostką, gdyby nie to, że musiałem odbyć ją po ciemku. Z tego powodu wolałbym chyba powtórnie schodzić ku chatce Casdoe, mimo że tam wysokość była znacznie większa.

Kiedy wreszcie dotarliśmy na szczyt urwiska, od muru wciąż jeszcze dzieliła nas spora odległość, ale nie mogłem jej dokładnie ocenić, gdyż widok zasłaniała kępa wybujałych sosen.

Zebrałem wokół siebie wyspiarzy i zapytałem ich, czy wiedzą, skąd przybył statek, który wylądował na szczycie wieży. Zgodnie z moimi przypuszczeniami zapewnili mnie, iż nie mają pojęcia, a wówczas powiedziałem, że ja wiem (naprawdę wiedziałem, gdyż zostałem ostrzeżony przez Dorcas, mimo że nigdy wcześniej nie przeżyłem takiego spotkania) i że ze względu na jego obecność powinniśmy najpierw przeprowadzić rekonesans, a dopiero potem podjąć ostateczną decyzję w sprawie ewentualnego ataku.

Nikt się nie odezwał, ale bez trudu wyczułem ich rozpacz i bezsilność. Wierzyli, że udało im się znaleźć bohatera, który poprowadzi ich ku zwycięstwu i oto stracili go jeszcze zanim rozpoczęła się bitwa.

- Spróbuję wejść do środka - oświadczyłem. - Potem wrócę do was, jeśli okaże się to możliwe,

zostawiając za sobą tyle otwartych drzwi, ile się da.

- A jeżeli nie będziesz mógł wrócić? - zapytał Llibio. - Skąd będziemy wiedzieli, kiedy nadejdzie odpowiedni moment, by wyciągnąć noże?

- Dam wam jakiś znak - odparłem, po czym wyteżyłem umysł, usiłując wymyślić jakiś sygnał, który mógłbym przesłać będąc zamknięty w tej ciemnej wieży. - Z pewnością mają tam pochodnie. Zamacham jedną przez okno i zrzucę ją na dół. Jeżeli nie dam znaku i nie wrócę, będzie to oznaczało, że zostałem uwięziony. Wówczas ruszycie do ataku, kiedy pierwszy skrawek słonecznej tarczy wychyli się zza szczytów gór.

Niedługo potem stałem już przed zamkową bramą, łomocąc ogromną żelazną kołatką w kształcie głowy mężczyzny (o ile mogłem wyczuć to palcami).

Nie uzyskałem odpowiedzi. Po kilku oddechach zastukałem ponownie. Wyraźnie słyszałem echo mego łomotania, przypominające puste dudnienie w piersi olbrzyma, ale nie odezwały się żadne głosy. Przez cały czas miałem przed oczami ohydne twarze, jakie ujrzałem w ogrodzie Autarchy i z lękiem oczekiwałem wystrzału, mimo iż zdawałem sobie sprawę, że gdyby hierodule rzeczywiście postanowili mnie zgładzić - a przecież to oni przywieźli na Urth wszystkie rodzaje wysokoenergetycznej broni - to pewnie niczego bym nie usłyszał. Powietrze było tak spokojne, jakby zamarło w oczekiwaniu razem ze mną. Daleko na wschodzie przetoczył

się huk gromu.

Wreszcie rozległ się odgłos kroków tak szybkich i lekkich, że w pierwszej chwili wziąłem je za kroki dziecka, potem zaś dziwnie znajomy głos zapytał:

- Kto tam? Czego chcesz?

- Mistrz Severian z Zakonu Poszukiwaczy Prawdy i Skruchy - odparłem. - Przybywam z polecenia Autarchy, którego prawo jest chlebem dla jego poddanych.

- Zaiste! - wykrzyknął doktor Talos i otworzył szeroko bramę. Przez dłuższą chwilę nie byłem w stanie wykrztusić ani słowa i tylko wpatrywałem się w niego wytrzeszczonymi oczami.

- Powiedz mi, a czegoż może chcieć od nas Autarcha? Kiedy widziałem cię ostatnio, znajdowałeś się w drodze do Miasta Zakrzywionych Noży. Udało ci się tam dotrzeć?

- Autarcha pragnie wiedzieć, dlaczego twoi wasale pojмали jednego z jego sług. Ponieważ tak się składa, że chodzi akurat o mnie, nadaje to sprawie nieco odmienne znaczenie.

- Ależ oczywiście! Naturalnie! Także z naszego punktu widzenia, ma się rozumieć. Nie miałem pojęcia, że to ty byłeś tym tajemniczym przybyszem, który zjawił się w Murenie i jestem pewien, że nieszczęsny, stary Baldanders także nic nie wiedział. Wchodź, pogawędzimy sobie o tym.

Przekroczyłem próg, a doktor natychmiast zatrzasnął ciężką bramę i zasunął potężny żelazny rygiel.

- Doprawdy, nie ma o czym mówić - odparłem - ale jeśli już, to może zaczniemy od pewnego cennego klejnotu, który odebrano mi siłą, a następnie odesłano tobie.

Moja uwaga była jednak skoncentrowana nie na tym, co mówię, lecz na ogromnym kadłubie statku hieroduli. Znajdował się teraz dokładnie nad moją głową, a spoglądając na niego doświadczałem takiego samego uczucia dezorientacji, jakie towarzyszy mi niemal zawsze, gdy zbyt długo przyglądam się czemuś przez szkło powiększające. Wypukły spód kadłuba wyglądał

nie tylko na coś, co nie należało do świata ludzi, ale w ogóle do naszej rzeczywistości.

- Ach, rzeczywiście - powiedział doktor Talos. - Twoje świecidełko ma teraz Baldanders, jeśli się nie mylę. Czy też raczej miał je, a potem gdzieś upchnął, ale jestem pewien, że ci je zwróci.

Z wnętrza okrągłej wieży (wyglądało na to, że utrzymuje cały ciężar statku, choć było to chyba niemożliwe) dobiegł stłumiony, przerażający odgłos, podobny do wycia wilka. Od chwili kiedy opuściłem Wieżę Matachina, nie słyszałem czegoś podobnego, ale nie zapomniałem, co to jest.

- Trzymasz tam więźniów? - zwróciłem się do doktora.

Skinął głową.

- Istotnie. Obawiam się, że w nawale przeróżnych zajęć zapomniałem ich nakarmić. -

Machnął ręką w kierunku statku. - Ufam, Severianie, iż nie będziesz miał nic przeciwko spotkaniu z kakogenami? Jeżeli chcesz poprosić Baldandersa o zwrot klejnotu, musisz porozmawiać także z nimi.

Odparłem, że zupełnie mi to nie przeszkadza, choć niewiele brakowało, a wstrząsnąłbym się z obrzydzeniem.

Doktor uśmiechnął się, odsłaniając rząd białych, ostrych zębów, które tak dobrze zapamiętałem.

- To wspaniale. Zawsze uważałem cię za osobę pozbawioną wszelkich przesądów.

Przypuszczam, że ma to związek z twoim wykształceniem: nauczono cię brać każdego takim, jakim jest.

ROZDZIAŁ XXXIII

OSIPAGO, BARBATUS I FAMULIMUS

Jak do większości tego rodzaju obronnych wież, do tej także wchodziło się nie na poziomie gruntu, lecz przez wąskie drzwi usytuowane jakieś dziesięć łokci nad brukowanym dziedzińcem, do których prowadziły równie wąskie, pozbawione poręczy schody. Drzwi te stały otworem, a kiedy weszliśmy do środka, stwierdziłem z zadowoleniem, że doktor Talos nie zamknął ich za nami. Przemierzyliśmy krótki korytarz (długością dorównywał zapewne grubości ścian wieży), po czym znaleźliśmy się w

pomieszczeniu, które - jak wszystkie w tej budowlu -

zdawało się zajmować całe jej piętro. Wypełniały je maszyny z pewnością równie stare co te, jakich używaliśmy w Wieży Matachina, ale przeznaczenia tych, które teraz miałem przed oczami, nie byłem w stanie się domyślić. Wąskie schody przy jednej ze ścian prowadziły na wyższe piętro, przy przeciwległej natomiast inne, równie wąskie, ale pogrążone w ciemności, wiodły na dół, gdzie zapewne przetrzymywano więźnia, gdyż przeraźliwe wycie dobiegało właśnie spod podłogi.

- On oszalał - stwierdziłem.

Doktor Talos skinął głową.

- Jak większość z nich. To znaczy, większość z tych, których przesłuchiwałem. Daję im do picia wywar z ciemiernika, ale nie mogę powiedzieć, żeby to coś pomogło.

- Tacy klienci zajmowali u nas trzeci poziom lochów. Najczęściej byliśmy zmuszeni przetrzymywać ich tak długo wyłącznie dlatego, że zaginęły dokumenty dotyczące przestępstw, jakie popełnili, ale nikt nie miał odwagi wydać polecenia, aby wypuścić ich na wolność.

- Tak, to rzeczywiście nieprzyjemna sytuacja - mruknął uprzejmie doktor, prowadząc mnie ku schodom wiodącym w górę.

- Po pewnym czasie umierali - ciągnąłem, bynajmniej nie zniechęcony. - Albo z powodu obrażeń, jakich doznali podczas przesłuchań, albo z innych przyczyn. Więzienie ich nie miało najmniejszego sensu.

- Też tak sądzę. Uważaj na tego z hakiem. Wydaje mi się, że próbuje złapać cię za płaszcz.

- W takim razie, dlaczego go tu trzymasz? Z pewnością nie robisz tego legalnie, tak jak my?

- Głównie na części, po to Baldanders ściąga tutaj te wszystkie rupiecie. - Doktor Talos postawił stopę na pierwszym stopniu, zatrzymał się i odwrócił w moją stronę. - Musisz teraz zrobić użytek ze swego dobrego wychowania. Oni bardzo nie lubią, kiedy nazywa się ich kakogenami. Zwracając się do nich używaj imion, jakie ci podadzą i nie czyn żadnych aluzji do śluzu ani w ogóle do niczego nieprzyjemnego. Biedny Baldanders musiał się sporo namęczyć, żeby dojść z nimi do ładu po tym, jak stracił głowę w Domu Absolutu. Byłby zrozpaczony, gdybyś zepsuł wszystko na krótko przed ich odlotem.

Obiecałem wspiąć się na wyżyny moich zdolności dyplomatycznych.

Ponieważ statek spoczywał na szczycie wieży, spodziewałem się zastać Baldandersa i jego mowodawców w pokoju na najwyższym piętrze budowli. Myliłem się. Kiedy ruszyliśmy schodami w górę, usłyszałem najpierw szmer rozmowy, a potem dudniący głos olbrzyma. Tak jak często podczas naszej wędrówki, tak i teraz skojarzył mi się z hukiem walącego się muru.

W tym pomieszczeniu także było mnóstwo maszyn, tyle tylko, że wszystkie wydawały się całkowicie sprawne, a w dodatku sprawiały wrażenie, że zostały ustawione w jakimś sensownym, choć trudnym

do zrozumienia porządku, zupełnie jak urządzenia w rotundzie Typhona.

Baldanders i jego goście znajdowali się w przeciwnym końcu pomieszczenia; głowa olbrzyma, trzykrotnie większa od głowy normalnego człowieka, wystawała nad nagromadzonym metalem i kryształami niczym łeb tyranozaura sterczący ponad wierzchołkami drzew. Idąc w tamtą stronę minąłem stół nakryty szklanym kloszem, pod którym leżały szczątki młodej kobiety; rozcięto jej brzuch i wywleczono część wnętrza. Myślałem, że kobieta nie żyje, ale kiedy przechodziłem obok niej, poruszyła ustami, otworzyła oczy, a zaraz potem znowu je zamknęła.

- Mamy nowego gościa! - zawołał doktor Talos. - Na pewno nie zgadniecie, kto to taki.

Głowa olbrzyma zwróciła się powoli w moją stronę, ale jego oczy spoglądały na mnie z takim samym brakiem zrozumienia jak tego ranka w Nessus, kiedy doktor Talos obudził go w gospodzie, gdzie spędziłem z nim noc w jednym łóżku.

- Baldandersa już znasz - zwrócił się do mnie doktor - pozwolisz więc, że przedstawię cię naszym gościom.

Trzej mężczyźni - albo istoty wyglądające na mężczyzn - wstali z wdziękiem z miejsc.

Jeden z nich, gdyby naprawdę należał do gatunku ludzkiego, byłby niski i krępy, dwaj pozostali natomiast przewyższali mnie co najmniej o głowę. Wszyscy trzej mieli maski przedstawiające inteligentne, zamyślane twarze mężczyzn w średnim wieku, lecz mimo to bez trudu spostrzegłem, iż oczy dwóch wyższych są znacznie większe od ludzkich oczu, niższy zaś w ogóle jest ich pozbawiony, w związku z czym w otworach maski widać było tylko ciemność. Cała trójka miała na sobie białe szaty.

- Wasze miłości, oto nasz przyjaciel mistrz Severian z bractwa katów. Mistrzu Severianie, pozwól przedstawić sobie czcigodnych hieroduli: Osipago, Barbatusa i Famulimusa. Zadanie tych szlachetnych osób polega na rozsiewaniu ziaren mądrości wśród ludzi, reprezentowanych tutaj przez Baldandersa, a teraz także przez ciebie.

Pierwsza odezwała się istota, którą przedstawiono jako Famulimusa. Jego głos niczym nie różniłby się od ludzkiego, gdyby nie to, że był znacznie bardziej dźwięczny i melodyjny, w związku z czym odniosłem wrażenie, jakbym słuchał jakiegoś ożywionego instrumentu.

- Witaj - zaśpiewał. - To dla nas wielka radość móc cię powitać, Severianie. Grzeczność każe ci złożyć nam ukłon, ale my ugniemy przed tobą kolana.

I rzeczywiście przyklęknął na chwilę, podobnie jak dwaj pozostali. Byłem tak zdumiony, że całkowicie odebrało mi mowę.

Drugi wysoki kakogen, Barbatus, przerwał milczenie niczym doświadczony dworzanin, który stara się nie dopuścić do tego, by przedłużająca się cisza została odebrana jako wywołujący zakłopotanie nietakt. Jego głos był głębszy od głosu Famulimusa i pobrzmiwała w nim twardsza, jakby żołnierska nuta.

- Witamy cię serdecznie, tak jak powiedział mój przyjaciel. Niestety, twoi towarzysze muszą pozostać na zewnątrz tak długo, jak długo my tu będziemy. Z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę, wspominam więc o tym jedynie z obowiązku.

- To bez znaczenia - mruknął trzeci kakogen tak głębokim basem, iż wydawało mi się, że nie tyle go usłyszałem, co raczej odebrałem wibracje kośćmi czaszki, po czym odwrócił się szybko, jakby w obawie, że zwrócę uwagę na wypełnione pustką otwory w jego masce, i udał, że wygląda przez wąskie okno.

- Całkiem możliwe - zgodził się Barbatus. - Kto jak kto, ale Osipago wie o tym najlepiej.

- Masz tu jakichś przyjaciół? - zapytał szeptem doktor Talos. Jedną z osobliwości jego zachowania było to, że przebywając w grupie albo zwracał się do pojedynczych osób, ignorując pozostałe, albo przemawiał z takim zadęciem, jakby miał przed sobą nieprzeliczone tłumy.

- Wyspiarze postanowili odprowadzić mnie aż do zamku - odparłem, starając się nadać memu głosowi jak najbardziej obojętne brzmienie. - Z pewnością o nich słyszałeś; mieszkają na wyspach z trzciny, które pływają po jeziorze.

- A więc jednak zbuntowali się przeciw tobie! - syknął doktor do olbrzyma. - Ostrzegałem cię, że tak się stanie!

Podbiegł do okna, przy którym stał Osipago, odtrącił go na bok i sam zapatrzył się w ciemność. Zaraz potem odwrócił się do kakogena, uklęknął i pocałował go w rękę. Właściwie było to coś w rodzaju rękawiczki wypełnionej elastycznym materiałem i pomalowanej na kolor ciała.

- Pomożecie nam, wasze miłości, prawda? Z pewnością macie na swoim statku fantasmagorie? Wystarczy obsadzić mury zamku potwornościami, a będziemy bezpieczni na sto lat!

- Severian zwycięży - odezwał się Baldanders z charakterystyczną dla niego powolnością.

- Gdyby miało być inaczej, dlaczego by przed nim klękali? Zwycięży, nawet jeżeli zginie, a my nie. Znasz ich przecież, doktorze. Uważają, że zrabowane przedmioty mogą dać prostakom bezcenną wiedzę.

- A czy tak się stało choć jeden, jedyny raz? - parsknął wściekle Talos. - Pytam cię!

- Któż to może wiedzieć?

- Oczywiście, że nie! Nadal są takimi samymi głupimi, przesądnymi dzikusami, jak kiedyś. - Ponownie odwrócił się do kakogenów. - Szlachetni hierodule, powiedzcie mi! Wy z pewnością wiecie.

Famulimus wykonał ramieniem przedziwny gest, jakiego nie mógłby wykonać żaden człowiek. Gest ten nie stanowił ani potwierdzenia, ani zaprzeczenia, nie świadczył też ani o irytacji, ani o zadowoleniu.

- Nie będę mówił o rzeczach oczywistych nawet dla was - odrzekł. - Na przykład o tym, że ci, których się obawiacie, znaleźli sposób, aby was pokonać. Nawet jeśli istotnie są jeszcze głupi, to coś, co tu znajdują, może uczynić ich mądrymi.

Co prawda zwracał się do doktora, ale nie zdołałem się powstrzymać i wtrąciłem się do rozmowy.

- Czy wolno mi zapytać o czym mówisz, sieur?

- Mówię o was wszystkich, Severianie. Z pewnością w niczym to wam nie zaszkodzi.

- Pod warunkiem, że nie posuniesz się za daleko - upomniał go Barbatus.

- Mieszkańcy pewnej planety, gdzie czasem nasz znużony statek zatrzymuje się na kilka chwil, posługują się interesującym znakiem. Wyobraża on węża o dwóch głowach, po jednej na każdym końcu ciała. Jedna z tych głów jest martwa, a druga szarpie ją zębami.

- Wydaje mi się, że mówisz o tej planecie - powiedział Osipago, nie odwracając się od okna.

- Z pewnością Camoena określiłaby dokładnie jej położenie, ale to nie ma większego znaczenia. Tym łatwiej mnie zrozumiecie nie wiedząc, którą z planet mam na myśli. Otóż żywa głowa oznacza zniszczenie, martwa zaś budowanie. Pierwsza odżywia się drugą, a jednocześnie dostarcza jej materiału, dzięki czemu tamta wciąż na nowo się odradza. Dziecko powiedziałoby wam, że gdyby pierwsza zdechła, druga, ta martwa, odniosłaby zwycięstwo, ale prawda wygląda w ten sposób, że bardzo szybko z obu nie zostałyby żaden ślad.

- Co jednak na pierwszy rzut oka wcale nie jest takie oczywiste - dorzucił Barbatus. -

Zrozumieliście?

- Ja nie! - oświadczył zirytowany doktor Talos i zbiegł po schodach.

- To nie ma znaczenia - poinformował mnie Barbatus. - Ważne, że jego pan wie, o co chodzi. - Umilkł na chwilę, jakby spodziewając się zaprzeczenia ze strony Baldandersa, po czym dodał, wciąż zwracając się do mnie: - Musisz wiedzieć, iż pragniemy przyczynić się do rozwoju waszego gatunku, nie zaś podporządkować go sobie.

- Mówisz o ludziach z brzegu?

Przez cały czas z zewnątrz dobiegał przytłumiony szmer jeziora. Osipago odpowiedział

tak cicho, że jego głos niemal stopił się z szumem gnanych wiatrem fal.

- On mówi o wszystkich...

- A więc to prawda! Wielu mędrców podejrzewało właśnie coś takiego. Jesteśmy sterowani. Opiekujecie się nami i to wy właśnie wyprowadziliście nas z barbarzyństwa! Dla nas trwało to nieprzeliczone wieki, ale według waszej rachuby czasu minęło zapewne tylko kilka dni.

- Ogarnięty entuzjazmem wydobyłem książkę w brązowej okładce; choć zawinięta w nasączony oliwą jedwab, wciąż jeszcze była nieco wilgotna po kąpieli, jaką jej niedawno sprawiłem. -

Posłuchajcie, co tu jest napisane: „Człowiek niemądry staje się obiektem zainteresowania mądrości. Jeżeli mądrość uzna, że wart jest trudu, czy powinna od razu oświecić jego duszę?”

- Mylisz się - odparł Barbatus. - Stulecia są dla nas całymi eonami. Mój przyjaciel i ja zajmujemy się wami krócej, niż trwa twoje życie.

- Oni żyją tylko kilkanaście lat, jak psy - odezwał się Baldanders. Ton jego głosu powiedział mi więcej, niż znaczyły słowa, gdyż każde z nich przypominało kamień ciśnięty do głębokiej studni.

- To niemożliwe! - zaprotestowałem.

- Ty jesteś dziełem, dla którego żyjemy - wyjaśnił Famulimus. - Z kolei człowiek, którego zwiecie Baldandersem, żyje po to, żeby się uczyć. Jak widzisz, gromadzi wiedzę przeszłości niczym ziarna, z których ma wyrosnąć jego siła. W swoim czasie zginie z rąk, co nigdy nie zebrały ani jednego ziarna, ale wszyscy odniesiecie z tego jakiś pożytek. Pomyśl o drzewie, którego korzenie rozsadzają skałę. Gromadzi wodę, ciepło słońca, najróżniejsze życiodajne substancje... wszystko wyłącznie na swój użytek. Z czasem jednak umrze i zgnije, zwracając ziemi to, co z niej kiedyś wyciągnęło, a wkrótce potem w miejscu, gdzie rosło, zacznie kiełkować cały las.

Doktor Talos wyłonił się z dolnego pomieszczenia i szyderczo zaklaskał w dłonie.

- A więc celowo zostawiliście mu te wszystkie maszyny? - zapytałem, jednocześnie uświadamiając sobie ze zdziwieniem, że przez cały czas myślę o wypatroszonej kobiecie leżącej piętro niżej pod szklanym kloszem. Kiedyś widok ten nie wywarłby na mnie najmniejszego wrażenia.

- Nie - odparł Barbatus. - Część z nich znalazł, część zaś sam zbudował. Tak jak powiedział Famulimus, pragnął się uczyć, a my tylko dopilnowaliśmy, żeby to robił. Nikogo nigdy nie uczymy, dostarczamy jedynie te skomplikowane urządzenia, których sami z pewnością nie zdołalibyście skonstruować.

-Te potwory nic dla nas nie robią - odezwał się doktor Talos. - Zresztą, przekonałeś się o tym na własne oczy. Kiedy mój nieszczęsny pacjent stracił panowanie nad sobą na scenie w Domu Absolutu, o mało nie zabili go strzałami ze swoich pistoletów.

Olbrzym poruszył się na wielkim krześle.

- Nie udawaj współczucia, doktorze, bo zupełnie ci z tym nie do twarzy. Rozzłościło mnie, że muszę udawać głupca na ich oczach... - Potężne ramiona uniosły się i opadły. -

Obiecali mi, że o tym zapomną.

- Jak doskonale wiesz, mogliśmy tamtej nocy bez trudu zabić twój stwórce --

powiedział Barbatus. - Poparzyliśmy go tylko, aby zaniechał ataku.

Przypomniałem sobie, co usłyszałem od olbrzyma, kiedy rozstawaliśmy się w lesie graniczącym z ogrodami Autarchy: że jest panem doktora. Teraz, nie myśląc nad tym, co robię, chwyciłem Talosa za rękę. Była tak samo ciepła jak moja, tyle tylko, że o zaskakująco suchej skórze. Po chwili wyrwał ją z mojego uścisku.

- Kim jesteś? - zapytałem, a nie otrzymawszy odpowiedzi zwróciłem się do Famulimusa i Barbatusa.
- Znałem kiedyś człowieka, który był częściowo z ciała, a częściowo z metalu...

Nie odpowiedzieli, tylko spojrzeli na olbrzyma i choć ich twarze okrywały maski, bez trudu domyśliłem się, że wyrażają oczekiwanie równoznaczne z rozkazem.

- To homunculus - zadudnił Baldanders.

ROZDZIAŁ XXXIV

MASKI

Podczas naszej rozmowy zaczął padać deszcz, bębniąc milionem lodowatych pięści w szare, kamienne ściany zamku. Usiadłem i ścisnąłem Terminus Est między kolanami, gdyż w przeciwnym razie zaczęłyby się trząść jak w febrze.

- Wydawało mi się, że kiedy wyspiarze mówili o jakimś niedużym człowieku, który zapłacił za wzniesienie tej budowli, mieli na myśli doktora - powiedziałem tak spokojnie, jak tylko było mnie na to stać. - Dowiedziałem się też, że olbrzym, czyli ty, zjawiłeś się później.

- Ja byłem tym małym człowiekiem. To doktor przybył później. Za oknem pojawiła się na mgnienie oka upiorna twarz jakiegoś kakogena. Możliwe, że przekazał Osipago jakąś wiadomość, choć ja niczego nie słyszałem.

- Wzrost ma swoje ujemne strony, choć w waszym przypadku jest to jedyna metoda przywracania młodości - powiedział, nadal odwrócony do nas plecami.

Doktor Talos poderwał się na nogi.

- Pokonamy ich! Przecież on oddał się w moje ręce!

- Musiałem to zrobić - odparł Baldanders. - Nie miałem wyboru, więc sam sobie stworzyłem lekarza.

Wciąż jeszcze usiłowałem odzyskać zdolność normalnego myślenia, spoglądając kolejno na trzech kakogenów; jak na razie, w ich wyglądzie nie zaszły żadne zmiany.

- Ale przecież on cię bije - zauważyłem. - Sam to widziałem.

- Kiedyś podsłuchałem twoją rozmowę z mniejszą kobietą. Powiedziałeś jej, że zabiłeś inną kobietę, którą kochałeś, mimo że byłeś jej niewolnikiem.

- Trzeba zmuszać go, żeby ruszył się z miejsca - wyjaśnił doktor Talos. - Powinien dużo ćwiczyć. Podobno Autarcha - którego dobre zdrowie jest szczęściem jego poddanych - ma w swojej sypialni izochron, będący darem od innego autarchy, spoza krawędzi naszego świata. Kto wie, może nawet od władcy tych oto dżentelmenów? W każdym razie, nasz Autarcha obawia się zamachu na swoje życie, w związku z czym, kiedy śpi, nikt nie ma wstępu do jego komnaty.

Urządzenie to odmierza nocne wachty i budzi go, kiedy wstaje świt. Jak to możliwe, żeby on, pan całej Wspólnoty, pozwalał zwykłej maszynie zakłócać swój sen? Baldanders istotnie stworzył

mnie jako swego lekarza. Severianie, znasz mnie już od dłuższego czasu, czy zaryzykowałbyś więc twierdzenie, że jestem dotknięty przypadłością znaną powszechnie pod nazwą fałszywej skromności?

Potrząsnąłem głową i zdołałem się nawet uśmiechnąć.

- W takim razie powiem ci, że nie jestem również odpowiedzialny za moje cnoty.

Baldanders postąpił bardzo mądrze czyniąc mnie takim, jakim sam nie jest, dzięki czemu uzupełniam wszystkie jego braki. Na przykład, nie przywiązuję żadnej wagi do pieniędzy. To znakomita cecha u lekarza, przynajmniej z punktu widzenia pacjentów. Jestem także lojalny wobec przyjaciół, gdyż on jest pierwszym z nich.

- Mimo to zawsze zastanawiałem się, dlaczego cię nie zabije - odparłem.

W pokoju było tak zimno, że otuliłem się szczelnie płaszczem, choć nie ulegało wątpliwości, iż obecny spokój jest tylko ciszą przed burzą.

- Z pewnością wiesz, w jaki sposób udawało mi się zapanować nad sobą, ponieważ widziałeś, jak dałem się ponieść wściekłości. Siedzieli tam wszyscy, tak jak teraz, i gapili się na mnie, jakbym był niedźwiedziem na łańcuchu...

Doktor Talos dotknął ręki olbrzyma gestem, w którym było coś kobiecego.

- To sprawa gruczołów, Severianie. System wewnętrzny i tarczyca. Wszystkim trzeba dokładnie sterować, bo w przeciwnym razie rósłby zbyt szybko, co mogłoby doprowadzić do tego, że kości zaczęłyby łamać się pod ciężarem ciała, i do tysiąca innych rzeczy.

- Mózg! - zadudnił olbrzym. - Mózg jest najgorszy ze wszystkiego i jednocześnie najlepszy.

- Czy Pazur ci pomógł? - zapytałem. - Jeśli nie, to może skuteczniej zadziała w moich rękach. Przez krótki czas zrobił dla mnie więcej, niż dla Peleryn przez wiele lat.

Twarz Baldandersa nadal była pusta i pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

- On mówi o tym klejnocie przysłanym przez rybaków - pospieszył mu z pomocą doktor Talos. - Podobno ma cudowne właściwości lecznicze.

- To bardzo interesujące - powiedział Osipago, odwracając się wreszcie od okna. - Macie go tutaj? Moglibyśmy go zobaczyć?

Doktor przeniósł zaniepokojone spojrzenie z nieruchomej maski kakogena na twarz Baldandersa i z powrotem.

- Och, wasza wielmożność, to błahostka niewarta uwagi, kawałek zwykłego korundu.

Od chwili, kiedy wszedłem do pokoju, żaden z kakogenów nie ruszył się z miejsca, ale teraz Osipago podszedł do mojego krzesła kołyszając się jak kaczką. Chyba wykonałem ruch, jakby chciał się cofnąć, gdyż przemówił uspokajającym tonem:

- Nie musisz się mnie obawiać, choć mógłbym zadać ci wielki ból. Chcę jedynie usłyszeć coś więcej na temat tego Pazura, o którym ów homunculus mówi, że jest tylko okazem minerału.

Ogarnęła mnie obawa, czy on i jego towarzysze nie zechcą odebrać Pazura Baldandersowi i zabrać go do siebie, poza otchłań kosmosu, ale doszedłem do wniosku, że najpierw będą musieli zmusić olbrzyma, by pokazał im klejnot, a wówczas może uda mi się go odzyskać.

Opowiedziałem więc kakogenowi o wszystkim, czego dokonał Pazur będąc w moim posiadaniu: o żołnierzu na drodze, o małpoludach, a także o pozostałych przypadkach, kiedy zademonstrował nadzwyczajną moc. W miarę jak snułem opowieść, na twarzy olbrzyma pojawiał się wyraz coraz większej zawziętości, na twarzy doktora zaś, jak mi się wydaje, obawy.

- Teraz musimy na własne oczy zobaczyć ten zadziwiający przedmiot - oświadczył

Osipago, kiedy skończyłem. - Pokaż go nam, proszę.

Baldanders bez słowa wstał z krzesła, przeszedł przez całą szerokość pokoju - potężne maszyny wydawały się przy nim nie większe od zabawek - wysunął szufladę niewielkiego stolika o białym blacie i wyjął z niej klejnot. W jego ręku Pazur przypominał kawałek niebieskiego, dymnego szkła.

Kakogen wziął go z ręki olbrzyma i podniósł wysoko, trzymając w dwóch palcach swojej pomalowanej rękawiczki. Żółte światło lamp zwieszających się z sufitu padło na klejnot, który załśnił czystym lazurem.

- Bardzo piękny - stwierdził Osipago. - I bardzo interesujący, choć z pewnością nie mógł uczynić ani jednej z rzeczy, które mu się przypisuje.

- Naturalnie - zanucił Famulimus, po czym wykonał kolejny gest nasuwający mi skojarzenia z posągami, jakie widziałem w ogrodach Autarchy.

- Należy do mnie - powiedziałem. - Ludzie z wioski na brzegu odebrali mi go siłą. Czy mogę go odzyskać?

- Skoro jest twój, to może powiesz nam, skąd go wzięłeś? Zacząłem opowiadać o spotkaniu z Agią i zniszczeniu ołtarza w katedrze Peleryn, ale nie pozwolił mi dokończyć.

- To wszystko tylko domysły. Nie widziałeś klejnotu na ołtarzu, nie poczułeś też, jak kobieta wsuwa ci go do sakwy, jeżeli w ogóle to uczyniła. Skąd go wzięłeś, kiedy zobaczyłeś go po raz pierwszy?

- Z przegródki w mojej sakwie - odparłem zgodnie z prawdą.

Barbatus odwrócił się ode mnie, jakbym sprawił mu zawód, i spojrzał na Baldandersa.

- A teraz ty. W tej chwili klejnot ma Osipago, który wziął go od ciebie. Skąd ty go wzięłeś?

- Przecież widzieliście - odparł Baldanders grzmiącym głosem. - Z szuflady tego stolika.

Kakogen skinął głową, a raczej udał, że to czyni, ujmując maskę w obie ręce i poruszając nią w górę

i w dół.

- Sam widzisz, Severianie, że wasze stwierdzenia niczym się nie różnią.

- Ale klejnot jest mój, nie jego!

- Nie do nas należy rozstrzygnięcie sporów między wami. Musicie wyjaśnić tę sprawę, kiedy odlecimy. Jednak z ciekawości, która dręczy nawet tak dziwaczne stworzenia, za jakie nas uważacie, muszę zapytać: Baldandersie, czy będziesz się starał go zatrzymać?

Olbrzym pokręcił głową.

- Nie chcę tego pomnika zabobonu w moim laboratorium.

- A więc wygląda na to, że problem łatwo da się rozwiązać - stwierdził Barbatus. -

Severianie, czy chciałbyś obserwować start naszego pojazdu? Baldanders nigdy nie może sobie odmówić tej przyjemności, a choć z pewnością nie należy do osób łatwo ulegających zachwytowi, to myślę, że widok jest godzien podziwu.

Wyrzekłszy te słowa odwrócił się, poprawiając białe szaty.

- Szlachetni hierodule - odparłem. - Z radością bym to uczynił, ale najpierw chcę zadać wam jeszcze jedno pytanie. Kiedy tu przybyłem, oznajmiliście, że mój widok sprawia wam wielką radość, a potem uklękliście przede mną. Co to miało oznaczać? Może wzięliście mnie za kogoś innego?

Zaraz po tym, jak kakogen wspomniał o odlocie, Baldanders i doktor Talos podnieśli się z krzeseł. Teraz jedynie Famulimus pozostał na miejscu, by odpowiedzieć na moje pytanie, Barbatus ruszył po schodach prowadzących na kolejne piętro, Osipago zaś, wciąż trzymając Pazur w dłoni, podążył tuż za nim.

Ja także poszedłem za nimi, bojąc się stracić klejnot z oczu. Famulimus kroczył obok mnie.

- Choć nie zdałeś egzaminu, nie cofam ani słowa z tego, co powiedziałem. - Jego głos przypominał śpiew jakiegoś cudownego ptaka, dobiegający przez otchłań dzielącą mnie od nieosiągalnego uniwersum. - Jakże często radziliśmy w tej sprawie, suzerenie. Jakże często ustępowaliśmy sobie nawzajem. Przypuszczam, że spotkałeś już kobiety mieszkające w wodzie?

Czyżbyś przypuszczał, że Osipago, dzielny Barbatus i ja jesteśmy głupszy od nich?

Nabrałem pełne płuca powietrza.

- Co prawda nie wiem, o czym mówisz, ale czasem wydaje mi się, że choć wy, hierodule, budzicie przerażenie swoim wyglądem, to jednocześnie jesteście dobrzy, czego nie można powiedzieć o wodnicach, które, choć pełne wdzięku, są zarazem tak ohydne, że nie mogę na nie patrzeć.

- Czyżby cały świat miał stanowić jedynie pole bitwy między dobrem a złem? Nie przyszło ci do

głowy, że może być czymś więcej?

Istotnie, nie przyszło mi to do głowy, mogłem więc tylko wpatrywać się w niego bez słowa.

- A mimo to jestem pewien, że bez trudu zniesiesz mój widok. Jeśli pozwolisz, zdejmę teraz maskę. Obaj wiemy, że nie jest niczym więcej, a ponieważ wszyscy już poszli, nikt mnie nie zobaczy.

- Jak sobie życzysz, wasza miłość - odparłem. - Czy jednak nie powiesz mi, co...

Famulimus wykonał szybki ruch ręką i z czymś w rodzaju ulgi ściągnął maskę. Twarz, która wyłoniła się spod niej, nie była twarzą, tylko oczami pływającymi w kałuży rozkładu. Zaraz potem ręka poruszyła się ponownie i ohydna potworność znikła, ustępując miejsca przedziwnemu pięknu i spokojowi, jakie widziałem wyrzeźbione na twarzach ruchomych posągów w ogrodach Domu Absolutu. To oblicze miało jednak tyle samo wspólnego z tamtymi, co twarz żywej kobiety z jej nieruchomą podobizną.

- Nigdy nie przyszło ci do głowy, Severianie, że ten, kto nosi maskę, może mieć na twarzy więcej niż jedną? - zapytał. - Ja mam jednak tylko dwie i ani jednej więcej. Przysięgam, że teraz nie dzieli nas już żadna nieprawda. Dotknij mnie, panie: twoje palce niech spoczną na mojej twarzy.

Bąłem się, ale on ujął mnie za rękę i zbliżył ją do policzka. Był zimny, choć ponad wszelką wątpliwość żywy, stanowiąc dokładne przeciwieństwo skóry doktora.

- Wszystkie maski, jakie widziałeś na naszych twarzach, wyobrażają istoty z Urth: owada, minoga, trędownego... Choć z pewnością trudno ci w to uwierzyć, należysz do ich świata, a one do twojego.

Znajdowaliśmy się już blisko najwyższego piętra wieży, coraz częściej stąpając po osmalonym drewnie - pamiątkach po pożarze, który zmusił Baldandera i jego lekarza do opuszczenia zamku. Cofnąłem rękę, a wówczas Famulimus ponownie założył maskę.

- Po co to robicie? - zapytałem.

- Po to, żebyście bali się nas i darzyli nienawiścią. Czy myślisz, że w przeciwnym razie zwykli ludzie długo byliby posłuszni władzy innej niż nasza? Nie chcemy wami rządzić. Czyż Autarcha nie trwa na Tronie Feniksa tylko dlatego, że broni was przed nami?

Poczułem się tak jak czasami w górach, kiedy budziłem się ze snu i spoglądałem ze zdumieniem w górę, by zamiast obecnych w moim śnie ścian gabinetu mistrza Palaemona albo naszej jadalni, albo korytarza, gdzie stałem na straży przy drzwiach celi Thecli, ujrzeć zielony księżyc przypięty do nieba prostą szpilą sosny oraz pokryte zmarszczkami, surowe twarze gór pod popękkanymi diademami lodowców.

- W takim razie, dlaczego mi to pokazałeś? - wykrztusiłem z trudem.

- Dlatego, że nigdy już nas nie zobaczysz. Nasza przyjaźń tutaj się zaczyna i kończy.

Możesz uważać to za pożegnalny upominek od odjeżdżających przyjaciół.

Doktor, który szedł daleko w przdzie, otworzył drzwi. Donośne bębnienie deszczu zamieniło się w ogłuszający ryk, a zimne, martwe powietrze wypełniające wnętrze wieży poruszyło się gwałtownie pod naporem jeszcze bardziej lodowatego, ale żyjącego wiatru.

Baldanders musiał mocno się pochylić, aby przejść przez drzwi, ja zaś uświadomiłem sobie, że już niedługo nie będzie w stanie tego uczynić, bez względu na starania doktora Talosa; nie obejdzie się bez powiększenia otworów drzwiowych i poszerzenia schodów, bo gdyby runął z nich, niechybnie poniósłby śmierć. Dopiero teraz zrozumiałem, co przez cały czas nie dawało mi spokoju: ogromne rozmiary i nadzwyczajna wysokość pomieszczeń w jego wieży. Natychmiast pojawiła się myśl, jakie też muszą być jej podziemia, gdzie trzymał umierających z głodu więźniów.

ROZDZIAŁ XXXV

Z dołu wydawało się, że statek spoczywa na szczycie wieży, ale w rzeczywistości unosił

się jakieś pół łańcucha nad naszymi głowami - zbyt wysoko, żeby zapewnić ochronę przed zacinającym deszczem, w którego strugach obły kadłub błyszczał niczym ogromna czarna perła.

Wpatrując się w niego usiłowałem sobie wyobrazić, jak ogromne żagle rozpościera taki kolos, aby wykorzystać wiatry wiejące między planetami; potem, kiedy zastanawiałem się, czy jesteśmy obserwowani przez załogę, jeden z jej członków, podobny do trytona i spowity w pomarańczową poświatę, pojawił się na powierzchni kadłuba, wędrując po niej na czworakach głową w dół, mimo że była mokra jak rzeczny kamień i wypolerowana jak ostrze Terminus Est. Miał na twarzy jedną z masek, jakie już wielokrotnie opisywałem nie wiedząc, że są właśnie maskami.

Na widok Osipago, Barbatusa i Famulimusa zatrzymał się, a chwilę potem z góry opuszczono cienką linę, również jarzącą się pomarańczowym blaskiem, tak że sprawiała wrażenie utkanej ze światła.

- Teraz musimy odejść - zwrócił się Osipago do Baldandersa i wręczył mu Pazur. -

Przemyśl dobrze wszystko, czego ci nie powiedzieliśmy i zapamiętaj to, co nie zostało ci pokazane.

- Tak zrobię - odparł olbrzym najbardziej ponurym tonem, jaki kiedykolwiek u niego słyszałem.

Osipago chwycił wówczas linę i począł się wspinać, aż zniknął mi z oczu za wypukłością kadłuba statku. Odniosłem jednak wrażenie, że posuwał się nie w górę, tylko w dół, jakby statek był czymś w rodzaju planety i przyciągał wszystko ku sobie, tak jak czyni to Urth, albo może sam Osipago stał się lżejszy od naszego powietrza, niczym żeglarz, co dał nurka do morza i począł unosić się ku powierzchni, tak jak stało się ze mną, kiedy wyskoczyłem z łodzi hetmana.

Bez względu na to, jak naprawdę sprawy się miały, Barbatus i Famulimus nie zwlekając poszli w jego ślady. Famulimus pomachał ręką, zanim zakryła go krawędź kadłuba. Baldanders i doktor z pewnością myśleli, że w ten sposób żegna się z nimi, ja jednak wiedziałem, iż ów gest był przeznaczony wyłącznie dla mnie. Mimo że naciągnąłem kaptur na głowę, nagły powiew wiatru chlusnął mi w twarz deszczem.

Najpierw bardzo powoli, potem coraz szybciej, statek uniósł się i zaczął maleć, odlatując nie ku północy, południu, wschodowi czy zachodowi, lecz w kierunku, którego nie byłem w stanie wskazać, aż wreszcie zupełnie zniknął.

Baldanders odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Słyszałeś, co powiedzieli.

Nie rozumiałem, o co mu chodzi, więc odparłem:

- Tak, rozmawiałem z nimi. Doktor Talos sam mnie do tego zachęcił.

- Nic mi nie wyjaśnili. Niczego mi nie pokazali.

- Widziałeś ich statek i rozmawiałeś z nimi - przypominałem mu. - To także coś znaczy.

- Każą mi iść naprzód, ciągle naprzód. Poganiają mnie jak wołu prowadzonego na rzeź.

Zbliżył się do blanków i zapatrzył w bezkresną połąć jeziora, którego sieczone deszczem wody przybrały barwę mleka. Wierzchołki kamiennych obmurowań znajdowały się dobrych kilka piędzi powyżej mojej głowy, ale on oparł na nich ręce jak na parapecie, a wówczas dostrzegłem błękitne lśnienie Pazura w jego garści. Doktor Talos pociągnął mnie za poję płaszcz, mamrocząc pod nosem, że powinniśmy skryć się przed deszczem, ale ja nie wykonałem najmniejszego ruchu.

- To się zaczęło na długo przed twoim przyjściem na świat. Najpierw pomagali mi, zadając pytania i sugerując odpowiedzi, a teraz jedynie dają najbardziej ogólne wskazówki i kierują mną w taki sposób, żebym musiał robić, czego ode mnie chcą, nie mając żadnego wyboru. Dzisiaj nie było już nawet tego.

Pragnąłem uzyskać od niego przyrzeczenie, że nie będzie wykorzystywał wyspiarzy do swoich eksperymentów, ale nie bardzo wiedziałem, jak się do tego zabrać, powiedziałem więc tylko, że widziałem dziś jego grzmiące pociski, które wywarły na mnie ogromne wrażenie.

- To sól - odparł i ponownie odwrócił się w moją stronę, zasłaniając wielką głową pół

nieba. - Ty nic nie wiesz. Sól jest substancją chemiczną występującą w ogromnych ilościach w wodzie morskiej. Czy sądzisz, że dałbym go rybakom, gdyby był czymś więcej niż tylko zabawką? Jedyńm naprawdę wielkim dziełem, jakiego udało mi się dokonać, jestem ja sam.

- Rozejrzyj się dokoła! - szepnął doktor Talos. - Nie widzisz, że jest dokładnie tak, jak on mówi?

- Co masz na myśli? - zapytałem również szeptem.

- Ten zamek, potwór, uczony... Dopiero teraz na to wpadłem. Z pewnością wiesz, że podobnie jak nawet najmniej istotne wydarzenia z minionych stuleci rzucają cień na dzień dzisiejszy, tak teraz, kiedy słońce zbliża się ku mrocznej przepaści, nasze cienie pędzą w przeszłość, zamieniając w koszmary sny naszych przodków.

- Jesteś szalony - odparłem. - Albo żartujesz.

- Szalony? - zadudnił Baldanders. - To ty jesteś szalony! Ty, ze swoimi fantazjami na temat boskiej osoby... Jakże oni musieli się z nas śmiać! Teraz uważają nas wszystkich za barbarzyńców, w tym również mnie, który pracowałem w pocie czoła przez trzy pokolenia!

Wyciągnął przed siebie rękę i otworzył dłoń, a Pazur zaślnił jaskrawym blaskiem.

Sięgnąłem po klejnot, ale olbrzym cisnął go w ciemność. Jakże jasno zaświecił w chłostanym deszczem mroku! Zupełnie jakby sama Skuld spadła z nocnego nieba.

Usłyszałem okrzyk ludzi jeziora zgromadzonych przed murem. To nie ja dałem im znak; został im dany za sprawą jedyne go wydarzenia - może oprócz ataku na moją osobę - jakie mogłoby mnie skłonić do tego, by zachęcić ich do ataku. Bojowe zawołanie wciąż jeszcze rozbrzmiewało w mroku, kiedy błyskawicznie obnażyłem Terminus Est i uniosłem go, ale zanim zdążyłem zadać olbrzymowi cios, między nas wskoczył doktor Talos. W pierwszej chwili pomyślałem, że trzyma w ręku swoją trzcinową laskę i gdyby serca nie rozdzierała mi rozpacz po utracie Pazura, z pewnością roześmiałbym się, opuszczając miecz. Jednak stal trafiła na stal i choć siła mego ciosu sprawiła, że doktor aż przysiadł, to jednak udało mu się powstrzymać uderzenie. W tej samej chwili Baldanders przemknął jak ogromny cień, potracając mnie dość mocno, w wyniku czego zatoczyłem się i oparłem plecami o kamienne zwieńczenie muru.

Z pewnością nie zdołałbym uniknąć pchnięcia zadanego przez doktora, ale chyba dzięki osłonie, jaką dawał mi w ciemności fuliginowy płaszcz, ostrze tylko prześlizgnęło się po moich żebrach i trafiło na kamień. Uderzyłem Talosa rękojęścią, a on zatoczył się do tyłu.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu Baldandersa, lecz nigdzie nie mogłem go dostrzec. Z

pewnym opóźnieniem uświadomiłem sobie, że prawdopodobnie pobiegł do drzwi, które znajdowały się za moimi plecami, pchnął mnie zaś tylko mimochodem, jak człowiek pogrążony głęboko w myślach, który przed wyjściem z pokoju odruchowo gasi świecę.

Doktor leżał bez ruchu na kamiennych płytach tworzących dach budowli. Za dnia prawdopodobnie były ciemnoszare, teraz jednak lśniły mokrą, głęboką czernią. Mimo to bez trudu mogłem dostrzec jego rude włosy i brodę, dzięki czemu stwierdziłem, iż leży na brzuchu, z mocno przekreśloną głową. Nie przypuszczałem, że uderzyłem go aż tak mocno, choć nie da się wykluczyć, że jestem znacznie silniejszy, niż mi się wydaje. Podejrzewałem, że to raczej doktor Talos - pomimo całej swojej koguciej zadziorności - jest słabszy, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać, może z wyjątkiem Baldandersa. Łatwo mogłem go wówczas zabić, uderzając w ten sposób, by przednia część ostrza Terminus Est zagłębiła się w jego czaszce.

Ja jednak tylko podniosłem broń, która wypadła mu z ręki. Był to tak zwany „miecz chirurga” o jednostronnym ostrzu szerokości mojego kciuka. Przyjrząwszy się dokładniej stwierdziłem, że jego rękojęść jest jednocześnie uchwytem trzcinowej laski, którą tak często posługiwał się doktor. Uśmiechnąłem się na myśl o tym, że w tajemnicy przede mną niósł swój miecz przez tyle mil, podczas gdy ja taszczyłem swój na ramieniu. Ostrze pękło przy samym czubku po ciosie, który zatrzymał się na kamieniu. Cisnąłem broń za parapet, tak samo, jak Baldanders uczynił z Pazurem, po czym wszedłem do wnętrza wieży, aby zabić olbrzyma.

Kiedy wspinaliśmy się po schodach, byłem zbyt zajęty rozmową z Famulimusem, żeby dokładnie przyglądać się mijanym pomieszczeniom. Z najwyższej usytuowanego zapamiętałem tylko tyle, że było całe obite jakimś szkarłatnym materiałem. Teraz zobaczyłem czerwone kule -

były to lampy świecące mimo tego, że nie płonął w nich ogień, podobnie jak srebrne kwiaty zwieszające się z sufitu komnaty, gdzie spotkałem trzy przedziwne istoty, których już nie mogłem

nazywać kakogenami. Lampy te stały na postumentach z kości słoniowej sprawiających wrażenie tak lekkich, jakby wykonano je z kości ptaków. Postumenty te wyrastały z podłogi zasłanej ogromną ilością materiału w najróżniejszych odcieniach czerwieni, sufit zaś zasłaniał

taki sam baldachim podtrzymywany przez atlanty, tyle tylko, że z naszytymi niezliczonymi srebrnymi płytkami, wypolerowanymi równie doskonale jak zbroje pretorian Autarchy.

Trzeba było kilku chwil, abym pojął, że trafiłem do sypialni olbrzyma: ogromne łóżko, pięciokrotnie większe od normalnego, znajdowało się na poziomie podłogi, a rozrzucona bezładnie, szkarłatna pościel wałała się zarówno na nim, jak i na krwistoczerwonym dywanie.

Zaraz potem wśród fałd materiału dostrzegłem czyjąś twarz. Zniknęła, jak tylko uniosłem miecz, ale ja nachyliłem się i odrzuciłem na bok jedno z prześcieradeł. Katami ta - jeśli istotnie nim był -

wstał, po czym spojrzał na mnie ze śmiałością, jaką czasem wykazują dzieci. On także był

jeszcze dzieckiem, mimo że niemal dorównywał mi wzrostem: zupełnie nagi i tak otyły, że fałdy tłuszczu na brzuchu zasłaniały mu przyrodzenie. Jego ramiona przypominały różowe poduszki powiązane złotymi sznurkami, w przekłutych uszach zaś wisały złote kolczyki z małymi dzwoneczkami. Włosy także miał złote, kręcone, oczy natomiast błękitne i niewinne jak u niemowlęcia.

Mimo jego słuszych rozmiarów ani przez chwilę nie przypuszczałem, żeby Baldanders uprawiał z nim pederastię w taki sposób, w jaki to się zwykle robi, choć całkiem możliwe, iż miał

zamiar czynić to w przyszłości, kiedy chłopiec podrośnie. Ponieważ olbrzym nauczył się kontrolować proces rozrastania się własnego ciała, ograniczając go do niezbędnego minimum, tak by tylko niwelować na bieżąco zniszczenia powodowane upływem lat, z pewnością potrafił

również przyspieszyć rozwój tego nieszczęsnego chłopca. Wydawało się bardziej niż pewne, że zajął się nim dopiero po rozstaniu z Dorcas i ze mną.

(Zostawiłem chłopca tam, gdzie go znalazłem i po dziś dzień nie mam pojęcia, co się z nim później stało. Jest bardzo prawdopodobne, że zginął, choć należy liczyć się także z możliwością, że albo zaopiekowali się nim ludzie jeziora, albo nieco później uczynił to hetman lub któryś z jego poddanych).

Zszedłem piętro niżej, a widok, jaki tam ujrzałem, kazał mi natychmiast zapomnieć o spotkaniu z chłopcem. To pomieszczenie było tak samo wypełnione mgłą (której z pewnością nie było, kiedy szliśmy na górę), jak sypialnia szkarłatnymi materiałami. Opary wiły się i poruszały jak żywe, zupełnie jakby przed chwilą opuściły usta Prastwórcy. Kiedy rozglądałem się zdumiony, przede mną nagle pojawił się biały jak grobowy robak człowiek z długą włócznią w dłoni. Zanim zorientowałem się, że mam do czynienia ze zjawą, ostrze mego miecza przecięło jego ramię z takim samym skutkiem, jakbym zaatakował słup siwego dymu unoszący się nad dogasającym ogniskiem. Fantom natychmiast zaczął się kurczyć, jakby zapadając się do swego wnętrza.

Ruszyłem w dół po schodach, by wreszcie zanurzyć się w chłodnej, zmaconej bieli. Jej powierzchnia wybrzuszyła się i napęczniała, a następnie uformowała się w kształt odrażającej postaci, będącej skrzyżowaniem człowieka z żabą. Wszystkie karły, jakie widywałem, miały korpusy normalnej wielkości, natomiast kończyny, choć bardzo muskularne, były rozmiarów rąk i nóg dzieci. Jednak ten osobnik był zbudowany według odmiennych zasad: ręce i nogi, znacznie dłuższe od moich, wyrastały z poskręcanego, skurczonego tułowia.

Antykarzeł począł wymachiwać krótkim mieczem, a następnie, otworzywszy usta do bezgłośnego krzyku, zatopił go w karku białego mężczyzny, nie zwracając najmniejszej uwagi na włócznię, którą tamtem wbił mu w pierś.

Rozległ się donośny śmiech. Choć nieczęsto zdarzało mi się go słyszeć, wiedziałem doskonale, z czyjego gardła się wydobywa.

- Baldanders! - zawołałem.

Jego głowa wyłoniła się z mgły niczym wierzchołek góry, który o świcie wznosi się ponad opadające obłoki.

ROZDZIAŁ XXXVI

BITWA NA DZIEDZIŃCU

- Oto prawdziwy przeciwnik - powiedziałem. - Z prawdziwą bronią.

Ruszyłem ku niemu przez mgłę, badając drogę wyciągniętym w przód mieczem.

- Ci, którzy pokazują się w mojej komnacie mgieł, także są prawdziwi, choć najwięcej jest ich pod nami - odparł spokojnie Baldanders. - Pierwszy był jednym z twoich przyjaciół, drugi jednym z moich wrogów.

Opary rozstąpiły się, dzięki czemu zobaczyłem, że siedzi na środku pokoju w masywnym fotelu. Jak tylko skierowałem się ku niemu, podniósł się szybko, chwycił mebel za oparcie i cisnął go w moją stronę tak łatwo, jakby to był wiklinowy koszyk. Fotel przeleciał tuż obok mojej głowy.

- Teraz będziesz chciał mnie zabić - dodał olbrzym. - A Wszystko z powodu głupiego zabobonu. Powinienem był rozprawić się z tobą tej nocy, kiedy spałeś w moim łóżku.

Ja mogłem powiedzieć dokładnie to samo, ale nie zadałem sobie tego trudu. Nie ulegało wątpliwości, że udając bezsilność chce sprowokować mnie do nie przemyślanego ataku, a choć zdawał się nie mieć broni, to był jednak dwukrotnie większy ode mnie i co najmniej cztery razy silniejszy. Podchodząc do niego coraz bliżej uświadomiłem sobie nagle, iż odtwarzamy scenę, jaką oglądałem w wykonaniu marionetek we śnie, który przyśnił mi się właśnie tej nocy, którą spędziliśmy w jednym łóżku, tyle że olbrzym ze snu był uzbrojony w pałkę. Baldanders cofał się krok za krokiem, ale w każdej chwili mógł rzucić się w przód i zamknąć mnie w miażdżącym uścisku.

Kiedy pokonaliśmy w ten sposób mniej więcej trzy czwarte dystansu dzielącego schody od

przeciwległej ściany, zupełnie niespodziewanie odwrócił się i rzucił do ucieczki. Był to zdumiewający widok: odniosłem wrażenie, iż widzę uciekające drzewo.

Poruszał się bardzo szybko, gdyż, choć niezdarny, za każdym krokiem pokonywał znaczną odległość. Dzięki temu na długo przede mną dotarł do ściany, gdzie znajdowało się takie samo wąskie okno jak to, przez które spoglądał Osipago.

Przez chwilę nie wiedziałem, co ma zamiar uczynić, gdyż otwór był stanowczo zbyt wąski, żeby mógł się przez niego przecisnąć. On tymczasem wystawił na zewnątrz obie ręce i niemal jednocześnie rozległ się trzask pękającej zaprawy.

W samą porę domyśliłem się, co mi grozi i zrobiłem kilka kroków wstecz. Zaraz potem olbrzym odwrócił się, trzymając oburącz wielki głaz wyrwany ze ściany, podniósł go nad głowę i cisnął we mnie.

Uskoczyłem w bok, ale on bez trudu wrywał kolejne kamienie i rzucał je w moim kierunku. Po trzecim musiałem paść na podłogę i przetoczyć kilka kroków z mieczem przyciśniętym do piersi, by uniknąć czwartego pocisku. Kamienie nadlatywały w coraz krótszych odstępach czasu, gdyż w miarę, jak słabła konstrukcja budowli, olbrzymowi coraz łatwiej było wrywać je ze ściany. Po kolejnym uniku zrządzeniem losu znalazłem się obok leżącej na podłodze, niewielkiej szkatułki, w jakiej skromna pani domu mogłaby przechowywać biżuterię.

Była ozdobiona licznymi gałkami, ich kształt zaś przywiódł mi na myśl pokręta, jakimi posługiwał się mistrz Gurloes podczas przesłuchania Thecli. Zanim Baldanders zdążył wyrwać kolejny głaz, chwyciłem szkatułkę i pokręciłem jedną z gałek. Niemal od razu ze szczelin w podłodze zaczęła wydobywać się gęsta mgła, która błyskawicznie sięgnęła poziomu moich oczu, w związku z czym przestałem cokolwiek widzieć.

- Znalazłeś to - stwierdził Baldanders spokojnym, grzmiącym głosem. - Powiniennem być wcześniej wszystko wyłączyć. Teraz nie widzę cię, ale ty też mnie nie widzisz.

Milczałem, zdając sobie sprawę, że czeka z kamieniem wzniesionym nad głową, gotów cisnąć go w kierunku, z którego dobiegnie mój głos. Po mniej więcej dwudziestu oddechach zacząłem skradać się ku niemu najciszej, jak tylko mogłem. Mocno wątpiłem, czy mimo całej swojej przebiegłości zdołałby poruszyć się tak, żebym tego nie usłyszał. Po czwartym kroku głaz upadł z łoskotem w miejscu, gdzie przed chwilą stałem, Baldanders natomiast wrywał ze ściany kolejny.

Okazało się, że o jeden za wiele; rozległ się potworny huk, oznaczający ponad wszelką wątpliwość, że cały fragment ściany nad oknem przestał istnieć. Przez moment żywiłem złudną nadzieję, że spadające głazy zabiły olbrzyma, ale zaraz potem mgła zaczęła rzednąć, uciekając na zewnątrz przez wyrwę w ścianie, i zobaczyłem go, stojącego przy ogromnej dziurze.

Kiedy mur runął, Baldanders zapewne wypuścił kamień, który właśnie wrywał, gdyż teraz miał puste ręce. Rzuciłem się naprzód w nadziei, że dopadnę go, zanim się zorientuje, z której strony nadchodzi

atak, ale i tym razem okazał się dla mnie zbyt szybki, gdyż chwycił się ocalałego fragmentu ściany i wyslizgnął na zewnątrz. Kiedy dotarłem do otworu, Baldanders był

już dwa lub trzy piętra niżej. To, co zrobił, początkowo wydawało się całkowicie niemożliwe, ale przyjrząwszy się uważniej kamiennej ścianie stwierdziłem, że między poszczególnymi blokami pozostawiono szczeliny dość znacznej szerokości, oraz że cała budowla rozszerza się w dolnej części, dzięki czemu mur nie jest zupełnie pionowy.

Kusiło mnie, aby wydobyć Terminus Est i ruszyć za olbrzymem, ale wówczas znalazłbym się w nie lada tarapatach, bo przecież mój przeciwnik dotarłby na ziemię na długo przede mną.

Cisnąłem więc tylko w niego szkatułką, ale chybiłem, on zaś po chwili zniknął w ciemności i strugach deszczu. Nie pozostało mi nic innego jak wrócić do schodów i zejść na najniższy poziom, na którym znajdowało się wejście do wieży.

Kiedy przechodziłem tamtędy po raz pierwszy, pomieszczenie było pogrążone w całkowitej ciszy i zupełnie puste, jeśli nie liczyć zgromadzonych maszyn; teraz moim oczom ukazało się istne pandemonium. Wokół maszyn, a także nad i pod nimi, kłębiły się hordy odrażających stworzeń podobnych do tego, jakiego fantom ujrzałem w pokoju nazwanym przez Baldandersa komnatą mgieł. Niektóre miały dwie głowy, jak Typhon, inne czworo ramion, jeszcze inne kończyny nieproporcjonalnych rozmiarów: nogi dwukrotnie dłuższe od ciał lub ramiona grubsze niż uda. Wszystkie były uzbrojone, wszystkie też, o ile mogłem się zorientować, ogarnęło szaleństwo, gdyż zadawały razy nie tylko walczącym z nimi wyspiarzami, ale także sobie nawzajem. Przypomniałem sobie wówczas, co powiedział Baldanders: że pod nami jest mnóstwo moich przyjaciół i jego wrogów. Nie ulegało wątpliwości, iż miał rację, gdyż stworzenia te z pewnością zaatakowałyby go natychmiast, jak tylko by się tutaj pojawił.

Przedzierając się ku drzwiom zabiłem trzy z nich, przez cały czas krzyząc do ludzi jeziora, że najważniejszy przeciwnik, którego koniecznie trzeba pokonać, wymknął się na zewnątrz. Kiedy zobaczyłem, jak bardzo boją się koszmarnych istot wyłaniających się wciąż z ciemnego otworu klatki schodowej (z pewnością nie zdołali rozpoznać w nich swoich braci i synów, zmienionych nie do poznania w wyniku eksperymentów olbrzyma), ogarnęło mnie zdumienie, że w ogóle odważyli się wejść do zamku. Jednocześnie poczułem ogromną satysfakcję, gdyż na mój widok wyraźnie poczuli przypływ odwagi. Natychmiast stanąłem na ich czele, a z wyrazu oczu moich żołnierzy mogłem się domyślać, że pójdą za mną wszędzie, gdzie im każę. Wówczas chyba po raz pierwszy zrozumiałem na czym polega przyjemność, jaką z faktu piastowania wysokiej godności czerpał mistrz Gurloes - wcześniej przypuszczałem, iż najwięcej zadowolenia sprawiało mu narzucanie swojej woli innym. Pojąłem również, czemu tylu młodych dworzan porzucało swoje ukochane, a moje przyjaciółki, by objąć dowództwo nad stacjonującymi gdzieś daleko oddziałami.

Ulewa nieco osłabła, choć deszcz nadal padał bez chwili przerwy. Na schodach leżeli martwi ludzie, ale jeszcze więcej było trupów monstrualnych obrońców zamku; kilka z nich musiałem zepchnąć na dziedziniec, bojąc się, że sam runę na jego wyłożoną kamieniami powierzchnię, jeśli spróbuję przedzierać się między ich spiętrzonymi korpusami i poplątanymi kończynami. Na dole także toczyła się zacięta walka, lecz jej wynik zdawał się przesądzony, gdyż wyspiarze opanowali schody, nie pozwalając połączyć sił istotom z dziedzińca i tym z wnętrza wieży. Nigdzie nie mogłem dostrzec

Baldandersa.

Niezmiernie trudno jest opisać walkę, mimo iż wywołuje ona podniecenie nieporównywalne z niczym innym. Później, już po wszystkim, najlepiej pamięta się wcale nie pchnięcia i uniki - umysł jest wówczas zbyt zajęty innymi sprawami, żeby gromadzić doznania -

tylko krótkie przerwy między poszczególnymi starciami. Na dziedzińcu zamku Baldandersa starłem się kolejno z czterema potworami, które wyszły spod jego ręki, ale nie jestem w stanie powiedzieć, z którym z nich walczyłem najlepiej, a z którym najgorzej.

Ciemność oraz padający bez ustanku deszcz pozwalały mi w pełni wykorzystać specyficzną konstrukcję mojego miecza. Tradycyjny fechtunek wymaga przynajmniej znośnego oświetlenia, gdyż przeciwnicy muszą widzieć swoją broń, tam natomiast światła nie było prawie wcale. Co więcej, monstra stworzone przez Baldandersa wykazywały wręcz samobójczą odwagę, co wcale nie wychodziło im na zdrowie. Próbowaly robić uniki przed moimi ciosami, dzięki czemu bez większego trudu udawało mi się dosięgnąć ich w chwili, kiedy wykonywałem mieczem ruch w przeciwną stronę. W każdym z czterech starć uczestniczyli także wojownicy z wysp, a w jednym przypadku nie pozwolili mi dokończyć dzieła, rozprawiając się błyskawicznie z moim przeciwnikiem. Zazwyczaj jednak ich rola sprowadzała się do odwracania uwagi i zadawania lżejszych ran. Z pewnością żadna z tych potyczek nie sprawiła mi tyle satysfakcji, co prawidłowo przeprowadzona egzekucja.

Mój czwarty przeciwnik okazał się zarazem ostatnim; wszędzie dokoła piętrzyły stosy trupów i umierających. Zebrałem wokół siebie wyspiarzy. Wszyscy znajdowali się w stanie euforii, jaki może wywołać jedynie zakończona zwycięsko walka, w związku z czym byli gotowi stawić czoło każdemu olbrzymowi, choćby nie wiadomo jak wielkiemu. Jednak nawet ci, którzy walczyli na dziedzińcu już wtedy, kiedy z góry poczęły lecieć kamienie, zaklinali się, że nie widzieli żadnego olbrzyma. Zacząłem już podejrzewać ich o ślepotę, oni mnie natomiast zapewne o to, że postradałem zmysły, kiedy nagle zza chmur wyrzwał księżyc, który nie tylko wyjaśnił wszelkie wątpliwości, ale także ocalił nam wszystkim życie.

Czyż to nie dziwne? Wszyscy poszukujemy w niebie mądrości albo badając wpływ odległych konstelacji na wydarzenia, albo, jak Baldanders, usiłując wydrzeć ją tym, których nic nie wiedzący ludzie zwą kakogenami, albo, jak czynią rolnicy, rybacy oraz im podobni, starając się przewidzieć zmiany pogody. Nikt jednak nie szuka tam bezpośredniej pomocy, choć czasem ją otrzymujemy, tak jak ja tamtej nocy.

W gęstej powłoce chmur pojawiła się wąska szczelina. Deszcz już tylko siąpił, kiedy na zasłany trupami dziedzińiec padł blask księżycy (choć znajdował się w połowie drogi od pełni do nowiu, świecił zdumiewająco jasno) niczym promień światła potężnego reflektora, który wydobywa z mroku zastawioną dekoracjami scenę na ukrytym w najgłębszych pokładach snu poziomie Domu Absolutu. Gładkie, mokre kamienie zaślniły jak kałuże nieruchomej czarnej wody, a ja ujrzałem w nich widok tak zdumiewający, że jeszcze teraz, kiedy o tym myślę, ogarnia mnie zdumienie, iż zdobyłem się na to, by uczynić coś więcej niż tylko stać i gapić się na niego aż do śmierci - czyli bardzo niedługo.

Baldanders spadał na nas, ale czynił to niezmiernie powoli.

TERMINUS EST

W brązowej książce są wizerunki aniołów opadających ku Urth w identycznej pozycji: z głową odrzuconą do tyłu, a ciałem przechylonym w taki sposób, że twarz i górna część tułowia znajdują się na tym samym poziomie. Wyobrażam sobie, jakie przerażenie musiał wzbudzić widok zbliżającej się w ten właśnie sposób gigantycznej istoty, którą widziałem na kartach wielkiej księgi w tajnej części Domu Absolutu, lecz mimo to uważam, że Baldanders wyglądał

jeszcze groźniej. Twarz miał skupioną, w uniesionej ręce dzierżył zaś maczugę o głowicy w kształcie fosforyzującej kuli.

Rozproszyliśmy się jak wróble uciekające przed sową, która niespodziewanie spadła między nie o zmierzchu. Poczułem na plecach podmuch powietrza i odwróciłem się w samą porę, żeby zobaczyć olbrzyma, jak dotyka ziemi jedną ręką i odbija się od niej tak jak czynią uliczni akrobaci. Dopiero teraz zauważyłem, że ma na sobie pas z oszlifowanych w regularne, wielościenne kształty kawałków metalu. Nigdy się nie dowiedziałem, w jaki sposób zdołał

wrócić do wieży po ten pas i maczugę; prawdopodobnie na którymś z niższych pięter znajdowało się okno szersze od tego, jakie widziałem, albo może nawet drzwi, prowadzące niegdyś do przylegającej do wieży drewnianej budowli, spalonej przez ludzi z brzegu. Nie da się także wykluczyć, iż po prostu sięgnął ręką do wnętrza przez zwykłe, wąskie okno.

W jakiej niesamowitej ciszy opadał ku ziemi, z jakąż gracją on, dorównujący rozmiarami niejednej chacie nędzarza, odepchnął się jedną ręką od nawierzchni dziedzińca! Ciszę można oddać po prostu nic nie mówiąc, ale co z wdziękiem?

Wiatr szarpnął moim płaszczem rozwiewając go niczym chmurę czarniejszą od sadzy, ja zaś podniosłem miecz, tak jak wielokrotnie czyniłem to wcześniej. Wtedy właśnie uświadomiłem sobie to, nad czym do tej pory nawet nie chciało mi się zastanawiać: dlaczego przeznaczenie kazało mi wędrować przez pół kontynentu, stawiać czoło niebezpieczeństwom zrodzonym w ogniu, czeluściach Urth, wodzie i powietrzu, oraz walczyć z nimi za pomocą ogromnego miecza, który równie dobrze nadawał się do fechtunku jak siekiera do ścinania kwiatów. Baldanders dostrzegł mnie i podniósł w milczącym salucie maczugę o głowicy jaśniejącej jaskrawożółtym blaskiem.

Natychmiast otoczyło go pięciu lub sześciu wyspiarzy uzbrojonych w ościenie i pałki nabijane zębami, ale żaden nie odważył się zbliżyć do olbrzyma, zupełnie jakby stanowił

centralny punkt jakiegoś niewidzialnego, zaklętego kręgu. Kiedy postąpiłem krok naprzód, przekonałem się, co jest tego przyczyną: ogarnęło mnie niewysłowione przerażenie, którego nie byłem w stanie ani zrozumieć, ani opanować. Nie chodziło o to, że boję się jego albo śmierci - ja po prostu bałem się, i nic więcej. Poczułem, że włosy na mojej głowie poruszają się tak, jakby głaskała je ręka jakiegoś ducha. (Często słyszałem o czymś takim, ale traktowałem te opowieści z przymrużeniem oka, uważając je za mocno przesadzone a nawet kłamliwe). Kolana ugięły się przede mną, drżąc tak bardzo, że gdyby nie ciemność, z pewnością byłoby to widoczne. Mimo wszystko wciąż szedłem naprzód.

Sądząc po wielkości maczugi, a także po rozmiarach ramienia Baldandersa, z pewnością nie przeżyłbym bezpośredniego ciosu. Z kolei olbrzym na pewno nie pozbiierałby się po trafieniu mieczem, bo choć był wystarczająco silny, żeby unieść zbroję, jaką zakłada się bojowym wierzchowcom, to jednak nie miał jej na sobie, ostrze zaś tej jakości, zdolne przeciąć zwykłego człowieka od czubka głowy aż do pasa, stanowiło śmiertelne niebezpieczeństwo nawet dla niego.

Olbrzym doskonale zdawał sobie z tego sprawę, w związku z czym krążyliśmy wokół

siebie jak aktorzy na scenie, od czasu do czasu zadając ciosy, które jednak nie mogły osiągnąć celu. W dalszym ciągu odczuwałem potworny strach; wydawało mi się, że jeżeli natychmiast nie rzucę się do ucieczki, lada chwila pęknie mi serce. W uszach rozbrzmiewała mi jakaś muzyka, a kiedy przyjrzałem się uważniej maczudze (otaczająca ją poświata aż nadto przyciągała moją uwagę), przekonałem się, że melodia wydobywa się właśnie stamtąd. Właściwie nie była to melodia, lecz stały dźwięk o jednostajnym brzmieniu, nieco podobny do rozciągniętego w czasie odgłosu, jaki wydaje kieliszek do wina uderzony trzonkiem noża.

Odkrycie to sprawiło, że zdekoncentrowałem się na mgnienie oka. W tej samej chwili maczuga runęła na mnie z góry jak kowalski młot. Z najwyższym trudem zdążyłem uskoczyć w bok i dźwięcząca, lśniąca głowica rąbnęła z potworną siłą w kamienie u moich stóp, rozbijając jeden z nich tak łatwo, jakby to był gliniany dzban. Odpryski poszybowały we wszystkie strony, a któryś z nich trafił mnie z czoła, rozcinając głęboko skórę. Po twarzy zaczęła mi płynąć krew.

W pustych oczach Baldandersa zamigotały iskierki triumfu. Od tej pory raz za razem uderzał z wielką siłą w kamienie tworzące nawierzchnię dziedzińca, gruchocząc je niczym puste skorupy. Nie miałem innego wyboru, jak tylko cofać się krok za krokiem, aż wreszcie poczułem, że opieram się plecami o mur. Ruszyłem powoli wzdłuż niego, a wówczas olbrzym począł walić maczugą także w kamienną ścianę. Większość ostrych jak odłamki brzytwy odprysków omijała mnie, niektóre jednak grzęzły w moim ciele, tak że bardzo szybko krew poczęła zalewać mi oczy, a moje ramiona i pierś pokryły się wilgotnym szkarłatem.

Kiedy chyba po raz setny uskoczyłem przed świecącą maczugą, potknąłem się o coś i niewiele brakowało, a rozciągnąłbym się jak długi. Okazało się, że zawadziłem piętą o pierwszy stopień schodów prowadzących na mur. Ruszyłem w górę, poprawiając nieco swoją sytuację, nie na tyle jednak, abym mógł przestać się cofać. Szczytem muru wiodło wąskie przejście, którym posuwałem się ostrożnie, krok za krokiem. Teraz naprawdę chętnie odwróciłbym się i rzucił do ucieczki, ale wciąż jeszcze miałem świeżo w pamięci, jak zwinnie poruszał się olbrzym, kiedy zaskoczyłem go w komnacie mgieł; ani chybi dopadłby mnie jednym susem, tak samo jak ja kiedyś, będąc jeszcze chłopcem, doskakiwałem w lochach pod naszą wieżą do niczego nie spodziewającego się szczura i łamałem mu kręgosłup jednym uderzeniem kija.

Jednak nie wszystkie okoliczności sprzyjały Baldandersowi. Coś białego śmignęło między nami i w potężnym ramieniu, niczym pika w karku byka, utkwiała strzała o kościanym grocie. Ludzie jeziora znaleźli się teraz w takiej odległości od śpiewającej maczugi, że przerażenie, jakie w nich wzbudzała, nie przeszkadzało im miotać z daleka pociski. Baldanders zawahał się, po czym cofnął o krok, by wyciągnąć strzałę, ale zaraz potem kolejna przecięła ze świstem powietrze, raniąc go w twarz.

Nagle wstąpiła we mnie nadzieja i skoczyłem naprzód, lecz tak nieszczęśliwie stanąłem na mokrym kamieniu, że poślizgnąłem się i niewiele brakowało, a runąłbym na dziedziniec ze szczytu muru. W ostatniej chwili złapałem się wolną ręką parapetu, tylko po to jednak, aby ujrzeć maczugę zbliżającą się z wielką prędkością do mojej głowy. Odruchowo uniosłem Terminus Est, by sparować cios.

Rozległ się krzyk tak przeraźliwy, jakby jednocześnie wrzasnęły dusze wszystkich ludzi, których pozbawiłem życia, zaraz potem zaś ogłuszająca eksplozja.

Przez jakiś czas leżałem oszołomiony i zupełnie bezbronny, ale wybuch w ten sam sposób podziałał również na Baldandersa. Czar roztaczany przez jego maczugę prysł i ludzie jeziora tłumnie ruszyli w górę po schodach wiodących na szczyt muru. Możliwe, iż stal, z jakiej wykonano ostrze miecza, miała własną naturalną częstotliwość (wielokrotnie miałem okazję stwierdzić, że Terminus Est dźwięczy cichutko, kiedy w odpowiedni sposób uderzy się w niego palcem), która okazała się nie do zniesienia dla tajemniczego mechanizmu dającego zdumiewającą siłę maczudze olbrzyma. Mogło też być i tak, że jego ostrze, węższe od ostrza chirurgicznego noża i twardsze od obsydianu, przecięło skorupę głowicy. Bez względu na to, co naprawdę się stało, maczuga przestała istnieć, ja natomiast ścisnąłem w dłoni rękojeść miecza, z której sterczał fragment ostrza długości zaledwie jednego łokcia. Hydragyrum, które tak długo przelewało się bezszelestnie w jego wydrążonym wnętrzu, teraz spływało w ciemność srebrzystymi łzami.

Zanim zdołałem się podnieść, ludzie jeziora zaczęli kolejno przeskakiwać nade mną.

Strzała wbiła się w pierś olbrzyma, ciśnięta z dużą siłą pałka trafiła go w twarz, ale wystarczyło, żeby machnął ramieniem, a dwaj napastnicy runęli z muru w objęcia czekającej na nich w dole śmierci. Natychmiast dopadli go inni, lecz on strząsnął ich z siebie jak szczenięta. Z trudem dźwignąłem się na nogi, wciąż nie bardzo rozumiejąc, co się właściwie stało.

Przez jedno uderzenie serca Baldanders stał nieruchomo na parapecie, po czym dał ogromnego susa w przepaść. Z pewnością bardzo mu pomógł pas, ale i tak siła jego nóg mogła wprawić w zdumienie. Popłynął przez powietrze szerokim łukiem, opadając powoli ku ziemi.

Trzej ludzie, których pociągnął za sobą, roztrzaskali się na skałach cypla.

Wreszcie zetknął się z taflą jeziora, niczym gigantyczny statek, który wymknął się spod kontroli. Biała jak mleko woda wystrzeliła w górę wysoką fontanną, po czym zamknęła się nad nim. Z miejsca, gdzie zniknął, uniosło się ku niebu coś długiego i wijącego się jak wąż, by zniknąć wśród chmur - przypuszczalnie był to metalowy pas. Jednak mimo że wyspiarze długo jeszcze stali z ościeniami gotowymi do rzutu, głowa olbrzyma nie wychyliła się nad powierzchnię wody.

ROZDZIAŁ XXXVIII

PAZUR

Przez całą noc ludzie jeziora plądrowali zamek, ale ja ani nie przyłączyłem się do nich, ani nawet nie udałem się na spoczynek w murach fortecy. Wśród sosen, gdzie odbyliśmy naradę wojenną, znalazłem miejsce doskonale osłonięte przed deszczem, tak że pokrywający ziemię dywan z igieł był zupełnie suchy. Położyłem się tam, pozwoliwszy najpierw obmyć i opatrzyć swoje rany. Obok mnie leżała rękojeść miecza, który niegdyś stanowił własność mistrza Palaemona, później zaś moją. Miałem wrażenie, że śpię obok trupa, ale mimo to nie nawiedziły mnie żadne sny.

Obudził mnie intensywny zapach sosen. Urth była już zwrócona niemal całą twarzą ku słońcu. Bolało mnie całe ciało, a rany po ostrych odłamkach kamieni piekły żywym ogniem, ale dzień był piękny, chyba najcieplejszy od chwili, kiedy opuściłem Thrax i rozpocząłem wędrówkę przez góry. Wyszedłszy spomiędzy drzew ujrzałem tafłę jeziora Diuturna lśniąca w promieniach słońca i świeżą trawę zieleniącą się wśród skał.

Usiadłem na głazie, odwrócony plecami do zamku Baldandersa, twarzą zaś do błękitnego jeziora i po raz ostatni wymontowałem ostrze, a raczej resztkę wspaniałego ostrza Terminus Est z pięknej rękojeści ze srebra i onyksu. O wartości miecza stanowi właśnie ostrze, bez niego więc Terminus Est przestał być mieczem. Mimo to rękojeść towarzyszyła mi do końca wędrówki, choć spaliłem pochwę z doskonale wyprawionej ludzkiej skóry. W tej rękojeści zostanie kiedyś osadzone inne ostrze, choć z pewnością nie tak doskonałe, a w dodatku nie będzie należało do mnie.

Ucałowałem resztki ostrza i cisnąłem je do wody.

Potem rozpocząłem poszukiwania. Nie wiedziałem, gdzie dokładnie Baldanders rzucił

Pazur Łagodziciela, ale byłem pewien, że w kierunku jeziora. Przypuszczałem jednak, iż nawet takiemu siłaczowi jak on mogło nie udać się cisnąć małego i lekkiego przedmiotu na znaczną odległość.

Szybko nabrałem przekonania, że jeżeli jakimś cudem mu się powiodło, wówczas klejnot przepadł na zawsze, ponieważ jezioro nawet przy samym brzegu miało wiele łokci głębokości.

Mimo to nie dawałem za wygraną, ponieważ istniała szansa, że jednak klejnot nie doleciał do wody, tylko utknął w jakiejś skalnej szczelinie.

Szukałem więc nadal, obawiając się prosić o pomoc ludzi jeziora a jednocześnie lękając się zrobić choćby najkrótszą przerwę, by kto j mnie nie ubiegł. Zapadł zmierzch, nocne ptaki zaczęły żegnać odchodzący dzień, a moi sojusznicy zaproponowali mi gościnę na którejś z ruchomych wysp, lecz ja odmówiłem. Obawiali się ataku ludzi z brzegu, pragnących pomścić śmierć Baldandersa (nie odważyłem się powiedzieć im, że moim zdaniem olbrzym wcale nie zginął, tylko zamieszkał w głębinach jeziora), ale wreszcie udało mi się ich przekonać, żeby zostawili mnie samego wśród skał i głazów tworzących przedmurze cypla.

Wreszcie ogarnęło mnie tak wielkie zmęczenie, iż usiadłem na ogromnym kamieniu, by zaczekać na nadejście świtu. Co jakiś czas wydawało mi się, że dostrzegam lazurową poświatę sączącą się z

jakiej: szczeliny albo z wody pod moimi stopami, lecz za każdym razem kiedy pochylałem się lub wyciągałem rękę, by to zbadać, budziłem się raptownie, uświadamiając sobie, że to tylko sen.

Po stokroć nawiedzały mnie niespokojne myśli, czy aby ktoś nie znalazł klejnotu wtedy, kiedy spałem wśród sosen, i przeklinałem się w myślach za to, że uległem zmęczeniu.

Jednocześnie wciąż na nowo powtarzałem sobie, iż byłoby znacznie lepiej, gdyby trafił w czyjekolwiek ręce, niż przepadł na zawsze.

Tak jak rozkładające się w ciepłych promieniach słońca mięso zwabia roje much, tak dwór przyciąga najróżniejszych proroków filozofów oraz mędrców, którzy pozostają tam tak długo, na jak długo wystarczy im środków finansowych i odwagi, mając nadzieję (począt kowo na uzyskanie audiencji u Autarchy, później zaś na otrzymaniu posady nauczyciela przy jakiejś arystokratycznej rodzinie. Kiedy Thecla miała jakieś szesnaście lat, ogromnie interesowała się wykładami do tyczącymi teogonii oraz podobnymi zagadnieniami - przypuszczam iż takie samo nastawienie ma wiele kobiet w tym wieku. Najlepiej zapamiętałem jeden z nich, podczas którego prelegent przytoczył jako przykład prawdy ostatecznej starożytny dogmat dotyczący istnienia trzech adonajów: miasta (albo ludzi), poetów oraz filozofów. Od zarania świadomych dziejów ludzkości (o ile w ogóle jest możliwe wyznaczenie takiego momentu), w każdej z tych trzech kategorii pojawiło się mnóstwo osób, które podjęły próbę zgłębienia sekretu boskości. Gdyby boska istota nie istniała, z pewnością udałoby im się to odkryć, jeżeli natomiast istnieje, to przecież nie mogła ich zwodzić, sama stanowiąc uosobienie Prawdy. Jednak przesady popółstwa, domysły artystów oraz teorie metafizyków tak bardzo oddaliły się od siebie, że obecnie przedstawiciele tych trzech grup nie mogą się ze sobą porozumieć, a ktoś, kto nie wie wystarczająco dużo o każdym z ich pomysłów, łatwo mógłby dojść do wniosku, iż ma do czynienia jedynie z pustą, pozbawioną treści paplaniną.

Czyż nie może być tak, zapytywał ów mędrzec (nawet teraz nie jestem pewien, czy potrafię odpowiedzieć na to pytanie), że w przeciwieństwie do tego, co powszechnie przypuszczano, trzy drogi nie prowadzą do wspólnego celu, lecz każda z nich wiedzie do oddzielnego? Bądź co bądź, kiedy podczas wędrówki napotkamy miejsce, w którym droga rozdziela się na trzy szlaki, rzadko kiedy przypuszczamy, że wszystkie wiodą do tego samego punktu.

Pomysł ten wydaje mi się jednocześnie racjonalny i odrażający, stanowiąc doskonały przykład argumentu utkanego z obsesyjną wręcz precyzją, o tak ścisłej strukturze, że nie może przedostać się przez nią nawet najdrobniejsza wątpliwość. W takich właśnie kokonach kryją się zazwyczaj ludzkie umysły natrafiając na problem, przy którego rozwiązywaniu nie sposób odwołać się do argumentów rozumu.

Zgodnie z tą argumentacją Pazur miał wręcz nieoszacowaną wartość. Ani pieniądze, ani całe królestwa nie mogły dorównać mu pod tym względem, tak samo jak nawet najbardziej rozległa równina nie jest w stanie zrównoważyć rozmiarów gigantycznej góry. Jeżeli, zgodnie z moimi przypuszczeniami, pochodził spoza naszego wszechświata, to jego blask, raz przygaszony, a raz niemal oślepiający, był jedynym prawdziwym światłem, jakim dysponowaliśmy. Gdyby teraz zniknął, pograżylibyśmy się w wiecznym mroku.

Wydawało mi się, że wielce go ceniłem wtedy, kiedy miałem go przy sobie, ale siedząc teraz na

kamieniu nad pogrążonym w nocnych ciemnościach jeziorem Diuturna zrozumiałem, jakim głupcem byłem narażając go na tyle niebezpieczeństw i jaki niewybaczalny grzech popełniłem pozwalając, by przepadł bez śladu. Tuż przed świtem przysięgłem odebrać sobie życie, jeżeli nie znajdę go przed ponownym zapadnięciem zmroku.

Nie jestem w stanie powiedzieć, czy dotrzymałbym tej przysięgi. Odkąd pamiętam, bardzo kochałem życie - chyba właśnie ta miłość dopingowała mnie do podnoszenia profesjonalnych umiejętności, gdyż cierpiałem okrutnie widząc, jak płomień, który tak bardzo podziwiam, jest gaszony w sposób daleki od doskonałości. Swoje własne życie, wymieszane z życiem Thecli, kochałem tak samo jak życie innych ludzi. Gdybym złamał tę przysięgę, nie byłoby to pierwsze przyrzeczenie, jakiego nie dotrzymałem.

Na szczęście okazało się to niepotrzebne. Wczesnym przedpołudniem jednego z najpiękniejszych dni, jakie widziałem, kiedy promienie słońca pieściły moją skórę, a delikatne pluskanie fal dobiegało z dołu łagodną muzyką, odnalazłem klejnot, a raczej to, co z niego zostało.

Roztrzaskał się na skałach. Niektóre odłamki były wystarczająco duże, aby stanowić ozdobę pierścienia tetrarchy, inne zaś przypominały drobinki miki. Szlochając głośno zebrałem je starannie, a kiedy przekonałem się ponad wszelką wątpliwość, iż są równie martwe jak diamenty wydobywane w kopalniach przez górników, zszedłem z nimi nad brzeg jeziora i wrzuciłem je do wody.

Odbyłem trzy takie pielgrzymki, za każdym razem niosąc w garści mniej błękitnych drobin, aż wreszcie w szczelinie między dwoma kamieniami - była tak głęboka, że musiałem wrócić do kępy sosen i ułamać długą gałąź, którą mogłem sięgnąć do jej dna i wygarnąć to, co tam znalazłem - dostrzegłem przedmiot, który z pewnością nie był fragmentem klejnotu, a mimo to świecił jasno niczym gwiazda.

Wydobyłem go powodowany raczej ciekawością niż nadzieją, gdyż tak bardzo różnił się od klejnotu, który utraciłem, że dopiero kiedy wziąłem go do ręki, zaświtało mi podejrzenie, iż może mieć z nim coś wspólnego. Nie wiem, jak to możliwe, aby czarny przedmiot rozsiewał

wokół siebie intensywny blask, ale ten tak właśnie czynił. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie wyrzeźbionego w zastygłej kropli smoły, tak bardzo wypolerowaną miał powierzchnię.

Był to pazur wielkości ostatniego członu mego małego palca, groźnie zakrzywiony i ostro zakończony; jeszcze nie tak dawno znajdował się we wnętrzu klejnotu, który prawdopodobnie stanowił dla niego tylko pojemnik, coś w rodzaju kokonu albo cyborium.

Bardzo długo klęczałem odwrócony plecami do zamku i spoglądałem to na ów tajemniczy, lśniący skarb, to na fale jeziora, próbując pojąć znaczenie faktu, że ponownie trafił

do moich rąk. Teraz, kiedy miałem go przed sobą bez jego lazurowej otoczki, przekonałem się, że wywiera na mnie przedziwne działanie: ilekroć na niego patrzyłem, moje myśli wspinały się na inny, wyższy poziom, którego nie potrafię nawet nazwać. Klęcząc nad brzegiem jeziora wciąż na nowo osiągałem ten stan, wzbijając się coraz wyżej, aż wreszcie zaczynałem się obawiać, iż nie będę mógł

wrócić do tego, co przywykłem nazywać normalnością, więc ogromnym wysiłkiem woli otrząsałem się z niego, by zaraz potem zacząć wszystko od początku. Po każdym powrocie czułem, że przez chwilę miałem okazję obcować z niemożliwą do określenia słowami, cudowną rzeczywistością.

Wreszcie, po kilkunastu śmiałych wspinaczkach i tchórzliwych odwrotach, pojąłem, że nigdy nie będzie mi dane zrozumieć istoty tego małego przedmiotu spoczywającego w mojej dłoni i wraz z tą myślą spłynął na mnie wielki spokój połączony z pragnieniem służenia czemuś, o czym nic nie wiedziałem, służenia bez wahań, ponieważ nie było już nad czym się zastanawiać, i bez jakichkolwiek buntowniczych zamiarów. W stanie tym trwałem przez cały dzień i znaczną część następnego, ponownie wspinając się ku wysokim partiom gór.

Tutaj przerywam mą opowieść, czytelniku, przeprowadziwszy cię od fortecy do fortecy -

od warownego miasta Thrax położonego w górnym biegu rzeki Acis, do zamku olbrzyma, dominującego nad północnym brzegiem odległego jeziora Diuturna. Thrax stanowił dla mnie bramę, przez którą wszedłem w dzikie góry, ta samotna wieża zaś stanowiła bramę innego rodzaju: tuż za nią trwała okrutna wojna, w porównaniu z którą opisana tu bitwa była jedynie mało istotnym starciem. Od tamtej pory aż do chwili obecnej wojna ta pochłonęła niemal całą moją uwagę.

W tym miejscu przerywam, czytelniku. Jeżeli nie chcesz ruszyć do boju u mego boku, nie potępiam cię, gdyż niełatwa to walka.

DODATEK

UWAGI NA TEMAT ADMINISTRACJI TERENOWEJ

Krótką relacją Severiana o jego pobycie w Thraksie stanowi najlepsze, choć nie jedyne, źródło informacji na temat sposobu sprawowania rządów w czasach Wspólnoty poza lśniącymi korytarzami Domu Absolutu i zatłoczonymi ulicami Nessus. Nie ulega wątpliwości, iż tradycyjny podział na władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą do niczego nam się tu nie przyda; każdy administrator w rodzaju Abdiesusa wyśmiałby pogląd, że jedna grupa ludzi powinna ustanawiać prawo, druga je realizować, trzecia natomiast pilnować, czy jest przestrzegane. Jego zdaniem taki system byłby całkowicie nieskuteczny, czego dowody są zresztą widoczne na każdym kroku.

W czasach, kiedy powstawały te rękopisy, archontowie oraz tetrarchowie byli mianowani bezpośrednio przez Autarchę, dzierżąc go - jako reprezentant ludu - całą władzę w swoich rękach. (Warto jednak zwrócić uwagę, co na ten temat miał do powiedzenia Famulimus).

Urzędnicy ci mieli za zadanie wprowadzać w życie rozkazy Autarchy, ustalać prawa zgodne ze zwyczajami obowiązującymi na terenach pozostających pod ich administracją, a także wymuszać ich przestrzeganie. Wszystko wskazuje na to, że w Thraksie, podobnie jak w Domu Absolutu i Cytadeli, zupełnie nie znano kary polegającej na pozbawieniu wolności na ściśle określony czas.

Więźniowie Vinculi w nieskończoność oczekiwali na tortury lub egzekucję, spora ich część zaś była przetrzymywana w charakterze zakładników, co miało zapewnić posłuszeństwo ich krewnych i przyjaciół.

Jak jasno wynika z treści rękopisu, nadzór nad Vinculą („domem łańcuchów”), stanowi tylko jeden z obowiązków liktora („tego, który wiąże”). Człowiek ów podlega wyłącznie archontowi i zajmuje się bezpośrednim wymierzaniem sprawiedliwości. Podczas oficjalnych uroczystości kroczy przed swoim zwierzchnikiem z obnażonym mieczem w dłoni, co ma przypominać o władzy archonta, natomiast podczas posiedzeń sądu - na co skarży się Severian -

musi stać po lewej stronie ławy sędziowskiej. Rzecz jasna, osobiście wykonuje wszelkie egzekucje, a także nadzoruje pracę strażników.

Strażnicy ci pełnią nie tylko funkcję stróżów pilnujących więźniów Vinculi, lecz również są czymś w rodzaju policji śledczej; wypełnianie zadań związanych z tymi obowiązkami bardzo ułatwia im fakt, że mogą łatwo uzyskiwać informacje od więźniów. Klucze, z którymi nie rozstają się ani na chwilę, są tak wielkie, że można się nimi posługiwać jak pałkami, w związku z czym stanowią nie tylko oznakę urzędu, ale także bardzo poręczną broń.

Dimarchowie („ci, co walczą na dwa sposoby”) są mundurową policją archonta, a zarazem tworzą jego siły zbrojne. Nazwa wzięła się stąd, iż zostali wyszkoleni i wyposażeni w sposób umożliwiający im prowadzenie walki zarówno w charakterze piechoty, jak i kawalerii, zależnie od potrzeby chwili. W skład tej formacji wchodzi zawodowi żołnierze, weterani kampanii prowadzonych na północy, a także osadnicy przybyli z innych rejonów kraju.

Samo Thrax jest ponad wszelką wątpliwość miastem-fortecą, wzniesionym jednak nie z myślą o powstrzymaniu naporu Ascian - jest mało prawdopodobne, by mogło bronić się dłużej niż jeden

dzień -lecz w celu stłumienia oporu oddziałów dowodzonych przez zbuntowanych arystokratów i szlachciców. (Mąż kobiety o imieniu Cyriaca, na którego w Domu Absolutu nikt nie zwróciłby uwagi, w najbliższej okolicy Thraxu jest osobą ważną, a nawet stosunkowo niebezpieczną). Choć oficjalnie ani arystokraci, ani szlachta nie mogą utrzymywać prywatnych armii, to jest oczywiste, iż znaczna część myśliwych, służby i temu podobnych ludzi, przebywających na stałe na terenie wiejskich posiadłości, tworzy zbrojne oddziały uformowane na wojskową modłę. Ich główne zadanie polega na odstraszeniu zdesperowanych maruderów i zbieraniu podatków, ale w razie potrzeby mogą stanowić poważne zagrożenie dla kogoś takiego jak Abdiesus. Fakt, że archont urzęduje w silnie ufortyfikowanym mieście, każe jednak dobrze zastanowić się każdemu, kto chciałby rozniecić iskierkę buntu.

Droga ucieczki, którą był zmuszony wybrać Severian, najlepiej dowodzi, jak ściśle kontrolowano ruch ludzi z i do miasta. Warownia archonta, Zamek Acies („zbrojny obóz u szczytu”), strzeże północnego skraju doliny i zdaje się całkowicie oddzielony od pałacu.

Południowy wylot doliny zamyka Capulus („rękojeść miecza”), czyli silnie umocniony mur, przypuszczalnie miniaturowa wersja Muru Nessus, a wzdłuż obu krawędzi urwiska wznosi się szereg baszt i wież połączonych wałami obronnymi. Ponieważ miasto dysponuje niewyczerpanym zapasem wody pitnej, wydaje się w stanie przetrwać długotrwałe oblężenie przez każdą armię nie dysponującą najcięższym uzbrojeniem.

G.W.